

WOJCIECH CHMIELARZ

DŁUG HONOROWY

Cykl z Bezimiennym

MARGINESY



WOJCIECH
CHMIELARZ

DŁUG HONOROWY

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja KAROLINA MACIOS
Korekta MAŁGORZATA KUŚNIERZ, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych MICHAŁ PAWŁOWSKI
Zdjęcie na okładce © Michael Thomas / EyeEm / Getty Images
Zdjęcie autora © Jacek Poremba
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Wojciech Chmielarz
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2021

Warszawa 2021
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-66863-89-7

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl
www.marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

PROLOG

Obudziło go szarpnięcie za ramię. Z trudem podniósł powieki, a w jego głowie wciąż wyświetlały się obrazy ze snu: kolorowe i radosne. Letni dzień, smak lodów, promienie słońca na skórze, chłodna woda jeziora i wyścigi na motorze po leśnych ścieżkach. Tak mu się to podobało, że aż zapłakał, żeby zaprotestować przed wrywaniem go z tego marzenia. Ale wtedy matka go spoliczkowała, a on natychmiast otrzeźwiał. Bo ojciec go bił. Nieraz. Ręką, pasem, kijem od szczotki. Nie mocno, nie tak, żeby zrobić krzywdę. Po prostu stanowczo potrafił wyrazić swoje niezadowolenie. Za to matka nigdy.

Znów go szarpnęła, a on instynktownie chwycił ją za szyję i objął. Działo się coś złego. Ciemne kłęby dymu uderzyły go prosto w twarz, odebrały mu oddech. Zadrzał przerażony i jeszcze mocniej wtulił się w matkę. Jej włosy pachniały szamponem pokrzywowym.

– Ciii... cichaj... ci... – wyszeptała, a potem popędziła z nim w stronę wyjścia.

Nie wiedział, jak odnalazła drogę. On zgubiłby się w tej ciemności i śmierdzącym dymie, z którego raz po raz strzelały chciwe płomienie.

– Mama! – krzyknął.

Uderzyła barkiem o drzwi, zachwiała się i prawie oboje się przewrócili, ale jakimś cudem utrzymała równowagę. Teraz to zobaczył – ich dom płonął. Ogień pożerał już dach, wybił okna, lizał ściany.

Postawiła go na ziemi. Otarła mu twarz, raz, drugi, w szorstkim, ale i pełnym czułości geście.

– Mama! – krzyknął ponownie i wyciągnął palec w stronę płonącego domu. Chciał go jej pokazać. Nie rozumiał, jak może być taka spokojna, wiedząc, co się dzieje za jej plecami.

– Zostań tutaj – powiedziała. – Zostań i się nie ruszaj. Rozumiesz?

Nie rozumiał.

– Zostań tutaj! Nie ruszaj się! – powtórzyła i dopiero wtedy do niego dotarło. Pokiwał głową.

Pocałowała go szybko w czoło, a potem popędziła z powrotem, kuląc się i zasłaniając twarz ramieniem. Zniknęła w środku, wśród dymu i płomieni.

– Mama! – wrzasnął teraz tak głośno, że aż go zabolalo.

Ruszył za nią, ale zatrzymał się po kilku krokach. Od bijącego stamtąd żaru nie mógł złapać oddechu, paliła go cała skóra. Cofnął się i padł na kolana.

– Mama – powtórzył już ciszej.

Patrzył na dom szeroko otwartymi oczami, żeby nie przegapić momentu, kiedy mama wyłoni się z budynku.

– Tam jest! – Usłyszał krzyk z boku.

Mimowolnie odwrócił głowę. Najpierw ujrzał dwa cienie. Wielkie, czarne, o krawędziach ostrych jak brzytwa ojca. Przypominały potwory czekające tylko na okazję, żeby go pożreć. Ale chłopiec był już na tyle duży, by wiedzieć, że cienie nie mogą go skrzywdzić. One stanowiły zaledwie ostrzeżenie przed prawdziwym zagrożeniem. Dwoma męskimi sylwetkami. Ledwo je widział przez załzawione oczy, ale już słyszał.

– Łapać kurwia! Łapaj czarnucha!

Jego serce na moment się zatrzymało. Mama kazała mu czekać, nie ruszać się z miejsca, ci dwaj jednak nie mieli dobrych zamiarów. Słyszał wściekłość w ich głosie podlaną strachem, chociaż to nie ich dom płonął. Czemu więc mieliby się bać? A ten gniew... Inny niż sąsiada, kiedy chłopiec i jego brat podbierali mu jabłka z sadu, inny niż sklepowej, gdy oskarżyła ich o kradzież. To nie oni ukradli, ale nie wsypali tamtych chłopaków, chociaż ci tyle razy rzucali w nich kamieniami i wyzywali. Nie, gniew tych dwóch był bardziej pierwotny, jakby wypływał z trzewi, z tej głębi duszy, w której ciągle jesteśmy zwierzętami.

Ostatni raz spojrzął na dom, pewny, że mama się z niego wyłoni, a potem, kiedy ci dwaj byli tuż-tuż, poderwał się i skoczył w bok. Poczul na włosach palce jednego z nich, już się zaciskały, próbując go chwycić, i usłyszał krzyk, kiedy tamten się poślizgnął i wywrócił.

Nie oglądał się za siebie. Biegł. Las zaczynał się tam, gdzie kończyło się ich podwórko. Minął starą pordezewiałą wannę, która w niejednej zabawie udawała statek, ominął kurnik i klatki dla królików. Zamiast popędzić przed siebie, w stronę jeziora, skręcił w bok, w gęste krzaki. Znał korytarze pomiędzy gałęziami, przeczołgał się tamtędy, a potem przylgnął do ziemi z mocno bijącym sercem.

Usłyszał, że tamci dwaj pobiegli za nim, ale dali się nabrać i ruszyli nad wodę. Przeczłogał się z powrotem i zaczął się skradać w stronę domu. Chciał sprawdzić, czy mama już wróciła. Nie był pewien, kim są ci dwaj mężczyźni. Wydawało mu się, że poznawał głosy, ale nie potrafił ich przypasować do twarzy nikogo ze wsi.

Przystanął przy jednym z drzew i kucnął. Dom wciąż płonął. Nikt nie próbował gasić pożaru, chociaż stali tam jacyś ludzie. To dziwne, przecież kiedy zapaliła się stodoła Robaków, to każdy rzucił swoją robotę, żeby im pomóc. Na niewiele się to zdało. Zanim przyjechała straż pożarna, ze stodoły pozostały zgłiszcza, ale robili, co było w ich mocy. Spłonęło przechowywane tam drewno, siano i ten jeden koń, co go jeszcze mieli. Została po nim tylko zwęglona masa, którą potem oglądał ukradkiem, chociaż dorośli przeganiiali wtedy dzieci. Długo jeszcze śniła mu się po nocach.

Dlaczego nikt nie pomagał mamie? Dlaczego nikt nie gasił pożaru? Co się działo?

Niczego nie rozumiał.

Wpatrywał się w dom. I nagle zauważył sylwetkę na tle płomieni. Mama. Był tego pewien. Szła z trudem. Trzymała coś w rękach. Jego braciszka, siostrzyczkę. Chyba oboje. Chciał krzyknąć z radości i pobiec w ich stronę. Pomóc mamie, zanim tamci dwaj wrócą znad jeziora. I wtedy rozległ się potężny huk, tak wielki, że aż się skulił. W górę wzbijała się chmura ognia. Cała ich chałupa zadrzała, zafalowała, jakby była z gumy, a dach załamał się z trzaskiem i spadł prosto na próbującą wyjść z budynku kobietę.

– Mama! – krzyknął i poderwał się z ziemi.

Nie zdołał jednak przejść nawet jednego kroku, kiedy ktoś chwycił go za kark i przytrzymał, a potem przyciągnął do siebie.

– Tutaj jesteś! – Usłyszał tuż nad swoim uchem.

Szarpnął się, próbując się uwolnić. Zamachnął się łokciem i poczuł, że trafił w brzuch napastnika. Tamten syknął, ale zamiast go puścić, chwycił mocniej. Ramieniem otoczył jego kark, dłonią zatkał usta.

– Mam cię – powiedział i podniósł.

Próbował go jeszcze kopnąć, ale ramię mężczyzny się zaciskało. Z każdą sekundą tracił siły. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, zanim zapadła ciemność, był płonący dom i ludzie obojętnie przyglądający się jego zagładzie.

Obudziłem się w chwili, kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady A2 na drogę ekspresową S3. Zerknąłem na zegarek. Wyjechaliśmy z Warszawy trochę ponad dwie godziny temu. Biorąc pod uwagę odległość, jaką pokonaliśmy, Czarny pędził ze średnią prędkością przeszło dwustu kilometrów na godzinę. Cieszyłem się, że wszystko to przespałem. Nie lubiłem szybkiej jazdy, zwłaszcza gdy siedziałem na miejscu pasażera, który nie ma na nic wpływu.

– Chrapałeś – odezwał się Czarny.

– Niemożliwe – mruknąłem, przeciągając się.

– A jednak. Chcesz się zatrzymać, żeby coś zjeść?

Pokręciłem przecząco głową.

Na S3 płynnie włączył się do ruchu i przycisnął pedał gazu. Starąłem się nie patrzeć na strzałkę na prędkościomierzu. Sięgnąłem do kieszeni po zdjęcie dziewczyny, przez którą znalazłem się w rozpędzonym bmw razem z romskim gangsterem. To znaczy sprawa była trochę bardziej skomplikowana. W wielkim skrócie: Czarny wyświadczył mi przysługę i w zamian zażądał, żebym się odwdziaczył, kiedy przyjdzie czas. Normalnie nie wchodzę w takie układy, ale wtedy znajdowałem się pod ścianą. Od tej umowy zależało życie kilku osób. Zgodziłem się. Przez pewien czas panował spokój i miałem nadzieję, że Czarny nigdy się nie odezwie. Ale jak mówi przysłowie, nadzieja matką głupich. Rom zadzwonił i zażądał spotkania, a podczas niego podał mi fotografię, którą teraz trzymałem w dłoniach. Była na nim ładna dziewczyna. Na oko miała siedemnaście, może osiemnaście lat. Brązowe włosy sięgały jej ramion, a niebieskie oczy z ufnością patrzyły w przyszłość.

– Opowiedz mi o niej jeszcze raz – powiedziałem.

Czarny zerknął na zdjęcie.

– O niej? – westchnął. – Aleksandra Michowska. Siedemnaście lat. Uczennica liceum. Zamordowana trzy miesiące temu, w czerwcu. Ktoś pobił ją tak, że połamał jej wszystkie kości, a potem załadował na łódkę i próbował spalić, urządając pogrzeb wikingów.

– Kim była?

– Właśnie ci powiedziałem.

– Kim była dla ciebie, skoro chcesz, żebym znalazł osobę, która to zrobiła.

Czarny gwałtownie wyhamował, kiedy przed nami jedna ciężarówka zaczęła wyprzedzać drugą. Wyrzuciło mnie do przodu i tylko pasy sprawiły, że nie uderzyłem nosem w szybę.

– Debil! – warknął i nacisnął kilka razy klakson. – Widział, że jadę!

– Kim była dla ciebie ta dziewczyna? – powtórzyłem pytanie.

– Nikim.

– Gdyby była nikim, nie kazałbyś mi się tym zająć.

– Może przeczytałem jej historię w prasie i mnie poruszyła? – odpowiedział.

Ciężarówka przed nami zakończyła manewr wyprzedzania i Czarny mógł przyspieszyć. Kiedy ją mijaliśmy, wychylił się, próbując dostrzec, kto siedzi w kabinie. Wymamrotał pod nosem kilka przekleństw.

– Nie podejrzewam cię o taką wrażliwość – kontynuowałem temat. – Jeśli mam się tym zająć, to muszę znać wszystkie fakty.

– Ta dziewczyna jest dla mnie nikim – powiedział. – Nigdy w życiu nie spotkałem ani jej, ani nikogo z jej rodziny.

– Ale jedziemy szukać człowieka, który ją zamordował, prawda? Dlaczego?

– Bo tak.

– Wiesz, że nie lubię, kiedy się mnie okłamuje.

Lekko poczerwieniał. Gwałtownym ruchem skręcił kierownicę i właściwie nie zwalniając, zjechaliśmy na pobocze. Dopiero tam nacisnął hamulec. Tym razem pas bezpieczeństwa tak boleśnie wbił mi się w pierś, że na moment straciłem oddech. Czarny odwrócił się w moją stronę, a ciężarówki, które przed chwilą wyprzedziliśmy, minęły nas z hukiem.

– Pomogłem ci, kiedy o to prosiłeś. Teraz chcę, żebyś spłacił dług. Mogłem kazać ci zmiażdżyć kolana mojemu dłużnikowi albo splądrować dom chorej starowinki, której wnuk był na tyle lekkomyślny, że pożyczył ode mnie pieniądze, i na tyle głupi, że ich nie oddał. Mogłem kazać ci zrobić coś, po czym nie mógłbyś spojrzeć na siebie w lustrze. Ale pomyślałem, że nie. Że wykorzystam cię w taki

sposób. Nie będę zmuszał cię do czegoś, czego potem będziesz się wstydził. Znajdę ci jakąś porządną, uczciwą robotę. I znalazłem. Mam tego żałować?

– Po prostu chcę znać wszystkie fakty.

– Fakty są takie, że ta dziewczyna jest dla mnie nikim.

– To dlaczego...

– Dość pytań – przerwał mi. – Masz wobec mnie dług do spłacenia. Lepiej zacznij się zastanawiać, jak to zrobić.

Po wyrazie jego twarzy zorientowałem się, że nic więcej z niego nie wyciągnę. Coś przede mną ukrywał. Mogłem mieć tylko nadzieję, że nie wpakuję się przez to w jeszcze większe kłopoty. Ale w jednym musiałem przyznać mu rację – mógł wymyślić znacznie paskudniejsze zadanie do wykonania.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w stojącym na poboczu aucie. Czarny czekał, aż coś dodam, i obserwował mijające nas samochody.

– Patrz na tego – rzucił nagle i wskazał na szybko oddalającego się od nas szarego golfa. – Pędzi jak szaleniec.

Kimkolwiek był kierowca tamtego wozu, nie jechał na pewno szybciej od Czarnego. Wolałem jednak tego nie mówić.

– Ruszajmy – powiedział.

Zerknął w lusterko, wrzucił kierunkowskaz i wskoczył na pas drogi ekspresowej. Tym razem jechał znacznie wolniej. Rzadko przekraczał sto czterdzieści kilometrów na godzinę, ale wcale nie poczułem się z tego powodu bezpieczniej. Siedział zamyślony, zastanawiając się nad czymś intensywnie, raz po raz marszczył brwi i nie byłem pewien, czy w ogóle rejestruje to, co dzieje się na drodze.

Po kilkudziesięciu kilometrach zjechaliśmy z ekspresówki, a potem poruszaliśmy się coraz węższymi i bardziej zaniedbanymi drogami. Najpierw przejeżdżaliśmy przez miasta, później miasteczka, aż wreszcie wsie. Wszędzie były lasy pełne sięgających do nieba sosen. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się o sto, dwieście lat, szczególnie, że ostatni odcinek pokonaliśmy wybrukowaną drogą, na której tylko gdzieniegdzie pojawiały się plamy asfaltu. Wzdłuż rosły w równym rzędku wysokie liściaste drzewa. Naprawdę nietrudno było uwierzyć, że podstawowym środkiem transportu mieszkających tu ludzi jest furmanka.

Wreszcie dojechaliśmy do wsi o nazwie Wilki. Ciągnęła się wzdłuż głównej ulicy i rozrastała trochę na boki. Patrząc na nią z okien samochodu, widziałem

same co najmniej stuletnie budynki. Większość, wykonana z czerwonej cegły lub muru pruskiego, wyglądała na solidną niemiecką robotę, a niemal przed każdym znajdowała się drewniana rzeźba. Wszystkie przedstawiały wilki. Niektóre po prostu stały, inne leżały, a jeszcze inne z nastroszoną sierścią na karku szykowały się do skoku, szczerząc wielkie kły. Kilka było pomalowanych, reszta z surowego drewna.

– Co to za miejsce?

– To tutaj zamordowano tę dziewczynę – powiedział Czarny.

Jechał teraz powoli, rozglądał się dookoła, patrząc na numery domów. Po chwili skręcił w boczną uliczkę, a potem na podwórko jednopiętrowego starego budynku z dachem z czerwonej dachówki, poszarzałej od dymu wokół komina. Przy domu stała drewniana ławeczka. W kącie dostrzegłem miejsce na ognisko, wiatę ze stołem i kilkoma złożonymi leżakami, a także zabawki dla dzieci.

– Jesteśmy na miejscu.

Wysiedliśmy z samochodu. Byłem ciekaw, czy i tutaj jest gdzieś jakiś wilk. Wreszcie go znalazłem. Stał zupełnie z tyłu, jakby schowany za rogiem budynku. Musiałem przejść kilka kroków, żeby mu się przyjrzeć. Był wielki, wyrzeźbiony w jednym kawałku drewna, sięgał mi do pasa. Miał otwartą paszczę, jakby szykował się, żeby kogoś ugryźć.

– Panowie do pokoju? – Usłyszałem z boku.

Z domu wychodziła właśnie kobieta w brązowym znoszonym swetrze i spódnicy podobnego koloru. Miała siwe włosy i twarz tak zniszczoną, że właściwie trudno było powiedzieć, czy ma sześćdziesiąt, czy osiemdziesiąt lat.

– Tak. To ja do pani dzwoniłem – odezwał się Czarny.

Kiedy odwróciła się do niego, dosłownie ją zamurowało, a uśmiech zniknął z jej twarzy. Stała tylko z ustami zaciśniętymi tak mocno, że przypominały linię. Jej skóra lekko poszarzała.

Czarny tymczasem obszedł samochód, otworzył bagażnik, wyjął swoją walizkę i rozłożył rączkę. Kółka zachrzęściły, uderzając o kamienie na podwórku. Ja zarzuciłem na ramię sportową torbę ze swoimi ciuchami.

– Dostaniemy klucze? – zapytał, podchodząc do kobiety.

– Klucze?

– Od pokoju.

Stał blisko niej i zupełnie nie zwracał uwagi na to, że wbija w niego wzrok, jakby był jakimś cyrkowym dziwadłem. Nagle jej ręka, jakby niezależnie od reszty ciała, zanurkowała pod sweter i zaczęła grzebać w ukrytej tam nerce, aż wyłoniła się ze srebrnym kluczykiem z dopiętym drewnianym brelokiem.

– Dzięki – powiedział Czarny, odbierając go od niej, po czym zniknął wewnątrz budynku.

– Nie chce pani, żebyśmy się gdzieś wpisali? – zapytał kobiety, która wciąż nie ruszyła się z miejsca. – Do jakiejś księgi gości lub czegoś takiego?

Potrząsnęła głową.

– Nie trzeba – powiedziała. – Mam przeczucie, że nie zostanieie tutaj długo.

Pokój znajdował się na pierwszym piętrze. Stały w nim dwa łóżka, na których ułożono świeżą pościel w kwiaty, oprócz tego szafa, krzesła i stolik z dwiema szklankami. Ściany były białe. Ozdabiały je dwa obrazy – pejzaże przedstawiające jezioro, kilka drzew i łódki z wędkarzami. W pokoju unosił się nieprzyjemny zapach kojarzący się z wonią kulki na mole. Kto wie, może zresztą wciąż kilka z nich znajdowało się w szafie.

Czarny rzucił walizkę na łóżko. Ściągnął kurtkę i położył ją obok, a potem otworzył szeroko okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

– No to jesteście – powiedział ponuro.

Drugie posłanie należało więc do mnie. Umieściłem na nim swoją torbę i zacząłem kręcić głową to w jedną, to w drugą stronę. Od długiej jazdy samochodem bolały mnie kark, plecy i mięśnie. Zrobiłem dwadzieścia przysiadów, po czym wziąłem się za pompki.

– Popisujesz się – mruknął Czarny.

W międzyczasie zdążył wyjąć z walizki kosmetyczkę i długi ręcznik. Zdjął koszulkę, spodnie. Był dobrze zbudowany, umięśniony, ale nieprzesadnie. Jego tors był zupełnie gładki. Musiał go regularnie golić. Na boku dostrzegłem brzydką długą bliznę, która ciągnęła się w dół od żeber. Wyglądała jak ślad po cięciu nożem.

– Znajdę łazienkę, wysram się i wezmę prysznic – rzucił, wychodząc z pokoju.

Zostałem sam. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Mieliśmy widok na podwórze i nasz samochód. Właścicielka pensjonatu wciąż stała tam, gdzie ją zostawiliśmy. Rozmawiała z kimś przez telefon. W pewnym momencie podniosła głowę, a gdy nasze spojrzenia się spotkały, zaczerwieniła się, spłoszona. Przycisnęła mocniej telefon do policzka i schowała się przede mną.

Usiadłem na łóżku, zastanawiając się, w jaką awanturę właśnie się wplątuję. Zacząłem żałować, że mam starą nokię zamiast nowego telefonu z dostępem do internetu. Chętnie dowiedziałbym się czegoś o tej zamordowanej dziewczynie.

Czarny nie powiedział mi wszystkiego. Na razie jednak byłem skazany na jego dobrą wolę – niezbyt wesoła perspektywa.

Gangster wrócił do pokoju po około piętnastu minutach. W jego włosach lśniły jeszcze kropelki wody. Rzucił ręcznikiem i przemaszerował przez pokój nagi, zupełnie nie przejmując się moją obecnością. Ubrał się, potem przyjrzał się sobie w lustrze i poprawił fryzurę.

– Zdycham z głodu – oznajmił. – Chodźmy coś zjeść.

– Nie dostaniemy kolacji?

– Od tej starej raszpli? Tylko spanie, przyjacielu. I tak jestem zaskoczony, że przygotowała nam świeżą pościel, a w łazience jest ciepła woda.

– Dziwnie na ciebie patrzyła. Znasz ją?

Uśmiechnął się krzywo.

– Nie – powiedział i wskazał palcem na swoją twarz. – Po prostu zobaczyła Cygana i sądzi, że nie marzę o niczym innym tylko o tym, żeby ukraść jej te stare prześcieradła.

Włożył kurtkę, pogrzebał w walizce i wyjął z niej nóż sprężynowy. Wsadził go do kieszeni.

– Idziemy? – zapytał.

Przytaknąłem. Kiedy opuściliśmy pokój, zamknął drzwi na klucz i zeszliśmy po schodach. Dom był urządzone w ten sposób, że na piętrze znajdowały się pomieszczenia dla gości, a na parterze mieszkała gospodyni. Z głębi dobiegały odgłosy włączonego telewizora, nigdzie jednak nie widzieliśmy właścicielki.

Poszliśmy w stronę głównej ulicy. Przez chwilę wydawało mi się, że wilki z sąsiednich podwórek śledzą nas wzrokiem. Pomyślałem, że będę potrzebować trochę czasu, by przyzwyczać się do obecności tych dziwnych drewnianych rzeźb.

Miasteczko wyglądało na wymarłe. O tym, że mieszkali w nim ludzie, świadczyły tylko światła w domach i zaparkowane na podwórkach samochody. Wieczór przyniósł ze sobą przyjemny chłód, co stanowiło miłą odmianę, bo wrzesień był do tej pory bardzo ciepły, wręcz upalny. Zatrzymaliśmy się na zakręcie i zaczęliśmy się rozglądać. Nie przejeżdżał żaden samochód. Widzieliśmy jedynie psa pospiesznie przemykającego pod płotem, z nosem przy ziemi. Z dźwięków dochodziły tylko skrzeki przelatujących nad naszymi głowami wodnych ptaków.

Zabiłem komara, który usiadł mi na szyi.

– Tam jest chyba knajpa. Wydaje mi się, że widziałem ją, jak tędy przejeżdżaliśmy – powiedział Czarny.

– Myślisz, że będzie otwarta?

– Musi być – stwierdził. – Jestem tak głodny, że jeśli jest zamknięta, to chyba pójść do jeziora i gołymi rękami złapię jakąś rybę. Zjem ją na surowo jak ten potwór z *Władcy Pierścieni*. Mniam, mniam, mniam. Widziałeś to?

– Czytałem książkę – odpowiedziałem.

Nie było jednak potrzeby, żeby Czarny zabawiał się w Golluma. Po krótkim spacerze dotarliśmy do domu ozdobionego podświetlonym logo jednego z browarów. Było tak stare, że większość liter już się zatarła. Na zewnątrz stały dwie drewniane ławy schowane pod parasolem z napisem COCA-COLA.

Weszliśmy do środka.

Są takie miejsca, gdzie natychmiast wiesz, że nie jesteś mile widziany, i do nich należała właśnie ta knajpa. Od momentu, kiedy przekroczyliśmy próg i zadzwonił zawieszony nad framugą dzwonek, czułem, że coś jest nie tak. Spojrzenia wszystkich skierowały się w naszą stronę. Po mnie się prześliznęły z pewnym zainteresowaniem, może zdziwieniem u jednej lub dwóch osób, bo przecież byłem kimś nowym, ale generalnie nie budziłem sensacji. W przypadku Czarnego wyglądało to inaczej. Zmarszczone brwi, rzucone szeptem gdzieś w kącie przekleństwo, stężale twarze i wrogie spojrzenia świadczyły o tym, że najchętniej natychmiast by go stąd wyrzuciono. A ponieważ przyszedłem z nim, mój status również się zmienił. Na gorszy.

Czarny wydawał się jednak tego nie zauważać. Po prostu podszedł do baru i oparł się o ladę. Stojący nieopodal pracujący tam dwudziestokilkulatek w niebieskiej koszulce polo w białe paski, ze sporą nadwagą i naželowanymi włosami, nie zauważył Roma. Pochłonięty swoim telefonem, kreślił po nim palcem z góry na dół.

Wystrój knajpy zapewne nie zmienił się od dwudziestu, może nawet trzydziestu lat. Wszystko było drewniane i pokryte grubą warstwą lakieru. Ściany zdobiły boazeria, wędkarskie trofea i kilka wypreparowanych szczupaczych łbów. Jedyne nowe sprzęt, płaski telewizor, straszyl ciemną plamą ekranu. Brakowało tylko plakatów z gołymi babami z jakiegoś niemieckiego pisemka.

Gości było łącznie dziesięciu. Sami mężczyźni. Czterech siedziało przy jednym stoliku. Mieli po około czterdzieści lat i pili piwo. Jeden z nich, najszcuplejszy, o wydatnym nosie i pociągłej twarzy, która upodabiała go trochę do konia, zaciskał mocno dłoń na blacie, wbijając wzrok w Czarnego. Powiedział coś, czego nie usłyszałem, dojrzałem tylko przez moment jego pożółkłe zęby. Kumple, wszyscy z brzuchami, spracowanymi dłońmi i pełnymi kuflami, zgodzili się z nim w milczeniu.

Kolejnych trzech siedziało bliżej telewizora. Młodszy, mogli mieć od dwudziestu do, góra, trzydziestu lat. Wszyscy w bluzach z kapturami i dresowych spodniach. Każdy z nich szeroko rozłożył nogi. Głupia samcza rywalizacja – sposób, żeby zaznaczyć, jak bardzo jest się ważnym. Oni również zauważyli nasze wejście i nie pałali do nas sympatią. To był jednak inny rodzaj niechęci, mniej zajadły. Wynikający bardziej ze znudzenia i potrzeby znalezienia jakiejś rozrywki w ten monotony wieczór.

Trzeci stolik zajmowało dwóch siwowłosych mężczyzn. Pili piwo i pochylali się nad szachownicą. Zerkali na nas, ale udawali, że całkowicie pochłania ich gra. W kącie siedział ostatni gość. Samotny mężczyzna z książką, która teraz leżała na blacie. Był łysy, dobrze zbudowany, a jego szczękę pokrywał siwy zarost. Ten człowiek wzbudził mój niepokój. Czułem, że ocenia mnie tak, jak ja teraz oceniałem jego. Jako potencjalnego przeciwnika.

Tymi czterema od końskiej twarzy nie przejmowałem się specjalnie. Sądziłem, że będą tylko przeklinać i narzekać. Może wymienią się kilkoma przechwałkami, co to nie oni, ale wątpiłem, żeby zdecydowali się na jakikolwiek wrogi gest wobec nas. To dorośli faceci z rodzinami i obowiązkami, nie mają czasu ani specjalnej ochoty na bójkę w barze. Poza tym, nawet jeśli by do czegoś doszło, prawdopodobnie szybko by się skończyło. Wystarczyłoby tylko porządnie przywalić pierwszemu, żeby reszta grzecznie wróciła na swoje miejsca. Porządni ojcowie rodziny naprawdę nie chcą się pojawić w domu z podbitym okiem albo brać wolnego w pracy ze względu na złamaną rękę.

Trzech młodszych było zagadką. W ogóle z dwudziestolatkami to nigdy nie wiadomo. Kwestia biologii – inaczej szacują ryzyko, nie do końca potrafią ocenić zagrożenie i konsekwencje. Nie dlatego, że są głupi, po prostu ich mózgi jeszcze nie w pełni się ukształtowały. To dlatego przestępczość jest zawsze najwyższa w tej grupie wiekowej. Potem człowiek się uspokaja, czy tego chce czy nie. Tamci trzej

nie wyglądali na specjalnie wojowniczych, ale to mogło zmienić się w okamgnieniu. Wystarczył jeden głupi pomysł, myśl albo niepotrzebna odzywka. Na szczęście w knajpie nie było żadnej dziewczyny, nie musieli więc nikomu nic udowadniać. Jeśli będziemy ich omijać szerokim łukiem i niczym nie sprowokujemy, powinien być spokój.

Dwóch starszków ciągle udawało, że zajmują się szachami. Gdyby coś się wydarzyło, zapewne szybko pozbieraliby figury i z szachownicą pod pachą wymknęliby się na zewnątrz. Zostawał więc ten łysy. Nie wiedziałem, co o nim myśleć. Nie dawał żadnych sygnałów sugerujących, że chce sprowokować awanturę, ale ze wszystkich mężczyzn on wydawał się w najlepszej formie. Było też coś w wyrazie jego twarzy, pewne zdecydowanie cechujące człowieka, który wiele razy znajdował się w niebezpieczeństwie i wie, jak się obronić.

No i pozostawała jeszcze ostatnia niewiadoma. Cholerny Czarny. Nie podobało mi się, że wziął ze sobą nóż sprężynowy. Tego jeszcze brakowało, żeby już na początku naszego śledztwa pociął komuś z miejscowych twarz. Nie znałem go za dobrze. Śledziłem kiedyś na zlecenie pewnego biznesmena, któremu nie pasowało, że Rom sypia z jego córką, i wyglądał wtedy na spokojnego oraz opanowanego, kogoś, kto ma przemyślany każdy ruch. Tyle że wówczas był u siebie i w pełni kontrolował sytuację. Teraz, na obcym terenie, zachowywał się nerwowo i maskował to arogancją, co stanowiło zaproszenie dla kłopotów.

Jakby na potwierdzenie moich słów Czarny wyjął z uchwytu serwetkę, zwinął ją w kulkę i rzucił nią w barmana. Trafił idealnie w głowę. Chłopak aż podskoczył ze zdziwienia, a telefon wyslizgnął mu się z dłoni i poleciał na ziemię.

– Co jest? – powiedział i dopiero teraz zauważył Czarnego. Zamrugał dwa razy, jakby sądził, że coś mu się przywidziało.

– Chcieliśmy zamówić coś do jedzenia – włączyłem się szybko, obawiając się tego tekstu, który już miał w ustach Czarny.

– Kuchnia jest zamknięta – wymamrotał barman, schylając się po telefon. Podniósł go i dokładnie obejrzał ekran, sprawdzając, czy nie pękł.

– Na pewno da się otworzyć – rzucił Czarny.

– No raczej nie.

Rom westchnął teatralnie. Okręcił się, rozkładając szeroko ręce, jakby pokazywał niewidzialnej publiczności, w jak godnej pożałowania sytuacji się

znalazł. Potem wyjął z kieszeni portfel, a z niego banknot dwustuzłotowy i podsunął go w stronę barmana tak, by ten mógł dojrzeć w środku cały plik takich papierków.

– Może jednak da się coś wymyślić?

Chłopak oblizał wargi, potem wziął banknot. Złożył go na pół i wsadził do kieszeni koszulki.

– Zaraz sprawdzę, co mogę podać – powiedział i ruszył w stronę wejścia do kuchni.

– Czekaj! – krzyknął za nim Czarny. – Najpierw nalej nam piwo.

– Dla mnie woda – powiedziałem.

Barman uniósł jedną brew. Nalał mu kufel piwa, a mnie podał butelkę wody mineralnej.

Poszliśmy do jednego z wolnych stolików. Usiadłem przy ścianie, tak żeby mieć widok na całą salę. Czarny zajął miejsce plecami do reszty gości. Wyczuwałem w tym prowokację. Jakby chciał w ten sposób pokazać, że wcale się ich nie boi.

– Nie pijesz? – zapytał, wskazując na moją wodę.

– Unikam – przyznałem, odkręcając butelkę.

– Kto nie pije, ten kapuje – zauważył.

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru reagować na jego zaczepki.

– Ciekawe, skąd ma te pieniądze – powiedział ktoś bardzo głośno i zdecydowanie w naszym kierunku.

Końska twarz. Zaskoczył mnie. Nie spodziewałem się, że będzie szukać zaczepki, a już na pewno nie tak szybko. Jakby spieszył się, bo obiecał żonie, że za piętnaście minut wróci do domu.

Czarny nie zareagował. Siedział, przypatrując się swojemu kufłowi i bąbelkom gazu, które wypływały na powierzchnię.

– Pewnie je ukradł! – powiedział jeszcze głośniejszą końska twarz.

Tym razem Czarny się obrócił. Spojrzał na mężczyznę po drugiej stronie sali.

– Do mnie mówiłeś? – rzucił.

– Nie! – odpowiedział mu końska twarz.

– To dobrze.

– Mówiłem do moich kumpli, że pewnie ukradłeś te dwie stówki. A my tutaj nie lubimy złodziei.

Czarny poderwał się z miejsca.

– Jak mnie nazwałeś?!

Końska twarz wstał od stolika i wyszedł na środek sali.

– Nazwałem cię, kurwa, złodziejem, a my tutaj nie lubimy złodziei. Dlatego spierdalaj stąd, złodzieju.

– Bo co mi zrobisz?

– Bo ci wpierdolę.

Czarny roześmiał się głośno.

– Taka mała pizdeczka miałaby mi wpierdolić?! – powiedział z udawanym zdziwieniem. – Wróć lepiej do obciążania fiutów swoim koleżkom.

Skrzywiłem się. Czarny popełnił błąd. Towarzysze końskiej twarzy do tej pory tylko przysłuchiwali się tej wymianie zdań. Jasne, trzymali stronę kumpla, ale nie wyglądało na to, żeby zamierzali się przyłączyć do zabawy. Gangster jednak sam ich w nią wciągnął. Teraz niechętnie, bo niechętnie, ale jednak podnieśli się z miejsc. Zerknąłem szybko w stronę młodych. Przyglądali się całej sytuacji. Obawiałem się, że jeśli dojdzie do eskalacji, przyłączą się do bijatyki. Gdybyśmy mieli przeciwko sobie tylko tych czterech, powinniśmy sobie poradzić. Jeśli będzie ich siedmiu, do tego atakujących nas z dwóch stron, zostanie nam tylko ucieczka. Wątpiłem jednak, żeby taka ewentualność pojawiła się w głowie Czarnego.

Pierwszy dzień, pomyślałem ze złością. Nawet nie zdążyłem się rozpakować.

W tym momencie wstał łysy, podszedł do końskiej twarzy i klepnął go po plecach.

– Piwo ci się wygazuje, Koniu – rzucił.

Nazwał go Koniem. Czyli nie tylko ja miałem zoologiczne skojarzenia związane z jego fizjonomią.

Łysy minął czterech kolesi, którzy po chwili wahania wrócili na miejsca, wziął jedno z krzeseł, postawił je przy naszym stoliku i usiadł. Podrapał się po szczęce. Spojrzał na mnie, spojrzał na Czarnego.

– Powiesz swojemu kumplowi, żeby posadził tyłek? – zwrócił się do mnie.

– Czarny – poprosiłem.

Rom zmiął w ustach przekleństwo i usiadł.

– Po co tutaj przyjechaliście? – zapytał łysy.

– Na urlop – odpowiedział Czarny.

– Nie ma sezonu.

– Ledwo się skończył.

– Miesiąc temu.

– Czyli uniknęliśmy tłumów.

– I tak ich tutaj nie było. Dlaczego przyjechaliście właśnie do Wilków?

– Słyszeliśmy, że jest tu ładnie.

– Ktoś was okłamał. Mamy tu tylko syf i brud.

– Odniosłem inne wrażenie.

– Mylne.

– Jeszcze nie zobaczyliśmy jeziora.

– Nie ma czego oglądać.

Barman wyłonił się z kuchni i żwawo szedł w stronę naszego stolika z dwoma talerzami. Z każdym krokiem jednak zwalniał. Czuł, że coś się stało, ale nie wiedział co. Wreszcie postawił przed nami talerze. Na każdym było trochę frytek, jakaś odgrzewana ryba w panierce i kupka surówki z kiszonej kapusty prosto z plastikowego wiaderka o pojemności pięć kilo. Chrząknął, jakby spodziewał się pochwały czy zwykłego „dziękuję”, ale doczekał się jedynie twardego spojrzenia łysego. Spłoszony chłopak szybko wrócił za bar.

– Rozumiem, że jesteście głodni – odezwał się mężczyzna. – I szanuję to, że za ten skromny posiłek zapłaciliście zdecydowanie za dużo. Niemniej, skoro już ustaliliśmy, że to kiepskie miejsce na spędzenie urlopu, chciałbym, żebyście zjedli i stąd zniknęli.

– Mogę siedzieć w tym barze. Nikomu nie robię nic złego – powiedział Czarny.

– Nie mówiłem o barze, ale o całym miasteczku. Macie stąd zniknąć.

– Mogę spędzać urlop tam, gdzie mi się podoba.

– Zgadza się. Ale tylko jeśli tym miejscem nie jest ta miejscina. Jasne? Zjadajcie i spieprzajcie.

– Nie masz prawa.

– Pewnie nie – zgodził się łysy i wzruszył ramionami. – Ale co zrobisz?

– Zadzwońię po policję?

Mężczyzna uniósł wysoko brwi i pokiwał głową, jakby ten pomysł wydał mu się naprawdę intrygujący.

– Ciekawe, co by zrobili? – rzucił.

– Sprawdźmy.

Nim zdążyłem zareagować, Czarny miał w dłoni telefon.

– Daj spokój – powiedziałem, ale Rom wybrał już numer.

– Halo? Chciałem zgłosić niebezpieczną sytuację w Wilkach w barze... Jak się nazywa ta buda?

– U Romana – odpowiedział mu szybko łysy.

– U Romana – ciągnął niezrażony Czarny. – Grupa mężczyzn mi grozi. Proszę przysłać patrol, bo inaczej może dojść do bijatyki i będę musiał się bronić... Tak, sprawa jest pilna.

Rozłączył się i odłożył komórkę. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, patrząc na siebie nawzajem, a po niecałej minucie rozdzwonił się telefon łysiego. Mężczyzna, nie spuszczać z nas oka, odebrał.

– Tak? – powiedział, a potem przez chwilę słuchał. – U Romana? Dobra, nie ma problemu. Sprawdź to. Pewnie nic poważnego. Naprawdę nie ma żadnego kłopotu. Dzięki za informację.

Skończył rozmawiać. Powolnym ruchem schował telefon, a potem wyjął z kieszeni policyjną blachę. Położył ją na stoliku.

– Słyszałem, panowie, że jest jakiś problem – powiedział i spojrzał na nas pytająco.

Zobaczyłem, że Czarny cały się napina. Postanowiłem zareagować szybciej od niego.

– Żadnego – stwierdziłem. – Już stąd wychodzimy.

Klepnąłem Czarnego w ramię, dając mu do zrozumienia, że już na nas czas. Modliłem się w duchu, żeby mnie posłuchał. I miałem szczęście, bo Rom faktycznie wstał. Przez chwilę wydawało się, że chce coś jeszcze powiedzieć, ale ruszył do wyjścia. Ja za nim.

– Poczekajcie – zatrzymał nas łysy. – Wasze żarcie. Bartosz, zapakuj panom na wynos!

Barman, słysząc swoje imię, drgnął i pobiegł po nasze talerze, po drodze uderzając się biodrem o kant baru. Syknął, zaklął i zniknął w kuchni. Czarny tymczasem wyszedł z lokalu. Ja czekałem. Pomimo wszystko byłem głodny.

– To po co tu naprawdę przyjechaliście? – zapytał jeszcze raz łysy.

Zacząłem się zastanawiać nad odpowiedzią. W mojej głowie pojawił się pomysł, żeby powiedzieć mu prawdę. Miał on sporo minusów. Przede wszystkim odsłoniłbym się i ujawnił swoje zamiary, więc łysy mógłby mi przeszkodzić. Tyle że już i tak zwróciliśmy na siebie jego uwagę. Poza tym niby jak miałbym prowadzić tutaj jakiegokolwiek śledztwo – to mała społeczność, gdzie zapewne jedyną rozrywką jest plotkowanie, więc gdy tylko porozmawiam z jedną osobą, to wszyscy mieszkańcy będą wiedzieć, po co tu przyjechałem, a tak przynajmniej zobaczą jego reakcję. Do tego trochę zamieszam w tym mętnym stawie i może dzięki temu wypłynie coś ciekawego. Tak, to na pewno nie była optymalna strategia śledcza, ale ja nie byłem żadnym detektywem. Postanowiłem posłuchać swojego instynktu.

– Żeby znaleźć człowieka, który zamordował Olę Michowską – powiedziałem.

Czekałem w napięciu. Spodziewałem się agresji, bo skoro policjant nie znalazł jej zabójcy, to sprawa mogła stanowić ujmę na jego honorze, albo strachu, jeśli facet miał cokolwiek wspólnego z samym zabójstwem. Ale on był szczerze zaskoczony.

– To przyjechaliście w złe miejsce, koledzy – powiedział. – Człowiek, który zamordował Olę, siedzi teraz w areszcie śledczym i czeka na rozpoczęcie procesu.

Wyszedłem z knajpy z jedzeniem w foliowej torbie. Czarnego nie było. Rozejrzałem się, ale Rom zniknął. Wyjąłem komórkę, wybrałem jego numer, jednak telefon milczał. Spojrzałem na ekran swojej wysłużonej nokii – nie miałem zasięgu. Krążyłem po najbliższej okolicy tak długo, aż wreszcie pojawiła się kreska. Po raz kolejny zadzwoniłem do Czarnego.

Nie odbierał.

Przez chwilę zastanawiałem się nad możliwymi scenariuszami. Wątpiłem, żeby stało mu się coś złego. Wyszedł z knajpy tylko kilkadziesiąt sekund przede mną. Gdyby coś się działo, gdyby ktoś go zaatakował, raczej bym usłyszał. Pewnie sam postanowił się oddalić i najprawdopodobniej wrócił na kwaterę.

Zrobiłem więc to samo. Szedłem powoli, nie spiesząc się przesadnie. Dwa razy przystanąłem i obejrzałem się za siebie, ale nikt mnie nie śledził. Na ulicach wciąż nikogo nie było. Nie jechał żaden samochód, zniknął nawet ten samotny pies i tylko ptaki ciągle się darły znad jeziora.

Wszedłem do domu, wdrapałem się na piętro i nacisnąłem klamkę, drzwi były jednak zamknięte. Nacisnąłem ją powtórnie, szarpnąłem raz w jedną, raz w drugą stronę, ale nie przyniosło to żadnych rezultatów.

Zdziwiłem się. Czyżbym dotarł do pokoju przed Czarnym? Po raz kolejny spróbowałem do niego zadzwonić – po raz kolejny bez rezultatu.

Zszedłem na dół i siadłem na ławce niedaleko wpatrzonego we mnie wilka. Wydawało mi się, że teraz jest w innym miejscu, jakby zrobił kilka kroków w moją stronę. Wyjąłem jedno z dań, rzuciłem mu kawałek ryby, żeby go przekabacić, i zjadłem kolację. Kiedy wytarłem palce w chusteczki i wszystkie śmieci wyrzuciłem do kosza, spojrzałem na zegarek. Czarnego wciąż nie było. W domu zgaszono już światła. Podejrzewałem, że nasza gospodyni poszła spać. Zaczynało się robić zimno, ale nie chciałem jej budzić.

Wstałem, zamachałem kilka razy ramionami i postanowiłem pospacerować. Ruszyłem z powrotem do głównej drogi, ale zamiast w stronę knajpy, poszedłem w drugą. Znalazłem tam sklep spożywczy, o tej porze już zamknięty, warsztat

samochodowy i punkt, w którym można było wymienić butle z gazem. Doszedłem w ten sposób do końca miasteczka. Dalej rozciągał się las, skręciłem więc w bok. Wąskie ulice doprowadziły mnie wkrótce do miejskiej plaży. Tam znajdowały się kolejna knajpa zamknięta o tej porze roku, drewniany pomost oraz wypożyczalnia kajaków i rowerów wodnych, również nieczynna. Sama plaża ledwo zasługiwała na swoją nazwę – na końcu średniej wielkości polany znajdowała się łąka zapewne nawiezionego brudnego piasku.

Wszedłem na pomost. Lekko wilgotne deski cicho trzeszczały pod moimi stopami. Jezioro miało typowy dla jezior w tym rejonie nieregularny kształt. Wiło się na wszystkie strony i pełno w nim było zatok i zatoczek. Miało niewielką powierzchnię, choć długość linii brzegowej musiała pewnie sprawiać wrażenie. Podejrzywałem, że jest dość głębokie. W najgłębszym miejscu mogło być nawet ponad dwadzieścia metrów.

Na drugim brzegu dostrzegłem liczne światła. W ciemności nie widziałem dobrze, ale znajdował się tam ośrodek wczasowy albo biwak. Najwyraźniej przyjmował gości, bo dochodziła stamtąd głośna muzyka – raczej ostre brzmienia, a nie pop. Nie potrafiłem jednak zrozumieć słów. Nie rozpoznawałem też języka, w którym śpiewał wokalista, choć nieco przypominał niemiecki.

Wyjąłem komórkę, żeby sprawdzić, czy Czarny do mnie oddzwonił. Nie oddzwonił. W dodatku tutaj również nie miałem zasięgu. Najwyraźniej była tu większa dzicz niż w Bieszczadach.

Przeciągnąłem się, kucnąłem i zamoczyłem palce w wodzie. Przez chwilę kusilo mnie, żeby się wykapać, ale stwierdziłem, że jest za zimno.

Wróciłem na kwaterę. I tym razem nie spotkałem na ulicy nikogo – ani Czarnego, ani żadnego z mieszkańców, za to na piętrze, w naszym pokoju, paliło się światło.

Zastąłem Roma siedzącego na łóżku i palącego, o czym świadczył charakterystyczny, słodkawy zapach skręta. Towar musiał być mocny, bo Czarny miał załzawione oczy, a to na pewno nie był jego pierwszy raz.

– Gdzie byłeś? – zapytałem.

– A ty?

– Spacerowałem.

– Ja też.

– I nie chcesz mi powiedzieć gdzie?

– Po okolicy – burknął.

Siwy dym unosił się na wysokości mojej twarzy. Rozgoniłem go ręką i otworzyłem okno.

– Okłamałeś mnie – rzuciłem.

– Kiedy?

– Kiedy? To było więcej niż raz?

– Możesz po prostu powiedzieć, o co chodzi.

– O to, że złapali zabójcę tej dziewczyny.

– On tego nie zrobił.

– Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami. Jego zachowanie zaczynało mnie irytować.

– Kim jest ten facet?

– Który?

– Ten, który ją zabił.

– Jakiś facet.

– Znasz go?

– Nie – odpowiedział, ale na chwilę się zawahał. Jakby było coś, co chciał mi powiedzieć, jednak w ostatnim momencie zmienił zdanie.

– Sprowadzasz mnie tutaj, żebym znalazł mordercę dziewczyny, której nigdy nie spotkałeś, bo facet, który został za to aresztowany i którego też nie znasz, na pewno jest niewinny. Dlaczego tu w ogóle jesteśmy, Czarny?

Zaciągnął się mocno skrętem, wypuścił dym z płuc, a potem spojrzał na mnie poważnie swoimi wielkimi czarnymi oczami. To musiało świetnie działać na dziewczyny, na mnie jednak nie zrobiło wielkiego wrażenia.

– Bo każdy z nas ma swoje długi do spłacenia – oznajmił, po czym wyciągnął w moją stronę trawkę, jakby proponował mi fajkę pokoju.

Odmówiłem, kręcąc głową. Każdy z nas ma swoje długi do spłacenia – to akurat była prawda. Ja lubiłem spłacać swoje, ale nie wtedy, kiedy tyle się przede mną ukrywa.

Czarny podniósł się, podszedł do swojej walizki i wyjął z niej pękata teczkę. Rzucił ją na moje łóżko.

– Masz – powiedział.

– Co to takiego?

– Wszystko, co udało mi się zebrać o tej sprawie. Kim była ta dziewczyna, gdzie ją znaleziono, kim był facet, co ją niby zabił, i tak dalej.

Zajrzałem do teczki – sporo dokumentów i zdjęć. Wyglądały na kopie materiałów ze śledztwa. Ciekawe, jak Czarny je zdobył.

– Jeśli mam się tym zająć – odezwałem się po chwili – to sam.

– Co takiego?

– Masz stąd wyjechać, Czarny.

– Bo?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, miejscowi cię nie lubią. Najwyraźniej ich prowokujesz. Już i tak sporo tutaj zamieszam, nie potrzebuję kolejnych kłopotów, które może spowodować twoja obecność.

Rozwazałem moje słowa. Spodziewałem się protestów, ale ku mojemu zaskoczeniu skinął głową, przyznając mi rację.

– A drugi powód? – zapytał.

– Nie ufam ci, Czarny. Coś przede mną ukrywasz i dowiem się co. A wtedy lepiej, zapewne dla nas obu, żeby cię tu nie było.

Wyszczrzył zęby w drapieźnym uśmiechu.

– I jak będzie, Czarny?

– To są twoje warunki?

– Tak.

– No to pozwól, że się trochę nad nimi zastanowię.

Nie skomentowałem. Szkoda mi było czasu na rozmowę z upalonym Romem. Rozebrałem się, poszedłem umyć zęby i położyłem się spać.

Kiedy rano wstałem, Czarnego już nie było. Na stoliku leżały klucze do pokoju, a pod nimi kartka z jednym słowem: „Powodzenia”.

Malina Błoniarz lubiła wcześniej wstawać. Zarówno zimą, kiedy na zewnątrz był mróz, a od jeziora biła nieprzyjemna wilgoć, jak i latem, kiedy jeszcze utrzymywał się nocny chłodek, a powietrze było rześkie i orzeźwiające. Zawsze po prostu miała coś do roboty, czy to w obejściu, czy w sołectwie.

Teraz obudziła się o wpół do piątej, zrobiła sobie coś do jedzenia i wypila kakao, bo kawy nie lubiła. Ubrała się w spódnice, gumiaki, wełniany sweter i założyła chustkę na głowę. Przed wyjściem przejrzała się w lustrze. Pomyślała, że wygląda jak swoja matka nieboszczka i babka, też zresztą nieboszczka. Ogorzała twarz pokryta zmarszczkami, przetłuszczone kosmyki siwych włosów wystające spod chustki, stare, brudne ubrania, spracowane dłonie, ramiona umięśnione jak u chłopca. Kiedyś patrzyła na mamusię i obiecywała sobie, że nigdy się do niej nie upodobni. Wyjedzie stąd najszybciej, jak się da, do dużego miasta, Gorzowa albo Zielonej Góry, będzie studiować, malować się, używać szminki i dezodorantu, będzie wiecznie zgrabna, powabna i dziewczęca. Życie potoczyło się jednak inaczej. A teraz, kiedy patrzyła na siebie w lustrze, pomyślała, że się sobie podoba. Lubiała swój wygląd. To był wygląd kobiety, która jest silna, coś przeżyła i coś osiągnęła, a szminki i dezodorantu i tak używała. Potrafiła się przecież ubrać, tak żeby wyglądać elegancko. No ale do świń nie pójdzie w butach na obcasie.

Wyszła na dwór. Szarika zostawiła w domu. Spał jeszcze, zwinięty na swoim posłaniu. Nawet nie podniósł głowy, kiedy przechodziła. Żal jej było go budzić. Zajęła się zwierzakami. Nakarmiła krowę, dwie świnię i kury. Właściwie nie wiedziała, po co jeszcze je trzyma. Kiedyś było ich dużo więcej, jak u wszystkich zresztą. Wtedy ludzie żyli albo z lasu, albo z roli. Teraz to się zmieniło. Las ciągle karmił, ale rolę już mało kto chciał uprawiać. Ludzie jeździli do pracy do Świebodzina, Sulechowa, Zielonej Góry, a nawet do Niemiec. Daleko przecież nie mieli. Zresztą ludzi też było mniej niż kiedyś. Młodzi woleli urządzać się tam, gdzie ich wywiało.

Trudno, pomyślała, niech żałują.

Ona lubiła Wilki. Inni mogli narzekać, że nie wykorzystują w pełni swojego potencjału, że mogliby tu ściągnąć turystów, zrobić jakąś stanicę żeglarską, szlaki rowerowe, ale po co to komu. Już i tak mieli kłopoty z tymi, którzy tutaj przyjeżdżali. Niewielu ich, a hałaśliwi, tylko by pili i jebali się po krzakach. Ona wolała tak jak teraz – mało turystów, a więc przez większość roku cisza i dlatego właśnie ci profesorstwo z Warszawy wykupili tutaj daczę. Początkowo kręciła na to nosem, ale jak przyjeżdżali czasem na weekendy i święta, byli uprzejmi, siedzieli u siebie i bawili się w swoim gronie. Zaakceptowała ich, chociaż niechętnie.

Nie chciała tu nic zmieniać. Raz się złamała. Żałowała teraz, ale rodzinie trzeba pomagać.

Skończyła sprzątać w obejściu. Doląła jeszcze zwierzakom wody i zastanawiała się, co powinna z nimi zrobić. Kury dawały jaja, a te starsze szły na rosół. Chciała je zatrzymać. W końcu mało z nimi było roboty, ale krowa? Mleka już nie dawała, bo stara, poza tym Malina i tak kupowała w kartonie. Ze świniami jeszcze gorzej. Obie maciory już dawno wieprza nie widziały. Ech, powinna je zarżnąć, ale co ona by zrobiła z tym całym mięsem. Poza tym, głupia sprawa i aż samej jej było wstyd, przywiązała się do nich. Matka z babką by ją wyśmiały.

– Stara jestem i głupia – powiedziała do siebie.

Poczekala, aż krowa skończy pić, i wzięła ją na postronek.

– Chodź, mućka, pójdiesz na pastwisko.

Wyprowadziła ją z zagrody i wtedy zobaczyła przy płocie zaparkowane srebrne subaru forester. Obok, podpierając się pod boki, stał Paweł Kotwica. Ciągnąc zwierzę, ruszyła w jego stronę.

– Co tam, panie posterunkowy? – zagadnęła.

Kotwica na jej widok mimowolnie się wyprostował, a ona lekko się uśmiechnęła. Nawet kiedy Paweł był młody, jeszcze miał na głowie pełno włosów i łobuzował, to się jej bał. Potrafiła wzbudzić respekt i dlatego od lat wybierali ją na sołtysa. Wiedziała, że w całej wsi nikt inny nie cieszy się takim posłuchem wśród ludzi. A ona się odwdzięczała, dbając o interesy Wilków.

– Pojechał – odpowiedział.

– No to dobrze – stwierdziła z ulgą, a potem zmarszczyła brwi. – Pojechał. Jeden?

– Tak, tylko jeden. Widziałem, jak się pakuje do bmw i wyjeżdża. Raczej nie wróci.

– Który to był?

– Cygan.

– A ten drugi?

– Wygląda na to, że został.

Malina skrzywiła się. Poluzowała trochę trzymany w dłoni postronek, żeby krowa mogła pochylić łeb i wyrwać kilka kępek trawy.

– Kto to jest? – zapytała.

– Nie wiem.

– Trzeba ich było wczoraj wylegitymować. Obu.

– Trzeba było – zgodził się z nią. – Zrobię to przy najbliższej okazji.

– Kim oni są? – zapytała. – Policjantami?

Uśmiechnął się.

– Słyszałem o czarnym policjancie, słyszałem o kilku Wietnamczykach na służbie, ale o Cyganie? Nigdy.

– To kto? Dziennikarze?

Westchnął i podrapał się po łysinie.

– Może – mruknął.

Malina zorientowała się, że krowa wyrwała całą kępkę trawy wraz z korzeniami z zadbanego trawnika i teraz w tym miejscu ziała brzydka dziura. Szarpnęła postronkiem. Zwierzę spojrzało na nią z urazą.

– Czego by tutaj szukali?

– Mówił, że mordercy Oli.

– Przecież on siedzi.

– Właśnie.

Pokręciła gniewnie głową.

– Nie ma mowy. Nie dlatego tutaj są. Nie z tym Romem. Oni przyjechali z zupełnie innego powodu. W czym innym chcą grzebać. I ty, Kotwica, wiesz w czym.

Jego twarz stężała, jakby nagle ktoś machnął mu siekierą przed nosem podczas ścinki. Oczy uciekły gdzieś w bok, a usta niemo wypowiedziały przekleństwo.

– Nikt im nic nie powie – stwierdził nieprzyjemnym, charczącym głosem. – Nie po tylu latach.

– Ludziom różne głupie pomysły przychodzą do głowy po takim czasie. Niektórzy mają wyrzuty sumienia. Jesteś pewien, że nikt nic nie palnie?

– Ja jestem. A ty?

– Co to ma znaczyć?

– Aśka.

Zachmurzyła się. Nie lubiła, kiedy przypominano jej o istnieniu tej dziewczyny.

– Do tej pory milczała.

– Sama mówiłaś, że po tylu latach ludzie mają głupie pomysły, a ona... Zresztą wiesz najlepiej, jaka jest.

Nie lubiła także, kiedy wykorzystywano jej własne słowa przeciwko niej. Pomyślała, że ten Kotwica robi się za cwany.

– Jeśli będzie trzeba, porozmawiam z nią. Przypomnę, że to od niej wszystko się zaczęło.

Skinął głową. Miała wrażenie, że ta rozmowa sporo go kosztowała. Ją zresztą również. Wilki to była miła, spokojna wieś. Nie potrzebowali, żeby ktoś zaczął grzebać w ich śmieciach. Poza tym co się stało, to się nie odstanie. Można tylko ludziom krzywdę zrobić.

Kotwica ruszył do samochodu. Otworzył drzwi, kiedy coś przyszło jej do głowy.

– Paweł! – krzyknęła.

Zatrzymał się i spojrzał na nią pytająco.

– Co do Oli. Jesteś pewien, że to on ją zabił?

– Na sto procent – powiedział, po czym wsiadł do subaru i odjechał.

Malina zaprowadziła wreszcie zniecierpliwioną krowę na pastwisko. Czuła, że na tym sprawa się nie skończy. Czekały na nich kłopoty. Zaczęła się zastanawiać, jak może im zapobiec.

Przez chwilę trzymałem kartkę od Czarnego w dłoniach i wpatrywałem się w duże, nakreślone pospiesznie litery. Cieszyłem się z jego wyjazdu, sam go przecież do niego namawiałem, ale nie odpowiedział na moje pytania. Wciąż nie wiedziałem, dlaczego mnie tu sprowadził. Cała ta historia śmierdziała. Czuję, że to jedna z tych, od których dobrze jest trzymać się z daleka.

Ale długi trzeba spłacać.

Przejrzałem materiały. Ofiara, Aleksandra Michowska, siedemnaście lat, uczennica liceum. Stopnie miała dobre, ale nie rewelacyjne. Śpiewała w szkolnym chórze, z którym wygrała nawet kilka konkursów. Jej ulubione przedmioty: muzyka, historia i język polski. Żadnych problemów z prawem. Lubiana przez kolegów i koleżanki, chociaż z powodu zamieszkania w Wilkach nie brała specjalnego udziału w życiu towarzyskim klasy.

Zabójca, Bogdan Traszka, ponad czterdzieści lat, mieszkaniec Wilków. Nie miał stałego miejsca pracy ani rodziny. Prawdopodobnie alkoholik. Kilkakrotnie zaczepiał Aleksandrę Michowską, rzucał nieprzyjemne zdania o podtekście seksualnym. Gwałtownik. Kilkakrotnie wdawał się w bójki. Miał wyroki w zawieszeniu. Matka zmarła kilka lat wcześniej, od tego czasu mieszkał sam.

Aleksandrę znaleziono na jego łodzi. Ciało zostało częściowo spalone. Brak alibi na noc morderstwa. Traszka twierdził, że spędził ją w domu i oglądał telewizję, nie potrafił sobie jednak przypomnieć co, a w czasie czynności sprawdzających wyszło na jaw, że nie ma telewizora. W jego domu znaleziono fragment odzieży należącej do dziewczyny, ale dopiero za drugim razem – według akt był ukryty w piwnicy domu, w hałdzie węgla.

Aleksandra wyszła wieczorem, nie mówiła matce, dokąd idzie. Chciała się przejść, wzięła telefon komórkowy. Śledczy stwierdzili, że w lesie spotkała Traszkę. Ten wykorzystał sytuację lub próbował skłonić dziewczynę do seksu. Kiedy mu odmówiła, pobił ją ze skutkiem śmiertelnym. Przestraszony, włożył ciało na swoją łódź, oblał je benzyną i wypchnął łódkę na jezioro w nadziei, że zatonie.

Nic takiego jednak się nie stało. Benzyna się wypaliła i następnego dnia miejscowi wędkarze zauważyli łódź w zatoczce.

Traszka został aresztowany, postawiono mu zarzut zabójstwa. Mężczyzna nie przyznał się do winy. Nie współpracował z prokuraturą ani z adwokatem. Podobno głównie milczał.

Odłożyłem teczkę z dokumentami na stół. Powinienem teraz przygotować jakiś plan działania, ale nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać. Uznałem, że lepiej więc przewietrzyć głowę.

Opuściłem kwaterę. Znowu nie dostrzegłem nigdzie naszej gospodyni. Drzwi do jej pokoi były zamknięte, ze środka nie dochodziły żadne odgłosy.

Nie lubiłem marnować czasu. Zamiast znowu szwendać się po wiosce, postanowiłem zobaczyć miejsce, gdzie odnaleziono ciało Aleksandry. Nie dlatego, że spodziewałem się natrafić na jakiegokolwiek ślady – policyjni śledczy na pewno starannie sprawdzili teren, po prostu na własne oczy chciałem przekonać się, jak tam jest.

Najpierw musiałem przejść przez całą wieś, a potem zagłębić się w las. Myślałem o aktach – pozornie wszystko do siebie pasowało, ale kilka rzeczy nie dawało mi spokoju. Dlaczego dziewczyna znalazła się późnym wieczorem w ciemnym lesie? Co tam robił Traszka? Dlaczego wsadził ją do własnej łodzi, którą potem podpalił? Był stąd, znał jezioro, mógł po prostu obciążyć ciało i wrzucić na głębiny. I to kłamstwo, że oglądał telewizję: głupie i niepoważne. Wyglądało to tak, jakby spanikował. Dlaczego nie przygotował sobie lepszego alibi?

Szedłem wzdłuż jeziora przez kilkaset metrów, aż dotarłem do starego omszałego pomostu. To właśnie tam Traszka trzymał swoją łódź. Na drugim brzegu spokojnej zatoki widziałem tylko las, z konaru potężnego drzewa zwisała gruba lina. Latem miejscowe dzieciaki pewnie się na niej huśtały i wskakiwały do wody. Żeby tu dotrzeć, trzeba było pójść wąską ścieżką prostopadle od głównej drogi albo tak jak ja – wzdłuż jeziora. Nikt tutaj na pewno nie przychodził przypadkiem.

Tym bardziej zaskoczyła mnie biała lilia, która leżała na pomoście. Biały kwiat, owinięty srebrną wstążką. Kucnąłem przy nim. Ostrożnie go podniosłem, trzymając w dwóch palcach. Szukałem jakichkolwiek znaków szczególnych, czegoś, co mogłoby mi powiedzieć, jak ten kwiat się tutaj znalazł i kto go położył, ale nic

takiego nie było. Zwykły kwiat, zwykła wstążka, jaką można kupić w dowolnej kwiaciarni. Leżał tutaj zapewne od wczoraj.

– To dla Oli? – Usłyszałem za sobą.

Wyprostowałem się i odwróciłem. Przede mną stał starszy mężczyzna, na oko siedemdziesięcioletni, w znoszonej kurtce, spodniach od dresu i kaloszach. Miał gęstą siwą brodę i tego samego koloru włosy, choć rzadkie. Z plecaka wystawały mu wędki.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Może tak. Nie ja go tu zostawiłem.

Mężczyzna przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, mrużąc oczy, a potem wydał z siebie głębokie westchnienie.

– No cóż... Miałem nadzieję, że rozwikłałem zagadkę.

– Jaką zagadkę?

– Kto zostawia te kwiaty – wyjaśnił. – Pojawiają się co miesiąc, co kilka tygodni. Myślałem, że to może jej mama, ale raczej nie. Przecież ona chodzi na grób, całe dni tam spędza. Po co tutaj miałyby je zostawiać?

To pytanie zawisło w powietrzu, jakby naprawdę spodziewał się, że na nie odpowiem.

– Pan ją znał? – zapytałem.

– Ołę? Znałem, znałem – przyznał. – Dobra dziewczyna. Mądra. Wychowana.

– A jego?

– Jego też – powiedział. – Ale wie pan, kogo nie znam?

– Mnie?

Roześmiał się chrapliwie.

– Pan wybacz – dodał.

Zrobiłem mu miejsce, żeby mógł przejść. Minął mnie i zatrzymał się na końcu pomostu. Ściągnął plecak, wyjął z niego składane krzeselko wędkarskie, rozłożył je i usiadł, a potem sięgnął po dwusetkę wódki cytrynowej. Otworzył butelkę, wypił łyk.

– Nie żebym cokolwiek miał do pana – kontynuował, kiedy przełknął – ale sam pan rozumie, ciekawość człowieka zżera. W Wilkach rzadko pojawia się nowa gęba.

– Jestem dziennikarzem – skłamałem gładko. – Przyjechałem napisać tekst o zamordowaniu Aleksandry. I o tym, kto to zrobił.

– A co? Nie wierzy pan, że to Traszka?

– A pan?

Mężczyzna zakręcił trzymaną w dłoniach butelką i przyglądał się chlupoczącej wewnątrz wódce, jakby to była jakaś zabawka.

– Chodziłem z nim na ryby. – Ostatnie słowo niemal zagłuszył krzyk ptaka gdzieś w zaroślach niedaleko. – Nie że zawsze, ale wystarczająco często, a na rybach poznaje się ludzi.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Skulił się lekko, poprawił kurtkę i zasunął zamek pod samą szyję, chociaż wcale nie było aż tak zimno.

– Nie, nie wierzę – wyrzucił z siebie z trudem, jakby właśnie spowiadał mi się z najcięższych grzechów. – On nie był taki.

– Podobno wywoływał awantury i zaczepiał dziewczyny.

– Tylko po to, żeby gadać pierdoły. Nie powinien tego robić, nie wypada, ale to wszystko, na co było go stać. Gdyby przyszło co do czego, to nawet nie wiedziałby, jak się do tego zabrać. To debil przecież.

– Debil?

– Wie pan – postukał się palcem w czoło – opóźniony umysłowo. Nie wiem, jak to się teraz mówi. Zawsze był wolniejszy od innych. W szkole miał problemy, życia sobie nie ułożył i z matką do jej śmierci mieszkał. Ona go jeszcze jako tako w pionie trzymała, ale jak zmarła, to się rozleciał. Pił za dużo, głupoty gadał i z ludźmi się bił, bo śmiali się, że głupi. On wiedział... Wiedział, że jest głupi, ale po co ludzie to głośno przy nim powtarzają? No to ich łał, żeby się z niego nie śmiali, a potem same kłopoty z tego miał.

Jakby na potwierdzenie swoich słów pokręcił kilka razy energicznie głową.

– To kto mógł to zrobić? – zapytałem.

Widziałem, że się zawahał. Pewnie miał kilka teorii na ten temat, pomysłów, może słyszał jakieś plotki, ale nie był przekonany, czy może się nimi podzielić z kimś obcym. Postanowiłem go nie naciskać. I tak sporo powiedział. Czekałem cierpliwie.

– Nie wiem – stwierdził wreszcie. – Jak dla mnie to ktoś obcy. Nie stąd. Przyjechał, zabił, pojechał. Szukaj wiatru w polu.

– Przecież podobno nikt tutaj nie przyjeżdża poza sezonem.

– Głupot panu naopowiadali – mruknął.

Wyjął wędkę i pudełko z przynętami. Zaczął przygotowywać sprzęt do łowienia, zupełnie ignorując moją obecność, jakby nagle pożałował, że zaczął ze mną rozmawiać. Nie chciałem mu przeszkadzać. Jeśli mieszka w Wilkach, to na pewno jeszcze się spotkamy.

To, co powiedział, dało mi trochę do myślenia. Nie dlatego, że mu uwierzyłem. Takiej zbrodni potrafią dokonać ludzie, których w ogóle o to nie podejrzewamy – stateczni ojcowie rodziny, bliscy znajomi, starzy i młodzi. Tym bardziej więc mógłby tego dokonać ktoś taki jak Traszka. Niemniej wątpliwości starego wędkarza pokrywały się z moimi. Coś w całej tej sprawie nie grało. Jeszcze nie wiedziałem, co dokładnie, ale wyczuwałem fałsz. I, cholera, po prostu chciałem się dowiedzieć, co tu się naprawdę wydarzyło.

Wróciłem do wsi głodny. Na śniadanie w kwaterze nie miałem co liczyć, w knajpie U Romana wolałem się na razie nie pokazywać, został więc sklep spożywczy.

Mieścił się w starym pawilonie, gdzie kiedyś musiał być zwykły GS. Pomalowano mu ściany, ładny szyld informował, co się tutaj znajduje, w oknach wywieszono kolorowe reklamy, a niedaleko wejścia ustawiono stojaki na rowery. Obok znajdował się dom jednorodzinny, w którym prawdopodobnie mieszkali właściciele.

Wszedłem do środka. Ekspedientka, kobieta w średnim wieku, ledwo zauważyła moją obecność, chociaż się z nią przywitałem. Z koszykiem w ręku zacząłem wędrować między półkami. Wybrałem dwie bułki, butelkę wody, serek wiejski, małe masło i paczkę wędlin, a na deser gorzką czekoladę.

Oprócz mnie był tam jeden klient, około dwudziestoletni chłopak w bluzie z kapturem, niebieskich jeansach i kolorowych butach marki New Balance. Wysoki, ale bez przesady, miał pewnie metr dziewięćdziesiąt. Chodził lekko przygarbiony, jakby wstydził się swojego wzrostu. Zbyt długa grzywka opadała mu na oczy. Zauważyłem też zegarek ze stalową bransoletką – za luźną, więc chybotał się na jego dłoni. Sprawiał wrażenie drogiego.

Zegarek i buty za kilkaset złotych. Być może byłem niesprawiedliwy dla mieszkańców Wilków, ale chłopak nie wyglądał na jednego z nich. W koszyku miał podstawowe artykuły spożywcze: jajka, mleko, pieczywo i tak dalej.

Drzwi sklepu otworzyły się i do środka wszedł około czterdziestoletni mężczyzna, barczysty, ostrzyżony niemal na łyso, z pociągłą twarzą, wydatną szczęką i wyraźną blizną na podbródku. Miał na sobie skórzaną kurtkę, czarne spodnie i trampki.

Jego wzrok prześlizgnął się po ekspedientce, potem po mnie, aż wreszcie zatrzymał się na chłopaku. Chłopak też dostrzegł mężczyznę. Przez sekundę, może dwie, wpatrywali się w siebie nawzajem. Czekałem, aż się przywitają albo chociaż skiną sobie głowami, ale oni postanowili się zignorować. Wydało mi się to na tyle

dziwne, że zamiast pójść do kasy, dalej krążyłem wśród półek, przyglądając się płynom do naczyń i opakowaniom szarego brzydkiego papieru toaletowego.

Tych dwóch ewidentnie się znało. Świadczyło o tym zachowanie mężczyzny. Zauważył ekspedientkę, ale nie zwrócił na nią uwagi, nie zareagował również na moją obecność, co akurat wydawało mi się interesujące. Byłem kimś nowym w tej miejscowości, a obcy w naturalny sposób budzi ciekawość. Ale nie u tego mężczyzny. Czyżby nie był z Wilków? W takim razie dlaczego robił tutaj poranne zakupy? Jego zachowanie świadczyło o czymś jeszcze – przyszedł do sklepu zrelaksowany, nie spodziewał się kłopotów, miał czyste sumienie. Gdyby było inaczej, gdyby czegokolwiek się obawiał, najpierw przyjrzałby mi się, próbując ocenić, czy stanowią dla niego zagrożenie, jednak on zatrzymał wzrok na młodym. Chłopak tymczasem wydawał się spłoszony. Szybko skończył swoje zakupy i popędził w stronę kasy. Gdyby był między nimi jakiś zatarg, mężczyzna powinien go gonić, ale on zajął się swoimi sprawami. Tych dwóch coś łączyło, chociaż udawali, że jest inaczej.

Gdy młody opuścił sklep, ten drugi skończył zakupy i poszedł zapłacić, a ja za nim. Ciągle nie zwracał na mnie uwagi.

Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, skierował się natychmiast do stojącego nieopodal roweru. Zaskoczył mnie. Spodziewałem się raczej, że jeździ terenówką, jakimś muscle carem czy motorem. On jednak spakował zakupy do toreb przy tylnym kole, założył czarny kask, a potem przejechał obok kobiety, która siedziała w zaparkowanym nieopodal SUV-ie i sprawdzała coś w telefonie.

Powiem szczerze, że byłem nieco skołowany.

– Nie wyjechałeś – powiedział ktoś za mną.

Obróciłem się. W moją stronę zbliżało się trzech mężczyzn w zielonych strojach roboczych, obklejonych kawałkami kory i trocinami. Natychmiast ich rozpoznałem, a właściwie tego w środku. Końskiej twarzy nie dało się pomylić z żadną inną.

– Nie złapałem autobusu – odparłem.

– Kotwica powiedział ci przecież, że masz spierdalać – warknął Koni. – Ty i ten twój kumpel brudas!

Kotwica? Najwyraźniej tak nazywał się łysy policjant. Zapamiętałem tę ksywę.

Ci trzej zbliżali się do mnie z zaciętymi minami. Nie wróżyło to niczego dobrego, tym bardziej że zapewne pracowali przy wycince, a taka robota wyrabia mięśnie i kondycję. Nie mogłem ich lekceważyć. Na wszelki wypadek odłożyłem torbę z zakupami na ziemię.

Nie wiedzieli jednak, że Czarny już wyjechał. Postanowiłem nie wyprowadzać ich z błędu.

– Jak już wspominałem, autobus nam uciekł. Wygląda na to, że trochę tutaj zostaniemy.

– Taaak? – udał zdziwienie Koniu. – Chyba nie zrozumiałeś tego, co powiedział wczoraj Kotwica.

– Mogłem go nie dosłyszeć.

– To ja ci, kurwa, wyjaśnię.

Naprawdę do końca nie wierzyłem, że to zrobi, a jednak uderzył. Mój błąd. Na szczęście popełniłem i drugi: powtarzałem sobie, że nie mogę go nie doceniać. Cóż... to była przesadna ostrożność, gdyż praca fizyczna w lesie najwyraźniej mu nie służyła. Widziałem, jak zaciska pięść, podnosi rękę i wyprowadza lewy prosty. Wszystko to robił tak wolno, że zdążyłbym wrócić do sklepu, kupić małą colę, wypić ją, a potem rozbić mu butelkę na tym durnym łbie. Zamiast tego po prostu uchyliłem się w prawo, równocześnie schodząc niżej na nogach i skręcając biodra. Jego pięść przeleciała nad moją głową, a potem wydarzyło się to, co musiało się wydarzyć. Nie do końca panowałem nad swoimi ruchami, włączyła mi się pamięć mięśniowa i ciało zadziało automatycznie. Najpierw prawy prosty w brzuch, który miałem idealnie na wysokości swojej pięści. Facet dostaje, zgina się, a ja już jestem skręcony biodrami w lewą stronę. Ludzkie ciało działa jak guma – jeśli naciągasz je w jedną stronę, to chce wrócić do pozycji wyjściowej. Aż grzech byłoby tego nie wykorzystać. Dlatego Koniu dostał lewego sierpa w podbródek, co już mu wystarczyło, ale jak wspominałem – pamięć mięśniowa. Moja prawa stopa powędrowała więc na skos i wyprowadziłem cios kolanem. Koniu był właśnie zgięty, więc dostał w głowę tak mocno, że aż zadzwoniło. Wyjąkał coś niewyraźnie i osunął się na ziemię, jakby miał nogi z plasteliny.

Wszystko to trwało może dwie, trzy sekundy.

Wyprostowałem się. Przyjąłem pozycję. W samą porę, żeby zobaczyć, jak kumpel Konia rusza na mnie i wymierza cios. Prawy prosty. Za wolno.

Niepotrzebnie uderzał samym ramieniem.

Nie wiem, czy pamiętacie ze szkoły podstawowej, jaki jest wzór na siłę. Mnie wbił się on w pamięć: $F = m \times a$, siła równa się masa razy przyspieszenie. Masa. Ile waży ludzkie ramię? W stosunku do całego ciała raczej niewiele, więc nawet gdyby mnie trafił, zrobiłby mi niewielką krzywdę.

Ale nie trafił.

Uchyliłem się, robiąc krok w bok. Chwyciłem go za przegub i pociągnąłem, wybijając z równowagi, a potem po prostu podstawilem mu nogę.

To nie był najbardziej elegancki rzut, jaki wykonałem, ani najbardziej przemyślany, jednak wystarczył. Mężczyzna poleciał do przodu, uniósł się lekko, kiedy moje podcięcie wybiło go w górę, i wreszcie wylądował twarzą na ziemi. Cóż... Nie chciałem zrobić mu wielkiej krzywdy, ale nie zdążył się zasłonić ramionami, pewnie dlatego, że przez cały ten czas trzymałem go za prawą rękę. W rezultacie uderzył czaszką o chodnik.

Rozległ się nieprzyjemny głuchy odgłos. Nie sądziłem, żeby stało mu się coś poważnego. Nasze ciało jest całkiem mądrze skonstruowane, chroni ważne organy, jak choćby mózg, dlatego kości czaszki, szczególnie z przodu, są całkiem grube. Niemniej wstrząśnienia nie mogłem wykluczyć.

Zerknąłem na tego trzeciego. Stał półtora metra ode mnie. Szybko ocenił sytuację – dwóch kumpli leży nieprzytomnych na ziemi, zostaliśmy sam na sam. Podjął jedyną słuszną decyzję: podniósł ręce i cofnął się dwa kroki.

– Ja tam w sumie nic do ciebie nie mam – powiedział. – Miłego pobytu, nie?

Nie spuszczać z niego oka, podniosłem torbę z zakupami i w tym momencie rozległ się pojedynczy dźwięk syreny policyjnej, a z subaru forester wysiadł łysy, którego spotkaliśmy wczoraj w knajpie. Kotwica.

Był już w pracy. Na szyi wisiała mu odznaka, a do paska miał przypiętą kaburę z bronią. Trzymał właśnie na niej dłoń.

– Połóż się na ziemi i załóż ręce na głowę! – rzucił w moją stronę.

Normalnie nie kłócę się z policjantami, bo takie awantury rzadko przynoszą pozytywne skutki, tym razem jednak oczywista niesprawiedliwość jego żądania wzbudziła mój sprzeciw. To oni mnie zaatakowali, nie ja ich. Nie ja powinienem kłaść się na ziemi, tylko oni. Chociaż właściwie już leżeli.

– Daj spokój, Paweł! – odezwała się nagle kobieta z SUV-a, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Wyskoczyła z samochodu.

Po raz pierwszy miałem okazję dokładnie jej się przyjrzeć. Opalona blondynka z warkoczem sięgającym niemal do pasa, w wielkich lustrzankach na nosie, a więc nie widziałem koloru jej oczu, zwykłych jeansach, czarnym tiszercie i kurtce o wojskowym kroju. Ogólne wrażenie twardej kobiety psuły różowe tenisówki z cekinami.

– To ci trzech debile się na niego rzucili – ciągnęła. – Zaatakowali go, on się tylko bronił!

– To nie twoja sprawa, Aśka! – odpowiedział Kotwica.

– W dupie mam, czy moja, czy nie moja! – odwarknęła. – Widziałam, co widziałam. Facet się bronił. Jak trzeba będzie, poświadczę to przed sądem jednym, drugim i, kurwa, najwyższym też.

Kotwica spuścił głowę i pomasaował sobie czoło. Jego dłoń odsunęła się od kabury z bronią, co sprawiło, że odetchnąłem trochę spokojniej.

– Po co się wtrącasz, Aśka?

– Widziałam, co widziałam – powtórzyła.

Policjant spojrzał na mnie twardo.

– Chyba wyraźnie powiedziałem wczoraj, czego od was oczekuję – powiedział.

– A ja pamiętam, że jak dotąd to wolny kraj i dopóki nie popełnię żadnego przestępstwa, mogę swobodnie podróżować – odparłem.

– Właśnie znokautował pan dwóch ludzi.

– To oni go zaatakowali! – przypomniała blondynka z SUV-a.

– Nieprawda – włączył się w nagłym przypływie odwagi trzeci z mężczyzn. – To on się na nas rzucił.

– Widzisz – uśmiechnął się Kotwica. – Janusz twierdzi, że zostali zaatakowani. Będzie słowo przeciwko słowu.

– Jego słowo jest gównem warte – odwarknęła. – W dupę se je może wsadzić.

Kotwica przez kilka sekund zastanawiał się, co powinien zrobić, a potem wycelował we mnie palec. Trwał w tej pozycji przez jakiś czas, po czym skierował palec w stronę Janusza.

– Żadnych awantur – powiedział, właściwie nie wiadomo, czy do mnie, czy do niego, wrócił do swojego samochodu i odjechał.

Koniu z towarzyszem powoli i z trudem zaczęli się podnosić z ziemi. Potraktowałem ich ostrzej, niż zamierzałem, ale trudno. Podszedłem do kobiety.

– Chciałem podziękować za pomoc – powiedziałem.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Jakiegokolwiek miała kryteria, najwyraźniej ich nie spełniałem, bo w jej oczach dostrzegłem dezaprobatę.

– Niech pan stąd lepiej wyjedzie – mruknęła i bez słowa pożegnania wróciła do swojego samochodu.

Kilkanaście sekund później odjechała. Zostałem sam na parkingu przed sklepem z Koniem, Januszem i ich trzecim kolegą. Nie wyglądali na takich, którzy mieliby ochotę na rundę drugą, postanowiłem więc zjeść śniadanie.

Mati wrócił z zakupami do domu. Rozpakował torby w kuchni, starając się nie myśleć o tym, co się stało w sklepie, chociaż – jak uspokajał sam siebie – nic się nie stało. Po prostu spotkał Rubena. Nie zamienili nawet słowa, ale i tak czuł się nieswojo. W ogóle ostatnie dni, tygodnie i miesiące były koszmarem. Chciałby, żeby to się już skończyło. Czasami nawet myślał o tym, żeby popełnić samobójstwo i zostawić list, w którym wszystko wytłumaczy, ale za bardzo się bał. Do tego wciąż słyszał, jaki jest ważny, jak wiele od niego zależy i że bez niego nie dadzą rady. Wierzył w to.

– Mateusz, jesteś już?! – rozległ się głos ojca.

Kupili ten dom dwa lata wcześniej wraz ze sporym kawałkiem ziemi. Ojciec aż się dziwił, że tak tanio. Wielokrotnie powtarzał, że za tę cenę w Warszawie mogliby sobie co najwyżej mieszkanie kupić, i to małe, w wiejskiej okolicy. A tutaj! Dom z czerwonej cegły, ponad sto lat, z duszą i historią. Co prawda na remont ojciec musiał wydać krocie, ale niespecjalnie się tym przejmował – przecież byli bogaci. Kolejnego mieszkania w Warszawie nie kupili tylko dlatego, że mieli już trzy. Do tego ojciec namówił dwóch znajomych na zakup nieruchomości w Wilkach i tak stworzyli całą kolonię, którą miejscowi nazywali „małą Warszawą”. Tamci dwaj rzadko jednak przyjeżdżali. Mati miał wrażenie, że kupili sobie te domy tylko po to, by zrobić zdjęcia na Instagram, a kiedy zebrali już odpowiednią liczbę serduszek, zupełnie o nich zapomnieli.

– Mateusz!!!

– Jestem, jestem! – odkrzyknął.

Usłyszał, jak ojciec otwiera drzwi swojego gabinetu, a potem idzie korytarzem. Wreszcie pojawił się w kuchni. Miał już na karku sześćdziesiątkę, ale nie wyglądał na swój wiek. Miał krótkie siwe włosy, modnie przystrzyżoną brodę i niewiele zmarszczek. Trzymał się prosto, nosił okulary w modnych oprawkach, chinosy, koszulkę w paski, a na przegubie skórzane bransolety ze srebrnymi elementami.

Mati, patrząc na niego, czuł zazdrość i nienawiść. Zazdrość, bo nawet po sześćdziesiątce widać było, że ojciec był kiedyś chadem. Pewnie nawet teraz

potrafiłby wyrwać jakieś różowe, szczególnie że miał kasę, a kiedyś to pewnie obracał ich tyle, że ledwo wyrabiał. Tak, ojciec należał do tych dwudziestu cholernych procent, które miały wszystko, czego chciały. A nienawiść Mati czuł, bo dostał od niego takie zjebane geny. Niby był wysoki, ale przeraźliwie chudy, z zapadłym brzuchem i wystającymi żebrami. Bez względu na to, ile jadł, nie potrafił przybrać na masie. Kiedy się skarżył, ojciec klepał go po plecach i kazał sobie dziękować za metabolizm. Jakby nie rozumiał, że z taką sylwetką nie ma się żadnych szans u dziewczyn. Do tego trądzik. Ojciec mówił mu, żeby się nie przejmował, że on też miał i mu przeszło, więc u Matiego będzie tak samo. Pewnie ściemniał, bo nie został nawet najmniejszy ślad, a jego twarz była cała w bliznach. Wyglądał, jakby ktoś mu przejechał po ryju papierem ściernym.

Podejrzewał, że w gruncie rzeczy ojciec jest z tego zadowolony. Koniec końców obaj byli samcami i konkurowali o kobiety. Lepiej mieć pod bokiem kogoś słabszego, kogoś, kto nie stanowi zagrożenia. Cholerną betę, którą można nieustannie ponizować, prezentując jej swoje podboje. Niby ojciec był ciągle z matką, ale raz po raz zaliczał panienki. Niektóre niewiele starsze od Matiego. Wystarczyło tylko, że zaszeleścił pieniędzmi w portfelu.

– Wszystko w porządku? – odezwał się ojciec, wrywając go z rozmyślań.

Chłopak uśmiechnął się krzywo i skinął nieporadnie głową.

– W porządku, tato.

– No to dobrze. Bo przez chwilę wyglądałeś tak niewyraźnie.

Całe życie wyglądam niewyraźnie, chciał krzyknąć, przez twoje zjebane geny, bo wszystkie dobre zatrzymałeś dla siebie. Powstrzymał się jednak. Nie mógł stracić nad sobą panowania. Jeszcze nie.

– Nie, jest dobrze.

– A chcesz kawy?

– Poproszę.

Ojciec wyjął z szafki dwa kubki i uruchomił ekspres. Wkrótce pomieszczenie wypełnił zapach mielonych ziaren.

– Kiedy ci twoi koledzy przyjeżdżają?

– Jakoś tak wkrótce.

– Trzeba po nich wyjechać na dworzec czy coś?

Mati pokręcił głową.

– Nie trzeba.

– To jak tutaj dojadą?

– Jakoś sobie poradzą.

Ojciec podszedł do niego i klepnął go delikatnie w policzek.

– No tak – powiedział z dumą. – Zapominam czasami, że jesteście już dorośli i nikt nie musi was wozić, odwozić i tak dalej. Co nie, Mati?

– Tak, tato.

– Ale tak swoją drogą, prawo jazdy mógłbyś sobie wreszcie zrobić.

Specjalnie wbił mu tę szpilę. Mati podchodził do egzaminu już pięć razy. Za pierwszym oblał na części teoretycznej, potem już na praktyce, a ojciec zawsze dziwił się, jak to możliwe, bo on zdał od razu. Matiemu nie chciało się tłumaczyć, że za jego czasów było inaczej, łatwiej. Pewnie wystarczyło tylko wsiąść do samochodu i zamykając drzwi, nie odciąć sobie nogi. Nie musiał nawet uruchamiać silnika, bo wtedy przecież był stan wojenny czy inne gówno i benzyny nie mieli.

– Mógłbyś sam po chłopaków pojechać.

– Przecież powiedziałem, że sami tutaj dotrą.

– Albo dziewczyny wozić – ciągnął ojciec z dobrotliwą miną. – Dziewczyny lubią, jak się je wozi na wycieczki.

Mati aż się zagotował, ale nie dał nic po sobie poznać. Był bardzo dobry w ukrywaniu swoich emocji, uczył się tego latami. Dziewczyny zupełnie nie zwracały na niego uwagi, chyba że miały jakiś interes – chciały, żeby pożyczył im notatki albo pomógł w nauce. Tak, wtedy potrafiły być miłe. Uśmiechały się i opowiadały, jaki jest fajny, ale normalnie miały go gdzieś.

Ekspres skończył pracować i ojciec podał Matiemu kubek z kawą. Chłopak podziękował, upił łyk i od razu się skrzywił. Była gorąca, zapiekła go w usta i język.

– Mam do ciebie jedną sprawę – odezwał się ojciec.

– No?

– Bo miałem wyjechać, żebyście tu mieli spokój, nie? Ale w sumie i tak będziecie się gdzieś bawić z kolegami i koleżankami, a nie siedzieć na tyłkach.

Mnie z kolei dobrze się tutaj pracuje nad książką, więc zamiast wyjechać, zostanę, co? Nie będzie chyba żadnego problemu, nie, Mati?

Mati poczuł ukłucie paniki. Nie taka była umowa. Ojciec miał wrócić do Warszawy i zostawić im dom na ostatni weekend września. Chłopak ani trochę nie wierzył w tę wymówkę, że ojciec zostaje z powodu książki. Od dwóch lat opowiada, że ją pisze, i do tej pory nic nikomu nie pokazał. Pewnie nie ma ani jednej strony. Powód musiał być inny.

– Staruszek nie będzie wam chyba przeszkadzał, co nie? – zażartował mężczyzna.

– Nie, tato.

Chodziło o dziewczyny, pomyślał Mati. Pijane młode studentki, które tutaj zjadają. Ojciec wyczuł świeże mięsko i chciał sprawdzić, czy zadziała jeszcze na niego lekko podstarzały urok. W sumie Mati nie mógł go za to winić. Gdyby sam był chadem, to pewnie zachowywałby się tak samo. Tylko że był jeden problem – jeśli ojciec zostanie, spotka się z wujkiem, co mogło wszystko skomplikować. Powinien ostrzec wujka.

– No to super, Mati – powiedział ojciec z uśmiechem, a potem zerknął na zegarek. – Dopijaj kawę i jedziemy do pani Asi.

– Mogę sam do niej pójść.

– Tam jest kawałek.

– Nie aż taki, tato.

– Ja też mam do niej jedną sprawę.

Po minie ojca widział już, że nie przekona go, by został w domu.

– Pójdę tylko po pieniądze.

Odstawił kubek z kawą i pobiegł do siebie do pokoju. Wysunął szufladę w szafie, wyjął białą pękatą kopertę i złożony ją na pół, schował do tylnej kieszeni spodni. W szufladzie leżała też plastikowa skrzynka.

– Mati! – krzyknął ojciec.

Chłopak zasłonił skrzynkę koszulką i zasunął szufladę. Upewnił się, że pieniądze nie wypadły mu z kieszeni, i zbiegł na dół.

Jadłem śniadanie i zastanawiałem się nad tym, co właściwie się stało, bo to nie miało sensu. We wsiach i miasteczkach obcy, zwłaszcza gdy przedstawia się jako dziennikarz, zwraca na siebie uwagę, ale bardzo rzadko spotyka się z agresją, jeszcze rzadziej z agresją fizyczną. A już prawie nigdy się nie zdarza, żeby atakowali go trzej panowie w średnim wieku – nie bez wyraźnej prowokacji, nie w świetle dnia. Zrozumiałbym jeszcze, gdyby do awantury doszło wczoraj w barze: noc, gorąca atmosfera, alkohol szumiący w głowie i pozbawiający hamulców nawet najrozsądniejszych ludzi, ale teraz? Coś mi umykało albo, co było bardziej prawdopodobne, Czarny mi o czymś nie powiedział. Bo wyglądało to tak, jakbyśmy nacisnęli całej społeczności na odcisk.

Skończyłem jeść, wyrzuciłem resztki i po raz kolejny zacząłem przeglądać materiały, które zostawił mi Czarny. Czy naprawdę to wszystko mogło mieć coś wspólnego ze sprawą zamordowanej Aleksandry? Stare policyjne przysłowie mówi, że mordercę można znaleźć w pierwszym tomie akt, ale to nie był wyciąg z dokumentów prokuratorskich i pojawiała się tu tylko jedno nazwisko – Traszki.

Dlaczego ludzie tak nerwowo zareagowali na nasz przyjazd? Nawet jeśli uważali Traszkę za winnego i pojawienie się dwóch ludzi, którzy zamierzali grzebać w zamkniętej – wydawałoby się – już sprawie, budziło w nich pewną nerwowość, to jednak wciąż nie był to powód, żeby wywoływać bójkę.

A co, jeśli ten policjant chciał się mnie pozbyć? Być może wie, że oskarżenia wobec Traszki są dęte, albo po prostu nie chce żadnego zamieszania tuż przed procesem i płaci trzem kumplom, żeby mnie poturbowali, a potem chce mnie zwinąć za bójkę. Dlaczego jednak tego nie zrobił? I kim była ta kobieta, która go przed tym powstrzymała?

Nie wiedziałem tak wielu rzeczy, że zaczynało mnie to irytować.

Otworzyłem butelkę, upiłem dwa łyki i wróciłem do dokumentów. Czytałem uważnie każdą stronę, próbując znaleźć jakikolwiek trop, coś, za czym mógłbym podążać.

Po mniej więcej dwudziestu minutach usłyszałem pukanie. Uniosłem głowę znad papierów. Nie spodziewałem się żadnych gości, odwiedzić mnie więc mogła jedynie gospodyni, tylko że ona zachowywałaby się inaczej – uderzałaby zdecydowanie, stanowczo albo po prostu weszłaby do środka. Była w końcu u siebie. To pukanie zaś było ciche i nieśmiałe.

Poskładałem dokumenty i włożyłem je do teczki, po czym otworzyłem drzwi. Po drugiej stronie stała matka Aleksandry Michowskiej.

Rozpoznałem ją od razu, chociaż widziałem po raz pierwszy w życiu. Kolor włosów i oczu, owal twarzy, rysy – wyglądała jak swoja córka, tylko starsza o dwadzieścia lat.

Na mój widok wzdrygnęła się i obejrzała za siebie, jakby rozważała ucieczkę, ale przełknęła ślinę i podniosła dumnie głowę. Mimo to w jej podkrążonych oczach dostrzegałem wahanie.

– Pan jest tym dziennikarzem? – zapytała.

– Ja – potwierdziłem.

– Pisze pan o Oli?

– Tak.

Przez kilka sekund staliśmy naprzeciwko siebie, a potem wykonałem krok w tył, robiąc jej miejsce.

– Wejdzie pani?

Ostrożnie przekroczyła próg mojego pokoju. Oceniała jego wnętrze.

– Proszę usiąść. – Wskazałem krzesło przy stole.

Podziękowała skinieniem głowy i usiadła. Zamknąłem za nią drzwi i usadowiłem się naprzeciwko.

– Skąd pani o mnie wie?

– To małe miasteczko – odpowiedziała, wzruszając ramionami. – Wszyscy już o panu wiedzą. I są ciekawi.

– Czego?

– Czemu pan do nas przyjechał.

– Zaczyna się proces. Chciałem o nim napisać.

Przyglądała mi się długo, jakby próbowała ocenić, czy jestem godny zaufania.

– Nigdy nikogo to nie interesowało.

– Mnie interesuje.

– Ale dlaczego?

Poczułem się nieswojo. Nie miałem nic przeciwko okazyjnemu kłamstwu, szczególnie jeśli pozwala pchnąć moje sprawy do przodu, teraz jednak oszukiwałem kobietę, która straciła córkę. Postanowiłem skończyć tę maskaradę.

– Nie jestem dziennikarzem – oznajmiłem. – Nie robię żadnego materiału na temat pani córki.

Odsunęła się od stołu, chciała wstać, ale chwyciłem ją za rękę. Szarpnęła się.

– Zaraz panią puszczę – powiedziałem. – Nie zamierzam pani zatrzymywać siłą, uważam jednak, że powinna pani zostać.

Czekałem w napięciu na jej reakcję. Odwróciła się w stronę drzwi. Zamarła, przymykając oczy, a potem odetchnęła głęboko i usiadła z powrotem. Położyła obie ręce na stole, jakby chciała się go przytrzymać.

– Nowakowi powiedział pan, że jest dziennikarzem – stwierdziła.

Domyśliłem się, że Nowak to spotkany przeze mnie wędkarz.

– Tak było łatwiej. Mniej tłumaczenia, skąd się tu wziąłem.

Spojrzała na mnie wyczekująco.

– Przyjaciół poprosił mnie o pomoc – wyjaśniłem, uznając, że zasługuje na jak największą prawdę. – Chciał, żebym przyjrzałem się tej historii. Uważa, że Traszka nie zabił Aleksandry.

– Dlaczego?

– Nie wiem. A dlaczego pani sądzi, że on tego nie zrobił?

– Skąd ten pomysł?

Postukałem kilka razy palcem w stół.

– Miałem w swoim życiu styczność z ludźmi, którzy stracili swoich bliskich – zacząłem ostrożnie. – Zbyt często, jeśli by to panią interesowało. Wiem, jak takie osoby reagują. Po okresie rozpacz, żalu przychodzi etap szukania winnych. Kogoś, kogo można obarczyć odpowiedzialnością za to, co się stało. Nie zawsze sprawiedliwie, ale to naturalna potrzeba psychiczna każdego człowieka. W pani przypadku byłby to Traszka. Co więcej, nikt nie mógłby mieć do pani o to pretensji. W końcu został zatrzymany przez policję. Są dowody jego winy. Prokurator postawił mu zarzuty i właśnie zaczyna się proces. Wiem też, jak ludzie

reagują, kiedy pojawia się ktoś, kto podważa ich osąd, chce bronić osoby, która według nich jest winna: wyparciem, zaprzeczeniem i gniewem. Tymczasem pani siedzi i cierpliwie mnie słucha, a skoro tak, to może nie uważa, że Traszka jest niewinny, a przynajmniej ma co do tego wątpliwości. Dlatego pani tu przyszła i dlatego jeszcze stąd nie wyszła.

Zapadła cisza tak głęboka, że wyraźnie usłyszałem skrzypnięcie podłogi. Spojrzałem na matkę Aleksandry i przyłożyłem palec do ust. Wstałem ostrożnie i powoli podszedłem do drzwi. Kiedy otworzyłem je gwałtownym ruchem, po drugiej stronie stała gospodyni, która nawet nie zdążyła się wyprostować i tkwiła tak, na wpół zgięta, z uchem trochę powyżej wysokości klamki. Na jej pomarszczonej twarzy pojawił się rumieniec wstydu.

– Co pan robi?! – wypaliła niespodziewanie. – Chcesz pan, żebym zawału dostała?!

Przyznaję, że jej tupet wywarł na mnie wrażenie.

– Podśluchiwała pani – powiedziałem.

– Co takiego?! Co pan myślisz, że nie mam czego w obejściu robić, tylko podśluchiwać?! Kurze ścierałam, żeby czysto było!

Nie miała przy sobie żadnej szmatki, miotełki ani innego przyrządu do sprzątnięcia. Jej kłamstwo było tak ordynarne, że nawet ją powinno zawstydić.

– Jak pan sobie chcesz żyć w brudzie, to sobie żyj! – krzyknęła, kończąc rozmowę i pospiesznie zeszła na dół.

Poczekalem, aż trzasną drzwi od jej mieszkania.

– Raczej nie będzie nam już przeszkadzać – powiedziałem, wracając do matki Oli.

Kobieta wstała od stołu. Jej dłonie lekko drżały.

– Powinam już iść – stwierdziła.

– To najgorsze, co mogłaby pani teraz zrobić.

– Dlaczego?

– Chce pani wyjść ze strachu, że wszyscy dowiedzą się o pani odwiedzinach, ale to już się stało. Zresztą nawet gdyby gospodyni nas nie podśluchiwała, to widziała, jak pani do mnie wchodzi. Ona albo ktoś inny. Sama pani przyznała, że to mała

wieś. Plotki szybko się rozchodzą. Skoro więc już wszyscy będą wiedzieć, równie dobrze może mi pani opowiedzieć o swoich wątpliwościach.

Skuliła się, jakby coś zakłuło ją w żołądku.

– Chryste, jak mi się chce palić – szepnęła.

– Ja nie mam nic przeciwko.

– Nie palę. Całe życie paliłam. Córka mnie namawiała, żebym rzuciła. Każdego dnia mi powtarzała, jakie to niezdrowe. Jak ją wysyłałam po fajki, to zawsze wybierała te z najgorszym, najbardziej paskudnym obrazkiem. Rzuciłam dopiero... dopiero... Ma pan coś do picia?

Znalazłem szklanę, która nawet nie była aż tak bardzo brudna. Nalałem do niej wody i podałem kobiecie. Wypiła duszkiem.

– Wychowałam się z tym Trąszką – odezwała się. – On jest trochę starszy, ale nas tu nie ma dużo. Za dzieciaka wszyscy biegaliśmy razem. Zawsze był trochę dziwny, gwałtowny, szczególnie jak mu matka zmarła, ale zrobić coś takiego... A policja mówi, że mają dowody.

– I to mocne – przyznałem.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie będę przed panią odgrywać komedii – wyjaśniłem. – Jak mówiłem, przyjaciel poprosił mnie o pomoc. Zgodziłem się, bo byłem mu winien przysługę. Zapoznałem się z materiałami ze śledztwa i nie dziwię się, że zatrzymali Trąszkę.

– To po co pan w ogóle ze mną rozmawia?! – wykrzyknęła.

– Bo coś mi tutaj nie pasuje – odpowiedziałem. – Podobnie jak pani. Mam wątpliwości. Coś... Nie wiem jeszcze co, nie potrafię tego nazwać, ale coś jest nie tak. Niech pani uzna, że mam przeczucie.

– I z powodu tego przeczucia będzie pan w tym grzebał?

– Pani z powodu przeczucia przyszła ze mną porozmawiać.

Kąciki jej ust uniosły się w smutnym uśmiechu.

– Tak – przyznała. – Z powodu przeczucia. Nie mam nic więcej. Znam tego człowieka. Jest gwałtowny, dziki, ale dobry.

– Podobno krzyczał na dziewczyny.

– To wieś, każdy facet tutaj krzyczy na dziewczyny. Jak byłem młoda, to też się nasłuchiwałam, chociaż tylko jego się czepiali.

– Ma pani podejrzenia, kto mógłby coś takiego zrobić? – zapytałem.

Potrząsnęła przecząco głową.

– Ojciec Aleksandry?

– On?

– Pytałem, gdzie jest. W domu, w pracy?

– W Anglii – odpowiedziała. – Wyjechał wiele lat temu, jak Ola była jeszcze mała. Miał zarobić trochę, potem do nas wrócić. I, jak to bywa, znalazł tam sobie nową rodzinę. Regularnie przysyłał nam pieniądze. Nigdy nie musiałam go o nic prosić. Ale na pogrzeb już nie przyjechał.

Z akt wiedziałem, że Aleksandra była jedynaczką. Kobieta, która siedziała przede mną, straciła wszystko, co ważne w jej życiu, i została na tym świecie sama jak palec. Ktoś mógłby powiedzieć, że jest jeszcze młoda, że może spróbować zacząć od początku, jednak takie rany z trudem się goją. Niektóre nigdy. Poczułem, jak buzuje we mnie złość. Gdyby w tej chwili stanął przede mną człowiek, który jej to zrobił, rozerwałbym go na strzępy gołymi rękoma.

Sięgnęła po leżący nieopodal długopis i otworzyła teczkę. Na samej górze zobaczyła zdjęcie swojej córki. Wzdrygnęła się, odwróciła wzrok i wyjęła kolejną kartkę, a potem zapisała coś na odwrocie strony. Wstała, wygladzając czarną bluzkę.

– Zapisałam tam panu adres Traszki. Chyba że już go pan ma.

– Nie mam. Dziękuję.

Był w aktach. Skłamałem, żeby zrobić jej przyjemność. Chciałem, by wyszła stąd z poczuciem, że coś zrobiła, cokolwiek. Nawet mały krok we właściwym kierunku.

– A także adres i numer telefonu Emilki.

– Kim jest Emilka? – zapytałem, bo dotąd to imię nie padło.

– Najlepszą przyjaciółką mojej córki, jedyną. Wielkiego zresztą wyboru Ola tutaj nie miała – dodała, a z tonu jej głosu wywnioskowałem, że nie przepada za Emilką.

– Tamtego wieczoru Ola powiedziała, że idzie na spacer.

– Tak.

– Nie wierzyłam. Nigdy w to nie uwierzyłam. Nawet kiedy powiedziała mi to prosto w twarz. Ale jak powiedzieć swojemu dziecku, że kłamie?

– Dokąd w takim razie poszła?

– Spotkać się z Emilką.

– Skoro to była jej przyjaciółka, dlaczego robiła z tego taki wielki sekret?

Dlaczego miałyby panią okłamać?

Skrzywiła się. Właśnie zaczęła żałować, że się ze mną spotkała. W jej głowie pojawiła się myśl, że mogę być nieodpowiednim człowiekiem do zadania, którego się podjąłem.

– Nie ma pan dzieci – powiedziała i było to stwierdzenie, a nie pytanie.

– Nie mam.

– Dzieci czasami robią to, czego rodzice im zabronili.

– Co w takim razie zrobiła Aleksandra? – zapytałem.

Kobieta wzięła głębszy wdech.

– Myślę, że poszła z Emilką na drugą stronę jeziora.

– Po co?

– Jak to po co? Żeby się spotkać z Holendrami.

Asia patrzyła, jak samochód podskakuje na nierównej leśnej drodze. Idąc wzdłuż niej, dostrzegała twarze siedzących w aucie osób. Mężczyzna i chłopak. Chłopak był blady, wzdrygał się i wyglądał tak, jakby miał zwymiotować. Pewnie męczyła go choroba lokomocyjna. Mężczyzna z kolei zaciskał dłonie na kierownicy, mamrotał coś pod nosem i z trudem manewrował pojazdem, żeby uniknąć większych dziur, w których mógłby urwać zawieszenie.

Nawet współczuła chłopakowi, ale widok tych dwóch w luksusowym miejskim samochodzie na bezdrożach lubuskich lasów wydawał jej się nawet zabawny. A potem pomyślała, że jeśli naprawdę chce, by ten ośrodek wystartował, to będzie musiała zająć się też drogą. Wyrównać ją, utwardzić, zadbać o to, żeby goście mogli dojechać. Nie mogła przecież oczekiwać, że będą ją odwiedzać tylko właściciele wozów terenowych z napędem na cztery koła.

Samochód wreszcie dotarł na miejsce i się zatrzymał. Wysiedli z niego Profesor i jego syn. Mężczyzna kupił sobie w Wilkach dom letniskowy. Przedstawiał się jako wykładowca wyższej uczelni, zaczęto więc nazywać go Profesorem. Dopiero potem okazało się, że wykłada w Wyższej Szkole Reklamy i czegoś tam jeszcze, a jeśli chodzi o tytuł naukowy, to dorobił się ledwie doktoratu. Facet miał jednak pieniądze. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych otworzył jedną z pierwszych agencji reklamowych w Polsce. Znacznie później korzystnie ją sprzedał jakiemuś zagranicznemu inwestorowi, zostawiając sobie kilka procent akcji. Resztę pieniędzy zainwestował między innymi w nieruchomości i studio produkujące gry komputerowe. Dobrze na tym wszystkim zarobił. Nie zbił co prawda takiego majątku, żeby załapać się na listę najbogatszych Polaków, ale na pewno miał więcej pieniędzy niż ktokolwiek w Wilkach. Cóż, być może miał więcej pieniędzy niż wszyscy w Wilkach razem wzięci.

Aśka nie poznała jeszcze jego syna. Chłopak chodził lekko przygarbiony, wzrokiem uciekał na bok i odwracał głowę, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek patrzył na jego twarz. Potrafiła to zrozumieć, bo szpeciły go blizny po trądziku, choć nie aż takie, by nie poradził sobie z nimi dobry dermatolog. Ale nawet z tymi

krostami chłopak mógłby być całkiem przystojny. Wystarczyłoby tylko, żeby się wyprostował, umył włosy, ogolił i przede wszystkim – uśmiechnął.

– Dzień dobry, pani Asiu! – krzyknął w jej stronę Profesor i pomachał radośnie, jakby naprawdę się cieszył, że ją widzi.

Odmachała, odłożyła trzymaną w dłoni skrzynkę z narzędziami i podeszła do swoich gości.

– Dzień dobry – powiedziała.

Profesor objął ramieniem chłopaka, a ten wzdrygnął się, kiedy poczuł dotyk ojca.

– Przywiozłem pani Mateusza. Macie jakieś tam interesy do załatwienia, nie?

– Tak – potwierdziła. – Dzień dobry, panie Mateuszu. Miło pana w końcu poznać.

– Panią też – odparł chłopak. – Przywiozłem pieniądze.

Sięgnął do tylnej kieszeni po wypchaną kopertę i wyciągnął do niej. Nie wzięła jej od razu.

– Naprawdę jest pan pewien? – zapytała. – Sanitariaty mamy już gotowe, ale jeśli chodzi o domki, to tylko dwa. Zresztą w nie najlepszym standardzie, jeśli mam być szczerą. Łącznie to może z osiem osób się tam zmieści. Dwanaście, jeśli nie przeszkadza wam tłok. Ale reszta?

– Będą spać w namiotach – powiedział Mateusz.

– Mamy koniec września. Nocą jest tutaj naprawdę zimno.

Nie wiedziała, po co to mówi. To przecież nie jej sprawa, a Mateusz może i wyglądał jak nastolatek, ale był przecież dorosłym facetem. Chce wynająć ośrodek, to niech go sobie wynajmie. Po co go od tego odwozić?

– Nie szkodzi – mruknął.

Wzięła kopertę z zaliczką i nie zaglądając do środka, schowała do kieszeni spodni.

– Czyli co? – zapytał chłopak.

– Przyjedziecie i będzie gotowe – oznajmiła. – Tak jak wspominałam, sanitariaty działają, chociaż czasami może być problem z ciepłą wodą. Jest prąd, wiata i miejsce na ognisko. Rozstawimy śmietniki. Przygotujemy wszystko tak, żebyście mogli dobrze się bawić.

– Świetnie.

– To ile osób tutaj właściwie przyjedzie?

– To nie wiadomo jeszcze – odpowiedział niechętnie. – Czterdzieści, pięćdziesiąt? Zobaczymy, ile się zdecyduje.

Pociągnął nosem i zerknął na ojca.

– Jedziemy już? – zapytał.

– Idź do samochodu, ja mam jeszcze sprawę do pani Asi – powiedział Profesor.

Na twarzy chłopaka odmalowała się ulga. Pożegnał się i wrócił do auta. Już po chwili siedział na miejscu pasażera, a w dłoniach trzymał komórkę. Zaraz jednak odłożył ją zrezygowany. W Wilkach mieli problem z zasięgiem, a jej ośrodek znajdował się na cyplu, który wbijał się w jezioro, więc czasami nie dawało się do niej dodzwonić, a z internetem zawsze były kłopoty. Nie rozumiała tego. Do Niemiec mieli nie więcej niż godzinę drogi, a czasami czuła się tak, jakby mieszkała w głębi Syberii.

Profesor wsadził dłonie do kieszeni i zakołysał się na piętach.

– Pięknie tutaj jest, pani Asiu – powiedział, rozglądając się dookoła.

– To prawda – przyznała.

– Człowiek sobie nawet nie zdawał sprawy. Moi znajomi to albo chcą wszystko rzucić i jechać w Bieszczady, albo kupują sobie domki na Mazurach. A tutaj jest przecież lepiej. I blisko do Niemiec. Jak człowiek ma ochotę, to spokój i cisza, a jak nabiera chęci na imprezę, to do Berlina jest pewnie z dwie godziny, prawda?

– Około.

– Pani Asiu, będę z panią szczery. Widzę tutaj potencjał na duży biznes. Dla mnie i dla pani. Pani tutaj startuje z ośrodkiem, prawda? Sporo pracy pani wkłada, żeby ożywić ten kemping, to i pani sama wie, ile tutaj można zarobić.

– Pan chce zostać moim wspólnikiem?

– A potrzebuje pani wspólnika? – zapytał wesoło.

– Nie.

– No właśnie. Zresztą turystyka to nie dla mnie. Nie mam do tego cierpliwości, a i wiek nie ten, żeby wszystkiego pilnować. – Machnął dłonią, jakby odganiał się od muchy.

– Nie jest pan aż tak stary.

– No nie jestem – zgodził się. – Ale już mi się nie chce.

– To o co chodzi?

Cmoknął głośno. Uśmiechnął się i spojrzał na nią, mrużąc powieki. Przez chwilę, pomimo swojego wieku, wyglądał jak młody chłopak, który szykuje się do jakiejś psoty. Jeszcze nie potrafiła zdecydować, czy bardziej ją to irytuje, czy budzi w niej sympatię.

– No, kupiłem tutaj ziemię – powiedział wreszcie, jakby wyznawał jej straszliwy sekret.

– W Wilkach?

– W Wilkach. A jeśli kupiłem, to przecież nie po to, żeby trzymać, tylko sprzedać.

– Komu?

– Myślę, że mam jeszcze paru znajomych z Warszawy, którzy chcieliby walać sobie tutaj domek. Można by zrobić takie małe urocze osiedle. Albo zastanowić się nad pensjonatem. Mówię, są możliwości. Rzecz w tym, że łatwiej byłoby ich przekonać, gdyby ta wieś była trochę bardziej zadbana. Bo wie pani, te drewniane wilki są całkiem urokliwe, ale plaża zaniedbana, na drodze dziura na dziurze, a niektóre domy we wsi to takie, że aż żal patrzeć.

– Trochę nie rozumiem, po co pan do mnie przyszedł – powiedziała ostrożnie. – Chce pan, żebym chodziła po wsi i namawiała ludzi do remontów?

Wesołość na twarzy mężczyzny ustąpiła miejsca powadze.

– Chodzi mi o to, że Wilki zasługują na dobrego gospodarza. Kogoś, komu będzie się chciało schylić po pieniądze, które leżą dosłownie na ziemi. Bo są fundusze unijne, dotacje, jakieś wsparcia, programy. Można naprawić drogi, dostać forszę na rewitalizację, pokombinować, zrobić jakąś przystań z prawdziwego zdarzenia i w rezultacie stworzyć tutaj, nie mówię, że od razu wielki kurort, ale miejsce, które latem będą odwiedzać turyści. Bo na razie to pani widzi, omijają szerokim łukiem. Rzecz w tym, że niestety pani matka nie jest takim gospodarzem. Pani jednak, pani Asiu, mogła by nim zostać.

– Chce pan...

– Chcę, żeby pani zastanowiła się nad startowaniem w wyborach na sołtysa.

– Ale to dopiero...

– Za jakiś czas – znów jej przerwał. – Akurat zdąży się pani nad tym zastanowić, a jeśli pani się zgodzi, to i przygotować. Ja oczywiście pani z tym nie zostawię.

Mam znajomych, którzy pomogą wypełnić wszystkie wnioski do instytucji unijnych. Pro bono oczywiście. Prawników, którzy panią wspomogą, jeśli będzie trzeba. Kilka telefonów, nawet do polityków stąd, z Lubuskiego, też by się pani przydało. Parę lat i Wilki będą nie do poznania. Niech mi pani uwierzy.

– A co pan z tego będzie miał?

– No, mam nadzieję, że cena mojej ziemi trochę wzrośnie.

– No tak.

– Ale to jest czysta sytuacja, pani Asiu. Pani wygrywa, Wilki wygrywają, ja wygrywam. Wszyscy jesteśmy szczęśliwi i zadowoleni.

– Dlaczego nie złożył pan tej propozycji mojej matce? – zapytała.

Profesor poprawił okulary na nosie i strzepnął z rękawa sosnową igłę.

– Pani matka nie była zainteresowana – stwierdził. – Powiedziała mi, że dobrze jest tak, jak jest, ludzie są szczęśliwi, a ja tylko niepotrzebnie męcę.

– Może mama miała rację?

– Tak pani uważa?

Nie odpowiedziała, on zaś nie naciskał.

– Proszę się nad tym zastanowić – powiedział i podał jej rękę na pożegnanie.

Chwilę potem patrzyła, jak jego audi podskakuje na wybojach, a zawieszenie niebezpiecznie trzeszczy. Mateusz znowu wyglądał, jakby miał zwymiotować.

– Lepiej by zrobili, jakby przyszli piechotą – mruknęła do siebie i wróciła do pracy, jej myśli jednak wciąż krążyły wokół propozycji, którą złożył Profesor.

Dom Traszki stał na peryferiach wsi. Znowu musiałem przejść ją całą, następnie kilkadziesiąt metrów drogą wjazdową i dopiero tam znajdowało się gospodarstwo, mniej więcej naprzeciwko pomostu, gdzie znaleziono dziewczynę. Nic dziwnego, że mężczyzna często chodził tam łowić, skoro miał zaledwie kilka minut spacerem.

Sam dom był stary, chociaż nie tak stary jak te we wsi. Niewielki, o szarych ścianach, pokryty eternitową dachówką w takim stanie, że aż dziw, że Traszka nie zszedł jeszcze na raka. Z tyłu dostrzegłem drewnianą stodołę, nigdzie natomiast nie widziałem drewnianej figury wilka, która przecież zdobiła wszystkie inne podwórka.

Wokoło nic się nie działo. Jeden samochód przejechał drogą, wyjeżdżając z Wilków, ale to tyle. Furka była drewniana, zamykana na drucianą pętelkę. Wszedłem na mocno zaniedbane podwórko. Trawa rosła nierówno, pomiędzy domem a stodołą rozciągało się klepisko, które jesienią zmieniało się w błotniste bajoro, a latem zapewne unosiły się znad niego kłęby kurzu.

Żadnego auta ani nawet psa broniącego podwórka. Koło stodoły mignął mi tylko kot. Dom wyglądał na opuszczony.

Pomimo wszystko najpierw zapukałem. Cierpliwie czekałem, ale z wnętrza nie dochodził żaden głos. Nacisnąłem klamkę. Zamknięte. Futryna była stara, odłaziła z niej farba. Wystarczyłoby jedno solidniejsze uderzenie ramieniem lub kopnięcie, żebym dostał się do środka, nie chciałem jednak demolować cudzej własności.

Obszedłem dom. Znajdowały się tam drugie drzwi, również zamknięte. Niedaleko stało kilka uschniętych, rachitycznych roślinek w doniczkach. Kucnąłem przy nich i po kolei każdą podnosiłem, licząc, że pod jedną znajdę zapasowe klucze.

Zamiast kluczy znalazłem jednak coś innego. Niewielki czarny obiektyw szpiegowskiej kamery, wycelowany prosto w drzwi. Nie był to żaden wyrafinowany sprzęt. Coś takiego dało się kupić za kilkaset złotych przez internet. Kabel od obiektywu, przysypany ziemią, ciągnął się wzdłuż ściany domu aż do ukrytego pod kamieniem kwadratowego rejestratora. Niewielka dioda informowała,

że urządzenie pracuje. Taki sprzęt ma baterię pozwalającą na kilka godzin pracy. Są też kamery, które włączają się tylko w momencie, kiedy zarejestrują ruch lub głos – wtedy bateria starcza na znacznie dłużej. Często są połączone z nadajnikiem, to może być zwykły telefon komórkowy, który wysyła sygnał alarmowy do właściciela wraz z odpowiednim nagraniem.

Odłożyłem rejestrator na miejsce pomimo tego, że w pierwszej chwili miałem ochotę go zniszczyć. Doszedłem do wniosku, że w okolicy na pewno jest więcej tego typu urządzeń i pozbycie się jednego nic by nie dało. Ktokolwiek je zostawił, i tak się dowie, że tu byłem, i będzie dysponować moim wizerunkiem. Niespecjalnie mi się to podobało, ale też nie zamierzałem się tym zbytnio przejmować.

Kto mógł dysponować takim sprzętem?

Policjanci? Od razu ich wykluczyłem. Nie dlatego, że nie mieli takiego wyposażenia, po prostu nigdy by go nie zastosowali w tej sytuacji. Jaki sens miałyby obserwacja domu aresztowanego już podejrzanego. Przecież wszystko sprawdzili, przeszukali nieruchomość i znaleźli obciążające Traszkę dowody. Nie podejrzewali go o współnika ani o udział w grupie przestępczej. Z ich strony sprawa została zakończona, tak więc to nie byli oni.

Traszka lub ktoś z jego rodziny?

To też wykluczyłem. Był biedny, nie miał żadnych żyjących krewnych. Nie wiedziałem, co stanie się z jego domem, kiedy sam trafi do więzienia – najprawdopodobniej będzie po prostu niszczyć. Nie, to też nie mógł być Traszka.

Kto w takim razie?

Nie miałem pojęcia. Ktoś, kto miał pieniądze i kompetencje, żeby taki sprzęt kupić i zamontować. Tylko po co? Na podwórku nie było niczego, co uzasadniałoby stosowanie takich środków ostrożności. W takim razie chodziło o coś, co kryje się w środku domu.

Moja ciekawość została rozbudzona.

Zgniotłem butem obiektyw kamerki, a potem to samo zrobiłem z rejestratorem. Jak mówiłem, ci, którzy je tutaj zostawili, dysponowali już moim wizerunkiem i wiedzieli lub wkrótce się dowiedzą o mojej wizycie, ale nie zamierzałem pozwolić im się nagrać w chwili, kiedy włamuję się do domu Traszki.

Przyjrzałem się drzwiom i framudze. Były w podobnie kiepskim stanie jak tamte, więc nie wymagały użycia łomu. Wziąłem rozbieg i uderzyłem w drzwi ramieniem. To wystarczyło, żeby wyłamać zamek. Wpadłem do środka i nie zatrzymując się, poszedłem od razu w głąb domu. Chciałem go jak najszybciej przeszukać, bo zdawałem sobie sprawę, że nie mam dużo czasu. Prawdopodobnie uruchomiłem jakiś cichy alarm i ludzie, którzy go założyli, już tutaj jechali.

Budynek był parterowy. W kuchni natknąłem się na stary węglowy piec i podniszczony kran, z którego kapiała woda. Przejrzałem szybko zawartość szafek, ale nie znalazłem nic ciekawego. Za niewielką łazienką znajdowały się dwa pokoje. W mniejszym ledwie mieściły się łóżko i szafa, w większym, z makatką zawieszoną na ścianie, stały kanapa, stół oraz koza do ogrzewania pomieszczenia. Nic nie zwróciło tutaj mojej uwagi. Wszystko wyglądało tak, jak powinno wyglądać w domu, do którego nikt nie wchodził od trzech miesięcy.

Oprócz kurzu.

Ktoś tutaj sprzątał. Nie wszędzie. Przykładowo na stole uzbierała się spora warstwa szarego pyłu, ale podłogi były zamiecione. Ktoś nie chciał zostawiać śladów swojej bytności.

Cofnąłem się.

Znalazłem wejście do piwnicy. Z dokumentów dostarczonych przez Czarnego dowiedziałem się, że to właśnie w niej, podczas drugiego przeszukania, policjanci znaleźli elementy ubioru zamordowanej Aleksandry. Leżały w stercie węgla.

Zapaliłem światło. Sterta węgla wciąż była na swoim miejscu – pod ścianą z uchylonym niewielkim oknem. Zapewne zostawiono je tak dla kota, którego widziałem koło stodoły. Oprócz tego dostrzegłem tu kilka rupieci, starych krzeseł, desek i tekturowych pudeł, a do tego worek ziemniaków.

Wróciłem na górę. Czuję, że czas mi się kończy. Wkrótce ktoś się pojawi, a ja nie za bardzo miałem ochotę tłumaczyć się ze swojej obecności w domu Traszki. Ale coś tutaj było. Coś na tyle cennego, żeby zamontować szpiegowską kamerę przy drzwiach. Coś, co mogłoby popchnąć moją sprawę do przodu.

Rozejrzałem się szybko dookoła i wtedy dostrzegłem leżący w kącie pogrzebacz. Czemu właśnie tu, skoro jedyny piec znajdował się w kuchni? Zerknąłem w górę i na drewnianym suficie dostrzegłem wejście na strych, kwadratowy prostokąt

z niewielką pętlą. Podniosłem pogrzebacz, wsadziłem go w pętlę i pociągnąłem. Kłapa się otworzyła, a ze środka wysunęła się drabinka.

Wspiąłem się po niej. Nie musiałem nawet wchodzić na górę, by zorientować się, że znalazłem to, czego szukałem. Na strychu, na sznurkach do prania suszyły się krzewy marihuany. Powieszone na dwóch poziomach, wypełniały całe pomieszczenie. Tak na oko warte były kilkanaście tysięcy złotych.

Suszarnia.

Ciekawe, gdzie znajdowała się plantacja. Jedyne miejsce, którego nie sprawdziłem, to stodoła, ale wątpiłem, żeby tam cokolwiek rośło. Skoro policjanci przeszukujący dom nie znaleźli marihuany, to przyniesiono ją tutaj już po aresztowaniu Traszki. Dom stał pusty, nikt do niego nie zaglądał. Nie była to może najbardziej przemyślana lokacja na suszarnię, ale przecież najciemniej jest pod latarnią. Ryzykowne zagranie, chociaż potrafiłem zrozumieć logikę, która się za nim kryła. Plantacja jednak to zupełnie inna sprawa. Przy konopiach trzeba trochę popracować: przygotować instalacje, nawadniać, nawozić, a taki ruch przy domu Traszki zwróciłby uwagę. Do tego plantacja potrzebuje sporo energii elektrycznej. Zwiększony pobór prądu w teoretycznie niezamieszkanym domu byłby jak wielki neon – HODUJEMY TUTAJ TRAWĘ.

Nie. Tutaj tylko suszyli. Plantacja była gdzie indziej.

Zszedłem z drabinki, zamknąłem wejście na strych, po czym odłożyłem pogrzebacz na miejsce i opuściłem dom.

Ruszyłem biegiem lekkim łukiem, najpierw w las, później zakręciłem z powrotem do drogi, a potem, kryjąc się między drzewami, wróciłem pod dom Traszki. Przykucnąłem i obserwowałem.

Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans. Pomyślałem, że może jednak się pomyliłem i w domu nie było żadnego alarmu. Już miałem odchodzić, kiedy moja cierpliwość została wreszcie wynagrodzona. Po dwudziestu minutach pod dom podjechał bordowy opel astra. Wysiadło z niego trzech mężczyzn: blondyn z nażelowanymi włosami i dwóch krótko ostrzyżonych, ubranych w dresowe bluzy, spodnie bojówki i ciężkie buty. Tylko jeden miał adidas. Rozejrzeli się dookoła, po czym weszli do środka, znikając mi z oczu. Po kilku minutach dwóch z nich wróciło. Wsiedli do opla i odjechali, przejeżdżając tak blisko mojej kryjówki, że

mogłem im się dobrze przyjrzeć. A także żółtym tablicom rejestracyjnym ich samochodu i dwóm literkom pod flagą Unii Europejskiej.

NL – Holandia.

Kotwica wysiadł z samochodu i trzasnął głośno drzwiami. Huk rozszedł się po ulicy, aż pies na sąsiednim podwórku do tej pory spokojnie śpiący przy płocie poderwał się i zaczął szczekać. Policjant zignorował go. Otworzył furtkę, przebiegł kilka metrów dzielących go od domu i zaczął raz za razem naciskać przycisk dzwonka.

Po kilku sekundach usłyszał w środku ruch, potem drzwi się otworzyły i stanęła przed nim Urszula Michowska. Na jego widok zrobiła wielkie oczy. Kotwica natychmiast przypomniał sobie ten dzień, kiedy przyszedł do niej, żeby powiedzieć o śmierci córki. Patrzyła na niego w ten sam sposób. Pomyślał, że już wtedy wiedziała, co się stało. Nawet zanim zdążył otworzyć usta. Wyczytała to z jego twarzy. Znowu zrobiło mu się jej żal, ale nie mógł sobie pozwolić na to, żeby być wobec niej miękki. Miał jej coś do przekazania i zamierzał to zrobić z całą stanowczością.

– Musimy porozmawiać – powiedział, wchodząc bez zaproszenia do domu.

W czasie śledztwa w sprawie śmierci Aleksandry był tutaj wielokrotnie. Miała ładny dom. Niewielki, parterowy, ale zadbane i odremontowany. Przypomniał sobie, że kiedyś mieszkali tu jej dziadkowie, a ona z mężem wprowadziła się zaraz po ślubie. Była już wtedy w ciąży. Bardzo się zresztą starała, żeby na weselu ukryć brzuch. Budynek przypominał ruinę, właściwie nadawał się do wyburzenia. Mąż Urszuli co weekend coś tutaj naprawiał, remontował, poprawiał, aż w końcu ruina zmieniła się w całkiem przytulną chatę, a on przy okazji zdobył fach i jak wyjechał do Anglii, od razu znalazł robotę.

Przeszedł do kuchni i stanął przy oknie. Kobieta przydreptała za nim. Odsunął krzesło od stołu i wskazał je Urszuli.

– Siadaj.

– Ale o co chodzi?

– Wiesz, o co chodzi. Siadaj.

Zrobiła to, co kazał.

– Poszłaś się zobaczyć z tym dziennikarzem – rzucił gniewnie.

Lekko zmarszczyła brwi, a jej usta zmieniły się w cienką linię. Policjant pomyślał, że być może zaczął źle, zbyt agresywnie. Spodziewał się, że Michowska potulnie położy uszy po sobie, ale zamiast tego pojawiła się u niej nieobecna do tej pory hardość.

– Kto ci powiedział? – zapytała.

– To nieważne. Po co do niego poszłaś?

– A co? Nie mogę? To jest zabronione?!

Jej dłonie drżały. To je splatała, to rozplatała, jakby nie wiedziała, co ma zrobić z palcami. Przypomniawszy sobie, że jeszcze niedawno paliła. Rzuciła po stracie córki. Zdziwiło go to. Ludzie zazwyczaj postępują na odwrót.

Kucnął naprzeciwko niej. Spokojnym, powolnym ruchem, bo nie chciał, żeby poczuła się zagrożona, chwycił ją za dłonie i delikatnie ścisnął. Miała miękką, ciepłą skórę.

– Możesz zrobić, co chcesz – powiedział. – Ale chciałbym, żebyś zdawała sobie sprawę z konsekwencji.

– Niby jakich? Jakie straszne konsekwencje mogą mnie spotkać?! Ja straciłam córkę! – krzyknęła i wyrwała mu się. – Co gorszego może mnie spotkać?! Co?! Powiedz mi! Powiedz mi, kurwa!

Wstał. Odszedł dwa kroki w bok. Potrząsnął głową, czując, że ogarnia go irytacja. Nie powinno go tutaj być. Powinien być na posterunku, gdzie jak zawsze było więcej roboty, niż dało się ogarnąć. Brakowało mu ludzi. Samo ustawianie dyżurów było koszmarem. Tymczasem zamiast zajmować się prawdziwą policyjną pracą, wracał do sprawy, która powinna być już dawno zamknięta.

– Zaczyna się proces Traszki – odpowiedział, siląc się na spokój. – Ani ja, ani prokurator nie potrzebujemy żadnego dziennikarza, który by nam tutaj jątrzył, wzbudzał wątpliwości i sugerował jakieś bzdury.

– Nie potrzebujecie... – powtórzyła za nim kpiąco. – Zgadza się. Ty nie potrzebujesz. Prokurator nie potrzebuje. A zastanawiałaś się, czego potrzebuję ja?

– Ula... rozumiem, że straciłaś córkę...

– Nie rozumiesz!

– Masz rację – zgodził się szybko. – Nie rozumiem. Ale naprawdę chcesz, żeby facet, który zabił twoją córkę, a potem ją, kurwa, spalił, wyszedł na wolność? Traszka musi odpowiedzieć za to, co zrobił.

– A jeśli to nie on? – rzuciła.

Przełknął ślinę.

– To on – powiedział twardo.

– Nie przyznał się.

– Oni nigdy się nie przyznają. Po co miałyby to zrobić? Żeby ułatwić nam pracę?

– A dlaczego miałyby ją zabijać? On ją znał, Paweł, od małego. Znał mnie.

– Wiesz, jaki był.

– Tak! Wiem, jaki był. I wiem, jaki ty jesteś.

– Co masz na myśli? – zapytał, czując, jak napinają mu się mięśnie na karku.

– Że pamiętam, co się tutaj wydarzyło, i że Traszka zachowywał się... Zachowywał się, jak się zachowywał, ale nie brał w tym udziału. A ty tak. I jeśli kogoś miałabym podejrzewać o zabicie Oli tylko na podstawie tego, co wiem o danym człowieku, to bardziej podejrzewałabym ciebie.

– O tym też rozmawialiście z tym dziennikarzem? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

Nagle jakby uleciało z niej powietrze.

– Nie. O tym nie – odpowiedziała cicho. – O tym się przecież nie rozmawia, jakby nigdy się nie wydarzyło, prawda?

– Pytał o to?

Prychnęła i pokręciła przecząco głową. Zastanawiał się przez moment, czy powinien ciągnąć ten temat, ale uznał, że nie. Przeszłość była przeszłością. Nikt nie chciał do niej wracać, nawet Ula. Jej mąż przecież też tam wtedy był. Jasne, rozstali się i teraz siedział w Anglii, Paweł jednak wątpił, żeby nagle chciała zrobić mu krzywdę.

– Traszka ją zabił – odezwał się po chwili. – Nie ma alibi. Była na jego łódce. W jego domu znaleźliśmy ubranie Oli. Nie potrafił wyjaśnić, skąd się tam wzięło. On to zrobił.

– Ale dlaczego?

– Nie wiem. Tak się czasami po prostu dzieje. W ludzi wstępuje diabeł, tak jak w nas wtedy.

– Wstąpił w was diabeł?

Pies na sąsiedniej posesji ciągle szczekał, jakby nie potrafił przestać. Jego głos był zachrypnięty i poszczególne szczeknięcia przypominały odgłos dartej papieru. Kotwica poczuł się nagle jak ten zwierzak: zmęczony wykonywaniem bezsensownego zajęcia.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze. – Wiem, że to nie tak miało się skończyć. Nie po to tam poszliśmy. Ale to się wydarzyło. I tyle.

Urszula wstała z krzesła, podeszła do zlewu i odkręciła wodę, po czym zaczęła myć kubek po kawie, zalewając go przy tym tak obficie, że wkrótce była w pianie po łokcie. Spłukiwała go chyba pięć minut. Kiedy skończyła, odłożyła na suszarkę i odwróciła się do Kotwicy. Uniosła wysoko brwi, jakby zaskoczona, że on ciągle tu jest.

– Coś jeszcze? – zapytała.

– Nie.

– W takim razie ja chciałam ci coś powiedzieć – rzuciła, wycierając dłonie w kuchenną ścierkę. – Porozmawiaj z Emilią.

Stłumił westchnienie.

– Wiesz, że już to zrobiłem. Więcej niż raz. Nie spotkała się wtedy z Olą. Nie były razem.

– Dzieci kłamią, Paweł. Moja córka mnie okłamała, mówiąc, że wychodzi na spacer. Twoja też cię okłamuje. Porozmawiaj z Emilią. Porozmawiaj ze swoją córką i dowiedz się w końcu, co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy.

Jeszcze przez kilka minut ukrywałem się w lesie, zastanawiając się, co powinienem teraz zrobić. Trochę kusiło mnie, żeby wrócić do domu Traszki i skonfrontować się z przebywającym tam Holendrem. Był tylko jeden problem – facet się mnie spodziewał. Holendrzy wiedzieli już, że odnalazłem ich suszarnię. Brali pod uwagę zapewne kilka scenariuszy, w tym dwa najbardziej prawdopodobne: albo jestem policjantem, albo konkurencją. Założyłem, że działali tutaj od kilku miesięcy – tyle potrzeba, żeby wyhodować marihuanę, prawdopodobnie więc znali, przynajmniej z widzenia, wszystkich lokalnych policjantów. Ja byłem kimś innym, kimś obcym. W takim razie nie organy ścigania, a konkurencja.

Uznałem, że jeden człowiek pilnował towaru, a dwóch pojechało po większy samochód, żeby wrócić, zapakować do niego trawę i przenieść suszarnię w inne miejsce.

Powrót do domu Traszki w tej sytuacji nie miał sensu. Holender, który tam został, był uzbrojony i zdenerwowany z powodu całej tej sytuacji. Musiał brać pod uwagę, że znowu się pojawię, co odbierało mi efekt zaskoczenia. Poza tym znajdował się w taktycznie lepszym położeniu: on by się bronił, ja byłbym szturmującym, w dodatku bez chociażby noża, o pistolecie nawet nie wspominając. Wszystkie atuty były po jego stronie. Nawet gdyby udało mi się go rozbroić i zacząłbym go przesłuchiwać, to pewnie nic bym z niego nie wyciągnął. Facet milczałby jak zaklęty, czekając na rychły powrót swoich kumpli. A mnie kończyłby się czas.

Zrezygnowałem. Wszedłem trochę głębiej w las, chcąc wracać do Wilków dalej od jezdni, którą mogli przejeżdżać Holendrzy, a bliżej linii jeziora. Pośród drzewami dostrzegłem prześwit, coś jakby polankę i kawałek ściany. Z ciekawości poszedłem zobaczyć co to.

Trafiłem do ruin gospodarstwa. Dom, który kiedyś się tam znajdował, był niewielki, mniejszy nawet od tego Traszki. Spalił się wiele lat temu. Została z niego poczerniała od dymu ściana i kilka zwęglonych desek. Cała reszta zarosła.

Jeszcze trochę i las całkowicie pochłonie to miejsce, pomyślałem i wróciłem do Wilków.

Szedłem szybkim krokiem główną ulicą, kiedy tuż obok mnie przejechał autobus PKS-u, a właściwie minibus. Względnie nowy, czysty, zadbane, z przyciemnianymi szybami. Zatrzymał się na przystanku. Zorientowałem się już, że był to przedostatni na tej linii. Na krańcu wsi znajdowała się pętla, gdzie można było zawrócić i ruszyć w drogę powrotną.

Z pojazdu wysiadła dziewczyna ze szkolnym plecakiem przerzuconym przez ramię. Kierowca zamknął za nią drzwi i odjechał, ona natomiast została na chodniku, wpatrzona w ekran telefonu komórkowego. Była szczupła. Moim zdaniem aż za bardzo. Miała przeraźliwie chude ręce, które odsłaniała koszulka na ramiączkach, zupełnie nieadekwatna do takiej pogody, ale chłód najwyraźniej nie przeszkadzała dziewczynie, bo bluzę z kapturem przewiązała sobie wokół bioder. Czarne włosy sięgały jej do ramion. Twarzy nie widziałem.

Skończyła odpowiadać na wiadomość lub sprawdzać, co się wydarzyło w którymś z serwisów społecznościowych, i ruszyła przed siebie. Co dwa, trzy kroki poprawiała plecak.

Czy to była Emilia?

Przyspieszyłem kroku. Wiek mniej więcej się zgadzał. Matka Aleksandry powiedziała, że Emilia była najlepszą i jedyną przyjaciółką jej córki, a potem dodała, że Ola nie miała tutaj wielkiego wyboru. No cóż, Wilki były niedużą wioską. Ile nastolatków mogło tu mieszkać? Dalej jednak nie miałem pewności.

– Emilia! – krzyknąłem za dziewczyną.

Przystanęła zaskoczona i odwróciła się w moją stronę. Miała bladą twarz o ostrych rysach. Brązowe oczy podkreśliła wyrazistym makijażem. W kąciku jej nosa lśnił malutki kolczyk.

– Emilia? – zapytałem, zbliżając się do niej.

Skinęła głową, marszcząc brwi.

– Tak. O co chodzi?

– Przyjaźniłaś się z Aleksandrą Michowską – stwierdziłem.

– Tak, ale... Kim pan jest?

– To nieważne. Przyszedłem, żeby zadać ci kilka pytań.

– O Ołę?! Przecież na wszystkie już odpowiedziałam.

– Ale kłamałaś – zablefowałem.

Dzięki jej reakcji wiedziałem, że trafiłem. Oczy najpierw zrobiły się wielkie jak u sarny złapanej w reflektory pędzącego samochodu, a potem uciekły w bok. Zmieszanie próbowała ukryć pod uśmiechem tak nieszczerym, jakby właśnie udawała radość z tego, że nie ona, a jej najlepsza koleżanka pójdzie na studniówkę z najpopularniejszym chłopakiem w szkole.

– Nie kłamałam! Przyrzekam, że mówiłam tylko i wyłącznie prawdę. Szczerze, nigdzie tamtej nocy nie poszłam z tą dziewczyną!

Nie wierzyłem w żadne jej słowo. Kiedy ludzie kłamią, starają się nas przekonać za wszelką cenę, nawet nieświadomie, że mówią prawdę. Dlatego używają wielu zwrotów, które mają to podkreślić. Tak jak teraz Emilia. Osoby prawdomówne po prostu stwierdzają fakty, nie widzą powodów, żeby przysięgać czy zapewniać o swojej szczerości. Do tego kłamcy starają się dystansować do samego zdarzenia, a Emilia „nigdzie nie poszła z tą dziewczyną”. To wcale nie była „ta dziewczyna”, tylko Aleksandra, jej najlepsza przyjaciółka. Ale łatwiej skłamać na temat „tej dziewczyny” niż na temat kogoś, z kim było się blisko.

Czysta psychologia, a właściwie jej podstawy. Nie rozumiałem, dlaczego miejscowi policjanci tego nie wychwycili i nie przemaglowali porządnie Emilii. Ten facet, którego spotkałem wczoraj i dzisiaj rano przed sklepem... Cóż, miałem powody, żeby za nim nie przepadać, ale wyglądał na kompetentnego funkcjonariusza. Najwyraźniej będę musiał zmienić o nim zdanie, co każe mi postawić dodatkowe znaki zapytania w sprawie morderstwa Aleksandry. Jeśli tak niedbale przesłuchiwał Emilię, to gdzie jeszcze zawalił?

– Bzdura – warknąłem, ale nie przesadzałem z agresją. Chciałem ją odrobinę zastraszyć, jednak nie mogłem zapominać o tym, że stoimy w świetle dnia na środku ulicy. – Twoja przyjaciółka, Aleksandra, została brutalnie zamordowana, a ty coś wiesz na ten temat. I masz mi to natychmiast powiedzieć!

– Kim pan jest, do cholery?!

– Kimś, komu zależy na poznaniu prawdy. W przeciwieństwie do ciebie. Bo ty, jej przyjaciółka, masz to najwyraźniej w dupie.

Świadomie próbowałem wzbudzić w niej wyrzuty sumienia i przypomniałem o więzi, jaka łączyła ją z Aleksandrą. Moje próby przynosiły rezultaty – zaczęła się

wahać. Coś ją dręczyło i chciała to z siebie wyrzucić, wyznać prawdę, a ja właśnie dawałem jej do tego okazję.

– Wal się! – krzyknęła niespodziewanie. – Nie wiem, kim jesteś, ale wal się! – powtórzyła.

Zamiast się przede mną otworzyć, wybrała wyparcie. Cóż, tak też się zdarza. Pewnie mogłem to rozegrać lepiej, bardziej delikatnie, ale nie zamierzałem tego teraz roztrząsać. Co się stało, to się nie odstanie.

– Wal się! – zawołała po raz trzeci. – I daj mi spokój!

Podeszła tak blisko, że poczułem mocny kwiatowy zapach jej perfum, a potem uderzyła mnie zaciśniętą pięścią prosto w pierś. Wiedziałem o nadchodzącym ciosie i nie zrobiłem niczego, żeby się przed nim uchylić. Prawie nie zabolalo.

W tej chwili zatrzymał się przy nas samochód. Opel na holenderskich rejestracjach. Najpierw wysiadł pasażer, ten krótko ostrzyżony, potem kierowca, nażelowany blondyn.

– Jakiś problem, Emilia? – zapytał jeden z nich po angielsku.

– Żaden – odpowiedziała dziewczyna w tym samym języku. – Już skończyliśmy rozmawiać.

Zerknęła na mnie, na nich, po czym poprawiła plecak na ramieniu, machnęła im ręką na pożegnanie i pospiesznie odeszła. Kilka razy się oglądała, upewniając, że za nią nie idę. Nie zrobiłem tego. Naciskanie w tym momencie nic by nie dało. Zasiałem w jej głowie ziarno wyrzutów sumienia i mogłem mieć tylko nadzieję, że przyniesie to korzystne dla mnie rezultaty. Poza tym wątpiłem, żeby Holendrzy pozwolili mi teraz odejść.

Jeden z nich stanął po mojej lewej stronie, a drugi po prawej w odległości około półtora metra ode mnie. Tworzyliśmy w ten sposób trójkąt z kątem rozwartym – ja stanowiłem jego wierzchołek. Dobrze to rozegrali. W ten sposób musiałem nieustannie wodzić wzrokiem od jednego do drugiego, łatwiej było mnie zaatakować z zaskoczenia, a i oni nawzajem sobie nie przeszkadzali.

– Więc... – powiedział po angielsku kierowca. Użył słowa so, przeciągając literkę o.

– W Polsce nie zaczynamy zdania od „więc” – odparowałem.

Zamrugnął zaskoczony.

– Co?

– W Polsce nie zaczynamy zdania od „więc” – powtórzyłem. – To niepoprawne i niedbałe językowo.

Mieli sporo czasu, żeby o mnie rozmawiać, od kiedy pojawiłem się w oku ich szpiegowskich kamer. Pewnie spodziewali się wielu rzeczy, ale nie tego, że będę poprawiał ich gramatykę. Totalnie zgłupieli. Pierwszy odzyskał rezon blondyn.

– Słuchaj, gnoju – zaczął. – Nie wiemy, kim jesteś, ale trzymaj się z dala od tamtego domu.

– Dobra – zgodziłem się chętnie, zaskakując ich po raz kolejny. Oczywiście kłamałem. Jeśli byłaby taka potrzeba, natychmiast poszedłbym do gospodarstwa Traszki, ale kłócenie się teraz z nimi o to, co mogę lub czego nie mogę zrobić w przyszłości, nie byłoby najmądrzejsze.

– Masz też trzymać się z daleka od Emilii i naszego obozowiska!

Obozowisko. Przypomniałem sobie kemping po drugiej stronie jeziora i piosenki w dziwnym języku, które stamtąd dochodziły. Nie rozpoznałem go, chociaż przypominał niemiecki. Czyli tam się zatrzymali. Cenna informacja.

– Nie ma problemu.

– Jeśli cię tam zobaczymy...

– To będę miał poważne kłopoty – dokończyłem za niego. – Trzymam się z dala od domu, Emilii i waszego obozowiska. Zrozumiałem.

– Najlepiej by było, jakbyś stąd wyjechał. Dla własnego dobra.

– Sporo ludzi to mówi, ale akurat z tym może być kłopot – powiedziałem uprzejmie.

Naprawdę nie wiedzieli, jak się zachować. Najwyraźniej przywykli do czegoś innego – spodziewali się, że będę stawiał opór, może uciekał, groził im, atakował albo tłumaczył przerażony, że to wszystko pomyłka i nie chcę mieć żadnych problemów. Na każdą z tych sytuacji byli gotowi, na każdą z nich mieli przygotowane wzory postępowania, ale co zrobić z człowiekiem, który uprzejmie, chociaż stanowczo, zgadza się z niemal wszystkimi ich żądaniem? Takim, który ulega presji, ale nie wydaje się przestraszony? Widziałem, jak desperacko kombinują, co teraz powinni zrobić.

– Nie wchodź nam w drogę – warknął wreszcie blondyn i rozpiął dresową bluzę na tyle, żebym dostrzegł wetknięty za pasek pistolet.

Najwyraźniej postanowił mnie zastraszyć.

Pomyślałem sobie, jakie to byłoby teraz łatwe.

Jedna ręka zajęta, bo przytrzymał ją połę bluzy, druga zwieszona nonszalancko wzdłuż ciała, do tego lekko uniesiona broda, bo najwyraźniej starał się wyglądać groźnie. Szybki lewy prosty w grdykę, żeby go oszołomić i odebrać dech, połączony z ruchem do przodu i skróceniem dystansu. Prawą ręką wyciągam mu pistolet w taki sposób, żeby przy okazji uderzyć go kolbą w szczękę. W tym momencie rusza na mnie jego kumpel, ale nie ma wcale łatwego zadania. Ich ustawienie jest korzystne w momencie, kiedy to oni atakują. Kiedy robię to ja, łatwo mogę schować się za blondynem. I to bym właśnie zrobił – zasłonił się ciałem jednego Holendra, żeby ocenić sytuację, sprawdzić, czy i w co tamten drugi jest uzbrojony, jak się zachowuje, co planuje, a potem podjął adekwatne kroki.

Poradziłem sobie. Nie wątpiłem w to ani sekundę.

Ale nie zrobiłem nic. Blondyn powoli opuścił połę dresowej kurtki. Dał znak swojemu kumpelowi i obaj wsiedli do opla, po czym odjechali w stronę domu Traszki. Pomachałem im na pożegnanie.

Wrócili z ojcem do domu i Mati od razu poszedł do swojego pokoju. Walnął się tam na łóżko i zamknął oczy. Miał nadzieję, że ojciec niczego od niego nie będzie chciał. Ostatnio nachodziły go pomysły, że powinni spędzać razem więcej czasu, odbywać męskie rozmowy i w ogóle budować więzi, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniał. Kiedy Mati był mały i faktycznie go potrzebował, ojciec zajmował się budowaniem swojej firmy, zarabianiem pieniędzy i ruchaniem stada stażystek. Dlatego chłopak obwiniał go o swoje problemy z dziewczynami: ojciec go opuścił, nie przekazał odpowiednich wzorców i nie wprowadził w męski świat. A teraz było już na to za późno. Wiedział, że może chodzić do dermatologa, który zajmie się jego twarzą, może nawet zafundować sobie kilka zabiegów kosmetycznych czy operacji plastycznych. Rodzice kręciliby trochę nosem, ale koniec końców by to sfinansowali. Problem polegał na tym, że zajęłoby to pewnie dwa lata, może nawet więcej, zanim osiągnąłby zadowalający efekt. Musiałby też zacząć chodzić na siłownię, żeby zbudować sobie muskulaturę. To kolejne miesiące ciężkiej pracy. No i na końcu terapia, żeby popracować nad pewnością siebie. W rezultacie, jak szacował, cała transformacja trwałaby cztery, pięć lat. Wtedy będzie się zbliżał do trzydziestki, a wszystkie fajne dziewczyny będą już zajęte przez chadów. Pewnie urodzą im już dzieci i na matrymonialnym rynku zostaną same wybrakowane egzemplarze. Brzydkie laski, których nikt nie chciał albo wykorzystał na wszelkie możliwe sposoby, a potem wyrzucił. Mati byłby wtedy jak śmieciarz – grzebałby na wysypisku, szukając najmniej zepsutego egzemplarza. Nie chciał tego. Miał swoją godność.

A wszystko przez to, że ojciec latami go nie zauważał. Ale chadowie już tacy są – egoistyczne dupki goniące za kolejną cipką, które nie myślą o tym, że mogliby coś zostawić dla innych.

Zresztą ta opowieść o transformacji to też była ściema. Połknął czarną pigułkę i wiedział, jak jest naprawdę. Świat dzielił się na chadów i przegrywów. On był przegrywem.

Przez długą chwilę leżał bez ruchu. Ojciec na szczęście go nie wołał. Pewnie siedział w swoim gabinecie i pracował nad habilitacją. Albo planował randkę z właścicielką ośrodka. Mati zauważył, jak na niego patrzyła. Może i była trochę przechodzona, ale ciągle całkiem nieźle się prezentowała. Z cipki pewnie jej ciekło, kiedy wyobrażała sobie, że ktoś taki jak ojciec ją przerucha. One wszystkie takie są – gotowe zjeść gówno z podłogi, byleby poczuć w sobie spernę nadczołowieka.

– Niech się ruchają – powiedział cicho ze złością. Niech się ruchają, powtórzył w myślach. Niech zaznają tej chwili przyjemności. Bo potem on im pokaże, jak wygląda świat, kiedy patrzy się na niego jego oczami.

Odetchnął głęboko, nagle czując zbierające się pod powiekami łzy. Starł je szybko rękawem bluzy.

Nie mógł się rozkleić. Nie mógł. Nie, kiedy ojciec jest w domu. Zacznie wtedy zadawać pytania i może wszystkiego się domyślić. Mati nie był dość silny, żeby stawić mu czoła samemu. Potrzebował do tego pomocy kumpli i wujka.

Rozdzwoniła się jego komórka. Chwycił ją szybko i spojrział na wyświetlacz. Gruby. Ksywa wzięła się od jego nadwagi, a nadwaga od astmy, którą wylosował na genetycznej loterii. Jak sam mówił, nie mógł się dużo ruszać i błyskawicznie łapał zadyszkę, więc tył, bo nie miał przecież jak spalić kalorii. A do tego dzieciaki w szkole się z niego śmiały, więc wstyd zjadał słodyczami.

Mati odebrał.

– Co jest, Gruby? – zapytał. – Wszystko w porządku?

– W porządku – odpowiedział mu kumpel. Miał przyjemny, delikatny, wręcz dziewczęcy głos, jakby nigdy nie przeszedł mutacji.

– Ile osób będzie? – zapytał Mati.

– Jeszcze nie wiemy. Ludzie ciągle dają znać. Na razie stanęło na jakichś dziesięciu.

– Dziesięciu? To mało. Ile dziewczyn?

– Cztery.

Cztery, powtórzył w myślach z niedowierzaniem. Cztery dziewczyny, pewnie wszystkie zajęte, chociaż to i tak nie miało żadnego znaczenia. Cztery, które myślały sobie, że przyjadą tutaj pić, palić i bawić się na jego koszt, w międzyczasie dając dupy swoim facetom z wielkimi bicepsami i kwadratowymi szczękami. Walić

je. Cztery to więcej niż nic. I wszystkie cztery na pewno zasłużyły na to, co je spotka.

– Będzie więcej – powiedział, chociaż nie do końca w to wierzył.

– Pewnie tak, ale dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy masz towar.

Mati poczuł, jak całe jego ciało sztywnieje, jakby właśnie przeszedł przez nie impuls prądu elektrycznego. W gardle zrobiło mu się sucho. Poderwał się z łóżka, podszedł do drzwi i uchyliwszy je lekko, wyrzwał na korytarz, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma ojca. Potem zamknął je najciszej, jak potrafił.

– Mati, Mati! Jesteś tam?! Pytałem, czy masz towar!

– Zamknij się, nie przez telefon.

Gruby zarechotał. Naprawdę brzmiał jak dziewczyna. Mógłby pracować na sekstelefonie i nikt by się nie domyślił. Tylko czy sekstelefony jeszcze istniały? Przecież wszyscy siedzieli teraz na kamerkach.

– No co ty, boisz się?! Nawet jeśli ktoś by nas podsłuchiwał, toby pomyślał, że pytam cię o trawę czy inne dropsy.

– Nie rozmawiamy o tym przez telefon – powtórzył.

– Po prostu powiedz, czy masz towar.

– Mam – skapitulował. – Część.

– Część?!

– Część – powtórzył Mati. – Resztę mają dowieźć.

– Ale zdążą przed imprezą?

– Zdążą, zdążą.

– Skąd wiesz?

– Bo obiecali.

– I ty im wierzysz?

– Nawet jak nie zdążą, to z tym, co mamy, też sobie damy radę – powiedział Mati.

– No lepiej. – Gruby przez chwilę jeszcze sapał w telefon. – No to trzymaj się. Widzimy się jutro.

Rozłączył się, zanim Mati zdążył się pożegnać.

Chłopak rzucił telefon na łóżko, a kiedy aparat odbił się od materaca i wyładował na podłodze, podszedł do szafy. Wysunął szufladę i spod koszulki wyjął plastikową skrzynkę. Otworzył ją. Miał teraz przed sobą ciemny kształt pistoletu Heckler & Koch P30. Zerknął w stronę drzwi, a potem sięgnął po broń. Jego palec znalazł się na spuście. Poczuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. Upewnił się, że magazynek nie jest włożony, a w lufie nie ma naboju. Potem wycelował przed siebie. Wyobrażał sobie, że broń jest nabita, a po drugiej stronie lufy stoi jego ojciec.

Nacisnął spust.

Całkiem nieźle poznałem już jedną stronę Wilków, wypadaloby też poznać drugą. Przeszedłem na koniec wioski, gdzie znajdowała się pętla autobusowa. Tak jak się spodziewałem, stał tam pojazd, którym przyjechała Emilia. Drzwi były otwarte, znudzony kierowca siedział na ławeczce obok, popijał herbatę z termosu i czytał kolorową gazetę motoryzacyjną.

Minąłem go i wszedłem w las. Droga pełna dziur i wertepów zwiężała się tu tak, że z trudem mogły się minąć dwa samochody. Wkrótce dotarłem do pochylonego metalowego słupa z przyczepioną pordzewiałą tabliczką. Widniały na niej napis „Kemping” i strzałka wskazująca kierunek. Idąc w tamtą stronę, po dwustu, trzystu metrach dotarłem do sporego cypla, który zwiężony u nasady, wbijał się w jezioro. Znajdowały się tam dwa murowane budynki. Pierwszy, niewielki, prawdopodobnie przeznaczony był dla obsługi kempingu. Ten drugi pełnił funkcję sanitariatów. Dostrzegłem jeszcze wiatę na ognisko oraz kilka domków letniskowych, część mocno zaniedbanych. Przy jednym z nich pracował mężczyzna – właśnie malował ściany, a obok większego budynku dostrzegłem stos narzędzi oraz worków z zaprawą, dwie metalowe drabiny, kubły z farbą i sporo luźnych desek. Niedaleko zaś parkował ubłocony SUV. Taki sam, jakim jeździła blondynka spod sklepu.

I to właśnie ona wyłoniła się z sanitariatu, wycierając dłonie w papierowy ręcznik, który zaraz zmięła i wyrzuciła do jednego z kubłów po farbie. Nie nosiła już okularów i mogłem przyjrzeć się jej zielonym wesołym oczom. Na mój widok jednak momentalnie spoważniała. Zawahała się, sprawdziła, gdzie znajduje się mężczyzna malujący domek, i dopiero potem ruszyła w moją stronę.

– W czym mogę pomóc? – rzuciła, zbliżając się.

– W całkiem wielu rzeczach – powiedziałem z uśmiechem, który, jak miałem nadzieję, można było uznać za przyjazny.

– To znaczy?

– Na przykład wyjaśnić, co się tutaj dzieje.

Spojrzała na mnie pytająco.

– Chyba nie rozumiem.

– Znam trochę ludzi – wytłumaczyłem. – I wiem, że panowie w... hm, średnim wieku nie są skłonni do bijatyki. Nie to co dwudziestolatkowie, którym wystarczy jedno krzywe spojrzenie albo głupi tekst. Tymczasem tych trzech pod sklepem rzuciło się na mnie bez wyraźnej przyczyny i bez prowokacji z mojej strony. Jestem ciekaw dlaczego.

– Skąd pomyśl, że ja miałabym to wiedzieć?

– Wilki to mała miejscowość. Tu wszyscy wszystkich znają. Jestem pewien, że ma pani przynajmniej jakąś teorię.

– Nawet gdyby to była prawda, to czemu miałabym ją panu zdradzić?

Rozłożyłem bezradnie ręce.

– Nie wiem. Po prostu pani jako jedyna potraktowała mnie tutaj z życzliwością. Pomyślałem sobie, że może jeszcze trochę jej dla mnie zostało.

– Kim pan w ogóle jest? Oprócz tego, że facetem, który pobił moich znajomych przed sklepem spożywczym.

– To pani znajomi?

– Sam pan powiedział, że tutaj wszyscy wszystkich znają.

– Prawda – przyznałem z uśmiechem. – Jestem facetem, który przyjechał, żeby dowiedzieć się, kto naprawdę zamordował Aleksandrę Michowską.

Do tego momentu nasza rozmowa trochę ją bawiła, a przynajmniej intrygowała. Teraz na jej twarzy pojawił się wyraz irytacji, a być może nawet gniewu.

– Traszka już siedzi – powiedziała.

– Ale on tego nie zrobił.

– Skąd pan wie?

I to był problem. Instynkt podpowiadał mi, że mężczyzna jest niewinny. Za dużo w tej sprawie było znaków zapytania, wątpliwości i dziwnych zdarzeń, ale jeszcze nie potrafiłem tego wyjaśnić ani ubrać w słowa.

– A pani w to wierzy?

Zawahała się i to wystarczyło mi za odpowiedź.

– Czy jest ktokolwiek w całych Wilkach, poza Kotwicą oczywiście, kto wierzyłby w winę Traszki? – zapytałem.

– To nie ma znaczenia.

– Nie?

– Przeżyłam na tyle dużo, żeby wiedzieć, że możesz znać kogoś całe życie, uważać go za najlepszego, najwspanialszego człowieka na świecie, a potem i tak wychodzi z niego zwierzęce okrucieństwo.

Powiedziała to z pełnym przekonaniem kogoś, kto widział coś takiego na własne oczy. Nie było jednak sensu ciągnąć tego tematu. Cokolwiek wydarzyło się w jej życiu, nie miała zamiaru nic więcej powiedzieć. Na pewno nie teraz.

– Skończyłem malowanie, pani Joasiu! – krzyknął w naszą stronę mężczyzna. Szedł do sanitariatu, żeby odłożyć farbę i pędzle.

– Dziękuję, panie Jarku.

– To ja się wezmę za domek numer trzy, co, pani Joasiu?

Kobieta zerknęła na zegarek.

– Późno już, panie Jarku. Do przyjazdu gości to pan na pewno nie zdąży.

– Ale mogę coś zacząć, pani Joasiu.

Zastanowiła się chwilę, a potem dała mu znak ręką, żeby brał się do roboty. Mężczyzna zaczął więc wybierać ze sterty narzędzia i upychać je sobie w licznych kieszeniach spodni. Wkrótce zniknął w jednym z domków.

– Co to za miejsce? – zapytałem.

– Nie widać? Chcę tu zrobić kemping dla rodzin z dziećmi. Niewielki, bo to jednak mały cypel, ale za to ma bajeczne położenie. Jest plaża, miejsce na pomost z jednej strony i na przystań z drugiej. Szkoda byłoby tego nie wykorzystać.

– Tak. Aż dziw, że nikt tego nie zrobił.

– W latach osiemdziesiątych jedna ze śląskich fabryk zaczęła sobie budować tutaj ośrodek. Stąd sanitariaty i kuchnia z małą jadalnią – wskazała na jednopiętrowy budynek – ale w latach dziewięćdziesiątych fabryka padła i przez długi czas nic się tutaj nie działo.

– Aż pani postanowiła skorzystać z okazji.

Jej wzrok powędrował po terenie, zatrzymując się na dłużej na domkach letniskowych, jakby zastanawiała się, czy podjęła dobrą decyzję.

– Kosztowało to grosze. Więcej wydam na remont.

– Kredyt?

– Tak, ale nie aż tak duży. Przez wiele lat pracowałam w Anglii. Udało mi się sporo zaoszczędzić i pomyślałam sobie, że czas wracać do domu.

– W Anglii? Jak ojciec Aleksandry? – rzuciłem.

Roześmiała się krótko, szyderczo.

– Nieźle pan kombinuje – powiedziała. – Pewnie pan podejrzewa, że to ja jestem tą babką, która go odbiła Uli?

– No cóż... Gdyby tak było, to powinien znajdować się gdzieś w pobliżu, ale nigdzie go nie widzę, więc to raczej nie pani. Chyba że to pan Jarek.

Roześmiała się powtórnie, tym razem szczerze. Udało mi się ją rozbawić. To dobrze, ludzie lubią tych, którzy dają im okazję do śmiechu.

– Nie. To nie pan Jarek. Mąż Uli wylądował w Manchesterze, a ja zaczęłam od Londynu i skończyłam na południu Anglii. Pracowałam najpierw jako kelnerka, potem zaczęłam się w agencji nieruchomości.

– Dlaczego pani wróciła?

Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale zaraz je zamknęła.

– Dobrze się z panem rozmawia – stwierdziła.

– Dziękuję.

– Chodzi mi o to, że jest w panu coś takiego, że aż chce się opowiedzieć historię swojego życia.

– No cóż. Nie wiem, czy mam tyle czasu.

– A ja ciągle nie wiem, kim pan jest i po co przyjechał – zauważyła.

– Przecież już powiedziałem.

– Żeby odnaleźć zabójcę Oli. Kim pan jest? Policjantem? Prywatnym detektywem? Dziennikarzem?

Nie chciałem opowiadać wszystkiego o Czarnym i jego dziwnej prośbie, ale też nie zamierzałem jej okłamywać. Pokiwała głową, jakby moje milczenie stanowiło potwierdzenie którejś z wymyślonych przez nią teorii.

– Powiem panu tak – zaczęła powoli. – Śmierć Oli była dla nas wszystkich wielkim wstrząsem. Nie potrzebujemy nikogo, kto by to rozgrzebywał.

– Nawet jeśli w więzieniu siedzi niewinny człowiek?

– To już sąd ustali – stwierdziła. – Kimkolwiek pan jest, cokolwiek pana tu sprowadza, proszę wracać do domu. Pojutrze przyjeżdżają studenci z Warszawy na imprezę. Mam jeszcze sporo roboty.

Odwróciła się i chciała już odejść, gdy powiedziałem:

– Po drugiej stronie jeziora jest inny kemping.

Zatrzymała się w pół ruchu.

– Tak – przyznała. – Równie niewielki i równie, jeśli nie bardziej, zaniedbany.

– Ale Holendrom to nie przeszkadza – zauważyłem.

Mimowolnie się skrzywiła.

– Tamten kemping należy do mojej matki – rzuciła. – Jeśli chce pan porozmawiać o tym, kto tam mieszka, to proszę gadać z nią.

– Jak ją znajdę?

– To proste. Wystarczy odszukać dom z czerwoną tabliczką „sołtys” przy furtce.

Foka siedziała na ławce na kampusie uniwersyteckim i popijała sojową latte. Czuła równocześnie wstyd oraz wściekłość. Wstyd, bo w ten sposób ona, aktywistka lewicowego kolektywu, wpisała się w ten obrzydliwy stereotyp, a wściekłość, bo wymyśliły go i spopularyzowały te wszystkie bezmózgi z internetu. Wydawało im się, że lewicowcy, tacy jak ona, nie robią nic innego, jak tylko siedzą na Zbawixie i popijają sojową latte. Co było absolutną nieprawdą, bo w jej kolektywie mnóstwo dziewczyn i chłopaków urabiało sobie ręce po łokcie, łącząc kiepsko płatną pracę ze studiami, a do tego działało w wolontariacie na rzecz eksmitowanych lokatorów, mniejszości seksualnych, ofiar przemocy domowej, praw człowieka, pomocy osobom ubogim i wykluczonym oraz setek innych, mało medialnych, ale ważnych tematów. Nie miała pojęcia, jak im się to udaje połączyć. Czasami wydawało jej się, że oni po prostu nie sypiają. Foki to co prawda nie dotyczyło. Nie musiała pracować zarobkowo, bo jej rodzice byli zamożni, ale ona przynajmniej zdawała sobie sprawę ze swojego uprzywilejowania.

A sojowe latte? Cóż, była cholerną weganką, więc co innego miała pić?

Marcelina, która nienawidziła swojego imienia i kazała wszystkim nazywać się Mal, nie miała tego problemu. Piła normalną kawę z normalnym mlekiem, nie przejmując się cierpieniem zwierząt hodowanych na przemysłowych fermach i wpływem tychże na planetę.

Z pobliskiego budynku wyłonił się wreszcie Jacek, pożegnał się z kumplem, przybijając mu piątkę, i ruszył uśmiechnięty w stronę dziewczyn. Mierzył prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów, był krótko ostrzyżony i bardzo dobrze zbudowany. Zazwyczaj chodził w dresach, ale nawet one nie potrafiły ukryć jego umięśnionych pośladków, a obcisłe koszulki podkreślały tors i bicepsy. Był jednym z tych, którzy definiują się przez tatuaże. Nosił je dumnie, odsłaniając, kiedy tylko się dało, żeby wszyscy od razu wiedzieli, do jakiego plemienia należy. Na jednym ramieniu miał panoramę spowitej dymem powstańczej Warszawy, a pod nią wielki znak Polski Walczącej, otoczony polską flagą. Na drugim żyłkę w barwach Legii

z napisem „1916”, na plecach zaś wytatuował sobie sylwetkę ruszającego do boju husarza.

Na jego widok Mał pospiesznie schowała komórkę i odchyliła głowę, czekając na pocałunek. Nie rozczarowała się. Kiedy skończyli się migdalić, Jacek usiadł pomiędzy dziewczynami.

– Sojowa latte? – zapytał Foki, wskazując na trzymany przez nią kubek.

Odpowiedziała, wyciągając w jego stronę środkowy palec. Chłopak tylko się uśmiechnął.

– Jak egzamin? – zapytała Mał, przytulając się do niego.

– Dobrze, ale trudny był. Jakby skurwiel jeszcze chciał nas na poprawce uwalić. Cieszę się, że to już koniec, chociaż wakacje mi tym egzaminem spierdolił. No ale będzie można teraz trochę odpocząć.

– No właśnie, skarbie, co robimy z tymi ostatnimi dniami wakacji?

Jacek spojrzał najpierw na nią, potem na Fokę.

– Słyszałyście o imprezie u Matiego? – zapytał.

– Coś słyszałyśmy, ale tak konkretnie to się nie interesowałam – powiedziała Mał.

– Wynajął jakiś ośrodek gdzieś w Lubuskiem. Zaprasza wszystkich z roku. Ma załatwić browary, kiełbasę, ale nie wegańską...

Foka po raz kolejny pokazała mu środkowy palec.

– No, ogólnie ma być na bogato – podsumował.

– A co, ma urodziny?

– Nie, po prostu jego starzy są kasiaści. Nie tak jak twój, Foka, ale...

Foka nie chciało się po raz trzeci pokazywać Jackowi fucka, więc po prostu uderzyła go łokciem w bok. Chłopak jęknął przesadnie głośno i wtulił się w Marcelinę, jakby szukał u niej pocieszenia. Dziewczyna zaczęła głaskać go po głowie i całować raz za razem. Foka natomiast dopiła swoją latte i poszła wyrzucić kubek do śmietnika.

– Chodzi mi o to – powiedziała, wracając – że jestem ciekawa, po co on to robi. Naprawdę funduje całemu rokowi imprezę na koniec lata?

– No wiesz, luksusów to tam nie będzie – odpowiedział Jacek. – A dlaczego to robi? Bo to Mati. Znasz go przecież.

– Jest dziwny – stwierdziła Foka.

– Nie – zaprotestował. – Mati jest naprawdę spoko. Kilka razy z nim gadałem, pożyczalem od niego notatki. Fajny koleś, tylko taki cichy i zagubiony. Moim zdaniem brakuje mu pewności siebie. Dlatego dwa razy proponowałem mu, żeby pochodził ze mną na siłkę.

– Tam, gdzie chodzisz z kumplami z żylety?

– Aha.

– I jak towarzystwo stadionowych troglodytów miałyby mu pomóc na brak pewności siebie?

Jacek westchnął głęboko.

– I na tym polega problem z wami, lewakami. Pierdolicie dużo o ludzie, prekariacie i o tym, co dla niego chcecie zrobić, ale jak naprawdę spotykacie ten prekariat, to kręcicie nosem, że nie jest taki, jak go sobie wyobrażaliście. Bo prekariat, Foka, chodzi na żyletę, prekariat potem jeździ napierdalać się po lasach, prekariat wreszcie chodzi na siłkę. Z was wszystkich tylko Woś to skumał.

– Spierdalaj mi z Wosiem. To jebany faszysta.

– Socjalista. Ale z mózgiem.

– Socjalista, który wychwalał Trumpa i teraz liże rowa Kaczyńskiemu – odparowała Foka.

Jacek przewrócił oczami.

– Ty na przykład masz wyobrażenie, że na siłce nic innego nie robimy, tylko szprycujemy się sterydami. Byłaś tam ze mną przecież. Widziałaś jakieś?

– Nie – przyznała. – Ale nie wchodziłam do męskiej szatni.

– Tam też żadnych nie znajdziesz – powiedział gorączkowo. – Bo siłka to jest jebana świątynia. Miejsce kontemplacji i medytacji.

– W rytmie chujowej muzyki.

– Bo takiej muzyki słucha klasa ludowa, na którą się tak, kurwa, spuszcacie! Ale tak, to kontemplacja, gdzie jesteś tylko ty i żelazo. I ten moment próby, kiedy mierzysz się ze swoimi słabościami i widzisz, że to, co dla ciebie było niemożliwe jeszcze tydzień, miesiąc wcześniej, nagle przychodzi ci z łatwością. I zacznasz rozumieć, że pokonasz każdą przeszkodę. Dlatego chciałem zabrać Matiego na siłkę. Bo wiem, że w ten sposób zbudowałby pewność siebie, której tak potrzebuje.

Moim zdaniem przynajmniej. Ale nie poszedł – westchnął Jacek. – Szkoda, przecież nie będę go zmuszać, nie?

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Jacek tulił się do Mal i głaskał ją po ramieniu. Foka wyciągnęła twarz do słońca. Ciągle było trochę chłodno, ale miała nadzieję, że jeszcze nieco się opali przed jesienią i wyprodukuje nieco naturalnej witaminy D na zapas.

– Foka? – odezwała się Mal.

– No?

– Ty przecież chodzisz z Jackiem na siłkę... Ile już? Trzy miesiące?

– Pięć – poprawił ją Jacek. – Fajny robi progres.

– No chodzę – przyznała Foka.

– Po co to robisz, skoro uważasz, że tam są sami troglodyci na sterydach?

Dziewczyna zamyśliła się nad odpowiedzią. Prawda była taka, że Jacek miał rację. Poszła z nim raz, żeby mu udowodnić, że jest otwarta na spotkania z ludźmi z innych, obcych jej środowisk. Miało to być jednorazowe wydarzenie, ale się wciągnęła. Było coś przyjemnego w zmęczeniu po treningu. I faktycznie, świadomość, że jej ciało robi się z tygodnia na tydzień coraz sprawniejsze i silniejsze, dobrze na nią działała. No i polubiła przychodzących tam ludzi. Jasne, większość z nich to twardzi prawicowcy, ale przecież podczas treningu o polityce nie rozmawiali. No, tylko że tego wszystkiego w towarzystwie Jacka nie mogła powiedzieć, bo w ten sposób przyznałaby mu rację. Zastanawiała się, jak z tego wybrnąć, gdy z pomocą przyszedł jej sam chłopak.

– Pewnie dla Stana – powiedział i mrugnął do Foki znacząco.

– Kto to Stan? – zainteresowała się Mal.

– Nie mówiłaś Mal o Stanie? – przesadnie zdziwił się Jacek. – Taki jeden facet, z którym Foka bardzo dużo ćwiczy. I pewnie chciałaby poćwiczyć dużo więcej. Co nie, Foka?

Dziewczyna udała zakłopotanie.

– No trochę bym może i chciała – powiedziała cicho. – Ale raczej nic z tego nie wyjdzie.

– Bo to legionista? – prychnął rozbawiony Jacek. – I znowu, to jest wasz problem, lewaki. Niby tacy otwarci, niby tacy tolerancyjni, ale jak przychodzi co

do czego, to wychodzi z was taka pierdolona dulszczyzna.

– Nie – zaprotestowała. – Nie o to chodzi.

– To o co?

– On jest gejem.

Jacek zamarł.

– Co?

– No gejem. Widzę przecież, jak gapi się na twój tyłek. Nie żeby coś chciał z tobą zrobić, ale na pewno lubi sobie popatrzeć.

Chłopak poderwał się z ławki. Lekko poczerwieniał. Chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował i odszedł kilka kroków w bok. Mał tymczasem nachyliła się do koleżanki.

– To naprawdę gej czy go wkręcasz? – zapytała szeptem.

– Wiesz, stuprocentowej pewności nie mam – odpowiedziała Foka – ale jakby okazał się hetero, to bardzo bym się zdziwiła. Poświęca tyłkowi Jacka więcej uwagi niż ty.

Ledwo skończyła mówić, chłopak do nich wrócił.

– Stan nie jest gejem – rzucił odrobinę za głośno. – Wiesz, skąd wiem?

– Skąd?

– Bo jakby był, to właśnie go wyoutowałam. A wy nie wyoutowujecie ludzi. To jest przeciwko waszym zasadom.

– Tutaj akurat są różne szkoły – odparła Foka. – Jasne, outowanie kogoś jest generalnie złe, ale homofoba?

– Nie wiesz, czy Stan jest homofobem.

– Ale funkcjonuje w homofobicznym środowisku. Wyoutowanie go pokazuje, że nawet wśród was są osoby LGBT, a dzięki temu wy się z nimi oswajacie, co z kolei oznacza krok w stronę równouprawnienia mniejszości seksualnych.

– No ale w ten sposób naruszacie prawo do prywatności osób outowanych – zauważyła Mał.

– To prawda – zgodziła się Foka. – Dlatego to budzi kontrowersje w naszym środowisku, ale moim zdaniem...

– Walić to – przerwał jej Jacek. – Nawet jeśli Stan faktycznie jest gejem, to co z tego? Dobrze się napierdala i można na niego liczyć. Może się ruchać, z kim

chce. – Zawahał się. – Byle nie z kibicami Lecha. Tego mu, kurwa, nie daruję.

Foka parsknęła śmiechem. Jacek odetchnął głęboko, a potem sam się uśmiechnął.

– Walić to... – powtórzył już ciszej.

– To co z tą imprezą? – zapytała po chwili Mal.

Foka pomyślała, że Mati jest dziwny. Nie potrafiła tego sprecyzować, ale coś było z tym chłopakiem nie tak. Tyle że to samo, a nawet gorzej, myślała o Jacku, zanim spiknął się z jej przyjaciółką. I o facetach z siłki, zanim zaczęła tam sama chodzić z Jackiem. Może więc Matiemu też należało dać szansę?

– Ja bym pojechała na tę imprezę – powiedziała.

Jacek spojrzał pytająco na Mal, a ta przez moment się wahała, po czym skinęła głową.

– No to postanowione – stwierdził. – Jedziemy do Matiego.

Foka zmusiła się do uśmiechu. Wciąż nie czuła się za dobrze z tą decyzją. Ale potem pomyślała, że co może się stać. W absolutnie najgorszym razie po prostu wypiją kilka piw na koszt rodziców Matiego.

Wróciłem do Wilków i poszedłem do knajpy, żeby zjeść późny obiad. Siedzący tam mężczyźni spoglądali na mnie wrogo, ale najwyraźniej wieść o wydarzeniach spod sklepu zdążyła się rozejść po wsi, bo jedynym aktem agresji, który mnie spotkał, okazały się przypalone frytki i przesolona ryba. Nie byłem zadowolony, jednak jakoś to przeżyłem.

Zjadłem, napiłem się wody mineralnej i zapłaciłem, po czym opuściłem bar U Romana z myślą, że więcej tam nie wrócę.

Na podwórku przed kwaterą stało kilkuletnie, lekko poobijane srebrne subaru forester. Widać było, że właściciel intensywnie z niego korzysta, pokonując lokalne bezdroża. O maskę samochodu opierał się Paweł Kotwica. Na mój widok wyprostował się i założył ręce na piersiach.

– Wydawało mi się, że wczoraj wyraziłem się jasno – powiedział. – Mielicie stąd wyjechać.

– Przerabialiśmy to już pod sklepem. To chyba nie do końca tak działa – odparłem. – Nawet jeśli się jest policjantem.

– A ty skąd niby miałbyś to wiedzieć?

Nie odpowiedziałem. Kotwica zbliżył się do mnie i dźgnął mnie palcem w pierś.

– Wiem, co robiłeś przez cały dzień – stwierdził.

– Naprawdę?

– Jątrzyłeś – warknął. – Grzebałeś w sprawie, która jest już zamknięta. Mieszałeś dobrym ludziom w głowach. Aleksandra Michowska została zamordowana przez Bogdana Traszkę. Wbij to sobie do tego durnego łba i wracaj, skąd przyjechałeś.

Przez chwilę stał ledwo dwa kroki ode mnie, lustrując mnie z góry na dół. Czekał, aż coś zrobię. Byłem pewien, że chciał mnie sprowokować. Liczył na to, że go popchnę lub uderzę, a wtedy będzie mieć pretekst, żeby mnie zatrzymać, skuć i wrzucić na czterdzieści osiem godzin do zimnej celi. No cóż, może takie zagrywki działały na miejscowych łobuzów, ale nie na mnie. Ponieważ nie doczekał się reakcji, pociągnął nosem i splunął mi pod nogi.

Znowu nic.

Prychnął. Odwrócił się i ruszył do swojego samochodu. Opuściłem głowę, żeby sprawdzić, czy nie trafił w moje buty. Nie zrobił tego, ale jeden był rozwiązany. Pochyliłem się, żeby go zawiązać, i przez ułamek sekundy zatrzymałem wzrok na palcach.

Przez cały dzień wiedziałem, że w sprawie Traszki coś jest nie tak, jednak cały czas mi to uciekało.

Aż do tej pory.

– Jak wyglądały jego dłonie? – zapytałem, podnosząc się z ziemi.

Kotwica zatrzymał się przy otwartych drzwiach.

– Co takiego?

– Jak wyglądały jego dłonie? – powtórzyłem, wyciągając swoje w jego stronę. – Aleksandra Michowska została pobita na śmierć. Ktoś ją dosłownie zmasakrował, uderzając raz za razem. Ja jestem przyzwyczajony, mam twardą skórę, a poza tym wiem, jak uderzać, żeby nie zrobić sobie krzywdy, ale i tak po starciu z tymi trzema debilami zostały mi obtarte kłykcie. Jeśli Traszka ją zabił, jego ręce wyglądałyby strasznie. Pełne strupów, z popękaną skórą, posiniaczone. Nie zdziwiłbym się, gdyby były też opuchnięte, bo bijąc Aleksandrę z taką siłą, mógł sobie coś złamać lub uszkodzić. Stąd moje pytanie: jak wyglądały jego dłonie?

Na twarzy Kotwicy dostrzegłem zmieszanie. Może był niesympatycznym facetem, może przyszedł tu w złych zamiarach, ale najwyraźniej był uczciwy. Nie chciał mnie okłamywać, po prostu była to ostatnia, a na pewno nie pierwsza możliwość, jaka przyszła mu do głowy. Szukał wyjaśnienia, tylko nie potrafił go znaleźć.

– Jeśli naprawdę ją pobił, na jego dłoniach, pod paznokciami, na skórze i ubraniach powinniście znaleźć drobinki jej krwi, włosy, komórki naskórka. Znaleźliście? – dopytywałem, chociaż znałem odpowiedź. Gdyby cokolwiek znaleźli, przeczytałbym o tym w aktach.

– Miał czas, żeby się wyczyścić i pozbyć ubrań – powiedział.

– Wątpię. Przy dzisiejszej technice kryminalistycznej nie da się pozbyć wszystkiego. Nie w tak krótkim czasie.

– Jesteś ekspertem w tej kwestii?

– To nie ma znaczenia. Rzecz w tym, że daliście ciała.

– W jego domu znaleźliśmy jej zakrwawione ubranie.

Tak, pamiętałem o tym. Pamiętałem też, jak wyglądała jego piwnica. I hałdę węgla, gdzie niby ukrył ubranie Aleksandry. Hałdę tuż pod uchylonym oknem.

– Dopiero za drugim przeszukaniem – przypomniałem mu. – Ktoś mógł je tam podrzucić. To nie byłoby trudne. Dom stoi w lesie, na uboczu. Na pewno nie pilnowaliście go dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ktoś tam się podkradł, zostawił dowód i uciekł.

– Traszka nie miał alibi.

Roześmiałem się.

– Ktoś taki jak on? Zdziwaczały facet, który przez lata mieszkał z matką, bez żadnych przyjaciół i znajomych? Podejrzane byłoby, gdyby jakieś miał.

– Opowiadał, że oglądał telewizję, a on nawet...

– Nie miał telewizora – dokończyłem za policjanta. – Wiem o tym. Tylko to nic nie znaczy. Próbował znaleźć sobie alibi i wpadła mu do głowy ta telewizja. A może naprawdę robił coś, do czego wstydził się przyznać. Pił lub masturbował się cały wieczór. To nieistotne.

– Znaleźliśmy ją w jego łodzi.

– I tylko tyle. To wasz jedyny twardy dowód, ale znowu: to nic nie znaczy. Powiem ci, co się stało tamtej nocy. Ktoś ją spotkał w lesie, zaatakował, zakatował na śmierć, a potem przerażony tym, co zrobił, wsadził na łódź, która przypadkiem należała do Traszki, podpalił i wypchnął na środek jeziora. Liczył na to, że ciało i łódka zatoną. Nie przewidział, że ogień zgaśnie, a łódka utrzyma się na powierzchni. Następnego dnia, kiedy ją odnaleźliście, od razu poszliście do Traszki, bo to było najłatwiejsze. Mieszkał blisko, miał reputację gwałtownika, a ciało leżało w jego łodzi. I pozornie wszystko się zgadza, ale tak naprawdę nic nie ma sensu. Chociażby pierwsze i podstawowe pytanie: dlaczego miały ją zabijać?

– Takie rzeczy się zdarzają – odpowiedział z kamienną twarzą Kotwica.

– Tak – zgodziłem się – ale zazwyczaj nawet pod tymi najbardziej bezsensownymi mordami kryje się jakaś historia. Jaka jest tutaj? Żeby coś takiego zrobić drugiemu człowiekowi, trzeba go naprawdę nienawidzić albo wmówić sobie, że reprezentuje coś, czego się nienawidzi. I to nie może być zwykła złość.

Nie, to uczucie hodowane głęboko we wnętrzu latami, pielęgnowane starannie urazy, a Traszka...

– Nie znasz go.

– Nie, ale wydaje mi się, że to furia, prawda? Wybucho raz za razem, sprawia problemy, czasami wdaje się w bójkę. Ale wiesz co? Ponieważ to z siebie regularnie wyrzucał, nie miał w sobie dość nienawiści, żeby zrobić coś takiego Oli Michowskiej. Nie byłby po prostu w stanie. Uderzyć ją, popchnąć, zrobić krzywdę, gdyby go wkurzyła – tak, ale nie zabić. Nie w ten sposób.

– Jesteś jakimś psychologiem? – zapytał z krzywym uśmiechem.

– Znam się na ludziach. I wiem, że spieprzyliście to śledztwo. Wsadziliście do więzienia niewinnego człowieka.

Kotwica zacisnął palce na krawędzi drzwi subaru, a potem wskoczył do środka i je zatrzasnął. Uruchomił silnik i ruszył gwałtownie, ale przejechał zaledwie kilka metrów i zatrzymał się tuż przy mnie. Opuścił szybę.

– Traszka ją zamordował – powiedział. – Ile byś się nie nagadał, on to zrobił. I nic się nie zmienia. Lepiej by było, gdybyś stąd wyjechał.

Nacisnął pedał gazu i zaraz zniknął za bramą. Nie byłem pewien, co o nim myśleć. Wkurzyłem go, to jasne, po raz kolejny zresztą, ale teraz złościł się bardziej na siebie niż na mnie. Irytowało go to, że czuł przymus, by się przede mną tłumaczyć. A czuł go, bo wiedział, że coś w tej historii się nie zgadza. Tyle że to nie wszystko. Nie pasowało mu też, że grzebię w jego śledztwie. To naturalna reakcja każdego policjanta, jednak on zachowywał się wrogo wobec mnie i Czarnego, jeszcze zanim dowiedział się, dlaczego tutaj przyjechaliśmy. W Wilkach zdecydowanie działo się coś, co wykraczało poza sprawę Aleksandry.

Wszedłem do domu. W środku, na klatce schodowej, w otwartych drzwiach do swojego mieszkania stała właścicielka pensjonatu.

– To jednak pan wyjeżdża – stwierdziła.

– Nie.

– Nie? – zdziwiła się. – Przecież komisarz Kotwica panu kazał.

Ona też chciała, żebym się stąd wyniósł. Tego także nie potrafiłem zrozumieć. Bo w jednym policjant miał rację: do Wilków wcale nie waliły tłumy, a ja byłem tutaj jedynym turystą. Dlaczego tak ochoczo chciała zrezygnować z możliwości zarobku?

– Kiedy ostatni raz posłuchałem kogoś wyższego ode mnie stopniem, zginęli ludzie – odpowiedziałem jej szczerze. – Nie zamierzam znów popełnić tego błędu.

Postanowiłem zdrzemnąć się trochę. Miałem nadzieję, że w ten sposób odpocznę, oczyszczę głowę, a kiedy wstanę, będę mieć nowe pomysły. Ale tak się wcale nie stało. Obudziłem się, gdy na dworze zapadły już ciemności. Przez chwilę leżałem na łóżku, zastanawiając się, czy dać już sobie dzisiaj spokój. Była jednak jeszcze jedna rzecz, którą chciałem sprawdzić.

Wstałem, obmyłem twarz i wypłem kilka łyków wody, a potem ubrałem się szybko w ciepłą bluzę i wełnianą czapkę. Wyszedłem, nie robiąc zbędnego hałasu, bo właścicielka agroturystyki z pewnością informowała kogoś o każdym moim kroku. Najprawdopodobniej Kotwicę. Nie chciałem jej ułatwiać zadania. Drzwi od mieszkania na dole były zamknięte, ze środka dochodziły dźwięki włączonego telewizora.

Ruszyłem lekkim truchtem przed siebie. Minąłem bar U Romana, opuściłem Wilki i skierowałem się w stronę przystani, gdzie znaleziono ciało Aleksandry. Kiedy tam dotarłem, wszedłem na pomost i przyklęknąłem.

Byłem tutaj co prawda rano, ale chciałem zobaczyć to miejsce w nocy, bo to przecież wtedy doszło do zabójstwa. Musiałem zastanowić się, czy czegoś nie przeoczyłem, i spróbować znaleźć odpowiedź na pytanie, co, do diabła, robiła tu o tej porze dziewczyna.

Powiedziała matce, że idzie na spacer. Tylko dlaczego wybrała akurat to miejsce? Było tutaj ciemno, w gruncie rzeczy dość nieprzyjemnie, las gęsty, a ścieżka prowadząca wzdłuż jeziora zarośnięta. Trzeba było uważać, żeby nie wbić sobie gałęzi w oko, nie zadrapać się ani nie skrócić kostki na jakimś wystającym korzeniu. Nie, nie przyszłaby tu na spacer. Gdyby nawet chciała być sama, żeby coś przemyśleć, wybrałaby się gdzie indziej.

Zginęła tutaj. Według akt przy pomoście znaleziono jej krew i wybity ząb, a także miejsce, gdzie upadła. Przez wiele dni nie padało, ziemia była twarda, nie zachowały się więc żadne odciski butów. Wokół śmierdziało benzyną. Policjanci postawili tezę, że Traszka najpierw oblał nią ciało, a dopiero potem przeniósł je na łódź i dlatego psy nie złapały tropu. Swoje zrobili też gapie – zanim dotarła tu

policja, zważyło się pół wsi. Przecież zaczęli jej szukać już rano, kiedy matka zorientowała się, że dziewczyna nie wróciła do domu. Grupki miejscowych chodziły po lesie, ktoś zauważył łódź i ściągnęli ją na brzeg, do pomostu. Dopiero wtedy zorientowali się, że w środku jest zwęglone ciało.

Co Aleksandra tutaj robiła? Jak znalazła się tutaj w nocy? Jej matka wspominała o Holendrach. Spojrzałem na drugi brzeg, na światła znajdującego się tam obozowiska. Tym razem nie puszczali głośnej muzyki. Ścieżka wokół jeziora była do nich najkrótszą drogą, tyle że Ola zginęła tutaj. Dopiero kiedy szła do Holendrów czy kiedy stamtąd wracała?

Nie znałem jeszcze odpowiedzi na to pytanie.

Traszka. Co on miałby tu robić o tej porze? Nie mogłem wykluczyć, że chciał sobie powędkować. Aleksandra przechodziła obok, roześmiała się lub puszczała głośno muzykę z telefonu, a on zdenerwował się, że płoszy mu ryby, i tak od słowa do słowa doszło do tragedii. Potrafiłem sobie wyobrazić taki scenariusz. Nie wierzyłem jednak, że Traszka próbował potem spalić własną łódź. Widziałem jego dom – to ubogi człowiek, nie posiadał nawet telewizora. Łódka stanowiła istotny, być może najważniejszy po domu składnik jego majątku. Nie zniszczyłby jej w tak lekkomyślny sposób. Jeśli już, to zapakowałby ciało Aleksandry do worka, obciążył je kamieniami i wyrzucił do wody, a następnego dnia najprawdopodobniej do wszystkiego by się przyznał, dręczony wyrzutami sumienia.

Aleksandra zatem szła lub wracała od Holendrów. Kogoś tutaj spotkała. Swojego mordercę? Czekał tu na nią? Jeśli tak, to zapewne nie była przypadkową ofiarą. Podrapałem się po głowie. Nigdy nie byłem śledczym. W co Czarny mnie wpakował i jak niby miałem sobie z tym poradzić?

Nagle na ścieżce od strony Wilków dostrzegłem pojedyncze światło latarki. Nie próbowałem się schować, ale też nie zrobiłem nic, żeby dać znać o swojej obecności – po prostu tam stałem.

Wkrótce usłyszałem kroki, a zaraz potem przy pomocy pojawiła się drobna sylwetka.

– Dokąd idziesz? – zapytałem.

Zatrzymała się, wydała cichy przestraszony okrzyk i skierowała w moją stronę światło latarki. Oślepiła mnie, więc zasłoniłem oczy przedramieniem. Ruszyłem w jej stronę i zanim zdążyła zareagować, chwyciłem za latarkę. Nie wyrwałem jej

jednak, tylko skierowałem promień w bok. I wtedy poczułem mocny zapach kwiatowych perfum.

– Cześć, Emilio – powiedziałem.

– Niech mnie pan puści.

– Nie trzymam cię przecież. Ale ostrzegam – dodałem, kiedy dostrzegłem ruch jej ramienia – jeśli jeszcze raz mnie oślepiasz, to zabiorę ci tę latarkę.

– Niech mi pan da spokój!

Bała się. Słyszałem to w jej głosie. Nic dziwnego, byliśmy w końcu w miejscu, gdzie zginęła Ola, sami, po zmroku. Oczywiście zdawała sobie sprawę, że to nie ja jestem mordercą. Nie było mnie przecież wtedy w Wilkach, nawet nie wiedziałem, że taka miejscowość istnieje. Niemniej ludzki umysł nie działa w takich sytuacjach racjonalnie.

– Najpierw powiesz mi, dokąd idziesz. Do tych Holendrów? Tamtej nocy też poszłaś ich odwiedzić z Aleksandrą?

– Niech mi pan da spokój! – powtórzyła, próbując gniewem przykryć strach. – Nie wie pan, kim jest mój ojciec.

– Paweł Kotwica, policjant. To twój ojciec, prawda?

Zdębiała.

– Wie pan? Skąd?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiedziałem. Prosta eliminacja. Skoro straszysz mnie ojcem, to musi być kimś ważnym, a nikt nie wspomniał mi o żadnym miejscowym przedsiębiorcy, gangsterze czy wpływowym polityku. Oczywiście może ktoś taki tu mieszka, a ja po prostu o nim nie słyszałem i dlatego Paweł Kotwica to był pierwszy strzał. Rzecz w tym, Emilio, że zdążyłem poznać twojego tatę. Nie powiedziałbym, że jesteśmy przyjaciółmi, ale to akurat wiem: nie byłby zachwycony na wieść, że włóczysz się po nocy sama po lesie. I że kumplujesz się z Holendrami z drugiej strony jeziora.

Trafiłem celnie. Moje słowa zrobiły na niej takie wrażenie, że aż latarka wypadła jej z ręki. Wyłączyła się, uderzając o ziemię, i wokół zapadły ciemności. Dziewczyna schyliła się błyskawicznie, podniosła ją i znowu włączyła. Przez moment widziałem jej pobladłą twarz.

– Ciekawe, że w ogóle udało ci się wymknąć z domu. – Zastanowiłem się przez moment, próbując sobie przypomnieć Kotwicę. Miałem wrażenie, że nie nosił obrączki. – Twoi rodzice się rozwiedli, prawda? Oboje mieszkają w Wilkach. Pewnie napisałaś mamie, że nocujesz dzisiaj u taty, tacie, że u mamy, a potem wślizgniesz się do jednego z nich?

Mimowolnie skinęła głową.

– Niech mu pan nie mówi – powiedziała szeptem. – Proszę... On mi zabronił tam chodzić. Już dawno temu. Jeśli się dowie, że kiedykolwiek tam byłam, to... – Nie dokończyła.

– To po co tam chodzisz?

Zachichotała nerwowo.

– A co innego można tu robić? – zapytała w odpowiedzi. – Poza tym mają dobrą trawę.

Nie mówiła mi całej prawdy.

– Jest tam jakiś chłopak, ktoś, kogo lubisz.

– Może.

– Emilia, daj spokój. Nie jestem twoim ojcem ani twoją matką. Nie interesuje mnie kwestia twojego życia uczuciowego ani seksualnego. Możesz się pieprzyć ze wszystkimi Holendrami, naprawdę mam to gdzieś.

– Nie pieprzę się z nimi – zaprotestowała.

– Raz jeszcze: nic mnie to nie interesuje. Jest tam chłopak.

– Tak – przyznała wreszcie. – Jayden. Starszy, ale fajny. Powiedział, że kiedyś zabierze mnie do Holandii, znajdzie mi pracę u kolegi, żebym sobie mogła w wakacje dorobić. Poza tym gra na gitarze i jeździ na motorze.

– Pewnie mówi ci, że jesteś bardzo mądra i że nigdy nie spotkał tak dojrzałej dziewczyny w tym wieku.

– Skąd wiesz?

– Bo takie rzeczy starsi faceci mówią takim młodym dziewczynom jak ty, kiedy chcą im się dorwać do majtek.

– Jayden taki nie jest! – zaprotestowała gorączkowo.

– Tak. On na pewno jest wyjątkowy – zgodziłem się.

Trochę było mi jej żal. Wiedziałem już, jak ta historia się skończy. Jayden w końcu się nią znudzi i zostawi, wyjedzie do Holandii, gdzie zapewne ma żonę i dzieci. Przestanie odbierać telefony i znajdzie sobie nową zabawkę. Tyle że Emilia miała już naście lat, zakochała się i żadne ostrzeżenia by jej nie przekonały, a już na pewno nie wygłoszone przez zupełnie obcego faceta. Czeka ją przykra lekcja i będzie musiała odrobić ją sama.

– Byłaś tam wtedy? Poszłyście z Aleksandrą do Holendrów? – zapytałem.

– Tak – przyznała po chwili. – Byłyśmy tam razem.

– Po co?

– No ja poszłam do Jaydena, a Ola... no bo... no bo... tutaj naprawdę nie ma co robić.

– Co tam robiłyście?

Początkowo nie odpowiedziała. Nerwowo to zapalała, to gasiła latarkę.

– Emilio...

– No ja poszłam z Jaydenem do jego przyczepy, żeby... żeby...

Domyśliłem się po co. I domyśliłem się, że nie chce mi się do tego przyznać. Postanowiłem jej pomóc.

– A Ola? Co się z nią stało?

– No potem mi powiedzieli, że trochę z nimi posiedziała i poszła do domu.

– Tak po prostu?

– No tak. Nudziło jej się.

– Często zostawiałaś koleżankę samą w tym obozowisku?

– Oni nic jej nie zrobili! – wykrzyknęła.

– A ty jak wróciłaś do domu? – zapytałem, zmieniając temat.

– Jayden mnie odwiózł. Nie pod sam dom. Do Wilków tylko i potem sobie doszłam.

Jeśli dziewczyna mówiła prawdę, to wracała inną drogą niż Ola. Nie przechodziła obok pomostu, nie spotkała więc zabójcy ani nie mogła mi powiedzieć niczego ciekawego. Próbowałem sobie wszystko ułożyć w głowie. Tamtej nocy Emilia i Ola odwiedziły Holendrów. Emilia zniknęła z Jaydenem w jego przyczepie. Może się tam migdalili, może zrobiła mu dobrze ręką albo poszli na całość – nieważne. Ważne, co się stało z Olą. Czy coś złego wydarzyło się

w obozowisku? Jeden z nich postanowił się zabawić z dziewczyną, tak jak Jayden zabawiał się z jej koleżanką, i sprawy wymknęły się spod kontroli? Nie mogłem tego wykluczyć, ale czułem, że to mało prawdopodobne. Gdyby to się stało tam, po drugiej stronie jeziora, nie przenieśliby jej ciała tutaj, nie wsadziliby do łódki i nie podpalili. To byłoby zbyt czasochłonne, ryzykowne i skomplikowane – wymyśliliby coś innego. Może więc Ola faktycznie opuściła obozowisko, a ktoś stamtąd poszedł za nią i dopadł ją tutaj, koło pomostu. Tak, to było prawdopodobne.

– Nie pomyślałaś, żeby komuś o tym opowiedzieć? – zapytałem.

– Po co? Przecież go złapali.

Mówiła o Traszce. I mówiła szczerze. Naprawdę była przekonana, że to on zabił Aleksandrę. Pewnie chciała w to wierzyć, bo dzięki temu nie musiała się przyznawać do tego, co naprawdę robiły tamtej nocy. Zastanawiałem się, czy ma jakiegokolwiek wyrzuty sumienia. Czy przyszło jej do głowy, że gdyby nie zostawiła koleżanki starszemu Holendrowi, to Ola może ciągle by żyła?

– Nie powie pan o tym tacie?

– Nie – odparłem po krótkim namyśle. – Ale tylko pod warunkiem, że ty też nikomu nie wspomnisz o naszej rozmowie. Zgoda?

Pokiwała energicznie głową. Zrobiła się nagle bardzo radosna i przez chwilę obawiałem się, że rzuci mi się na szyję.

– To mogę iść? – zapytała.

– Możesz robić, co chcesz. Tylko powiedz mi, czy to ty zostawiasz tutaj białe lilie.

– Lilie? – powtórzyła za mną zdziwiona. – Nie.

Wróciłem na pomost. Toń jeziora była cicha i spokojna. Chmury wreszcie odsłoniły księżyc i zrobiło się trochę jaśniej. Emilia ruszyła dalej ścieżką do obozowiska Holendrów.

– Powinnaś posłuchać ojca i trzymać się od nich z daleka! – krzyknąłem za nią. Zatrzymała się. Odwróciła.

– Może i tak, ale tutaj naprawdę nie ma co robić – odpowiedziała.

Po kilkunastu minutach dostrzegłem słabe światło jej latarki na drugim brzegu.

Matiego obudził ojciec. Wparował do pokoju tak, jakby wchodził do siebie, trzasnął drzwiami i kopnął leżące na podłodze ciuchy.

– Wstawaj, Mateusz, wstawaj! Późno już jest! – krzyczał, klaskając głośno w dłonie.

Chłopak otworzył oczy, podniósł się na przedramionach, a kołdra zsunęła się, odsłaniając jego blady tors.

– Co jest? – wymamrotał.

– Nowy dzień jest, Mateusz! – Entuzjazm ojca był nieprzyjemny i natarczywy. Nie tyle podnosił na duchu, ile dołował i doprowadzał do szału. – Marnujesz czas, śpiąc nie wiadomo do której! A ja już byłem biegać.

Ojciec faktycznie miał na sobie spodnie od dresu i przepoconą koszulkę. Na przegubie lśnił czarny smartwatch sportowej marki.

– Co tu tak śmierdzi?– zapytał nagle.

– Słucham?

– Śmierdzi coś tutaj. Co to może być?

– Twoja koszulka?

Ojciec posłał mu takie spojrzenie, jakby zamierzał go uderzyć. Kiedyś by to zrobił. Gdy Mati był mały, często obrywał. Nigdy mocno. Najpierw w tyłek, potem w głowę, kilka razy niespodziewanie w twarz. Jakiś czas temu ojciec jednak przestał, chociaż nie miało to wielkiego znaczenia, bo i tak potrafił go poniżyć na wiele różnych sposobów.

– Coś innego – powiedział zirytowany. – Nie fajami, nie marychą, nawet nie wódką. Jakby tu coś gniło. Ty tu w ogóle wietrzysz?

Potem bez pytania o pozwolenie odsłonił zasłony, wpuszczając do środka ostre promienie wrześnieego słońca, a następnie otworzył szeroko okno. Od razu zrobiło się chłodniej i Mati podciągnął kołdrę aż po samą szyję.

Ojciec stanął na środku pokoju. Chwycił się pod boki i zaczął wciągać nosem powietrze. Nozdrza drgały mu przy tym jak psu węszącemu za suką z cieczką.

– Ciągłe śmierdzi – stwierdził. – Co tu tak wali?

Zanim Mateusz zdążył odpowiedzieć, ojciec otwierał już po kolei wszystkie szafy i wysuwał szuflady. Aż wreszcie otworzył i tę, w której znajdował się pistolet. Podniósł leżącą tam koszulkę, przyłożył ją sobie do nosa i na chwilę jego wzrok zatrzymał się na pudełku z bronią.

Mati poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Był pewien, że ojciec wyciągnie teraz pudełko, otworzy je i zobaczy, co jest w środku. I to będzie koniec. Bo albo od razu wszystkiego się domyśli, albo zacznie cisnąć go tak długo, aż syn wyzna całą prawdę. Tak czy siak, było już po sprawie. I to jeszcze zanim cokolwiek się zaczęło.

Ale nie. Ojciec przestał wachać koszulkę, wrzucił ją z powrotem i zasunął szufladę, uderzając w nią biodrem. Przez chwilę wędrował jeszcze po pokoju wzrokiem, szukając źródła zapachu, wreszcie jednak machnął ręką zrezygnowany.

– Może jakaś mysz zdechła w ścianie – powiedział. – Ale i tak powinienes tutaj posprzątać. I na pewno wywietrzyć. A przede wszystkim przestać marnować czas. Jesteś młody, Mateusz! Wykorzystaj ten czas! Ucz się! Zdobywaj nowe umiejętności, znajomości, zbieraj doświadczenia! A w najgorszym razie pij, pal i ruchaj! A nie że grasz tylko na tym komputerze! Do której wczoraj siedziałeś?

Chłopak nie chciał się przyznawać, że położył się spać po trzeciej. Nie chciał też jednak kłamać, bo kiepsko mu to wychodziło. Kiedy ściemniał ojcu, jego głos zawsze robił się cienki, piskliwy, czasami się łamał. Ojciec go onieśmiał i aż dziw, że tak rzadko zwracał na to uwagę. Pewnie dlatego, że tak naprawdę wcale nie zależało mu na synu. Zresztą dlaczego miałoby? Mateusz był przecież przegrywem, kiepskim losem w genetycznej loterii. Rozczarowaniem, które należało jak najszybciej wypchnąć z gniazda.

– Robimy przecież imprezę – powiedział, zmieniając temat i uciekając w ten sposób od niewygodnego pytania.

– No tak... robicie – szepnął ojciec, jakby właśnie sobie o tym przypomniał. – I tam sobie zaruchasz?

Pytanie było zadane tak lekko i nonszalancko, jakby właśnie rozmawiali o pogodzie albo o tym, czy Mateusz kupił chleb i bułki. I także z tego powodu zabolalo mocniej niż te wszystkie klapsy i policzki sprzed lat.

– Tak – wymamrotał chłopak.

– No to ma sens, synu. Koniec lata, impreza, zabawa, romantyczna okolica. Dobre okoliczności przyrody, żeby wyrwać łaskę. Jak ona ma na imię?

– Kto?

– Ta dziewczyna, którą chcesz wyrwać. No bo przecież masz już jakąś na oku, prawda?

Gorączkowo starał się sobie przypomnieć imiona dziewczyn z roku.

– Foka – wypalił. Sam nie wiedział, dlaczego to właśnie ona jako pierwsza przyszła mu do głowy.

– Foka? To imię?

– Nie. Ksywka.

– Ksywka. No jasne. Przez chwilę myślałem, że jakieś imię. Macie w końcu teraz tego Erasmusa. Zastanawiałem się, czy to nie jakieś zagraniczne. A jak naprawdę się nazywa?

Mateusz wzruszył ramionami. Ojciec uśmiechnął się szeroko.

– Jasne, jasne. To nie jest przecież najważniejsze. – Podrapał się po brodzie. – Ma chłopaka?

– Chłopaka? – zdziwił się Mati. – Ale jak to? To by przecież znaczyło, że jest zajęta.

– Oj, daj spokój – powiedział ojciec i mrugnął porozumiewawczo okiem. – Przecież wiesz, że nie ma takiego wagonu, którego nie dałoby się odcepić.

Aż go zatkało. Ojciec przecież doskonale wiedział, jak Mateusz wygląda i że w niczym nie przypomina chada. Jeśli już, to on był tym, komu odbiera się dziewczyny (gdyby w ogóle jakąś zdobył), a nie tym, który odbiera je innym. Ojciec mógłby sobie darować te drwiny.

– Nie ma chłopaka – odpowiedział, chociaż nie był pewien, czy to prawda.

– Foka, Foka... A co lubi ta dziewczyna?

– Ona... Takie tam rzeczy... alternatywne.

– Alternatywne?

– Aha.

Ojciec zamyślił się na chwilę.

– Jakbyś chciał, to mogę podzwonić po znajomych, znaleźć ci bilety na jakiś koncert, wystawę czy co ją tam kręci.

– Daj spokój, tato.

– Mateusz, ja ci po prostu chcę pomóc – zapewnił ojciec. – Powiem ci szczerze, synu, że trochę się już o ciebie martwiłem. Za dużo czasu spędzasz przy komputerze. Ja wiem, że to ważne, że macie tam to swoje wirtualne życie, ale real przecież też istnieje i trzeba żyć tu i teraz. Dlatego tak się ucieszyłem, że zdecydowaliście się zrobić tę imprezę. Chociaż nie spodziewałem się po was takiej odwagi, takiego rozmachu i szaleństwa. I rzecz w tym... – zawiesił głos, żeby usiąść na skraju łóżka – ...że chcę ci pomóc, Mati. Dlatego jeśli będziesz miał jakieś pytania, wątpliwości, jak postępować z dziewczynami, jak je zaskoczyć i sprawić, żeby trochę przychylniej na ciebie popatrzyły, to po prostu przyjdź do mnie i zapytaj. Dobra?

– Dobra, tato.

– No jasne, że dobra. Bo przecież po to jest ojciec, nie? – Poklepał go po gołym ramieniu i wstał.

– Tato, skoro chcesz nam pomóc...

– No?

– To może jednak pojedziesz i zostawisz nas samych. Poczujemy się trochę swobodniej, no i będzie łatwiej... – Przełknął ślinę z nerwów. – Łatwiej będzie dziewczyny tutaj sprowadzić.

Przez chwilę wydawało się, że ojciec zastanawia się nad jego propozycją, ale ten głęboko wciągnął powietrze i skrzywił się, zde gustowany.

– Jeśli chcesz tutaj sprowadzić dziewczynę, to najpierw porządnie wywietrz i pozbądź się tego smrodu. Bo choćby nie wiem, jak napalona była, to jeśli tylko poczuje ten smród, zaraz jej przejdzie. No, a teraz wstawaj, ubieraj się i schodź na śniadanie. Szkoda dnia.

Ojciec wreszcie wyszedł z pokoju, a Mati westchnął z ulgą. Zmusił się do tego, żeby zwlec się z łóżka, i spojrzął na zegarek. Dochodziła dopiero siódma. Jęknął cicho. Spał niecałe cztery godziny.

Kiedy otworzyłem, Kotwica stał po drugiej stronie z zawieszoną wysoko w powietrzu zaciśniętą pięścią, którą właśnie miał załomotać w drzwi.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał.

– Twój samochód głośno pracuje. Słyszałem go już wtedy, kiedy wjeżdżał na podwórko, a ty niespecjalnie próbowałeś się skradać po schodach – wyjaśniłem i wpuściłem go do środka.

Policjant rozejrzał się szybko, ale uważnie. Próbował się czegokolwiek o mnie dowiedzieć, analizując przedmioty w pomieszczeniu. Cóż, niewiele mu to dało. Moje rzeczy były spakowane w torbie, bo lubię być zawsze gotowy do drogi. Łóżko posłałem, śmieci wyrzuciłem, bo cenię porządek. W sumie, nie licząc mojego bagażu, pokój wyglądał tak, jakby nikt w nim nie mieszkał.

– W czym mogę pomóc? – zapytałem.

Kotwica chrząknął, a potem podrapał się kciukiem po górnej wardze. Ciągle jeszcze się wahał.

– Miał spracowane dłonie faceta, który całe życie robił fizycznie – odezwał się wreszcie, podjąwszy decyzję. – Twarde. Pokryte odciskami i rankami. Ale bez otarć na kostkach i bez siniaków. Nic mu też nie spuchło.

– Tak myślałem.

– To jeszcze nie dowód, że on tego nie zrobił – zastrzegł.

– Ale pomimo tego przyszedłeś tutaj, żeby mi o tym powiedzieć.

Uśmiechnął się lekko.

– Kim ty jesteś? – zapytał.

– A jakie to ma znaczenie?

– Wiesz, że mogę cię teraz wylegitymować.

– Może być trudno, bo nie wiem, gdzie mam dowód.

Kusiło go, żeby mnie sprawdzić, postawić na swoim. Nie zrobił tego, czym mi trochę zaimponował. Schowanie swojego ego, żeby osiągnąć ważniejszy cel, to

rzadka umiejętność.

– Nie mieliśmy żadnego innego podejrzanego – stwierdził.

– Rozumiem.

– Według jej matki Ola poszła do obozu Holendrów. Poznałeś ich już?

– Pobieźnie – przyznałem. – Co to za jedni?

– Przyjechali tutaj ze dwa lata temu i wynajęli cały kemping po drugiej stronie jeziora. To stary, zaniedbany ośrodek. Jakoś tam funkcjonował przez lata, ale na granicy opłacalności. Dla właścicielki to było jak zbawienie. Interes, do którego właściwie musiała dokładać, nagle zaczął jej przynosić spory zysk. I to w euro.

– Ilu ich tam mieszka?

Zastanowił się.

– Na stałe? Pięciu, sześciu. Ale oni się zmieniają. Przyjeżdżają, wyjeżdżają, pojawiają się ich dziewczyny i dzieci, potem znikają. Nie kontrolujemy tego, bo nie sprawiają nam żadnych kłopotów.

– Co oni tutaj właściwie robią? Z czego żyją?

– Podobno z tego, co zarobią w Holandii. Jeżdżą tam do roboty na miesiąc, dwa, trzy, a potem tutaj wydają. Jak kasa się skończy, wracają do pracy. Twierdzą, że u nas jest tańsze życie. I mają przecież rację.

Stąd do holenderskiej granicy było jakieś osiemset kilometrów, czyli autostradami i drogami szybkiego ruchu koło ośmiu godzin. Patrząc na to w ten sposób i porównując koszty życia, ta historia faktycznie miała sens. Nie dziwiłem się, że Kotwica chętnie w nią uwierzył. Wilki to mała miejscowość. Pojawienie się w niej grupy Holendrów, którzy chętnie wydają swoje pieniądze i do tego nie sprawiają kłopotów, było jak wygrany los na loterii. Ich euro zasilalo kieszenie właścicielki kempingu, właścicieli sklepu spożywczego i wreszcie miejscowego baru. Wszyscy byli zadowoleni.

– Rozmawialiście z nimi po zamordowaniu Aleksandry? – zapytałem.

– Oczywiście – odpowiedział, lekko zirytowany. – Ich odwiedziliśmy niemal na samym początku. Twierdzili, że tamtej nocy nie widzieli dziewczyny.

– To dlatego, że hodują tutaj marihuanę.

– Co takiego?!

– Hodują tutaj marihuanę. Potem ją suszą i zapewne wywożą do Holandii, żeby tam sprzedać, albo mają jakiegoś kupca w Niemczech. Faktycznie zarabiają na różnicy w kosztach, ale w zupełnie inny sposób, niż myślisz.

Kotwica aż poczerwieniał.

– Skąd wiesz? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

– Byłem wczoraj w domu Traszki.

– Włamałeś się?

– Poszedłem tam w odwiedziny. Na strychu znalazłem sporo suszącego się zioła. Najwyraźniej zbiory były na tyle bogate, że skończyło im się miejsce w normalnej suszarni i potrzebowali nowego.

– To niemożliwe – stwierdził.

– Bo?

– Sprawdzalem ich. Holendrzy, którzy przyjeżdżają do Polski, i marihuana to dość oczywiste skojarzenie. Wystąpiliśmy o to, żeby zbadać pobór energii na kempingu.

– I co?

– I wzrosło, bo tam zamieszkali, ale nie aż tak, żeby budziło to podejrzenia.

– Byłem w tym domu. Widziałem suszącą się marihuanę – powtórzyłem spokojnie.

– Może nie należała do nich?

– No cóż, zamontowali tam urządzenia alarmowe. Pojawili się wkrótce po moim wejściu do budynku. Trzech facetów w samochodzie na holenderskich rejestracjach. O ile nie macie tutaj innych zagranicznych gości, to byli oni.

Zrobił kilka kroków najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Chwycił się za głowę.

– Sprawdzę to – odezwał się po chwili.

– Sprawdź – powiedziałem. – Ale nie spodziewaj się za wiele. Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, to już dawno zabrali stamtąd zioło.

– Czyli nie mam jak zweryfikować, czy mówisz prawdę?

– Nie masz – zgodziłem się. – A ja nie mam powodu, żeby kłamać.

– Oprócz tego, że chcesz wyciągnąć Traszkę z więzienia – przypomniał mi.

– Nawet faceta nie znam.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Że ja w ogóle z tobą rozmawiam – powiedział bardziej do siebie niż do mnie – Skąd ty się tu wzięłeś? Skąd się wziął twój kumpel?

– A dlaczego wy tak nie lubicie tutaj Romów?

Jedna z jego pięści się zacisnęła. Tym razem jednak nie po to, żeby zapukać do drzwi. Odsunąłem się dyskretnie o krok, żeby zwiększyć dystans między nami. Naprawdę nie chciałem się z nim bić. Nie w chwili, kiedy powoli zaczynałem go przekonywać do swoich racji.

– To jaka jest twoja teoria? – zapytał, niespodziewanie rozluźniając pięść. – Jeśli nie Traszka, to kto? Holendrzy? Ola dowiedziała się, że tak naprawdę handlują narkotykami, a oni ją uciszyli?

Pokręciłem głową.

– Nie wydaje mi się. Oni raczej załatwiliby ją w inny sposób, bardziej dyskretny, a ta płonąca łódź to niemalże jak demonstracja. Jakby ktoś chciał jeszcze sponiewierać dziewczynę po śmierci.

– Czyli nie oni?

– Moim zdaniem to mało prawdopodobne – przyznałem. – Ale jestem pewien, że coś wiedzą. Coś ukrywają.

– Skąd wiesz?

Wpatrywał się we mnie natarczywie, a ja przez moment zastanawiałem się, czy opowiedzieć mu o nocnej rozmowie z jego córką. Nie zrobiłem tego jednak. Dałem jej słowo, a ja lubię dotrzymywać obietnic.

– Przeczucie.

Prychnął, równocześnie rozbawiony i rozzłoszczony.

– Masz przeczucie, że Traszka tego nie zrobił, a Holendrzy coś ukrywają. Nie tak wygląda policyjna robota.

– Nie zamierzam ci tłumaczyć, jak masz wykonywać swoją pracę – powiedziałem. – Dzielę się tylko z tobą informacjami, które zdobyłem. Co z nimi zrobisz, to twoja sprawa.

– A ty?

– A ja będę drażnić dalej.

Pokiwał powoli głową, jakby właśnie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Sprawdzę dom Traszki – stwierdził. – A ty, podczas tego drażenia, postaraj się już nikogo więcej nie pobić.

– Czyli mogę tutaj zostać?

– Jak słusznie zauważyłeś, nie mam prawa cię stąd wyrzucić – powiedział ze smutkiem. – Ale nie spuszczę cię z oka. Daj mi tylko pretekst, a chętnie cię zamknę. Wtedy przekonamy się, czy faktycznie nie wzięłeś ze sobą dowodu.

Kiedy Kotwica zostawił mnie wreszcie w spokoju, poszedłem na zakupy. Tym razem nie wydarzyło się nic dziwnego. Sprzedawczyni posłała mi jedynie zaciekawione spojrzenie i nie odezwała się ani słowem. Wróciłem na kwatere, zjadłem śniadanie, a potem powędrowałem na pętlę autobusową. Siadłem tam na ławeczce i czekałem przez kilkanaście minut na przyjazd busa. W tym czasie minęły mnie tylko dwa samochody. W pierwszym jechała Joanna, właścicielka kempingu na cyplu. Drugi należał do Lasów Państwowych, o czym informowało logo na drzwiach. W środku siedział Koniu z jeszcze jednym mężczyzną. Zauważyli mnie, zwolnili na chwilę, po czym gwałtownie przyspieszyli. Kilka sekund później ich wóz zniknął w lesie.

Wreszcie podjechał bus. Wysiadł z niego zmęczony kierowca. Mężczyzna był zaskoczony moim widokiem. Najwyraźniej nie spodziewał się nikogo na przystanku o tej porze, a na pewno nikogo spoza grupy stałych pasażerów.

– Za pięć minut ruszamy – mruknął.

Oddalił się w pobliskie krzaki, gdzie się wysikał. Potem wrócił do pojazdu, wytarł dłonie mokrymi chusteczkami i resztę swojej przerwy spędził na jedzeniu kanapki i czytaniu gazety. Odjechaliśmy po ośmiu minutach.

Autobus zatrzymywał się na przystankach, ale przez całą trasę wsiadły do niego jedynie cztery osoby. Starsza kobieta, która, jak dowiedziałem się z prowadzonej przez nią rozmowy telefonicznej, jechała do lekarza, mężczyzna z około dziesięcioletnim synem i starszy milczący facet, który natychmiast po zajęciu miejsca zamknął oczy i pochrapywał cichutko. Najwyraźniej o tej porze tak to właśnie wyglądało. Ci zmierzający do pracy lub do szkoły wybrali się wcześniejszym kursem.

Po mniej więcej godzinie jazdy wąskimi drogami przez liczne wsie dotarłem wreszcie do celu podróży, jakim było najbliższe większe miasto. Wysiadłem na dworcu PKS, który znajdował się tuż obok kolejowego, sprawdziłem godziny odjazdu do Wilków i poszedłem przed siebie.

Miasto liczyło kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców. Było stare, o czym świadczyły chociażby okalające okolice rynku resztki murów obronnych, i lekko zaniedbane. Nie wyróżniało się też niczym szczególnym, oprócz zalewu samochodów na niemieckich rejestracjach.

Nie spieszyło mi się specjalnie, bo autobus powrotny miałem dopiero za trzy godziny. Wędrowałem spokojnie po ulicach, usiadłem w kawiarni i napiłem się kawy, a potem poszedłem dalej, żeby wreszcie trafić na to, czego szukałem – sklep turystyczny.

W środku na jednej ścianie zawieszono plecaki, na drugiej sprzęt wędkarski, a przy wejściu stał stojak z mapami i przewodnikami po okolicy. Za ladą siedział ponadczterdziestoletni mężczyzna o rzadkich włosach, twarzy ozdobionej cienkim wąsem i w okularach z połączoną oprawą. Ubrany był w szary tiszert i kamizelkę z tyloma kieszeniami, jakby chciał w nich zmieścić cały asortyment sklepu. Opierał się znudzony o ladę i rozwiązywał sudoku. Na mój widok wyprostował się niechętnie i odłożył długopis.

– W czymś mogę pomóc? – zapytał po kilku minutach.

– Jeszcze się rozglądam – powiedziałem, bo faktycznie tak było. Listę zakupów miałem w głowie i mogłem je zrobić w ciągu pięciu minut, ale, jak wspominałem, zostało mi sporo czasu do odjazdu, więc postanowiłem trochę go tutaj zmarnować.

– Mamy zniżkę – odezwał się znowu sprzedawca.

– Na co?

– Na wszystko – odpowiedział. – Likwidujemy sklep.

– Dlaczego?

– Przy węźle na S3 otworzono centrum handlowe. Teraz wszyscy tam jeżdżą na zakupy, a miasto zdycha, bo przecież nie tylko my się zamykamy – wyjaśnił i widząc moje umiarkowane zainteresowanie, dodał: – Powiniennem się tam przenieść, ale zarządca zażyczył sobie taki czynsz za wynajem powierzchni, że nie ma szans, żebym na to zarobił. No to nie mam wyjścia, trzeba zamknąć biznes. Tutaj zostaną może dwie knajpy i sklepy monopolowe. Nic więcej nie da rady się utrzymać.

– Przykro mi.

– Takie życie – mruknął i westchnął ciężko. – A pan na wakacjach u nas?

– Tak jakby – odpowiedziałem, nie wchodząc w szczegóły. – Skąd pan wie?

– Bo przyszedł pan do mnie na zakupy zamiast pojechać do tego centrum. Znaczący się nietutejszy. I ja w sumie rozumiem. Końcówka sezonu, więc ceny niższe, a pogoda ciągle jest. Może nie taka, żeby pokąpać się w jeziorze, ale słoneczko można jeszcze złapać. Gdzie się pan zatrzymał?

– W Wilkach.

Wziął znów do ręki długopis i postukał nim o książkę z sudoku, jakby potrzebował chwili, żeby umiejscowić tę nazwę na mapie okolicy.

– Przecież tam nic nie ma – odezwał się w końcu.

– Są dwa kempingi i agroturystyka.

– No tak – zgodził się. – Są. Faktycznie. I ładne jezioro. Ale tam nikt nie jeździ.

– Dlaczego?

Zawahał się.

– Oni tam chyba nie są zainteresowani turystyką – stwierdził. – A poza tym to jednak Wilki. Ciągnie się za tym miejscem zła opinia.

– W związku ze śmiercią tej dziewczyny?

– Tak, ale nie tylko. Są też starsze historie. Ja wszystkich nie znam, bo przyjechałem tu za żoną dwadzieścia lat temu, ale mówiło się, że w Wilkach to najgorsza bandyterka mieszka. I ci, skinheadzi. Jeździli po okolicy starymi samochodami, jakimiś maluchami, polonezami, odwiedzali dyskoteki i robili burdy, jak tylko pojawił się ktoś, kto im nie pasował wyglądem. A niewiele im trzeba było.

No proszę... Wilki zrobiły na mnie wrażenie dość nudnej i spokojnej wsi, na pewno nie siedziby lokalnego centrum subkultury skinheadów. Nigdzie nie widziałem namalowanych sprayem swastyk ani haseł antyżydowskich, chociaż faktycznie na pojawienie się Czarnego dość ostro zareagowali.

– Trochę trudno w to uwierzyć – stwierdziłem. – To niewielka miejscowość. Ilu tam mogło być tych skinów?

– Faktycznie niewielu – odpowiedział sprzedawca – ale to była zgrana paka i rządził nimi taki jeden facet... Jak on się nazywał? Aha, już wiem! Kotwica! Zapamiętałem, bo może trudno w to uwierzyć – wskazał na swoje przerzedzone włosy – ale kiedyś miałem czuprynę do ramion. Jak przyjeżdżałem do żony, to mnie przestrzegala, że jeśli tylko coś usłyszę o Kotwicy, natychmiast mam brać

nogi za pas. Bo w najlepszym razie to mi te kudły utnie, a w najgorszym połamię nogi. Jakoś jednak nigdy faceta nie spotkałem.

– Za to ja tak.

– Naprawdę?

– Został policjantem.

Sprzedawca zrobił rozbawioną minę.

– A to powiem żonie. Zdziwi się. To co podać?

Zrobiłem zakupy i dorzuciłem do tego plecak, do którego wszystko schowałem, a potem wróciłem na dworzec PKS. Tak się złożyło, że znowu jechałem z tym samym kierowcą, chociaż teraz było więcej pasażerów. Oprócz mieszkańców okolicznych wiosek do busa wsiadło czterech chłopaków ze sporymi plecakami. Mieli około dwudziestu lat, nosili bluzy z kapturami, spodnie bojówki i sportowe obuwie. Nie zrobili na mnie dobrego wrażenia. Cechowała ich dziwna mieszanka zagubienia i arogancji. Wbijali wzrok w ziemię albo w telefony komórkowe, chowali głowy w ramionach i garbili się, jakby próbowali się ukryć w fałdach swoich bluz. Jeden z nich palił, a potem rzucił niedopałek tuż pod nogi stojącej nieopodal starszej kobiety. Miny mieli zacięte, nieprzyjemne. Normalnie powiedziałbym, że szukają okazji do bitki, ale ci nie wyglądali na takich, którzy kiedykolwiek z kimkolwiek się bili.

Był z nimi chyba jeszcze jeden facet. Chyba, bo niby stał obok, tak blisko, jakby się znali i przyjechali razem, ale żaden z chłopaków się do niego nie odzywał, a on sprawiał wrażenie, jakby znalazł się w ich towarzystwie przypadkiem. Miał ponad czterdzieści lat, okrągłą głowę, poczerwieniałą od słońca twarz i krótkie jasne włosy, pod którymi można było zobaczyć cienką skórę czaszki. Wyróżniał go wzrost – liczył sobie góra metr sześćdziesiąt.

Zajęliśmy miejsca w busie, oni z tyłu, ja niedaleko nich.

Kiedy ruszyliśmy, jakby się odprężyli. Dwóch zaczęło rozmawiać o jakimś projekcie związanym z telefonią komórkową i studiami na politechnice. Zaczęli głośno, potem już mówili ciszej, tak że ledwo słyszałem pojedyncze słowa. I dobrze, bo nie zamierzałem ich podsłuchiwać. Po prostu jechaliśmy w tym samym kierunku.

W pewnym momencie jeden z nich, chłopak z nadwagą i o piskliwym głosie, roześmiał się szyderczo, czym od razu zwrócił uwagę pozostałej trójki.

– Co jest? – zapytał jego kolega.

– Pamiętacie tę laskę, co ją wyrywałem na Tinderku?

– No!

– Właśnie mi napisała, że czeka na mnie przed kawiarnią, gdzie się umówiliśmy.

– I co jej odpisałeś?

– Że przejeżdżałem obok samochodem, zobaczyłem, że ma ryj jak świnia, to pojechałem dalej! Bo przecież z taką świnią to wstyd się na mieście pokazywać!

Teraz wszyscy się roześmiali.

– Fake chad? – upewnił się ten, który przed chwilą prowadził rozmowę na temat komórek.

– No jasne, że fake chad. Przecież jakbym dał swoje zdjęcie, to żadna różowa by ze mną nie gadała. Ściągnąłem jakieś z netu i wrzuciłem jako swoje. Od razu poszło. Normalnie z moją szpetną mordą to *swipe left, swipe left*, a z tą fotką to dziesiątki wiadomości dostaję. I każę tym różowym wyjadać rodziny z dupy!

– Ja kiedyś zrobiłem Klaudiusza takiej jednej – pochwalił się chłopak o przetłuszczonych blond włosach. – Pisałem z nią chyba przez kilka tygodni, nie? Umawiałem się na spotkanie z pięć razy.

– I nigdy nie przyszedłeś? – zapiszczał ten otyły.

– No raz byłem, ale wiesz, przecież w necie inna fotka, to mnie nie poznała. A ja miałem ubaw, jak ona wyglądała na każdego przystojniaka w zasięgu wzroku.

– Aż pięć razy przychodziła?

– No takie zdjęcie wybrałem, że jadłaby gówno tego faceta z podłogi, gdyby jej tylko pozwolił. A ja jej za każdym razem pisałem, że nie mogłem, bo babcia chora, bo coś mi w pracy wypadło albo kolega miał wypadek i wyładował w szpitalu. A potem, jak mi się znudziło, to napisałem, że co nieco się o niej dowiedziałem, bo mamy wspólnych znajomych. I już wiem, że jest tępą kurwą, która każdemu popuszcza szpary, a ja takiej głupiej dziwki nie chcę na matkę swoich dzieci.

– I co?

– No wysłała mi zdjęcie, jak się popłakała, kurwa.

Zarechotali, a chłopak ciągnął:

– I przysięgała, że to wszystko nieprawda, że ona wcale taka nie jest, i prosiła, żebym powiedział, kto takie kłamstwa o niej opowiada. To odpisałem, że jej

najlepsza przyjaciółka i ona już wie która.

– Najebałeś lasce w głowie.

– Mam nadzieję. Należało jej się przecież, nie? Zobaczyła ładną fotkę na Tinderku i już jej majtki spadają. Niech się pierdola.

– Czekaście – włączył się trzeci. – Pokażę wam, co ja odważyłem.

Przez chwilę milczeli. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że cała czwórka wpatruje się w ekran smartfona, a po kilku minutach zgodnie wybucha śmiechem.

Wysiedli w Wilkach na pętli, podobnie jak ja i ten czterdziestoletni facet, który raczej był z nimi, bo całą piątką poszli w głąb wsi. Śledziłem ich przez długą chwilę wzrokiem. Miałem ochotę do nich podejść i porządnie przyłożyć im za to, jak potraktowali te wszystkie dziewczyny. Powstrzymałem się, bo pomyślałem, że nie potrzebuję więcej kłopotów.

Jak się później okazało, popełniłem spory błąd.

Przebrałem się w ciuchy, które kupiłem w sklepie turystycznym: zielone bojówki i tego samego koloru koszulkę. Nie do końca klasyczny strój maskujący – nie chciałem się wyróżniać, biegając po Wilkach w moro – ale dzięki temu w lesie byłem mniej widoczny. Do plecaka wsadziłem kurtkę na wypadek, gdyby zrobiło się zimniej, lornetkę, notatnik z długopisem, kilka batoników i butelkę wody.

Znowu ruszyłem ścieżką wzdłuż jeziora. Szybkim marszem dotarłem do przystani, gdzie zabito Olę, i powędrowałem dalej. Zwolniłem dopiero na drugim brzegu. Wszedłem głębiej w las i trzymałem się już drogi, która prowadziła na kemping zajmowany przez Holendrów. Zatrzymałem się na niewielkim wzniesieniu, z którego miałem dobry widok na ośrodek. Znalazłem sobie miejsce za krzakami, gdzie mogłem w miarę wygodnie usiąść, wyjąłem z plecaka lornetkę i rozpocząłem obserwację.

Kemping, pomimo tego, że zamieszkaný, wydawał się dużo bardziej zaniedbany niż ten po drugiej stronie jeziora. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek chciał tu spędzać wakacje. Na terenie otoczonym zwykłą siatką, w dodatku dziurawą, co widziałem nawet z mojego punktu obserwacyjnego, znajdowało się kilka drewnianych domków letniskowych. Rozrzucano je tam bez wyraźnego planu i pomysłu. Do tego znajdowały się tam budynek administracyjny, stróżówka przy otwartej bramie i dwie szopy. Dalej, nad brzegiem jeziora, była plaża z niewielkim pomostem. Parkowały tutaj cztery samochody, wszystkie na holenderskich rejestracjach: opel, którego już widziałem, terenowy nissan patrol, van volkswagena oraz duży nowy kamper z rozłożoną obok turystyczną wiatą.

Nie wyglądało to jak hodowla marihuany. W budynku administracyjnym czy w domkach pewnie dałoby się ukryć suszarnię, brakowało jednak miejsca, gdzie rośliny mogłyby rosnąć. Konopie lubią konkretne warunki. Trzeba im zapewnić odpowiednie światło, temperaturę i wentylację, co pożera gigantyczne ilości prądu, tymczasem nie widziałem tutaj żadnych generatorów ani nawet paneli. Holendrzy mogli co prawda brać energię wprost z sieci, ale wtedy zwróciliby na siebie uwagę zwiększonym poborem, a to już sprawdził Kotwica. Przede wszystkim brakowało

tu jednak przestrzeni. Skoro urządzili suszarnię w domu Traszki, musieli mieć na tyle duże zbiory, że nie byli w stanie ich ususzyć w zwykłym miejscu, a więc chodziło o naprawdę sporą hodowlę. Gdziekolwiek się znajdowała, nie było jej tutaj.

Obserwowałem kemping, ale niewiele się działo, skupiłem się więc na identyfikacji Holendrów. W facecie leżącym na plaży rozpoznałem mężczyznę ze sklepu, tego, który udawał, że nie rozpoznaje chłopaka, a potem odjechał na rowerze.

Jeden.

Blondyn i krótko ostrzyżony z domu Traszki siedzieli na krzesłach wędkarskich pod wiatą, pili piwo i oglądali coś na niewielkim ekranie komputera. Razem z nimi była wysoka blondynka w koszulce na ramiączkach. Zdawała się obrażona na cały świat i malowała sobie paznokcie.

Dwa, trzy, cztery.

Z budynku gospodarskiego wyszedł kolejny krótko ostrzyżony. Niósł papier toaletowy. Podeszedł do kampera, sięgnął po piwo do stojącej przy nim lodówki turystycznej i ruszył z nim do domku letniskowego.

Pięć.

Wreszcie z kampera wysiadł brązowowłosa mężczyzna w ciemnej koszulce i w okularach przeciwsłonecznych. Miał mniej niż trzydzieści lat i wyglądał na najmłodszego z nich wszystkich. Uznałem, że to musi być Jayden, o którym wspominała Emilia. Trudno mi było sobie wyobrazić, żeby zakochała się w którymś z pozostałych Holendrów, chociaż oczywiście nie mogłem tego wykluczyć. Miłość potrafi zaskoczyć.

Sześć.

Przez ponad godzinę nie zauważyłem nikogo więcej. Mieszkało ich tu zatem sześcioro, pięciu facetów i kobieta. Trochę byłem rozczarowany, że niewiele się działo. Głównie siedzieli, pili piwo, oglądali filmy na komputerze. Jeden z krótko ostrzyżonych pokłócił się o coś z kobietą, a ta wściekle krzycząc i machając rękami, poszła do kampera.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy ich nie przeceniłem. Może wcale nie mieli dużej plantacji. Może faktycznie zasadzili sobie w jednym z domków kilka krzewów, żeby mieć swój towar, a urządzenie suszarni w domu Traszki było po

prostu głupim pomysłem. Ale skąd w takim razie te systemy alarmowe i szpiegowskie kamery? To nie wyglądało na amatorską operację.

Obserwowałem ich przez kolejną godzinę.

Po tym czasie usłyszałem na drodze samochód. Wkrótce potem na kemping wjechał terenowy wóz z logo Lasów Państwowych, zatrzymał się obok pozostałych i ze środka wysiadł Koniu. Mężczyzna miał na sobie roboczy strój i kamizelkę myśliwską. Blondyn na jego widok odłożył piwo i poszedł się przywitać. Podali sobie ręce i przez chwilę prowadzili przyjacielską pogawędkę, zakończoną wybuchem głośnego śmiechu. Koniu chyba nie najlepiej radził sobie z angielskim, bo raz po raz powtarzał jedno słowo i pomagał sobie gwałtowną gestykulacją. Ustalili jednak, co trzeba, bo blondyn klepnął go w ramię i pokazał wyciągnięty w górę kciuk. Potem odszedł na bok, minął kampera i skierował się do jednego z domków letniskowych.

Koniu tymczasem oparł się o swój samochód i wyciągnął papierosa. Zaczął palić. Pozostali Holendrzy kiwali do niego przyjaźnie głowami, on odpowiadał im tym samym, ale nie podejmowali rozmowy.

Wkrótce blondyn wyszedł z domku. Prowadził ze sobą chłopaka w czerwonej koszulce, którego wcześniej nie widziałem.

Siedem.

O ile jednak pozostali Holendrzy byli biali, ten miał ciemną skórę, gęste czarne włosy i arabskie rysy twarzy. Był szczupły, wręcz patykowaty, wyglądał na lekko przestraszonego. Blondyn przez cały czas trzymał mu dłoń na ramieniu, jakby pilnował, żeby chłopak nie uciekł.

Na ich widok Koniu skończył palić, rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał. Nie przywitał się z chłopakiem. Zachowywał się tak, jakby ledwo go zauważył. Blondyn tymczasem otworzył tylne drzwi, wepchnął do środka chłopaka, a sam usiadł z przodu na siedzeniu pasażera. Koniu zajął miejsce kierowcy i uruchomił silnik. Odjechali we trzech i wkrótce straciłem ich z oczu.

Na chwilę jeszcze zostałem na swoim stanowisku, ale nie wydarzyło się już nic ciekawego. Kobieta wyszła z kampera i zaczęła oglądać film razem z resztą, mężczyzna, który spał na plaży, obudził się, przeciągnął, poszedł się wysikać w pobliskie krzaki, a potem zniknął we wnętrzu najbliższego domku letniskowego. Uznałem, że widziałem już dość.

Było ich siedmioro. Sześciu mężczyzn, jedna kobieta. Sześcioro białych, jeden o ciemniejszym kolorze skóry. Sześć osób, które przyjechały tu z własnej woli, i jeden więzień?

Kiedy Mati dostał wiadomość, że chłopaki są już w autobusie i jadą do Wilków, ugięły się pod nim nogi i nagle zrobiło mu się duszno. Przysiadł na łóżku, żeby nie upaść od zawrotów głowy, i próbował uspokoić oddech.

Działo się. Najpierw tylko fantazjowali, każdy osobno, potem nieśmiało o tym rozmawiali, sondując ostrożnie rozmówcę, niepewni, jak ich potraktuje, a kiedy już przekonali się, że wszyscy mają w głowie te same myśli, gwałtownie się rozkręcili. Dosłownie tonęli w potoku słów, tworząc coraz barwniejsze i coraz bardziej brutalne scenariusze, wzajemnie się nakręcając. I przez pewien czas to im wystarczało. Było w tym coś dziwnego, coś nieprzyzwoitego, jak we wspólnych sesjach masturbacji, ale potrzebowali tego. Aż wreszcie nadszedł ten moment, kiedy same fantazje to było za mało. I wtedy przeszli do kolejnego etapu – planowania. I tak krok po kroku zaczęli realizować swój projekt. Początkowo traktowali to jako zabawę, trochę bardziej realną fantazję. Zapewniali się wzajemnie, może nie wprost, nie słowami, ale gestami, spojrzeniami i lekceważącą postawą, że przecież nigdy tak naprawdę tego nie zrobią. Że w pewnym momencie się zatrzymają i o wszystkim zapomną.

Ale potem wydarzyło się to, co się wydarzyło, i przekroczyli granicę. Od tamtej pory wiedzieli, że nie mają już wyjścia.

I teraz byli tutaj. Prawie gotowi. Szykujący się do wielkiego finału, który rozsławi ich imiona na całą Polskę i Europę.

A Mati złościł się na siebie, że się boi, chociaż nie chodziło o sam strach. Ten był normalny. Zresztą chłopak zdążył się w pewien sposób do niego przyzwyczaić przez tych kilka ostatnich miesięcy. Chodziło raczej o to, czego się bał. A obawiał się, jak ojciec zareaguje na pojawienie się wujka.

Z wujkiem zawsze miał dobry kontakt. Traktował go trochę jak starszego brata, a trochę jak kumpla, którego mógł poprosić o radę, pomoc albo po prostu o coś zapytać. Kiedy ojciec ganiał po mieście za kolejnymi interesami i kolejnymi dupami, a mamę bardziej niż syn interesowała kariera akademicka, wujek zawsze na niego czekał z włączoną konsolą, słodyczami i puszką coli w lodówce, a potem

z zimnym piwem i papierosami. Mati nie miał wielu kumpli, do szkoły nie lubił chodzić ze względu na paru chłopaków, którzy zazdrościli markowych ciuchów i nowego telefonu, więc docinali mu, kiedy tylko mogli. Pewnie znęcaliby się nad nim bardziej, gdyby nie wujek właśnie. Pewnego dnia zobaczył, jak zabierają Matiemu plecak i rzucają nim do siebie, a on biega od jednego do drugiego, próbując im go odebrać, i przy okazji co rusz dostaje kuksańca albo zalicza cios. Wujek dopadł wtedy jednego z chłopaków i walnął go tak mocno w brzuch, że dzieciak aż padł na kolana i zaczął wymiotować. Była to jedna z najprzyjemniejszych chwil w czasie tych szkolnych lat i do dzisiaj Mati lubił ją wspominać.

Kumpli znalazł dopiero potem, w liceum, wśród takich jak on dziwaków i wyrzutek. Wkrótce razem z nim chodzili do wujka, a jego mieszkanie stało się ich nieformalną siedzibą. Miejscem, gdzie mogli wyluzować, być sobą, napić się, zapalić i ponarzekać na resztę rówieśników, a szczególnie na dziewczyny, które zadzierały nosa i udawały, że ich nie widzą.

To wujek był jego najlepszym przyjacielem, to wujek był jego obrońcą i to wujek także dał mu blackpilla i wyjaśnił, jak naprawdę działa świat. I że obaj są przegrywami, bo dla kobiet tak naprawdę liczą się tylko chadowie, chcą tylko ich i ich spermy, a te wszystkie opowieści o tym, że liczy się wnętrze, umysł i charakter, to zwykła ściema dla mięczaków, którzy nie są w stanie zaakceptować rzeczywistości.

I pewnie gdyby nie wujek, nie zawędrowaliby na tej drodze tak daleko.

Mati nie rozumiał, dlaczego ojciec nie lubi swojego brata. Nie wytłumaczył mu tego ani jeden, ani drugi. Wujek był znacznie młodszy, o kilkanaście lat. Urodził się, kiedy dziadkowie stracili już nadzieję, że kiedykolwiek doczekają się drugiego dziecka. Poród był zresztą trudny – przez chwilę bali się, że wujek umrze, kiedy pępowina owinęła mu się wokół szyi, ale przeżył. Z powodu tych wszystkich wydarzeń był przez dziadków wręcz ubóstwiany. Może więc niechęć ojca do brata miała coś wspólnego właśnie z tym.

Wiedział też, że ojcu nie podoba się jego relacja z wujkiem. Kilka lat wcześniej, mniej więcej wtedy, kiedy wujek pobił jednego z tych chłopaków, Mati był nawet świadkiem rozmowy telefonicznej, podczas której ojciec wrzeszczał do słuchawki, że zabrania bratu widywać się z Mateuszem. Chłopak przez kolejny miesiąc odwiedzał wujka w tajemnicy, zanim się zorientował, że egzekwowanie

posłuszeństwa w tym zakresie – podobnie jak wszystkiego, co wiązało się z wychowaniem syna – ojciec ma gdzieś. Konflikt pomiędzy braćmi jednak trwał, a ojciec zawsze nerwowo reagował, kiedy dowiadywał się o ich kontaktach.

Mati wstał z łóżka i spojrział na komórkę. Był pewien, że czas płynie szybciej niż normalnie. Próbował sobie przypomnieć, jak długo autobus jedzie do Wilków, i wyszło mu, że jeśli po drodze nie było żadnego wypadku ani korków, chłopaki zaraz powinny się u niego zjawić.

Po plecach przeszedł mu dreszcz tak nieprzyjemny, że aż go wygięło.

Pomyślał, że jeśli ich plan ma się nie powieść, to stanie się to właśnie teraz. Ojciec zobaczy wujka, wpadnie w szal, w jakiś sposób wszystkiego się domyśli i cała sprawa się skończy. Bał się tego, ale zarazem ta perspektywa przynosiła mu ulgę.

Miał wyjechać. Obiecał, że zostawi im dom na imprezę. I oczywiście musiał tę obietnicę, jak tyle poprzednich, złamać.

Telefon zawibrował w jego dłoni. Esemes od Grubego. Informował, że właśnie wysiedli i zaraz będą u niego w domu.

Wyjął paczkę mokrych chusteczek, których zwykle używał do wycierania się po masturbacji, otarł sobie twarz i ręce, a potem spryskał się pod pachami dezodorantem.

Miał nadzieję, że ojciec siedzi u siebie w gabinecie i będzie tam pracował jeszcze przez jakiś czas. To odwlekłoby nieuniknione. Niestety zastał go w kuchni, gdzie przygotowywał sobie posiłek.

– Co jest, Mati? – zapytał ojciec. – Jesteś głodny? Zrobić ci coś?

– Nie, tato.

– Jak chcesz – odpowiedział, kończąc nakładać plasterki pomidora na kanapkę. Potem podszedł do lodówki, otworzył ją i długo wpatrywał się w jej zawartość. – Na pewno nic nie chcesz?

– Nie.

– To czemu tak stoisz?

– Chłopaki zaraz przyjadą.

– A, chłopaki. To fajnie. Macie pewnie jeszcze sporo roboty przed tą imprezą, nie?

- Trochę.
- Jakbyście potrzebowali pomocy...
- Nie będziemy potrzebowali.

Ojciec zrobił lekko urażoną minę, ale nic więcej nie powiedział. Wyjął z lodówki dwa jajka, umył je, a potem nałożył masło na patelnię i włączył kuchenkę elektryczną. Kiedy masło się rozpuściło, rozbił jajka, a skorupki wrzucił do zlewu.

W tym czasie Mati stał przy kuchennym oknie i wyglądał na zewnątrz. Po kilku chwilach dostrzegł sylwetki, w których rozpoznał swoich kumpli, a trochę za nimi – niższego wujka z torbą sportową na ramieniu. Zerknął w bok. Ojciec kończył już smażyć jajka, ale nie zamierzał wychodzić z kuchni. Zamiast tego zaczął ozdabiać swoje danie, jakby to było jakieś arcydzieło sztuki kulinarnej – tu kilka listków bazylii, tam dwa pomidorki koktajlowe.

Chłopaki wchodziły już na posesję. Mati podszedł do drzwi, zanim zdążyli zapukać, i otworzył je szeroko. Powitali go wesołymi okrzykami.

- Mój tata jest w kuchni! – powiedział szybko.

Zamilkli zmieszani.

- Miało go przecież nie być – zauważył piskliwym głosem Gruby.
- Ale jestem – odezwał się ojciec, wychodząc do nich z talerzem w dłoni. – To chyba nie jest wielki problem, nie? Przecież i tak macie się bawić na kempingu.

Ledwo skończył mówić, zauważył pomiędzy nimi brata. Twarz ojca momentalnie stężała, talerz lekko zadrżał i Mati przez chwilę myślał, że ojciec wypuści go z rąk.

- Co ty tu robisz? – zapytał ojciec.

Chłopaki odsunęły się na bok, tworząc coś w rodzaju miniszpaleru pomiędzy dwoma mężczyznami.

- Mati mnie zaprosił. Potrzebuje pomocy przy urządzeniu tej imprezy – odpowiedział wujek.
- Ja tutaj jestem.
- No ale najwyraźniej mu nie pomagasz.

Serce Matiego biło jak oszałałe. Miał wrażenie, że temperatura nagle wzrosła o kilka stopni. Miał ochotę rzucić się do przodu i powiedzieć, że to pomyłka, że odwołują imprezę i właściwie wszyscy powinni teraz jechać do domu.

– Jeśli mnie nie potrzebujecie, to radźcie sobie sami – powiedział niespodziewanie ojciec i spojrzał z urazą na syna, po czym poszedł z talerzem do swojego gabinetu i zamknął się tam, trzasnąwszy demonstracyjnie drzwiami.

Tymczasem wujek podszedł do Matego, położył mu dłoń na ramieniu i lekko ścisnął.

– Dobra, Mateusz, nie ma na co czekać. Pokaż nam, gdzie zrzucić rzeczy, i bierzemy się do pracy. Mamy przecież dużo do zrobienia.

Kiedy wreszcie po długim spacerze pojawiłem na cyplu, właścicielka kempingu na mój widok uśmiechnęła się szeroko. Odpowiedziałem jej tym samym i pomachałem. Wyglądało to tak, jakbyśmy byli starymi znajomymi.

– Znowu oczekuje pan, że zdradzę jakieś nasze wilkowe tajemnice? – zapytała, gdy się do niej zbliżyłem.

– Chciałem raczej prosić o pomoc – przyznałem.

– Bo jestem jedyną osobą, która potraktowała tu pana z życzliwością?

– Bo jest pani jedyną osobą, która potraktowała mnie tu z życzliwością.

Zdążyłem ją polubić. Miała w sobie sympatyczną bezpośredniość, a także hardość kogoś, kto wie, co chce osiągnąć. Zawsze szanowałem takich ludzi. Większość tylko kręci się wkoło bez celu i potem dziwi się, że w ich życiu nie zdarzyło się nic ważnego. Pomyślałem sobie, że jej akurat może się udać. To było ładne miejsce. Nawet teraz, we wrześniu, drzewa dawały przyjemny chłód i chroniły przed promieniami słońca, a woda migotała kusząco. Nigdy nie będzie to wielki luksusowy kurort, ale potrafiłem sobie wyobrazić ludzi, którzy chcieliby tu spędzić urlop, spać pod namiotem, grillować na plaży, a kiedy zrobi się naprawdę gorąco, szukać ochłody w czystej wodzie.

– Dzisiaj jest pani w lepszym humorze – zauważyłem.

– Bo ogarnęliśmy się z robotą – powiedziała. – Dalej uważam, że impreza tutaj pod koniec września to kiepski pomysł, ale cóż, klient płaci, klient ma. A że płacą dobrze...

Impreza. Przypomniałem sobie chłopaków, którzy razem ze mną przyjechali do Wilków. Nie wyglądali na imprezowiczów, poszli też w zupełnie inną stronę, niż był kemping, ale w jakim innym celu mieliby tu przyjeżdżać?

– Wielu ich będzie?

– Szczerze mówiąc, to nie wiem. Zapłacili za cały ośrodek, jakby miało być pełne obłożenie. Najbardziej bym się ucieszyła, jakby przyjechało kilka osób.

A najlepiej nikt. Ale trochę się boję, że zwałą się dzikie tłumy i wszystko mi tu zdemolują. Szkoda by było całej tej pracy.

Wokoło nie dostrzegałem wielkich zmian w stosunku do mojej ostatniej wizyty. Domyślałem się jednak, że większość prac wykonano we wnętrzu budynków. Najważniejsze były zapewne sanitariaty. Wiadomo, młodzi ludzie mogą spać gdziekolwiek, byleby mieli alkohol. Ale jeśli Joanna nie chciała, żeby cały teren został upstrzony niespodziankami i śmierdział moczem, to w pierwszej kolejności powinna zadbać o działające toalety.

– Mogę wykorzystać pani dobry nastrój, zanim pogrąży się pani w myślach o hordach pijanych studentów dewastujących kemping? – zapytałem.

Wzięła się pod boki.

– Niech pan spróbuje. Czego pan chce?

– Pożyczyć samochód.

Zawahała się, niepewna, czy żartuję, czy mówię poważnie, a w związku z tym nie wiedziała, jak powinna zareagować.

– Dokąd chce pan jechać? – zapytała wreszcie.

– I tu jest problem – przyznałem. – Bo wiem, jakie miejsce chcę odwiedzić, ale nie wiem, gdzie dokładnie się znajduje.

– W takim razie co to za miejsce?

– Szkółki leśne. Im młodsze, tym lepsze.

Zmrużyła powieki.

– Skąd to nagle zainteresowanie?

– Długa historia.

– Chce pan ode mnie pożyczyć samochód – przypomniała.

– To prawda – zgodziłem się. – Poszedłem odwiedzić kemping, który należy do pani matki. Ostatecznie tam nie trafiłem, bo... hm... w międzyczasie straciłem ochotę na spotkanie z tymi Holendrami. Natomiast zauważyłem, że odwiedził ich mężczyzna, którego nazywają tutaj Koniem. Zna go pani?

– Oczywiście – mruknęła. – Niezbyt sympatyczny facet.

– Odniosłem to samo wrażenie. Pracuje w leśnictwie, prawda?

– Skąd pan wie?

– Przyjechał na kemping samochodem z logo Lasów Państwowych. Porozmawiał z Holendrami, a potem wziął dwóch z nich na wycieczkę.

– Myśli pan, że chciał im pokazać szkółki leśne?

– Jestem o tym przekonany.

– Po co miałby to robić?

– Mam pewne podejrzenia, ale będę mógł je potwierdzić, dopiero kiedy sam zobaczę wszystko na własne oczy. Do tego czasu wolałbym nic nie mówić.

Szyszka oderwała się z rosnącej obok sosny i spadła pomiędzy nas, a za nią kilka patyczków. Jeden z nich wylądował na głowie kobiety. Wyjęła go z włosów i obróciła kilka razy w palcach, żeby wreszcie złamać i rzucić na ziemię.

– Jest pan niemożliwy – stwierdziła. – Absolutnie niemożliwy.

Brzmiało to nie jak zarzut, tylko komplement.

– Ale...

– Jestem zaintrygowana – przyznała.

W tym momencie pojawił się jej pomocnik, pan Jarek, z butelką wody w dłoni. Jego twarz wyrażała satysfakcję z dobrze wykonanej pracy. Wypił łyk, zakręcił butelkę i schował ją do kieszeni. Potem poklepał się po ubraniu, sprawdzając najwyraźniej, czy wszystko ze sobą zabrał, i stęknął z ulgą, kiedy zadzwoniły cicho klucze.

– Pani Joanno, to ja już się zbieram, nie? – rzucił w stronę kobiety. – Chyba że jest coś jeszcze do zrobienia?

– Nie, panie Jarku. Skończyliśmy. Widzimy się za kilka dni. Ale niech pan chwilę poczeka. Pan pracował przy nasadzeniach w lesie, prawda?

– No tak, pani Joasiu – powiedział zdziwiony.

– To da mi pan jeszcze pięć minut, co? Chciałam o trzy rzeczy dosłownie zapytać.

Zostawiła mnie bez słowa i podeszła do niego. Wzięła go na bok i chwilę z nim rozmawiała. On coś tłumaczył, ona dopytywała. Wreszcie podziękowała mu i na koniec uścisnęli sobie dłonie. Wróciła do mnie z chytrym uśmiechem błakającym się w kącikach ust.

– Już wszystko wiem.

– To gdzie są te szkółki?

– Chyba nie sądzi pan, że panu powiem! – wykrzyknęła z udawanym oburzeniem.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, dlatego że i tak by pan tam nie trafił. Nie zna pan okolicznych terenów, nie wie, jak jechać.

– Nie jestem głupim mieszczuchem. Całkiem nieźle radzę sobie w terenie.

– A wie pan, gdzie jest jagodowa górka?

– Nie.

– A to miejsce, gdzie starszemu Wiśniewskiemu sosna spadła na nogę i musieli mu ją amputować?

– Też nie.

– No to powodzenia.

Wsadziła ręce do kieszeni, zaczęła kiwać się na piętach i zadowolona z siebie czekała na to, co zrobię.

– A po drugie? – zapytałem.

– A po drugie, jakbym powiedziała panu, gdzie są te szkółki, to nie wzięłyby mnie pan ze sobą.

– To pani ma samochód.

– To prawda, ale pan najwyraźniej jest jednym z tych uparciuchów, którzy są gotowi godzinami latać po lesie, ryzykować pogryzienie przez komary i kleszcze, byle tylko postawić na swoim.

Przyznałem jej w duchu rację. Faktycznie, należałem do tej grupy. Ale nie byłem też naiwny. Liczyłem się z tym, że Joanna nie da kluczyków od swojego samochodu facetowi, którego ledwo co zna. Plan minimum zakładał, że pomoże mi zlokalizować leśne szkółki, plan maksimum mówił o wspólnej wycieczce. I co tu dużo mówić, cieszyłem się na to, że spędzę trochę czasu w jej towarzystwie.

– Jedziemy? – zapytała.

– Jedziemy – potwierdziłem.

Kotwica otworzył furtkę, która znajdowała się tuż obok tabliczki z napisem „sołtys”, i wszedł na podwórko. Natychmiast przydreptał do niego Szarik, kundel zupełnie niepodobny do owczarka niemieckiego z *Czterech pancernych i psa*. Kotwica miał wrażenie, że pies jest tutaj od zawsze. Podejrzewał, że gdyby zawieźć go do weterynarza, Szarik okazałby się wyjątkowym przypadkiem. W jego żyłach pewnie płynął drogocenny eliksir długowieczności.

Kucnął i pogłaskał go po pysku. Zastanawiał się, czy zwierzę cokolwiek jeszcze widzi, bo miało zamglone oczy, a ono polizało go po rękach. To był zawsze bardzo przyjazny pies, nawet kiedy wciąż był młody i pełen sił. Nie nadawał się do pilnowania obejścia. Aż trudno uwierzyć, że należał do Maliny Błoniarz. Osoby, która nawet u ludzi jej przychylnych budziła co najmniej respekt.

Drzwi od domu zastał uchylone. Zawsze tak robiła w „godzinach urzędowania”, jak to nazywała. Latem otwierała je szerzej, zimą zostawiała szparę i wtedy zakładała czapkę i gruby kożuch. Petentów przyjmowała w przedpokoju. Stawiała tam stolik i dwa drewniane krzesła. I każdemu zwracała uwagę, że ma wytrzeć buty.

Zajrzał do środka. Błoniarz siedziała na swoim miejscu, z męskimi okularami w grubych oprawkach na nosie, zatopiona w jakichś dokumentach. Naprzeciwko niej zobaczył Wiśniewską. Jej dzieci dawno temu wyjechały z Wilków. Nawet Marek, który zawsze opowiadał, że przejmie gospodarstwo, ale jak przyszło co do czego, to znalazł pracę w warsztacie samochodowym w Słubicach. Opowiadał, że naprawia głównie Niemcom i głównie na czarno, więc euroski płyną szerokim strumieniem do jego kieszeni. Kotwica podejrzewał też, że Marek pomaga robić samochody, ale Słubice to nie był jego rewir, więc nie wnikał.

Mąż Wiśniewskiej stracił nogę w wypadku podczas wycinki lasu. Ktoś źle wymierzył cięcie i spadła na niego sosna. Nie zdążył uciec, bo był pod wpływem. Jak większość pracujących, mało kto wychodził do lasu bez małpki na śniadanie. Po wypadku dostał rentę i, jak to opowiadała jego żona, zgnuśniał. Wołałaby, żeby pił albo stał się jakimś furiatem, który krzyczy na przechodzących za płotem ludzi

i ma żal do całego świata o swoje nieszczęście, a on tylko jadł, oglądał telewizję i spał. „Zamiast męża mam teraz kupę mięsa w domu – powtarzała każdemu, kto chciał słuchać. – Tylko że nawet kotleta z niej nie zrobię, bo to grzech”.

Jakoś sama ogarniała gospodarstwo, sprzedawała jednak większość należącej do nich ziemi. To właśnie na jej działce wybudował się później ten profesor z Warszawy.

Kotwicy nie interesowało, po co Wiśniewska przyszła do Maliny Błoniarz. Wrócił do Szarika i zaczął go głaskać za uchem. Pies położył się na grzbiecie, wyszczerzył żółte zęby i co chwila trącał go delikatnie łapą. Policjant poczekał, aż kobieta załatwi swoją sprawę i opuści dom sołtysowej. Skinął jej głową na powitanie, kiedy się mijali, ona odpowiedziała mu tym samym. Nie ruszył się z miejsca, dopóki nie wyszła za płot, bo w przeciwieństwie do niego Wiśniewska uwielbiała podsłuchiwać, a plotkowanie było jej głównym zajęciem. Czasami z tego korzystał. Jeśli coś się działo w Wilkach, odwiedzał ją jako pierwszą. Tym razem jednak wolał upewnić się, że kobieta nie usłyszy ani słowa z rozmowy, którą planował odbyć z Maliną Błoniarz.

Kiedy zniknęła mu z oczu, zdecydował się wejść do przedpokoju.

– Wytrzymaj buty, Paweł – rzuciła znad dokumentu.

Zirykowało go to. Może nie sama prośba, ale jej ton – władczy i arogancki. Wciąż traktowała go tak jak wtedy, kiedy był dzieckiem czy nastolatkiem. Jakby nie zauważyła, że dorósł przez te lata i robi karierę w policji. Teraz to on pełnił ważniejszą funkcję niż ona. Błoniarz była zwykłą sołtyską, Kotwica reprezentował państwo.

– Czyste mam, Malina – odpowiedział.

Odłożyła długopis i podniosła oczy znad papierów. Jej twarz lekko poczerwieniała. Zastanawiał się, co bardziej ją zdenerwowało – to, że nazwał ją po imieniu, czy to, że nie posłuchał prośby.

– Wytrzymaj buty – powtórzyła. – To urząd. Nie obora.

Ładny urząd, pomyślał. Dwa krzesła i stoliczek. Nie skomentował jednak tego. Po prostu sięgnął do kieszeni, wyjął z niej dwie zielone kulki i rzucił jej na biurko. Były tak suche, że jedna pękła na pół, a z drugiej odłamało się kilka kawałków.

– Co to jest? – zapytała, przyglądając im się badawczo.

– Kwiat konopi indyjskiej. Szyszka, jeśli wolisz ją tak nazywać. Innymi słowy, marihuana.

– Po co mi to przyniosłeś?

– Wiesz, gdzie je znalazłem?

– Skąd bym miała wiedzieć, Paweł?

– W domu Traszki.

– Traszka hodował konopie?

Tak znakomicie zagrała zdziwioną, że niemal jej uwierzył.

– Nie, nie Traszka. W jego domu była tylko suszarnia. Konopie wyhodował ktoś inny.

– Kto?

Kotwica, przychodząc tutaj, żywił nadzieję, a raczej jej cień, że sołtyska faktycznie o niczym nie wie. Teraz nie miał już wątpliwości. Kogoś innego może by nabrała, bo świetnie potrafiła kłamać. Tak świetnie, że nie rozumiał, dlaczego marnowała się na stanowisku sołtyski. Powinna pójść w krajową politykę. On jednak doskonale ją znał, wiedział, co ją zdradza. Głębszy oddech przed „To był zwykły pożar”, jakby kłamstwo kosztowało ją odrobinę więcej energii, lekki uśmiech po „Na pewno po prostu wyjechali”, który miał przypieczętować słowa nieprawdy, i to znaczące spojrzenie, by się upewnić, że rozmówca uwierzył.

– Twoi Holendrzy – powiedział to, o czym już oboje wiedzieli.

– Co takiego?!

– Daj już, kurwa, spokój – wycedził przez zaciśnięte zęby. Oparł się rękami o jej stoliczek, a ten niebezpiecznie zatrzeszczał pod jego ciężarem. – Przyjechali tutaj hodować trawę. Na moim terenie. Tuż pod moim pierdolonym nosem!

– A mówisz mi o tym, bo...?

Patrzył na nią wymownie i równocześnie zastanawiał się, co się dzieje w głowie tej kobiety. Czy wciąż traktowała go jak dziecko? A może wydawało jej się, że ze względu na to, co się wtedy wydarzyło, ma nad nim jakąś władzę. Że sekret sprzed lat wciąż rządzi ich życiem. Czekają ją w takim razie gorzkie rozczarowanie.

– Przyszedłem do ciebie, bo możemy to zrobić na dwa sposoby – powiedział. – Mogę zebrać moich ludzi, założyć obserwację, przygotować akcję, zawiadomić górę, po czym wpaść tu z całą ekipą, która przetrzepie tych Holendrów i cały

kemping, a potem zacznie się tutaj panoszyć i zadawać bardzo niewygodne pytania. Na przykład o to, co tak naprawdę wiedziałaś, wynajmując im teren, i ile zarobiłaś na współpracy z handlarzami narkotyków.

– Albo?

– Albo ich stąd wyrzucisz.

– Mamy umowę.

– To ją wypowiedz, Malina. Ci Holendrzy muszą stąd zniknąć. Dla twojego własnego dobra.

Ostatnie zdanie wypowiedział, dźgając ją palcem w pierś. Tak ją tym zszokował, że nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Uśmiechnął się pod nosem. Zanim wyszedł, zatrzymał się jeszcze na chwilę w progu.

– I lepiej się pospiesz, Malina. Nie będę czekać w nieskończoność – rzucił.

Zamknął za sobą drzwi, więc nie widział sołtyski, której twarz najpierw stężała, a potem wykrzywił ją grymas paskudnej złości. Nie widział też, jak sięga po telefon i wybiera numer. I nie usłyszał, jak łamaną angielszczyzną mówi do słuchawki:

– Musimy się spotkać. Mamy problem. Poważny problem.

Jechaliśmy zdecydowanie zbyt szybko wyboistą leśną ścieżką, na której samochód podskakiwał raz po raz ze skrzypieniem sfatygowanych resorów. Joanna najwyraźniej się tym nie przejmowała. Trzymała ręce na kierownicy, a ta jazda po bezdrożach sprawiała jej wyraźną przyjemność. Wokół rosły gęste lasy z sosnami wbijającymi się tak wysoko w niebo, że ledwo dało się dostrzec ich czubki.

– Lubuskie to najgęściej zalesione województwo w Polsce – odezwała się w pewnym momencie.

– Słucham?

– Powtarzali nam to w kółko na lekcjach geografii. To chyba miał być dla nas powód do dumy. Tak jak ludzie z Olsztyna są dumni z tego, że w mieście jest szesnaście jezior.

– A jest?

– Podobno.

Samochód podskoczył na wyboju tak głębokim, że gdyby nie pasy bezpieczeństwa, to uderzyłbym głową o sufit.

– To gdzie jest ta wasza jagodowa górka? – zapytałem.

Zaśmiała się.

– Myślisz, że zdradzę ci najlepsze miejsce na jagody w okolicy? Możesz chodzić po Wilkach, możesz grzebać w naszych sekretach i, kto wie, być może kiedyś faktycznie jakieś wygrzebiez, ale nigdy, nigdy nie dowiesz się, gdzie zbieramy jagody!

– Brzmi to sensownie – przyznałem, równocześnie zapisując sobie w pamięci, że przeszliśmy mimowolnie na „ty”.

Zjechała na bok i zatrzymała samochód.

– Teraz musimy się trochę przejść – powiedziała.

Wysiedliśmy z wozu i ruszyliśmy w głąb lasu. Wokół unosił się przyjemny zapach żywicy, a sucha ściółka chrzęściła nam pod stopami.

– Podobno Kotwica w przeszłości był skinheadem – odezwałem się. – To prawda?

– Wszyscy nimi byliśmy – odpowiedziała. – Ale to nie do końca tak wyglądało.

– Możesz wyjaśnić?

– Wilki to naprawdę mała wioska, gdzie niewiele się dzieje. Teraz i tak jest lepiej, bo mamy internet. Jak byłam nastolatką, to nawet telewizję nie zawsze dało się odbierać. No i pewnego lata zjawiała się u nas grupa skinheadów z Zielonej Góry. Spodobała im się chyba nazwa naszej miejscowości. Mówili, że przyjechali na rekonesans i zastanawiają się, czy nie zrobić tutaj swojej stancy. No ale jak widzisz, nie zrobili. Spędzili kilka dni, a my trochę z nudów z nimi.

Przerwała na moment, którego potrzebowała na zebranie myśli.

– Musisz pamiętać, że wtedy nie mieliśmy internetu – przypomniała. – Nie mogliśmy tak po prostu sprawdzić, kim są ci ludzie i co nam opowiadają.

– A co wam opowiadali?

– Że jeśli jesteś skinem, to kochasz Polskę i chcesz jej bronić. Przyznasz, że to nic kontrowersyjnego, nie? W szkole też nam wpajano, że mamy kochać Polskę i jej bronić, a poza tym to było jeszcze przed wstąpieniem do Unii. Wtedy sporo ludzi miało obawy, że przyjadą Niemcy i nas wszystkich wykupią. Chodzi mi o to, że Kotwica został skinheadem tylko dlatego, że tamci chłopacy tutaj przyjechali. Jakby pierwsi pojawili się, nie wiem, rastafarianie, to wszyscy nosilibyśmy dredy, słuchali reggae, palili trawę i wznosili modły do Jaha. A tak chłopaki ogolili głowy, słuchali Honoru i łoilili prawowitą słowiańską wódkę.

– W pewnym momencie użyłaś liczby mnogiej – zauważyłem. – Też byłaś skinheadką.

Najpierw się zaczerwieniła, a potem skinęła głową.

– Byłam. I nosiłam tę idiotyczną fryzurę. Grzywka i dwa frędzle po bokach – mruknęła. – Na szczęście z tego wyrosłam.

– A Kotwica? – zapytałem.

– Mam nadzieję, że też. Ale nie rozmawiamy na temat przeszłości – oznajmiła i zakończyła tonem, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że oczekuje tego samego ode mnie.

Przystanęła i wskazała ręką przed siebie. Tam, kilkadziesiąt kroków dalej, znajdowała się wyrwa w lesie. Spory teren, gdzie pozostawiono tylko pojedyncze

sosny. Ogrodzono go płotem, a w środku bujnie rosły młode drzewa.

– Szkółka, której szukałeś – wyjaśniła. – Co teraz?

– Teraz podejźmy i ją sobie obejrzymy – powiedziałem.

Przystanęliśmy przy płocie. Byliśmy tak daleko od drogi, że ledwo dostrzegałem samochód Joanny, i tak głęboko w lesie, że raczej nikt tutaj nie trafiał przypadkiem. Nigdzie nie widziałem Konia ani dwóch Holendrów, ale zakładałem, że mogli tutaj przyjechać przed nami, załatwić swoją sprawę i jeszcze zdążyć wrócić.

Ruszyłem wzdłuż płotu, uważnie mu się przyglądając. Joanna poszła za mną.

– Czego szukamy? – zapytała.

Przeszedłem jeszcze kilka metrów i dopiero wtedy odpowiedziałem:

– Tego.

Dotarliśmy do furki prowadzącej na teren młodnika. Była to prosta, pospiesznie wykonana konstrukcja, zamknięta na zwykłą kłódkę zatrzaskową. No cóż, pokonanie tego ogrodzenia nie kosztowałoby mnie wiele trudu. W końcu miało chronić szkółkę przed zwierzętami, żeby nie zjadły młodych drzew, a nie przed ludźmi. Mógłbym wyjąć z plecaka multitoola i za pomocą kombinerek po prostu je przeciąć, a furka była co prawda zbyt lichej konstrukcji, żeby dało się na nią wspiąć i przeskoczyć na drugą stronę, ale rozwalenie jej w drobny mak zajęłoby mi tylko kilka minut. Nie chciałem jednak niczego niepotrzebnie niszczyć i szukałem bardziej eleganckiego rozwiązania.

Zacząłem chodzić dookoła, aż znalazłem nieco zakopany w ściółce dość spory kamień. Nachyliłem się, wyciągnąłem go z ziemi i wróciłem do furki. Zacząłem uderzać w kłódkę. Raz z jednej strony, raz z drugiej, coraz mocniej, aż wreszcie, za piątym razem, sama się otworzyła.

– Jak to zrobiłeś? – zapytała Joanna, która do tej pory tylko mi się przypatrywała.

– To kłódkę zatrzaskową. Kiedy w nią uderzam, drgają znajdujące się w środku rygle. Odrobina szczęścia i same się odblokowują.

Wyciągnąłem kłódkę ze skobla i otworzyłem szerzej drzwi.

– Panie przodem – powiedziałem, po czym zaprosiłem ją do środka zamaszystym ruchem ramienia.

Ona dygnęła uprzejmie i weszła.

– No dobrze – stwierdziła, kiedy oboje byliśmy już wewnątrz. – Powiesz mi teraz, po co tutaj przyjechaliśmy?

– Jeszcze nie.

Pociągnąłem ją za sobą w głąb młodnika, ostrożnie przeciskając się pomiędzy kilkuletnimi drzewkami, których ostre igły drapały nas po skórze. Po zaledwie kilkunastu metrach znalazłem to, czego szukałem.

– O ja pierdołę – jęknęła Joanna. – Czy to...

– Tak. Krzaki konopi indyjskich – odparłem. – Pięknie wyrosnięte i gotowe do zbiorów.

Wiedziałem, że Holendrzy hodują konopie. Wiedziałem, że ich plantacja musi być bardzo duża. Nie potrafiłem jednak wymyślić żadnego miejsca w Wilkach, gdzie by się zmieściła. Oczywiście mogli wynająć jakąś starą halę fabryczną, dom lub stodołę, ale zakładałem, że skoro mieszkają w Wilkach, to plantacja musi być blisko. Pozostawała jeszcze jedna możliwość – hodowla na świeżym powietrzu, ale co innego zasadzić kilka krzewów na własny użytek, a co innego prowadzić duży biznes. Strata paru krzaczków może boleć, strata kilkuset, którymi postanowiły nazreć się sarny, to zupełnie inny wymiar cierpienia. I spory kłopot. Wtedy w obozie Holendrów pojawił się Koniu i wszystko zrozumiałem. Młodniki to idealne miejsce na założenie hodowli. W lesie, na uboczu, otoczone płotem, więc żadna zwierzyna nie zniszczy uprawy, i dobrze nasłonecznione, bo drzewa są jeszcze niskie. Te same drzewka pomagają też ukryć krzewy przed wzrokiem przypadkowych przechodniów. I wreszcie, rzadko ktoś tutaj przychodzi. Prace porządkowe w młodnikach wykonuje się raz na rok albo dwa lata. Wystarczy tylko znać kogoś takiego jak Koniu, kto ma wgląd w terminarz prac leśnych, żeby założyć plantację, wyhodować krzewy, po czym je zabrać, zanim ktokolwiek zauważy. Oczywiście hodowla w plenerze jest trudniejsza. Nie ma się pełnej kontroli nad warunkami zewnętrznymi, nasłonecznieniem, wilgotnością, ilością opadów. Ale jeśli robi się to na wystarczająco dużą skalę, wyniki są więcej niż zadowalające. A Holendrzy hodowali tutaj więcej niż tylko kilka krzaków.

– Wiedziałeś, że tu będą? – zapytała Joanna.

– Podejrzewałem, że będą w jakimś młodniku. Nie wiedziałem, że w tym. Mieliśmy trochę szczęścia, że trafiliśmy od razu.

Kobieta podeszła do pierwszej konopi i ostrożnie ujęła szyszkę w dwa palce.

– Myślę, że możesz kilka zebrać – powiedziałem. – Nie powinni się zorientować.

Cofnęła rękę i pokręciła głową.

– Nie, dzięki. Czyli Koniu z Holendrami...

– Najwyraźniej założyli całkiem lukratywną spółkę. On ich wprowadza na teren młodnika i pewnie pomaga przy pracach, oni odpalają mu działkę ze sprzedaży trawki.

– To ma coś wspólnego ze śmiercią Oli? – zapytała.

– Nie wiem – odpowiedziałem szczerze. – Ale na pewno jest bardzo ciekawe. Zapomniałaś o jeszcze jednym pytaniu.

– Jakim?

– Kto oprócz Konia im w tym wszystkim pomaga?

Lars uznał, że ma dość, kiedy próbowali zakazać Czarnego Piotrusia. Przez całe jego dzieciństwo to pomocnik Świętego Mikołaja robił sztuczki i rozdawał dzieciakom korzenne ciasteczka na ulicach holenderskich miast, miasteczek i wiosek. Nikomu to wtedy nie przeszkadzało. Bo niby dlaczego? To był tylko facet w pstrokatym ubraniu i z pomalowaną na czarno twarzą, a potem pojawiły się oskarżenia o rasizm, stereotypy i tęsknotę za kolonialną przeszłością, której Holandia powinna się wstydić, a nie się nią chwalić. Czarnego Piotrusia udało się wtedy obronić, ale Lars znał ten mechanizm i wiedział, że to chwilowe zwycięstwo. Sprawa była już przegrana i lada chwila Czarny Piotruś zniknie, a zastąpi go jakiś Tolerancyjny Tomek. Holandia, myślał, popada w szaleństwo i nie ma już żadnej możliwości, żeby ją zawrócić z tej drogi. Dlatego postanowił wyjechać.

Od początku zastanawiał się nad wschodem Europy, czyli krajami, gdzie według niego było jeszcze normalnie. Uznał jednak, że Rosja, Białoruś czy Ukraina to jednak przesada. Przyzwyczyił się już do pewnego cywilizacyjnego poziomu, a poza tym nie należały do Unii. Kraje bałtyckie odrzucił, bo za zimno, pozostawała więc Polska, Rumunia, Bułgaria i Węgry. Kusilo go południe i ciepłe plaże nad Morzem Czarnym, ale przeszkadzała odległość. To był właściwie drugi koniec świata. Kiedy jednak odezwał się do niego znajomy, że potrzebuje kogoś zaufanego do pomocy w interesach w Polsce, od razu się zdecydował. Nie żałował tego. Do Holandii blisko, wystarczyło przejechać przez Niemcy, na ulicach mało kamer, więc nie czuł się przez cały czas obserwowany, no i przede wszystkim – było biało. A jeśli już pojawiała się jakaś żółta czy czarna twarz, to przemykała z boku, tak jak powinno być. Drażniły go tylko dwie rzeczy – mróz w zimie i homofobia. Sam nie był gejem, ale nie rozumiał, dlaczego Polakom tak bardzo przeszkadza, kiedy dwóch facetów chce się razem pobawić. Uznał, że to pewnie przez jakieś tłumione pragnienia i powinni to sobie przepracować. Przyjechał jednak do Polski, żeby zarabiać pieniądze, a nie robić narodową psychoterapię.

Zajmował się dwiema rzeczami – kupował składniki do produkcji narkotyków syntetycznych: ecstasy, mety, amfy, a potem zawoził je do tych wszystkich laboratoriów, które są ukryte pod wielkimi szklarniami pełnymi tulipanów. To był łatwy, prosty i przyjemny zarobek. Sprowadził swojego brata Jaydena i kilku zaufanych chłopaków do pomocy. Ilekroć przejeżdżał przez lubuskie lasy, dostrzegał potencjał tego miejsca, więc wkrótce przeniósł się tutaj ze swoją ekipą, nawiązał kontakty i zaczął hodować marihuanę. Rosła pięknie. Ryzyko wpadki było właściwie żadne. Wystarczyło tylko zasiać i zebrać, a całą resztą zajmował się Karim, którego tutaj ściągnęli, bo miał rękę do konopi. Gdyby nie on, zbiory byłyby kilka razy niższe.

Mieli piękne życie.

Objężdżali właśnie z Karimem i Koniem uprawy, żeby zdecydować, którą zająć się w następnej kolejności. W tym roku konopi wyrosło im tyle, że nie mieli gdzie suszyć. Lars nie chciał jednak, żeby towar się zmarnował, bo zadowolony z zeszłorocznej dostawy kupiec z Amsterdamu był gotów zapłacić więcej, byleby dostać od niego towar. I właśnie wtedy zadzwoniła sołtysowa, że mają kłopoty.

Przerwali więc obchód i wrócili na kemping. Karim poszedł do siebie, z Koniem umówili się, że objazd dokończą jutro, a kiedy pojawiła się sołtysowa, przegonił resztę ekipy, kazał im zabierać komputer i poszedł z nią do kampera.

Nie lubił tej kobiety. Właściwie nie wiedział dlaczego. Było w niej coś antypatycznego, przyznawał jednak, że dobrze robi się z nią interesy. Wynajęła mu cały kemping za całkiem przyzwoitą cenę, a potem pomogła nawiązać kontakt z Koniem. Gość pracował w lesie i miał problemy finansowe, które w gruncie rzeczy wynikały z tego, że wydawał więcej, niż zarabiał. Lars był dla niego wybawieniem.

Sołtyska pociągnęła demonstracyjnie nosem, by dać do zrozumienia, że nie podoba jej się zapach tytoniu, alkoholu i trawy, po czym usiadła przy stole. Lars wyjął sobie piwo z lodówki i usiadł obok.

– Jaki mamy problem?

– Kotwica dowiedział się o waszej plantacji – powiedziała.

Rozmawiali po niemiecku. Podobno nauczyła się języka dawno temu, kiedy jeździła, jak niemal każdy stąd, do pracy do zachodniego sąsiada i oglądała niemiecką telewizję z satelity, bo w tej polskiej niczego ciekawego nie pokazywali.

– Niby jak?

– Znalazł konopie w domu Traszki.

– Niemożliwe – stwierdził Lars. – Wszystko stamtąd zabraliśmy.

– Ale coś znalazł! Zresztą co to za pomysł, żeby urządzać tam suszarnię! Odbiło wam?

– Dom stał opuszczony. Nikt tam nie mieszka, nikt nie przychodzi. Po co ma się marnować?

– To było głupie.

– Nie mieliśmy gdzie suszyć trawy! Co, u ciebie w stodole mieliśmy to robić?!

Otworzył piwo i upił duży łyk. Potem beknął. Sołtyśka siedziała nieporuszona.

– Co teraz? – zapytał.

Dobrze mu było w Wilkach. Wizja opuszczenia tego miejsca i zaczynania wszystkiego od nowa z powodu jednego nadgorliwego policjanta zupełnie mu się nie podobała.

– Kotwicą ja się zajmę – zapewniła go. – Przekonam, żeby nie robił nic głupiego.

– Niby jak?

– Mam swoje sposoby. Tym się nie martw. Zastanawiam się jednak, skąd się dowiedział o waszej plantacji.

Lars się skrzywił.

– Wczoraj jakiś facet wszedł do domu Traszki. Natychmiast pojechaliśmy na miejsce, ale zniknął. Niczego nie zabrał. Na wszelki wypadek zlikwidowaliśmy suszarnię.

– Co to za mężczyzna?

– Nie wiem. Nigdy go tutaj nie widziałem. Jakiś nowy. Spotkaliśmy go potem w Wilkach i trochę postraszyliśmy. Miał przestać węszyć.

Pokiwała głową, jakby dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewała.

– Ale węszyć dalej – odparła. – I to pewnie on powiedział Kotwicy o konopiach. Musicie się nim zająć, Lars. I tym razem nie ograniczajcie się do nastraszenia.

– Mamy go pobić, zabić?

– Zróbcie to, co będzie konieczne – oznajmiła beznamiętnie.

Holender pomyślał, że właśnie dlatego jej nie lubi. Zachowywała się, jakby to ona tutaj rządziła. Być może naprawdę w to wierzyła, a być może już taka była – królowa na włościach, nawet jeśli te włości to tylko kilka chałup na krzyż. Niemniej przez cały czas ich współpracy nigdy się nie zawahała. Nigdy nie miała wątpliwości. Tak jak teraz. Po prostu przyszła i kazała im pobić lub zabić zupełnie obcego człowieka. Ot tak, bo taka była potrzeba. Zaczął się zastanawiać, co ta niepozorna kobieta ma jeszcze na sumieniu.

– Jak go znajdzie? – zapytał.

– Wilki nie są duże. Wystarczy, że się rozejrzycie. Ale ułatwię ci to: wiem, gdzie się zatrzymał. I dam znać, kiedy się pojawi na kwaterze.

– Dobrze.

Sołtyska nachyliła się nad Holendrem.

– Chcę, żeby ten człowiek zniknął z mojej wsi – powiedziała.

Potem wstała, pożegnała się z nim skinieniem głowy i wyszła z kampera. Lars z puszką piwa w dłoni patrzył, jak wsiada do samochodu i odjeżdża. Podrapał się po policzku. Miał na koncie różne wybryki, a także kilkuletnią odsiadkę. Nie bał się ryzykować ani dać komuś po pysku, jednak ta sytuacja mu się nie podobała. Tajemniczy nieznajomy, który wsadza nos w nie swoje sprawy. Sołtyska miała rację, że trzeba się nim zająć. Tyle że Lars pomimo wszystko nie był zabójcą.

W przeciwieństwie do Jaydena.

– To było ciekawe – powiedziała Joanna, kiedy wracaliśmy z lasu.

– Cieszę się, że ci się podobało.

– Co teraz z tym zrobimy? Zawiadomimy Kotwicę?

– On już wie.

– O plantacji? Też w tym bierze udział? Nie wierzę. Paweł taki nie jest.

Trochę zdziwiła mnie pewność w jej głosie. Rozmawialiśmy w końcu o facecie, który kilka lat wcześniej był przywódcą bandy lokalnych skinów i postrachem okolicy. Ktoś taki idealnie pasowałby do portretu skorumpowanego policjanta.

– Bardzo się zmienił po narodzinach córki – odezwała się Joanna, jakby czytała mi w myślach. – Dorósł. Nie ryzykowałby utraty pracy, więzienia, bo troszczy się o Emilkę.

– Powiedziałem mu wcześniej o interesie Holendrów – wyjaśniłem. – Nie wiem, co z tym zrobi, ale zna już sprawę.

– Moja mama może mieć kłopoty?

– Bo wynajęła im kemping? Nie sędzę.

– A ja? Powinnam się bać?

– Holendrów?

– Tak. Jeśli dowiedzą się, że tam byliśmy.

– Niby jak mieliby się dowiedzieć? – zapytałem.

– Nie wiem.

– Nawet gdyby jakimś cudem się dowiedzieli, to jesteś córką kobiety, od której wynajmują kemping. Poza tym nic tam nie zrobiliśmy. Niczego nie zabraliśmy, niczego nie zniszczyliśmy. Moim zdaniem nie masz się czego obawiać.

– Nie wiem, czy udało mi się ją uspokoić.

– Są w ogóle w tych lasach wilki? – zapytałem.

– Chyba nie.

– A kiedyś były?

– Nie wydaje mi się. Może zaraz po wojnie. Ale jak byłam mała i szłam do lasu, to mama ostrzegała mnie przed trzema rzeczami.

– Jakimi?

– Przed żmijami, kleszczami i pijakami.

Roześmiałem się krótko.

– To skąd w takim razie ta nazwa? I te rzeźby? – zapytałem.

– Tuż po wojnie sprowadzili się tu ludzie z Kresów. Tam mieszkali w Wilkach, to stwierdzili, że tutaj też będą mieli Wilki. Stąd ta nazwa.

– A rzeźby?

– Jedna starsza pani, babka Kotwicy, powiedziała mi, że chronią obejście.

– Dziwne. Psy nie wystarczają? Trzeba jeszcze zatrudnić do tego wilki?

– Ponoć na Wołyniu psy im nie pomogły. – Zamilkła na kilka sekund. – Wtedy nie wiedziałam, o czym opowiada. Zrozumiałam dopiero wiele lat później. Nawet nie w szkole, bo przecież poświęcili temu jeden akapit w podręczniku, którego i tak nikt nie czytał. Chyba dopiero w Anglii... Chociaż szczerze to nie wiem, czy ona sobie ze mnie nie żartowała. To była dziwna kobieta. Na starość trochę jej się na mózg rzuciło. Ale mogło być też tak, że ktoś sobie jednego wyrzeźbił z nudów, sąsiad pozazdrościł, wyrzeźbił swojego i potem już poszło. Kto się sprowadzał lub budował, sprawiał sobie wilka. I im jestem starsza, tym bardziej wolę tę wersję. Że to z powodu zwykłej sąsiedzkiej zazdrości, a nie wojennej traumy.

Opuściliśmy wreszcie las i wjechaliśmy do wsi. Powiedziała, że podrzuci mnie na kwaterę, więc wskazałem jej drogę. Wjechaliśmy na podwórko i zatrzymała się tuż przed bramą. Wyłączyła silnik. Przez długą chwilę oboje siedzieliśmy w samochodzie. Miałem przecucie, że coś mi chce powiedzieć. Długo szukała odpowiednich słów.

– Lubię to miejsce – odezwała się wreszcie. – Uciekłam stąd do Anglii, próbowałam mieszkać też w kilku miastach w Polsce, ale w żadnym nie potrafiłam wytrzymać. Za dużo ludzi, brzydkie budynki, hałas, za mało przestrzeni. Przede wszystkim jednak czułam się nie na miejscu. Musiałam tutaj wrócić.

– Rozumiem. To przyjemna wioska, spokojna, ładna. Pewnie dobrze się tutaj żyje.

– Tak – potwierdziła gorączkowo, a kilka kosmyków włosów opadło jej na twarz. Odgarnęła je szybkim ruchem ręki. – Naprawdę. Wszyscy wszystkich tu

znają, można liczyć na sąsiadów. Widziałeś pana Jarka u mnie na kempingu?

– Tak.

– Nie poradziłabym sobie bez niego z remontem. Dalej byłabym w lesie. Pracuje u mnie po dwanaście, czternaście godzin na dobę. A wiesz, co jest najlepsze?

– Co?

– Nie bierze ode mnie pieniędzy. Oczywiście płacę za materiały budowlane, kupuję też zgrzewkę wody i coś do jedzenia, ale za robociznę nie bierze ani grosza. Zawsze powtarza, że mu zapłacę, jak interes się rozkręci. A kiedy to będzie? I czy w ogóle?

– Masz przecież tę imprezę.

– Uhm... I to pewnie mój jedyny zarobek w tym roku. Na wakacje nie zdążyłam, nie było szans. Mam jeszcze oszczędności, znajdę sobie pracę, ale z kempingu następne pieniądze zobaczę najwcześniej w maju, może w czerwcu. Ale nieważne. Chodzi mi o to, że to naprawdę dobre miejsce, w którym mieszkają dobrzy ludzie. A teraz ci Holendrzy, wcześniej Ola, a jeszcze wcześniej... – Zamilkła tak gwałtownie, jakby ktoś brzytwą przeciął jej język.

– Co wcześniej? – zapytałem.

Odwróciła twarz w moją stronę i uśmiechnęła się słabo.

– Dowiedziałeś się o Holendrach, dowiesz się też o tym. Ale nie ode mnie.

Podziękowałem za pomoc i wysiadłem. Nie zwlekając, wrzuciła wsteczny i wyjechała z podwórka. Jej terenowy samochód chwilę później zniknął za żywopłotem.

Wsadziłem ręce do kieszeni i popatrzyłem na drewnianego wilka, który wciąż chował się za budynkiem, jakby naprawdę się na mnie czaił. Zbliżyłem się do niego, wsadziłem mu dłoń do pyska i chwyciłem za jeden z drewnianych kłów. Szarpnąłem w jedną i w drugą stronę, ale siedział mocno.

– Tak właśnie myślałam, że to pan. – Usłyszałem za sobą głos właścicielki pensjonatu.

– Bardzo pani spostrzegawcza – pochwaliłem ją, oddalając się od wilka.

Chyba przed chwilą z kimś rozmawiała, bo właśnie pospiesznie chowała telefon do kieszeni zarzuconego na ramiona szarego rozpinanego swetra.

– Będzie pan teraz na kwaterze?

– Przez jakiś czas. Czemu pani pyta?

– A tak. Miałam pohłasować trochę w domu, ale skoro pan zostaje, to nie będę, żeby pan mógł wypocząć.

– Bardzo to miłe z pani strony – powiedziałem.

Zerknąłem na zegarek. Zbliżał się wieczór. Wrzesień do tej pory był dla nas łaskawy, ciepły i przyjemny, ale teraz robiło się już chłodno i na mojej skórze pojawiła się gęsia skórka. Pomyślałem, że powinienem coś na siebie włożyć.

– Pan to się chyba sam prosi o kłopoty – odezwała się niespodziewanie właścicielka.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Najpierw przyjeżdża pan tutaj z tym Cyganem, a teraz zaprzyjaźnił się pan z panią Joasią.

– A to źle, bo?

– Bo ona przynosi pecha. Każdy w Wilkach to panu powie. Na pana miejscu trzymałabym się od niej z daleka. No ale pan to pewnie jeden z tych mądrali, co wiedzą lepiej, nie?

– To akurat prawda – przyznałem. – A poza tym lubię kłopoty.

Puściłem do niej oko i poszedłem do siebie do pokoju.

Przez cały dzień nie potrafił się skupić na robocie. Pisanie rozprawy habilitacyjnej było dużo trudniejsze, niż mu się wydawało. Nie dawał sobie rady ze strukturą tekstu. Początkowo sądził, że materiału starczy na sto stron, ale wyszło dziesięć, chociaż i tak przez większość czasu lał wodę. Zaczął się obawiać, że ta pozycja będzie cieńsza niż jego praca magisterska. Do tego zupełnie nie radził sobie z przypisami. Zawsze był wolnym duchem, rzucał pomysłami, których dopracowaniem zajmowali się inni, a sam zadowalał się wygodną pozycją recenzenta gotowej pracy. Teraz musiał pilnować rygorystycznych zasad, których sensu nie pojmował.

Mógłby zlecić komuś pisanie pracy habilitacyjnej, tak jak to zrobił z doktoratem. Doszedł jednak do takiego etapu w swoim życiu, zdobył taką pozycję i taki majątek, że jedyną osobą, której opinia go interesowała, był on sam. Dlatego już dawno postanowił, że jeśli ma zrobić tę habilitację, to samodzielnie. A jeśli ma ją zawalić, to również sam.

Poza tym chciał trochę zaimponować żonie. Zależało mu na jej zdaniu i pomyślał, że jego stopień naukowy będzie dla niej pięknym prezentem na ich rocznicę.

Słyszał krzyki chłopaków z ogrodu. Przeciągnął się, wstał od biurka i podszedł do okna. Schował się za firanką, tak żeby nie było go widać z zewnątrz, i podglądał, co robią.

Wyciągnęli leżaki, krzesła i stolik. Trzech zdążyło już otworzyć puszki z piwem. Popijali, obserwując Matiego z wujkiem.

Kostek powiedział chłopakowi, żeby stanął w pozycji do walki. Mati to zrobił. Ręce zaciśnięte w pięści, podniesione na wysokość szczęki, lewa noga do przodu, prawa z tyłu. Profesor był pod wrażeniem. Sam boksował kilka lat na studiach, widział więc, że chłopak gardę trzyma za nisko, a nogi ma za sztywne, ale i tak był pod wrażeniem, że jego syn coś takiego potrafi.

– Nie, ustaw się na odwrót – powiedział Kostek.

Mati wykonał polecenie. Wystawił prawą nogę do przodu, lewą dał do tyłu. Pozycja zupełnie bezsensowna, biorąc pod uwagę, że chłopak był praworęczny. W ten sposób sam sobie utrudniał walkę.

– Teraz mnie uderz.

Mati wykonał markowany sierpowy. W tym momencie Kostek rzucił się na ziemię, ustawiając się do niego bokiem, lewą ręką otoczył jego łydkę i zaczął powoli obracać w taki sposób, że uderzył chłopaka swoim barkiem w udo. Mati upadł. Leżeli prostopadle do siebie, z głową Kostka na brzuchu Matiego. Mężczyzna prawym łokciem wykonał pozorowany cios w krocze, a potem zrobił jeszcze jeden obrót i zapozorował cios lewą pięścią prosto w twarz. Później wstał, nachylił się nad Matim, pomógł mu się podnieść i ponownie przeprowadzili całą akcję. Tym razem wolniej, bo przy okazji wszystko tłumaczył stojącym wokół chłopakom.

Profesor nie uważał się za eksperta w sportach walki. Z tych kilku lat boksowania może pamiętał tyle, jak stać i się ruszać, ale nawet on dostrzegał, że ta technika jest bez sensu. Kostek sam się kładł przed przeciwnikiem, narażając się na cios kolanem prosto w głowę. Wreszcie Mati mógł się po prostu odsunąć i z całej akcji nic by nie wyszło. Ale jego syn i jego kumple patrzyli teraz na Kostka z podziwem, a Profesora zalało uczucie żalu.

Zawalił. Zdawał sobie z tego sprawę. Za bardzo poświęcił się pracy. Chociaż nie tylko on, bo Mariola zrobiła to samo. Oboje wychowali się w ponurych latach osiemdziesiątych, kiedy wokół panowała wszechobecna szarość i wydawało się, że może być tylko gorzej. Gdy nagle w osiemdziesiątym dziewiątym nastąpił przełom, świat wybuchł kolorami, a oni wkroczyli w dorosłość w zupełnie innym świecie niż ich rodzice. Nie byli w pierwszej fali tych, którzy wypłynęli na wierzch dzięki kontaktom z czasów opozycyjnej i partyjnej działalności, ale szli tuż za nimi i robili wszystko, żeby skorzystać z nowych możliwości – on w biznesie, ona w świecie akademickim. A potem Polska weszła do Unii Europejskiej i zrobiło się jeszcze lepiej. Byli jak heroiniści, którzy rzucają się na nową działkę. I podobnie jak ćpuny w pewnym momencie zapomnieli, że mają dziecko.

A przecież zawsze chciał być ojcem.

Oboje zaniedbywali syna, ale dostawali kolejne szanse – on kontrakt życia, umowę z zagranicznym koncernem, biznesową okazję, ona udział w zagranicznym

projekcie, prestiżowy staż czy grant prosto z Brukseli. Aż żal było z nich nie skorzystać.

To ona pierwsza zdradziła. Dowiedział się o tym przypadkiem, kiedy w jego domu pojawiła się żona kochanka i ze łzami w oczach prosiła, żeby powstrzymał „swoją kobietę” przed rozbijaniem rodziny. Był wściekły i upokorzony, ale rozwód w tamtym momencie oznaczał finansowy i prawny koszmar, odwdzińczył się więc głupim romansiem z dużo młodszą kobietą, której nawet nie lubił. Przez kilka lat tkwili w głębokim kryzysie, unikając się i zmierzając prosto w stronę przepaści, aż w pewnym momencie, w jakimś desperackim geście, zdecydowali się na wspólny romantyczny wyjazd do Francji. I na tym wyjeździe nagle odkryli, że ciągle się lubią, a nawet kochają, ale są w stanie zaspokoić swoje potrzeby tylko w dziewięćdziesięciu procentach. Zawarli więc porozumienie, że dziesięć pozostałych mogą zaspokajać gdzie indziej. Ona, jak twierdziła, poszukiwała intelektualnej stymulacji na znacznie wyższym poziomie. On lubił te pełne podziwu spojrzenia szalonych dziewczyn o artystycznych duszach, których tyle było w branży reklamowej. I ten układ działał zaskakująco dobrze. Do tego stopnia, że ona dla niego zapisała się na lekcje malarstwa i teraz jeździła na plenery, a on zrobił doktorat, zaczął wykładać na jednej z prywatnych uczelni i teraz walczył z habilitacją.

Udało im się uratować małżeństwo, ale gdzieś po drodze stracili Mateusza. Kiedy w końcu to do niego dotarło i zaczął walczyć o uwagę syna, zorientował się, że chłopak wcale go nie chce ani nie potrzebuje. Bo miał Kostka. Który był najgorszym możliwym wyborem, a teraz tarzał się po trawie i popisывał przed dziećmiakami dwa razy młodszymi od niego.

Wrócił do biurka. Próbował pracować, jednak po kwadransie się poddał i uznał, że nic z tego nie będzie. Poszedł do kuchni, żeby przygotować sobie coś do jedzenia, i ku swojej irytacji zastał tam Kostka. Właśnie wyjmował kolejnego browara z lodówki. Otworzył puszkę, wypił łyk i wtedy zauważył brata. Nieprzyjemnie zaskoczony, aż się zakrztusił, a piwo pociekło mu po brodzie.

– Widziałem, co robiłeś w ogrodzie – odezwał się Profesor, kiedy Kostek wycierał rękawem szczękę.

– Co w ogrodzie?

– Te twoje chwytty.

– A, te... – mruknął lekko zawstydzony. – No tak... Podpatrzyło się parę rzeczy to tu, to tam.

– Nie wiedziałem, że zacząłeś ćwiczyć.

– To tylko takie... – Machnął ręką.

– Ale to chyba nie najlepszy sposób na obalenie, bo...

– Pamiętasz, jak ćwiczyłeś boks? – przerwał mu nagle brat.

– Tak.

– Poprosiłem cię wtedy, żebyś czegoś mnie nauczył. Ale tego nie zrobiłeś. Wszyscy zazdrościli mi, że mam starszego brata. Takiego, który może mnie wziąć w obronę. Tyle że gdy wreszcie przywalił mi jakiś łobuz, nic się nie stało. Nie przyszedłeś. Nie przyłożyłeś mi. Miałeś to w nosie. No to potem każdy na podwórku mnie lał, bo wiedział, że nie ma się czego bać.

– Chryste, co ty opowiadasz? Jakieś historie sprzed trzydziestu, czterdziestu lat?

– Tak! Bo wtedy był czas, kiedy mogłeś mnie czegoś nauczyć. Trochę się spóźniłeś, więc zachowaj te mądrości dla siebie, dobra?

Profesor pomyślał, że ta sytuacja jest absurdalna, a jego dorosły przecież brat zachowuje się jak rozwyrzony, pełen pretensji do całego świata nastolatek.

– Powinieneś znaleźć sobie znajomych w swoim wieku.

Kostek skrzywił się, jakby coś mu utknęło w przełyku.

– Mam znajomych w swoim wieku – warknął, jego głos brzmiał jednak nieszczerze. – Ale ty mnie zawiodłeś, a potem zawiodłeś Matiego. Ja tego nie zrobię. On mnie potrzebuje i dlatego tutaj jestem.

– Zawiodłem cię? Bo nie nauczyłem cię boksować? Przecież sam mogłeś zapisać się do sekcji! Szlag! Trenowały tam dzieciaki młodsze od ciebie!

– Nie chodzi tylko o boks. Chodzi o to, że jedyne, na co mogłem liczyć, to że mój starszy brat odbije mi dziewczynę.

Profesor przymknął powieki. Po raz kolejny ta sama rozmowa. Po raz kolejny te same idiotyczne pretensje.

– Mariola nie była tobą zainteresowana – odezwał się pomimo zmęczenia. Tyle razy to już tłumaczył, ale do Kostka nie docierało. – Przyjaźniła się z tobą, żeby poznać mnie. Tylko o to jej chodziło.

– Wiem – warknął Kostek. – Ale pomimo tego nie mogłeś mi jej zostawić, co? Miałeś tyle innych, ale tej też nie mogłeś odpuścić.

– Zostawić ci ją? Przecież ona ma swój rozum. To nie jest jakaś rzecz, którą możesz sobie przestawiać z miejsca na miejsce! No i nie byliście razem, tylko się przyjaźniliście.

Kostek poczerwieniał i już się wydawało, że zaraz wyrzuci z siebie kolejny gniewny słowotok, kiedy niespodziewanie się uspokoił. Jego usta wykrzywiły się nawet w wymuszonym uśmiechu.

– Było, minęło – powiedział.

Profesor pomyślał, że chyba nie do końca, skoro znowu wracają do tej sprawy sprzed lat. Chciał to jakoś skomentować, ale brat klepnął go po ramieniu i wyszedł na dwór. Mężczyzna został w kuchni sam. Nalał sobie wody do szklanki i wypił duszkiem.

Wciąż czuł ciężką dłoń brata. To klepnięcie sprzed chwili nie było przyjacielskie. Nie było nawet jednym z tych bolesnych, chociaż żartobliwych gestów, kiedy uderza się kolegę pięścią w mięsień. Nie, ono było przepełnione agresją. Jak tani substytut ciosu w twarz.

Do tej pory właścicielka kwatery traktowała mnie z co najmniej chłodną wrogością. Niespecjalnie więc uwierzyłem w to, że dopytuje o moje plany, bo nie chce przeszkadzać mi hałasem. W dodatku pospiesznie chowany telefon i mina dziecka niemal przyłapanego na psocie wskazywały, że przed chwilą z kimś o mnie rozmawiała. Informowała go, że pojawiłem się na miejscu. A skoro jeszcze upewniła się, że nigdzie nie wychodzę, to zapewne ktoś zamierzał mnie odwiedzić. Najprawdopodobniej nie z towarzyską wizytą.

Miałem przed sobą kilka różnych możliwości. Pierwsza i najlepsza – dyskretnie opuścić kwaterę, ukryć się gdzieś w pobliżu, sprawdzić, kto przyjedzie i jakie są jego zamiary, a następnie odpowiednio zareagować. Tak zachowywałby się ktoś rozsądny. Tylko że ja nie okłamałem właścicielki pensjonatu – naprawdę lubiłem kłopoty. A do tego trochę zaczynało mi się już nudzić.

Otworzyłem szeroko okno w pokoju, przylgnąłem do ściany, tak żeby nie było mnie widać z zewnątrz, i czekałem. Wkrótce usłyszałem auto, a potem zobaczyłem wjeżdżającego na podwórko opla astrę. Czyli Holendrzy. Dostrzegłem co najmniej czterech, nie miałem jednak czasu sprawdzić, ilu naprawdę do mnie przyjechało.

Poszedłem szybko, ale spokojnie na drugą stronę korytarza, do łazienki, gdzie ukryłem się za przymkniętymi drzwiami. Kilka sekund później ktoś wbiegł po schodach. Dwóch gości, sądząc po krokach. Wpadli do mojego pokoju, robiąc taki hałas, jakby planowali go zdemolować.

– *Hij is er niet!* – krzyknął jeden z nich. – *Hij is aan mijn oog ontsnapt!*

Wyszedłem z łazienki i skierowałem się do pokoju. W środku było dwóch mężczyzn – jeden przy otwartym oknie krzyczał coś do kogoś na dole, drugi przy samych drzwiach. Obaj stali tyłem do mnie, co paradoksalnie niespecjalnie mi się podobało. Jest wiele sposobów ataku na przeciwnika od tyłu. Najlepsze byłoby duszenie, które wbrew nazwie polega bardziej na uciskaniu tętnic szyjnych ramieniem i przedramieniem. W ten sposób odcina się przepływ krwi do mózgu i pozbawia przytomności, tyle że trochę to zajmuje. Zamiast dusić, mogłem się zdecydować na cios w tętnice z obu stron, jednak jakoś nigdy nie miałem zaufania

do tego typu sztuczek. I wreszcie proste uderzenie pięścią w tył głowy. Amerykanie mają na to ładną nazwę – *rabbit punch*. Uderzenie królika, czyli najszybsza i najbardziej humanitarna metoda pozbawienia życia tego zwierzęcia. U ludzi działa to podobnie – prosty cios w okolicy nasady głowy może prowadzić do uszkodzenia rdzenia kręgowego i w rezultacie do kalectwa lub śmierci. A ja nie chciałem nikogo zabijać.

Dlatego uderzyłem w dół, prosto w prawą nerkę. Potwornie bolesny i nieprzyjemny cios. Nie nokautujący, raczej wyłączający na dłuższą chwilę z walki. A o to mi przecież chodziło.

Holender nie usłyszał, że się zbliżam. Kiedy moja pięść spadła z ogromną siłą na jego nerkę, krzyknął z bólu i osunął się na kolana. Ten drugi natychmiast się wyprostował i odwrócił. Na mój widok zrobił wielkie oczy i zamarł, jak postać z gabinetu figur woskowych. Naturalna, wypracowana przez tysiące lat ewolucji reakcja. Oczy drapieżnika są tak wykształcone, że zwracają uwagę na ruch. Zastygnięcie daje więc szansę na to, że nas nie zauważy i pójdzie dalej. Ale to, co sprawdza się w świecie lwów, gepardów i antylop, niekoniecznie działa wśród ludzi, bo ja już na niego pędziłem. Wybiłem się z lewej nogi, prawą wykonałem ruch, jakbym próbował go kopnąć kolanem, ale potrzebowałem tego tylko, żeby nabrać więcej energii. Kopnąłem lewą prosto w splot słoneczny, wypychając do przodu biodro, żeby zwiększyć siłę i zasięg. Holender, jeden z tych, którzy wcześniej siedzieli przed telewizorem i oglądali film, jęknął i poleciał do tyłu. Uderzył pośladkami w parapet. Zachwiał się, próbował jeszcze złapać za framugę, ale górna połowa ciała już znajdowała się poza budynkiem. I nagle jego nogi uniosły się, mężczyzna zrobił efektownego fikołka i poleciał w dół.

Skrzywiłem się. Tak jak wspominałem, nie chciałem im zrobić wielkiej krzywdy. Mężczyzna spadł z wysokości pierwszego piętra. Prawie na pewno przeżył, ale to nie mógł być przyjemny upadek. Podszedłem do okna i wyrząłem na zewnątrz. Podbiegło do niego dwóch kumpli. Jednym z nich był ten blondyn, który jechał z Koniem do lasu, drugim chyba Jayden. Dopadli do leżącego na plecach faceta. Był cały czerwony na twarzy i trzymał się za paskudnie wygiętą w dwóch miejscach rękę. Bardzo nieprzyjemne złamanie.

I blondyn, i Jayden niemal równocześnie podnieśli głowy. Zobaczyli mnie w oknie i popędzili na górę.

Cóż, pokój był zbyt mały, żeby swobodnie manewrować, stosować uniki i kopać. Ja straciłem przewagę zaskoczenia, a tamci dwaj wyglądali na takich, którzy jednak potrafią się bić. Uznałem więc, że okoliczności mi nie sprzyjają.

Usiadłem na parapecie, opuściłem nogi i zeskoczyłem. Po lądowaniu przeturlałem się do przodu, żeby wytracić energię skoku, ale i tak trochę zaboląło.

– *Hier is hij!*

Krzyknął ten leżący. Bohatersko próbował się podnieść, żeby mnie zatrzymać, więc kopnąłem go w brzuch. Wyjąłem z kieszeni multitoola i otworzyłem nóż, po czym podbiegłem do opla i wbiłem ostrze w oponę.

Wtedy w oknie ujrzałem twarz Jaydena. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały, a ułamek sekundy później w jego dłoni pojawił się pistolet. Skuliłem się, gdy strzelił. Kula wbiła się w dach samochodu.

To już była lekka przesada.

Schowany za autem, wbiłem nóż w drugą oponę, a potem rzuciłem się przed siebie. Strzelił jeszcze raz, ale byłbym bardzo zaskoczony, gdyby trafił z tej odległości.

Wypadłem za płot i popędziłem dalej. Nie miałem żadnego celu. Chodziło mi o to, żeby jak najbardziej oddalić się od Holendrów, a konkretnie od tego z bronią. Szybko minąłem ostatnie zabudowania Wilków i wpadłem do lasu. Zatrzymałem się dopiero po jakichś piętnastu minutach intensywnego biegu. Schowałem się za drzewem i próbując uspokoić oddech, wyjrzałem w stronę, z której przybiegłem.

Nikogo nie zauważyłem ani nie usłyszałem. Obserwowałem tak okolicę przez dłuższą chwilę, aż uznałem, że Holendrzy jednak nie podjęli pościgu.

Odetchnąłem i otarłem pot z czoła. Zaskoczyli mnie. Naprawdę nie spodziewałem się, że tak szybko sięgną po broń palną. Brałem pod uwagę to, że mogą mnie zaatakować, że w ruch pójda pałki lub nawet noże, ale pistolet? Przecież nic im nie zrobiłem! A marihuana, nawet duże jej ilości, to przecież nie kokaina. Nikt dla niej nie zabija! Skoro założyli plantację w lesie, to musieli brać pod uwagę, że prędzej czy później ktoś ją odkryje. W takiej sytuacji trzeba się po prostu spakować i wyjechać. Straty są naturalnym elementem tego biznesu. Czymś, z czym nieustannie należy się liczyć. Tak przynajmniej zachowywaliby się profesjonaliści. Najwyraźniej jednak miejscowym Holendrom było bliżej do amatorów. A skoro tak chętnie sięgali po broń, musiałem raz jeszcze przemyśleć,

czy na pewno nie mają nic wspólnego ze śmiercią Aleksandry, ale najpierw powinienem znaleźć sobie jakieś miejsce do spania, bo wrześniowe noce są zimne i nieprzyjemne.

Joanna tylko lekko uniosła brwi, kiedy ujrzała mnie w progu. Mieszkała w murowanym domu tuż obok sanitariatów. Otworzyła szeroko drzwi i gestem zaprosiła mnie do środka.

– Chciałbym pogadać z Kotwicą – powiedziałem.

– O Holendrach?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– Już do niego dzwonię.

Wzięła telefon ze stołu, chwilę kręciła się po pokoju, szukając miejsca, gdzie będzie mieć najlepszy zasięg, i wreszcie wybrała numer. Nie przysłuchiwałem się rozmowie. Rozejrzałem się pobieżnie po wnętrzu. Zostało niedawno wyremontowane, ale byle jak i na szybko. Chodziło to, żeby dało się tutaj zamieszkać. Wyposażono je w proste, tanie meble. W kuchni dostrzegłem starą lodówkę, która buczała jak silnik sporego samochodu.

– To dziwne pytanie – odezwałem się, kiedy Joanna odłożyła telefon na miejsce – ale masz tutaj broń?

– Tak.

– Naprawdę? – zdziwiłem się.

– Strzelbę myśliwską. I parę sztuk amunicji.

– Legalnie?

– Niekoniecznie – powiedziała. – Dlaczego pytasz?

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz. Widziałem tam tylko domki letniskowe i samochód Joanny. Pojawiłem się u niej z dwóch powodów. Po pierwsze, naprawdę chciałem porozmawiać z Kotwicą, jednak nie wiedziałem, gdzie mieszka i jak się z nim skontaktować, a włóczenie się teraz po Wilkach było mało rozsądne. Po drugie, skoro Holendrzy pojawili się u mnie, mogli też przyjechać do niej. Potrzebowała kogoś, kto jej pomoże. Ale gangsterów tutaj nie było, co z kolei oznaczało, że ich wizyta nie miała nic wspólnego z naszą wycieczką do lasu. Joanna powinna być więc bezpieczna. Powinna...

– Dobrze by było mieć ją pod ręką.

Skinęła głową, nie zadając dalszych pytań. Zniknęła w pokoju obok. Wróciła po chwili, niosąc starą, około dwudziestoletnią strzelbę myśliwską i pudełko naboju. Złamała lufę, załadowała. Przez chwilę mi się przyglądała, zastanawiając się, czy dać mi broń, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Uznałem, że na jej miejscu postąpiłbym tak samo. W jej oczach ciągle byłem podejrzanym mężczyzną, który pakował się w kłopoty. Trochę mi ufała, w końcu wpuściła mnie do domu, ale równocześnie zdawała sobie sprawę, że nie wie, czego może się po mnie spodziewać. Mądrą decyzją było więc zatrzymanie broni przy sobie. Problem pojawi się wraz z przyjazdem Holendrów, bo byłem pewien, że jestem lepszym strzelcem od niej. Wtedy będę musiał skłonić ją do oddania strzelby albo odebrać broń siłą. Dla naszego wspólnego dobra. Ale tym postanowiłem się martwić, jeśli gangsterzy faktycznie nas odwiedzą.

– Skąd ją masz? – zapytałem, wskazując na broń.

– Mieszkam tutaj sama, a po morderstwie Oli... przez chwilę czułam się dość dziwnie. Pomyślałam, że gdyby ktoś miał tutaj przyjść, ktoś zły, to nawet nie miałabym jak się obronić. Znam w Wilkach wszystkich, w tym kogoś, kto kiedyś polował, a teraz rzadko wychodzi poza ogródek. Zgodził mi się sprzedać strzelbę za kilkaset złotych. Doprowadziłam ją do porządku i mam.

– Rozumiem. Co z Kotwicą?

– Powiedział, że przyjedzie.

Czekaliśmy więc, nie odzywając się do siebie. Wyglądałem przez okno. Na zewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno. Wkrótce w oddali zobaczyłem pojedyncze światła samochodu. Wóz szybko się do nas zbliżał. Kiedy stanął, zapaliły się automatyczne światła. To było subaru Kotwicy.

– Przyjechał – powiedziałem.

Joanna się wycofała, żeby schować strzelbę z powrotem do szafy. Albo uznała, że już jej nie potrzebuje, albo nie chciała pokazywać Kotwicy. Tymczasem policjant załomotał do drzwi. Nie byłem tutaj gospodarzem, więc poczekałem, aż Joanna wróci. To ona go wpuściła.

Wszedł do środka powolnym krokiem zmęczonego człowieka. Twarz miał poszarzałą, obojętną, jakby zabrakło mu sił do okazania emocji. Przywitał się z Joanną skinieniem głowy, na mnie ledwo spojrział. Przeczłapał przez cały pokój,

a potem opadł na krzesło. Zatrzeszczało pod jego ciężarem tak głośno, jakby zaraz miało się złamać.

– Trudny dzień? – rzuciła Joanna.

Potwierdził.

– Wiesz, co jest najgorsze na takim małym posterunku? – zapytał.

– Co?

– To, że wszystkich znasz. Całą ich historię. To, co zrobili, kim są, jak się nazywają. W wielkim mieście jest inaczej. W wielkim mieście każda interwencja to inny człowiek. Znajomi funkcjonariusze niby się skarżą, że to też niedobrze, bo widzisz, ile tego gówna jest, ale... Nie wiem, kto ma gorzej.

– Co się stało?

– Bartosiak lał żonę. Tak głośno, że aż sąsiedzi słyszeli. Ty ich nie znasz, ale to nie są „praworzadni” obywatele, którzy wzywają policję, ilekroć ktoś rzuci paperek na ulicę. Jeśli oni po nas dzwonią, to musi być naprawdę źle.

– I co?

– I gówno. Kobieta leży na ziemi, cała twarz zakrwawiona, najpierw płacze, krzyczy, że ratunku, ratunku, a potem, kiedy się orientuje, że chcemy zakuć jej męża, to wrzeszczy, żebyśmy go zostawili w spokoju, że on nic nie zrobił, ona się przewróciła i tak dalej... – Zawiesił na chwilę głos, bo każde kolejne słowo wychodziło mu z gardła z coraz większym trudem. – On ją kiedyś zabije, po prostu zabije. A my nic nie możemy zrobić, dopóki ona nie zacznie współpracować z nami i prokuratorem.

– Ten Bartosiak jest z Wilków? – zapytałem.

Kotwica oparł głowę o ścianę i przymknął powieki. Przez moment wyglądało, jakby zasypiał.

– Nie – odpowiedziała za niego Joanna. – Inna wieś, ale podlega pod ten sam posterunek.

– Rozumiem.

Policjant potarł sobie policzki dłońmi, jakby próbował rozgrzać mięśnie twarzy. Potem podniósł na nas wzrok, teraz trochę bardziej skupiony. Zmęczenie nie zniknęło, ale Kotwicy udało się nad nim zapanować.

– Po co do mnie dzwoniłaś? Co się stało?

Joanna wskazała na mnie palcem. Postanowiłem tego nie przedłużać. Szybko opowiedziałem o tym, co się wydarzyło od naszego porannego spotkania. O wyprawie do lasu, odkryciu hodowli marihuany i niedawnej konfrontacji z Holendrami. Słuchał mnie uważnie, ale na jego twarzy odmalowywała się coraz większa irytacja.

– Cholera, człowieku! – warknął, kiedy skończyłem. – Nie dość, że przyjeżdżasz tutaj, wywołujesz kłopoty, to jeszcze wciągasz w nie innych! A ty? – zwrócił się do Joanny. – Po co z nim w ogóle gdziekolwiek jechałaś?!

Zareagowała wściekłym prychnięciem.

– Bo miałam ochotę! – odpowiedziała. – Bo mogę robić, co chcę. Nawet włóczyć się z nieznanymi po lesie w poszukiwaniu trawy, która rośnie pod samym twoim nosem.

– Przecież nie znasz tego człowieka! – krzyczał Kotwica. – Mógłby się okazać jakimś zbrojcem albo cholernym gwałcicielem!

– I co byś wtedy z nim zrobił? – odparła lodowatym tonem.

Kotwica poderwał się z takim impetem, że aż krzesło przewróciło się na ziemię. Zaskoczyła mnie gwałtowność tej wymiany zdań i intensywność emocji. Szykowałem się już do tego, żeby interweniować, ale oni nagle zastygli. Stali tylko, wbijając w siebie wzrok, jednak nawet nie drgnęli. Jakby bali się poruszyć. Pierwszy pękł Kotwica, wymamrotał jakieś przekleństwo i sięgnął do kieszeni po telefon.

– Dobra – powiedział. – Mam tego dość. Zajmę się tymi Holendrami. Wzywam moich ludzi i zrobimy im wjazd na ten pieprzony kemping. Załatwię to raz na zawsze.

Wybrał numer w komórce, przyłożył ją sobie do ucha i czekał przez kilkanaście sekund. Kiedy odsunął telefon, z niedowierzaniem spojrzął na wyświetlacz.

– Nie mam zasięgu – stwierdził. – Pożycz mi swój.

– Jasne.

Joanna poszła po aparat, ale tylko na niego zerknęła i westchnęła ciężko.

– U mnie też nie ma – powiedziała.

– Co takiego? A skąd do mnie dzwoniłaś?

– Stąd.

– I wtedy był zasięg?

– Wtedy był zasięg – potwierdziła. – Takie rzeczy się zdarzają. To przez ten maszt. Wiesz, jak jest.

Kotwica zerknął na mnie.

– A ty?

– Zostawiłem na kwaterze – skłamałem.

Telefon tkwił bezpiecznie w mojej kieszeni, jednak nie zamierzałem dawać go policjantowi. Nie żebym miał jakieś tajne informacje na mojej nokii, ale tak na wszelki wypadek. Kto wie, na jaki pomysł wpadnie, kiedy dostanie ją do ręki. Poza tym, jeśli oboje nie mieli zasięgu, to u mnie pewnie było to samo.

Policjant odetchnął głęboko.

– Dobra – stwierdził. – Wsiadam w samochód, jadę do Wilków albo do miejsca, gdzie będę mieć zasięg, zawiadamiam swoich ludzi i likwidujemy ten burdel.

– A my? – zapytała Joanna.

– Nie ruszajcie się stąd. Po wszystkim będę potrzebować waszych zeznań.

Opuścił dom bez pożegnania. Podbiegł do subaru, wskoczył do środka i ruszył tak gwałtownie, jakby brał udział w jakimś rajdzie terenowym. Obserwowałem go, dopóki światła samochodu nie zniknęły pomiędzy drzewami.

– Mówiłam – odezwała się Joanna. – Paweł się tym zajmie. To dobry człowiek. Pomimo wszystko.

Nie zapytałem, co to „pomimo wszystko” dokładnie znaczy, ale bardzo mnie to ciekawiło.

Kotwica pędził w stronę Wilków, jedną dłoń zaciskając na kierownicy subaru, w drugiej trzymając telefon. Co chwilę zerkał na wyświetlacz, wypatrując kreski, która poinformuje go, że ma zasięg. Stało się to w chwili, kiedy dojeżdżał do pętli autobusowej, i dosłownie w tym samym momencie rozdzwoniła się jego komórka. Zaskoczony ostrym dźwiękiem dzwonka i nieprzyjemną wibracją, wypuścił telefon z dłoni. Zaklął, gdy aparat spadł na podłogę, zahamował gwałtownie i zjechał ostro na bok. Po omacku zaczął szukać pod siedzeniem ciągle dzwoniącej komórki, znalazł ją wreszcie i odebrał odruchowo, nawet nie patrząc, kto próbuje się z nim skontaktować.

– Mamy kłopot. – Usłyszał głos Maliny Błoniarz.

– Oczywiście, że mamy kłopot! – wrzasnął. – Twój kumpel urządza sobie u nas strzelaniny!

– To wina tego faceta. To on ich zaatakował.

– Naprawdę? Chcesz mi wmówić, że przyszli do niego z przyjacielską wizytą? Porozmawiać o hodowli jebanych tulipanów?!

– Chcę tylko powiedzieć, że to on zaczął. – Była irytująco spokojna.

– Mam to gdzieś! Zlikwiduję ten burdel i dobrze ci radzę, żebyś trzymała się od tego z daleka.

– Nie zrobisz tego – odpowiedziała ostro.

– Bo co?

Czekał cierpliwie na jej groźby. Na słowa o tej sprawie sprzed lat, o której wszyscy wiedzieli, a o której nikt nie mówił. Nie mógł się doczekać, kiedy Malina będzie chciała to wykorzystać. Bo wtedy przypomni jej, że ona też tam była. I jeśli spróbuje go w ten sposób pociągnąć na dno, to on zabierze ją ze sobą. Zaskoczyła go jednak.

– Bo wtedy ludzie się dowiedzą, że w nocy, kiedy zamordowano Aleksandrę, Emilka była u Holendrów. – Sołtycka zrobiła pauzę, jakby chciała się upewnić, że

jej słowa do niego dotarły. – Były tam obie. Jesteś ciekawy, co tam robiły? Chcesz, żeby dowiedzieli się o tym wszyscy wokoło? Jesteś tego pewien, Paweł?

Przed oczami zrobiło mu się czerwono. Jego serce momentalnie zaczęło bić jak oszalałe, krew szybciej krążyć w żyłach, a całe ciało spięło się, jakby szykował się do walki. Był wściekły. Na sołtyskę, na Emilię, na siebie wreszcie, że odebrał ten telefon zamiast go odrzucić i zająć się tym, czym powinien. Musiał się naprawdę postarać, żeby nie zacząć teraz wrzeszczeć. Ne chciał dać Malinie Błoniarz tej satysfakcji.

– Tak właśnie myślałam. – Usłyszał jej głos. – Nie rób nic głupiego, Paweł, i daj Holendrom się wszystkim zająć. W Wilkach do tej pory był spokój. I będzie znowu, kiedy ten dziwny człowiek stąd wyjedzie. Masz moje słowo.

Rozłączyła się, zanim zdążył powiedzieć, że ono nic dla niego nie znaczy. Przycisnął pedał gazu, jednak zamiast jechać na posterunek, skręcił do siebie. Zatrzymał się przed bramą. Nie kłopotał się z jej otwieraniem. Po prostu zostawił przed nią samochód, zupełnie nie zwracając uwagi, że w ten sposób blokuje wąską ulicę. Wpadł do domu. Drzwi były otwarte, co go jeszcze bardziej zdenerwowało. Tysiące razy powtarzał córce, że ma je zamykać. Zbyt często odwiedzał okradzione domy właśnie na wsiach albo w równie spokojnych okolicach. Wiele razy drżał na samą myśl, co by się mogło stać, gdyby włamywacze zastali Emilię w środku. W dziewięciu przypadkach na dziesięć uciekliby spłoszeni, ale pozostawał jeszcze ten jeden. Ten, w którym dzieją się straszne rzeczy.

– Emilia! – ryknął.

Nie odpowiedziała. Przyszło mu do głowy, że może gdzieś wyszła, jednak zaraz odrzucił tę myśl. Miał do córki różne zastrzeżenia, ale nigdy nie zostawiłaby domu otwartego. Akurat tę zasadę zdołał jej wpoić.

– Emilia! – krzyknął powtórnie i rzucił kluczyki od samochodu na stoliczek przy drzwiach.

– Co jest?! – Usłyszał przytłumiony głos córki, a dopiero potem dźwięk otwieranych drzwi od jej pokoju.

Mieszkali w domu po jego rodzicach. Oboje już zmarli. Dziewczyna ledwo pamiętała dziadka, z babcią łączyło ją o wiele więcej, ale ona też odeszła pięć lat temu. Emilia bardzo to przeżyła. Niewiele się tu zmieniło od tego czasu. Na ścianach wciąż znajdowały się te same tapety, które ojciec położył, gdy Paweł był

jeszcze mały. Kiedyś jedną ubrudził i dostał tak w skórę, że ledwo mógł usiąść, ale kiedy znacznie później Emilka zaczęła po niej rysować, dziadek tylko machnął ręką i powiedział: a niech sobie maże. Jeszcze brakowało, żeby jej kredki do ręki włożył.

Kotwica żałował, że nie wyremontował domu. Najpierw matka nie chciała, powtarzała, że tu wszystko prawie nowe, a potem on nie miał do tego głowy. Tylko pokój Emilki zrobili. Dokładnie tak, jak chciała. Po meble to jeździli aż do Wrocławia do Ikei, bo takie sobie zażyczyła. Jakby w Zielonej Górze czy Gorzowie nie było sklepów meblowych.

– Chodź tutaj!

Usłyszał jej pełne irytacji westchnienie. Jedno z wielu. Pierwsze pojawiło się, kiedy miała dziesięć lat. Wtedy wydawało mu się urocze i pamiętał, że aż się uśmiechnął. Teraz doprowadzały go do szału.

Zbiegła do połowy schodów. Spojrzała na niego pytająco.

– Czy to prawda? – zapytał.

Podniosła wysoko brwi.

– Co takiego?

– Czy to prawda, że chodzisz do Holendrów? Czy to prawda, że byłeś u nich z Olą w noc, kiedy ją zamordowano?

Wyraz jej twarzy starczył mu za całą odpowiedź.

– Kurwa mać! – wrzasnął i walnął pięścią w poręcz. Ta aż zadrżała. A Emilia, która trzymała na niej dłoń, cofnęła gwałtownie rękę, jakby się oparzyła.

Przez moment dziewczyna była przestraszona. Przez bardzo krótki moment.

– Skąd o tym wiesz?! On ci powiedział?

– Jaki on?!

– Ten facet, co tu przyjechał, żeby grzebać przy sprawie Oli!

– Chyba sobie żartujesz! Rozmawiasz o takich rzeczach z obcymi ludźmi, a ojcu nie powiesz?!

– Bo z tobą się nie da rozmawiać!

– Gównno prawda! Jestem tutaj codziennie! I zawsze pytam, co słyhać! Tylko ty wolisz siedzieć u siebie w pokoju albo chodzisz do matki i... – Nagle do niego

dotarło. – Nie chodzisz do matki, prawda? Chodziłaś do tych pierdolonych Holendrów.

– No i co z tego, że chodziłam? – zapytała, wzruszając bezczelnie ramionami. – Krzywda się jakaś z tego powodu stała?

– Zabroniłem ci tam chodzić!

– Ty to mi wszystkiego zabraniasz! Tylko byś chciał, żebym w domu siedziała!

– Bo masz się uczyć! Jakie ty masz oceny, dziewczyno! Ucz się! Będiesz miała oceny, to cię będę wozić, gdzie chcesz! Ale nie masz!

– A ty miałaś? – rzuciła kpiąco. – Babcia mi opowiadała, jakie oceny przynosiłeś do domu.

– I patrz, kurwa, gdzie skończyłem! Gliniarz na jebanym zadupiu!

Nawet jeśli zdziwił ją tym nagłym atakiem samokrytycyzmu, nie dała tego po sobie poznać.

– To się trzeba było, stary, uczyć!

Wycelował w nią palcem i podbiegł do niej. Nie cofnęła się pomimo tego, że jego palec znajdował się teraz ledwo centymetr od jej nosa.

– Jestem tutaj dla ciebie – powiedział chrapliwie. – Mogłem próbować gdzie indziej. W Zielonej, Gorzowie, nawet Poznaniu. Byli tam tacy, którzy mnie chcieli. Ale zostałem tutaj, bo ktoś musiał się tobą opiekować. Poświęciłem się dla ciebie. I co dostaję w zamian? Prosiłem o jedną rzecz: żebyś nie chodziła do tych Holendrów! I co?!

– Nie prosiłam cię o to, żebyś się dla mnie poświęcał.

Roześmiał się.

– Jasne, że nie prosiłaś. Byłaś zbyt zajęta sranie pod siebie i szczaniem w pieluchy. Ale zająłem się tobą i teraz masz mnie słuchać.

– Nie jestem twoją własnością!

– Póki mieszkasz pod moim dachem, masz robić to, co ci każę! I zaczniemy od tego, że opowiesz mi wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy. Z każdym, najmniejszym szczegółem!

Była niższa niż on, ale stała kilka schodków wyżej, więc patrzyła na niego z góry. Jej dolna warga drżała. Emilia odsunęła palec ojca na bok, a potem bez słowa odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Trzasnęła drzwiami.

Zakręciło mu się w głowie. Musiał chwycić się poręczy, żeby nie polecieć w dół. Poczł się absolutnie wyczerpany. Nie rozumiał, dlaczego w pracy jest w stanie skonfrontować się z największymi bydlakami i nawet się przy tym nie spocic, a każda kłótnia z córką kosztuje go tyle energii, że mógłby nią zasilić małe miasteczko. Ale wściekłość ciągle w nim buzowała. Potrzebował tylko chwili odpoczynku, żeby wrócić do rozmowy z Emilią. Musiał wiedzieć, co się wtedy naprawdę wydarzyło i co ona ma wspólnego z tymi Holendrami. Ile razy tam była? Co z nimi robiła? Potrzebował odpowiedzi dla jej własnego dobra, bo tylko tak będzie w stanie ją ochronić.

Ale zanim zdołał zebrać siły, Emilia wypadła ze swojego pokoju. Przez ramię miała przerzucony plecak. Zbiegła po schodach, odpychając ojca ramieniem. Był tym tak zaskoczony, że nie zdołał nawet zareagować. Kiedy spojrzał za nią, dojrzał wystający z torby rękaw bluzy.

– Co ty sobie wyobrażasz?! – krzyknął.

Przystanąła.

– Mówisz, że póki mieszkam pod twoim dachem, to mam przestrzegać twoich zasad. No to już nie mieszkam pod twoim dachem!

– Chyba żartujesz!

Rzucił się za nią, ale ona wybiegła z domu. Po drodze porwała ze stolika kluczyki od samochodu. Oboje przebiegli przez przedsiónek, wypadli na podwórko, a potem przez bramę na ulicę. Już miał złapać córkę, ale wtedy odwróciła się błyskawicznie. W jej dłoni błysnęły srebrne kluczyki. Wzięła zamach i rzuciła je w bok. Zakreśliły w powietrzu łuk, a potem uderzyły o asfalt. Odbiły się od niego i wylądowały gdzieś w trawie przy płocie jednego z sąsiadów.

Przystanął skołowany, bo ten idiotyczny męski instynkt troski o samochód kazał mu rzucić się za kluczykami. Przewyciężenie go zajęło mu sekundę, może dwie, ale tyle wystarczyło, żeby Emilia znalazła się kilka metrów przed nim. I przyspieszała. Kotwica zdał sobie sprawę, że już nie da rady jej złapać. Była od niego szybsza, młodsza i miała dłuższe nogi. Poza tym zobaczył, gdzie skreśliła, i wiedział już, dokąd ucieka.

Biegła do matki.

Nie było dobrze. Ruben dawno nie widział tak wkurzonego Larsa. Być może po raz ostatni wtedy, kiedy w jakimś barze w Haarlemie facet w śmiesznych okrągłych okularach tłumaczył mu, że powinni pozbyć się Czarnego Piotrusia, bo w ich wielokulturowym społeczeństwie taki zwyczaj prowadzi do antagonizowania różnych grup społecznych, a poza tym historyczny kontekst i tak dalej... Lars cały poczerwieniał, dosłownie się w nim gotowało. Zaczął coś tłumaczyć okularnikowi, ale tamten zawsze odpowiadał mu w ten sam uprzejmy sposób. Zaczaili się potem na faceta, jak wychodził z knajpy, i skopali w ciemnej uliczce. Ruben nie był pewien, czy to najlepszy sposób na to, żeby wygrać w dyskusji, ale na pewno Larsowi poprawił się humor.

Tym razem poszło gorzej. Prosta akcja, która miała polegać na odwiedzeniu zbyt ciekawskiego typu i wytłumaczeniu mu za pomocą pięści i kastetów kilku rzeczy, skończyła się katastrofą. Jan miał złamaną rękę. Siedział teraz w przyczepie, gdzie mu ją nastawiano, i wrzeszczał jak opętany, że musi do szpitala. Lars nie chciał o tym słyszeć. Tim z kolei ciągle jęczał z bólu i nie mógł nawet usiąść.

– Daj spokój – warknął szef, kiedy Tim po raz kolejny zaczął narzekać. – Przez kilka dni będziesz sikać krwią i samo się zagoi.

Do tego tamten facet pociął im opony w samochodzie. Ale najgorsze w tym wszystkim było to, że Jayden stracił nad sobą panowanie i zaczął strzelać. W samym środku tej cholernej wioski. A facet uciekł.

Jayden już taki był – nie znał granic. Lars był groźny, potrafił użyć swoich pięści, ale wiedział, kiedy się zatrzymać. Jayden nie. Przystojny, młody i uroczy, wszystkich nabierał na swoją śliczną buźkę, gładkie słówka i grę na gitarze, ale Ruben widział kiedyś, jak Jayden wbił nóż w brzuch jakiemuś Arabowi, z którym pokłócił się o pierdołę. A potem we trzech, razem z Larsem, zawieźli ciało do nieużywanego portowego kanału. Mieli szczęście, bo nie wypłynęło do tej pory. Zresztą nawet jeśli, to nic w tej sprawie nie zrobiono.

Ale teraz byli w Polsce i mieli inne kłopoty. Nie wiedzieli, co w tej sytuacji powinni zrobić. Pakować się i wyjeżdżać? To oznaczało porzucenie leśnych

plantacji i gigantyczne straty. Nikt nie miał odwagi tego zaproponować. To może jeździć po okolicy i szukać tego gościa? Tyle że to mogło zająć wieki, a jeśli koleś uciekł do lasu, to sprawa była przegrana.

Szef zadzwonił do sołtyski. Ta kazała im siedzieć na kempingu, dopóki nie upewni się, że wszystko jest w porządku. Wzięła na siebie załatwienie sprawy z policją. Lars niechętnie się podporządkował. Nosiło go, jak tamtej nocy w Haarlemie. Jayden zaś błąkał się po kempingu z uśmiechem na twarzy, ale widać było, że szuka kogoś, na kim mógłby się wyładować. Nienawidził przegrywać, a tamten facet ich upokorzył.

– A ci czego tutaj chcą? – Usłyszał głos Larsa.

Odwrócił się w stronę bramy i ujrzał wchodzących właśnie na ich teren trzech Polaków. Jednym z nich był Mati, drugim starszy facet, którego imienia Ruben nie znał, ale wiedział, że to wujek chłopaka, a trzecim gruby chłopak.

– Pewnie przyszli po trawę – powiedział Jayden.

– Każ im spierdalać.

– Z przyjemnością.

Zanim Ruben zdążył zareagować, Jayden już szedł w ich kierunku. Wymachiwał energicznie rękami.

– Sklep jest zamknięty! – ryknął po angielsku. – Wypierdalajcie stąd!

Przystanęli zaskoczeni. Gdy Mati dojrzał Rubena, na jego twarzy pojawił się uśmiech. Usta chłopaka już zaczęły się układać w jego imię, chociaż Holender dawał mu sygnały, żeby przestał. Na szczęście Polak zrozumiał.

– Przyszliśmy, bo mamy sprawę – oznajmił zmieszany.

– Gównu mnie to obchodzi. Spadajcie.

– Ale to ważne.

– Przyjdźcie jutro. Teraz wypierdalać.

Wujek chłopaka wysunął się do przodu.

– Słuchaj – powiedział ładną angielszczyzną – załatwimy to, po co przyszliśmy, i już nas nie ma, dobrze?

Jayden uśmiechnął się tylko. Ruben wiedział, że ten uśmiech nie wróży niczego dobrego. Holender, nie sygnalizując w żaden sposób swojego zamiaru, uderzył Polaka prosto w twarz. Cios był tak silny i niespodziewany, że ten poleciał do tyłu

i wylądował na ziemi. Poderwał się natychmiast. Był oszołomiony i być może dlatego rzucił się na Jaydena, jednak zamiast uderzyć go w twarz, w brzuch, gdziekolwiek, próbował chwycić go za nogę, równocześnie robiąc fikołek. Holender dał krok do tyłu, po czym kopnął mężczyznę w brzuch. Facet najpierw zwinął się w kulkę, a potem przetoczył na kolana i zaczął gwałtownie wymiotować. Jego całym ciałem raz za razem wstrząsały torsje. Ręce, na których się opierał, mocno drżały i Ruben był pewien, że wujek Matiego lada chwila wyląduje twarzą we własnych wymiocinach.

Podbiegł w ich stronę, bojąc się, że Jayden posunie się za daleko, ale ten odchylił lekko głowę i chwycił się pod boki zadowolony.

– Ja się tym zajmę – powiedział Ruben.

– Przecież już kazałem im spierdalać!

– A ja przypilnuję, żeby spierdolili.

Jayden przez moment się zastanawiał, po czym wzruszył ramionami i poszedł w stronę jednego z domków. Najwyraźniej pobicie starszego mężczyzny zaspokoilo jego potrzebę przemocy.

Mati z grubym chłopakiem podeszli do wujka. Chcieli mu pomóc wstać, ale ten odgonił ich ruchem ręki. Zakaszła jeszcze trzy razy, a potem podniósł się z ziemi. Do spodni, na wysokości kolan, miał przyklejone szyszki i kawałki igliwia. Zaczął coś mówić po polsku, w tym szeleszczącym, nieprzyjemnym języku, w którym Ruben ledwo co potrafił rozróżnić pojedyncze słowa.

– Zaskoczył mnie – mówił wujek Matiego. – Gdyby mnie nie zaskoczył, tobym mu dał radę.

– Jasne, wujku.

– Dlatego zawsze trzeba być gotowym – kontynuował, klepiąc po ramieniu to jednego, to drugiego chłopaka. – Ja nie byłem. Mój błąd. Ale trzeba być gotowym. Zawsze. Zaskoczył mnie. Bo przyszliśmy tu jak do przyjaciół. Ale to przecież chad. A każdy chad nami pogardza. Zapamiętajcie to, chłopcy. Zapamiętajcie to jako cenną lekcję moim kosztem.

Mówił gorączkowo, a Rubenowi, który nic z tej przemowy nie rozumiał, ale słyszał jego ton, zapalczywość w głosie i widział, jak ten zwraca się to do jednego, to do drugiego chłopaka, jakby aż za bardzo zależało mu, żeby ich przekonać, wydał się trochę obłąkany.

– Powinniście stąd iść – przerwał mu po angielsku.

– Ale przyszliśmy po towar.

– Nie teraz.

– Jak to nie teraz?! – zdziwił się gruby. Miał piskliwy głos. – Byliśmy umówieni! Chcemy to, za co zapłaciliśmy!

– I dostaniecie, ale nie teraz. A jak dalej będziecie się rzucać, to znowu zawołam tutaj Jaydena! Tego chcecie?

Nie chcieli.

– Odezwę się – powiedział na koniec.

Nie wyglądali na szczęśliwych, ale nie mieli więcej argumentów. Ten starszy, wujek Matiego, pociągnął ich za sobą. Holender odetchnął z ulgą dopiero wtedy, kiedy zniknęli mu z oczu.

Ruben był w obozie najstarszy. Najdłużej też siedział w więzieniu i nawiązał tam sporo ciekawych kontaktów. Tak poznał między innymi Larsa. Nie był jednak zadowolony z pobytu w Polsce. Uważał, że i Lars, i Jayden za bardzo się tutaj rządzą i zgarniają zbyt dużo kasy dla siebie. Skoro wszyscy pracowali mniej więcej po równo, tak też powinny być dzielone pieniądze. Ponieważ jednak nie były, Ruben postanowił skorzystać z okazji i otworzył mały biznesik na boku.

– Czego chcieli? – zapytał Lars, kiedy Ruben wrócił do obozowiska.

– Trawy. A czego innego mogli chcieć – skłamał gładko.

Lars przyglądał mu się przez chwilę, a Rubena ścisnęło w gardle na myśl, że został przejrzany. Ale szef tylko skinął głową i wrócił do kampera, gdzie Jan na przemian jęczał z bólu i domagał się wizyty w szpitalu.

Odetchnął z ulgą. Nie chciał, żeby Lars dowiedział się o jego małym interesie z Matim. Nie chciał też stracić dobrego klienta. Dlatego poszedł na plażę. Wyjął telefon komórkowy i zaczął się zastanawiać, gdzie mógłby się z nimi umówić na odbiór towaru. A potem napisał esemesa.

Przez cały czas stałem przy oknie i obserwowałem okolicę. Joanna robiła się z tego powodu nerwowa. Moje zachowanie przypominało jej o potencjalnie grożącym nam niebezpieczeństwie. Ale wolałem to, niż gdyby Holendrzy mieli nas zaskoczyć.

Wkrótce wśród drzew zauważyłem zbliżającą się do nas samotną postać. Już miałem prosić Joannę, żeby przyniosła z powrotem strzelbę, ale zrezygnowałem. Ta osoba nie wyglądała jak żaden z Holendrów, których znałem. Była zbyt drobna i poza tym w ogóle się nie skradała – zbliżała się szybko, to przyspieszając, to zwalniając. Co pewien czas oglądała się nerwowo za siebie. Wkrótce rozpoznałem, kto to, i trochę się zdziwiłem. Akurat jej się tutaj nie spodziewałem. A potem czekało mnie jeszcze większe zaskoczenie, bo Emilka wpadła do domu, jakby wchodziła do siebie, rzuciła plecak z rzeczami na podłogę i głośno zawołała:

– Mamo!

Poczerwieniała gwałtownie, kiedy mnie zauważyła.

– A co on tutaj robi?! – wrzasnęła na cały głos.

– Emilka, co się dzieje? – zapytała Joanna.

– Nieważne! Co on tutaj robi?! – powtórzyła, wskazując na mnie palcem. – Cholerny kapuś! Obiecałeś, że nie powiesz tacie, że byłam wtedy u Holendrów!

– Nic mu nie powiedziałem – zapewniłem.

– To niby kto?!

– Nie mam pojęcia.

– Kłamiesz, kapusiu!

Chciała chyba rzucić we mnie jeszcze kilkoma obelgami, ale Joanna jej przerwała.

– Byłaś u Holendrów?! Kiedy? I o co tu chodzi?

Emilia rozejrzała się bezradnie dookoła, poderwała swój plecak z ziemi, warknęła jak dzikie zwierzę, a potem, wymijając matkę, przeszła do drugiego pokoju. Usłyszałem jeszcze, jak rzuca się na łóżko. Skołowana Joanna pobiegła za

nią i zamknęła za sobą drzwi. Nie chciałem im przeszkadzać, więc wziąłem krzesło, wyszedłem na dwór i usiadłem pod ścianą budynku.

Zrobiło się już zupełnie ciemno. Z domu dochodziły mnie głosy Joanny i Emilki. Początkowo poruszone, chociaż względnie ciche, szybko przerodziły się w kłótnię pełną krzyków i wzajemnych pretensji. Uspokoily się po kilku minutach. Wydawało mi się, że jedna z nich płacze. Starąłem się nie podsłuchiwać i skupiłem się wyłącznie na obserwacji okolicy. Ale nic się nie działo. Drzewa łagodnie kołysały się na wietrze, a znad jeziora dolatywały okrzyki ptactwa.

Minęło kilkadziesiąt minut. Awantura w domu już dawno się skończyła. Nie wracałem jednak do środka. Czułem, że powinienem dać im obu czas na uspokojenie się. W pewnym momencie drzwi się otworzyły i stanęła w nich Joanna. Podobnie jak ja, wzięła ze sobą krzesło, w drugiej ręce trzymała butelkę wina. Usiadła obok mnie, zaczęła mocować się z nakrętką, co chwilę jej zajęło, ale kiedy ta wreszcie puściła, Joanna wypila dwa duże łyki z gwinta i spojrzała na mnie znacząco.

– Pewnie nie palisz? – zapytała.

– Niestety nie.

– Teraz żałuję, że nie wzięliśmy trawy z tego pola.

– Wcześniej trzeba ją ususzyć.

– No tak.

Upiła kolejny łyk.

– Pokłóciła się z ojcem, bo wyszło na jaw, że w nocy, kiedy zamordowano Olę, obie były u Holendrów. – Zamilkła na kilka sekund, zakręciła trzymaną w dłoni butelką. – Ja o tym nie wiedziałam. Paweł o tym nie wiedział. Za to ty wiedziałeś. Przyjechałeś tu dwa dni temu i wiesz o mojej córce więcej ode mnie.

– Nie wiedziałem, że to twoja córka – przyznałem szczerze. – Jest podobna do Kotwicy, ale do ciebie nie.

– Tak, to prawda. Jest do niego podobna. – Zabrzmiało to jak zarzut, chociaż nie wiedziałem, do kogo był kierowany. Do Emilii? Do Kotwicy? Do niej samej? – Chociaż chyba nie powinnam się dziwić, że o niczym mi nie powiedziała, prawda? Po tym wszystkim, co jej zrobiłam.

– A co takiego zrobiłaś?

Kącik jej ust powędrował w górę.

– Nie wiesz?

– Nie mam pojęcia.

– Ha! No, spodziewałam się, że ktoś już ci to wszystko opowiedział albo że sam to wygrzebałeś pod jakimś kamulcem. Dokopałeś się do prawdy jak jakiś... jakiś jamnik.

– Jamnik?

– Skurwiele uwielbiają kopać.

– Tego też nie wiedziałem.

– To psy myśliwskie, zawzięte i odważne. Wyhodowane do polowań na lisy. Ludzie kupują je do domu jako maskotki i sami nie wiedzą, jakie kłopoty sprowadzają sobie na głowę. Te psy mają charakter i wolę walki. I potrafią kopać. Będą tak długo dłużyć w ziemi, aż się dokopią do tego, czego chcą. Tak samo jak ty. Jesteś pieprzonym jamnikiem.

– To komplement czy zarzut?

– Sam wybierz.

Podsunęła mi wino, ale odmówiłem, więc postawiła butelkę na ziemi, tuż przy nodze swojego krzesła, i jęknęła przeciągle.

– Porzuciłam ją – oznajmiła nagle. – Jak była zupełnie malutka. Spakowałam swoje rzeczy, zawiozłam ją do rodziców Pawła i powiedziałam, że muszę coś pilnie załatwić w Zielonej Górze, a kilka godzin później siedziałam już w samolocie do Anglii. Poleciałam tam, żeby zacząć zupełnie nowe życie. Nie do końca mi się to udało, jak widzisz.

– Bo to trudne.

– Wiesz coś na ten temat?

Skinąłem głową.

– Sam próbowałem. To był kiepski pomysł.

– Też uciekłeś do Anglii?

– W alkohol, imprezy z przypadkowymi ludźmi i narkotyki.

– Co poszło w takim razie nie tak? – Popatrzyła na mnie z ciekawością.

– Spotkałem na swojej drodze pewnego menela, człowieka, który stoczył się na absolutne dno. Tak się złożyło, że mieliśmy butelkę wódki na dwóch. Osuszyliśmy ją wspólnie.

– I co?

– Na pożegnanie powiedział mi, że powinienem się za siebie wziąć, bo wyglądam paskudnie.

Początkowo nie wiedziała, czy mówię poważnie, czy żartuję, ale kiedy zrozumiała, że jestem z nią szczery, głośno się roześmiała.

– Menel ci tak powiedział?

– Tak. Uratował mi w ten sposób życie. Bo kiedy ktoś taki mówi ci coś takiego, to naprawdę ostatni dzwonek alarmowy, żeby się za siebie wziąć. No, a potem ja uratowałem życie jemu, więc chyba wyrównaliśmy rachunki.

– Taki jesteś honorowy?

– Uważam, że długi należy spłacać – oznajmiłem. – A ty? Dlaczego wróciłaś z Anglii?

Podniosła butelkę z ziemi. Chyba chciała się napić, ale zmieniła zdanie, bo zakręciła zakrętkę.

– Wyrzuty sumienia. Niektórzy potrafią je stłumić, zupełnie zapomnieć o tym, co zrobili i co się wydarzyło. Ja nie. Były dni, te lepsze, kiedy czułam się naprawdę dobrze i ledwo o nich pamiętałam. Ale wyrzuty zawsze gdzieś tam były. Nigdy nie zniknęły.

– A w te gorsze dni?

– Leżałam w łóżku, wyłam i płakałam. I w końcu dotarło do mnie, że muszę wrócić. Nie po to, żeby mi wybaczyła, bo pewnie nigdy tego nie zrobi, ale żeby być blisko niej. Tak blisko, jak tylko mi pozwoli. Ma to sens?

– Nie wiem. Nie mam dzieci.

– Co o mnie myślisz? Uważasz, że jestem złą kobietą.

– Dlaczego?

– Bo porzuciłam swoje dziecko. Jestem matką, która porzuciła swoje dziecko.

To drugie zdanie powiedziała z większym naciskiem, jakby zależało jej na tym, żeby naprawdę do mnie dotarło.

– Pewnie miałaś swoje powody – stwierdziłem.

– Nie mogłam na nią patrzeć – odparła od razu. – Ilekroć na nią spoglądałam, ilekroć ją trzymałam, przypominałam sobie to, co się wydarzyło.

– To ma coś wspólnego z Kotwicą?

- Tak, ale to nie to, co myślisz.
- A co myślę?
- Że mnie zgwałcił. Nie zrobił tego.
- Co się w takim razie stało?

Odstawiła butelkę, po czym wstała z krzesła. Zrobiła krok do przodu, poprawiła rękawy flanelowej koszuli i ściągnęła z niej dwie suche sosnowe igły.

– Przyszła do mnie, bo pokłóciła się z Pawłem o tych Holendrów – powiedziała, zupełnie ignorując moje pytanie. – Nie chce już u niego mieszkać. Myślała, że będzie mogła schronić się u mnie, a ja zamiast pomóc, zrobiłam jej kolejną awanturę. Nie odeszła, bo nie ma dokąd, chyba że do babci, ale nie przepada za nią specjalnie. Została nie dlatego, że chce, tylko dlatego, że musi. Powiedziała, że nie mam prawa jej pouczać. I miała rację. Nie mam takiego prawa.

- Ciągłe jesteś jej matką.
- Jestem matką, która porzuciła własne dziecko.
- Ale wróciłaś.
- Czasami to nie ma znaczenia. Czasami tego zła, które się wyrządziło, nie da się już naprawić. W Wilkach wiemy o tym doskonale.

Życzyła mi dobrej nocy i poszła spać. Ja zostałem jeszcze na dworze. Czekałem na Holendrów, żaden jednak się nie pojawił.

Wyszli całą grupą grubo po pierwszej: wujek Matiego, Mati, Gruby, Robbie, Klaser i Poldek. Ojciec ciągle siedział zamknięty u siebie w gabinecie i pewnie nawet nie zauważył, że sobie poszli. A nawet jeśli, to przyjął to z ulgą.

Ruben napisał do nich esemesa, jeszcze zanim zdążyli obejść całą zatokę. Przeprosił, wspomniał o kłopotach, ale zapewnił, że ma towar. Chciał się z nimi umówić na spotkanie jeszcze tej samej nocy. Miejsce wybrał wujek.

Pomimo tego, że cała sprawa najwyraźniej miała się zakończyć po ich myśli, chłopak wyczuwał wiszące w powietrzu napięcie. Wujek był dziwnie milczący i niespokojny. Mati nikomu nie powiedział o tym, co stało się w obozie Holendrów. Wydawało mu się, że Gruby też trzymał język za zębami. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że coś jest nie tak. Bo rozumiał, że wujek mógł przegrać bijatykę z tamtym facetem. Holender był młodszy, wyższy, lepiej zbudowany – typowy chad. Rozumiał też, że wujkowi mogła nie wyjść technika. To się zdarza, ale wtedy, na kempingu Holendrów, wyglądało to tak, jakby po prostu położył się przed przeciwnikiem brzuchem do góry jak pies i dostał kopniaka. Do Matiego powoli docierało, że co innego pobić szczeniaków w szkole, kiedy samemu jest się dorosłym, a co innego zmierzyć się z kimś w swoim wieku i w swojej kategorii wagowej. I w takim starciu wyszło, że te wszystkie fikołki i techniki, których wujek próbował ich nauczyć, to zwykła ściema. A jeśli to było ściemą, to co jeszcze? Nagle, kiedy zbliżali się już do tamtego pomostu, Mati zrozumiał, że przez chwilę miał okazję ujrzeć prawdziwego wujka. I okazał się on równie przerażony i zagubiony jak oni wszyscy. Nie miał żadnego planu ani żadnej tajemnej wiedzy, był po prostu od nich starszy. Stał się ich autorytetem, bo jako pierwszy dorosły potraktował ich poważnie. Ale to wszystko było oszustwem. A skoro tak...

Nie zdołał dokończyć tej myśli. Nie miał jak się nią podzielić z resztą chłopaków. Poza tym nie wiedział, czy chcieliby go słuchać i czy w ogóle potrafiłyby przekazać to, co przed chwilą odkrył.

Właśnie dochodzili do tego pomostu, ukrytego w głębi lasu, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy domem Matiego a obozem Holendrów. Ruben już tam na nich czekał. Noc zrobiła się dość zimna, więc pomimo grubej bluzy dreptał w miejscu, żeby choć trochę się rozgrzać. Obok na ziemi leżała sportowa torba.

– No jesteście wreszcie – powiedział po angielsku. – Myślałem, że fiut mi odpadnie z zimna.

Sam się roześmiał ze swojego dowcipu.

– A to jeszcze nie jest zima! – dodał szybko. – Zimą tu jest dopiero strasznie, nie? Jak to wytrzymujecie w tej Polsce? He?

– Masz to, co zamawialiśmy? – zapytał wujek Matiego ponurym głosem.

– Przechodzisz od razu do rzeczy. Jasne, jasne – odparł Ruben. – Pamiętaj, tam w obozie to nie ja! Nie masz pretensji, nie?

– Nie mam.

– Dobrze, dobrze.

Ruben przyklęknął, otworzył torbę i wyjął z niej plastikowe pudełko. Takie samo, jakie Mati ukrywał przed ojcem w swojej szafce i z taką samą zawartością.

– Heckler & Koch P30 – powiedział Ruben. – Porządna niemiecka robota.

– Nowe?

– Używane, ale jak nowe. Wszystko działa. Od znajomych z Rotterdamu.

Wujek wziął od niego skrzynkę, kiwnął palcem na Poldiego i rzucił jedno słowo: „światło”. Poldi sięgnął po komórkę i włączył funkcję latarki, a mężczyzna otworzył pudełko. W środku zaśniała czarna bryła pistoletu.

– Zadowoleni? – zapytał Ruben.

– Zadowoleni – potwierdził wujek, wyciągając pistolet, a zaraz potem magazynek, do którego załadowane były już naboje.

– To naprawdę świetne pistolety. Nie żaden czeski czy jugosłowiański szajs, nie przerabiane pistolety gazowe. Normalna niemiecka broń, najwyższa jakość. Oczywiście za jakość trzeba płacić, ale rozumiem, że z tym nie ma kłopotu.

Wujek wskazał na Grubego. Chłopak sięgnął za pazuchę kurtki i wyjął pękata kopertę wypełnioną banknotami z wysokimi nominałami euro. Pistolety kosztowały dwa tysiące euro za sztukę. Sporo, nie było jednak problemu ze zgromadzeniem tej sumy. Pochodzili z dobrych domów, od dawna mieli założone

konta, na których leżały spore oszczędności. Niektórzy pracowali mniej lub bardziej dorywczo i nie wydawali kasy na imprezy, bo na nie nie chodzili. Ani na dziewczyny, bo tych nie mieli. Wyjątkiem był Robbie – jego ojciec umarł wiele lat temu, a matka była pielęgniarką. Ledwo wiązał koniec z końcem, łącząc studia z pracą w McDonalddie. Podczas ich rozmów powtarzał, że chadowie to nie tylko dobrze wyglądający faceci. To też goście, którzy mieli szczęście urodzić się w bogatych rodzinach i mogli sobie pozwolić na wszystko: dobre ubrania, kluby, samochody. A ja, powtarzał, opłacę stancję i jadę przez miesiąc na zupkach chińskich. Jak mam zabrać dziewczynę do głupiego kina? Przecież dwa bilety i jakiś popcorn to ponad stówa, a potem jeszcze kolacja, kolejna stówka, jak nie więcej. Nawet na te zupki chińskie nie będzie mnie stać, powtarzał. To była jego obsesja. Mati często miał wtedy ochotę zapytać, czy w takim razie i on jest chadem, ale ostatecznie tego nie zrobił. A jeśli chodzi o te dwa tysiące euro, to wyłożył je za Robbiego. Po tym wszystkim pieniądze i tak nie będą im przecież potrzebne.

– Super – powiedział Ruben i przejął kopertę.

Zaczął przeliczać znajdujące się w środku pieniądze. W tym czasie wujek Matiego załadował pistolet, przeładował i odbezpieczył.

– Chyba się zgadza – stwierdził Ruben. – Wiecie, co powiedzieli moi znajomi z Rotterdamu? Mieli jeden warunek. Chcecie wiedzieć jaki?

Wujek celował gdzieś w kierunku jeziora, sprawdzając, jak broń leży w dłoni.

– Jaki?

– Żebym nie sprzedawał tej broni żadnym pierdolonym Arabom – roześmiał się. – Nie chcę, żeby trafiła w ich ręce, bo to się zawsze źle kończy. Sprzedasz im to, powiedzieli, coś im odpierdoli i urządzą strzelaninę na paradzie kwiatów. Ale nie, zapewniłem ich, że sprzedaję porządnym, białym, polskim chłopcom. A właściwie to po co wam ona?

– Po to – odparł wujek, równocześnie skręcając się w stronę Holendra. Wycelował prosto w jego pierś.

Ruben cofnął się o krok, podniósł ręce, a białka jego oczu błysnęły przerażeniem.

– Pif-paf! – powiedział wujek i się roześmiał.

Pozostali również wybuchnęli śmiechem. Jako ostatni do tego wybuchu wesołości dołączył Ruben. Ale jego śmiech był fałszywy, pełen wściekłości.

Wujek chwycił pistolet za lufę i skierował go rękojeścią w stronę Rubena. Równocześnie jego prawa dłoń powędrowała do kieszeni spodni.

– Bierzemy – rzucił Rubenowi.

Holender chwycił za rękojeść. W tej samej chwili wujek zrobił krok w jego stronę. Z kieszeni wyjął nóż sprężynowy, otworzył go i wbił mu w szyję, a potem wyrwał pistolet. Z szyi Rubena trysnęła krew. Wujek doskoczył do niego i zaczął raz po raz wbijać ostrze w jego ciało. Co dziwne, przez cały ten czas, a Matiemu wydawało się, że trwało to wieczność, Ruben nie wydał z siebie nawet westchnienia. Słyszał tylko wściekłe dyszenie wujka.

Wreszcie Holender padł na ziemię.

– I po to właśnie tutaj przyjechaliśmy – odezwał się wujek po chwili. – Po to, żeby pokazać tym wszystkim pierdolonym chadom, że wcale nie są królami świata. Po to, żeby pokazać tym wszystkim kobietom, które tak chętnie rozkładają przed nimi nogi, że popełniły straszny błąd. Udowodnimy im, że dla nas też jest miejsce na tym świecie, że my też jesteśmy coś warci. A przede wszystkim po to, żeby zasiać w ich sercach strach. Po to, żeby przynajmniej przez chwilę poczuli się tak, jak codziennie czujemy się my: odrzuceni i słabi. Jesteśmy śmieciami z genetycznej ruletki. Ale to – potrząsnął pistoletem – wyrównuje nasze szanse. Przez jedną noc my będziemy chadami i my będziemy rządzą! A to – wskazał na leżące przed nimi ciało – dopiero pierwszy krok, pierwszy etap naszego wielkiego dzieła.

Mati podniósł powoli wzrok na swoich kolegów i nie potrafił uwierzyć w to, co widzi. Oni się uśmiechali. Leżał przed nimi martwy mężczyzna, facet, którego przed chwilą zabito na ich oczach, a oni się uśmiechali! Byli podnieceni, podekscytowani. Też chcieli to zrobić – wziąć broń do ręki i poczuć tę moc.

– Dobra, chłopaki – powiedział wujek, zabezpieczając pistolet. – Znajdźcie jakieś kamienie. Obciążymy ciało i wrzucimy do jeziora.

– A jak wypłynie? – zapytał Robbie.

– Ważne, żeby nie znaleźli go przez najbliższe dwa dni. Potem jedno ciało mniej, jedno więcej... Przecież to już nie będzie miało żadnego znaczenia.

Tamtego wieczoru Ola, wychodząc z domu, nie tyle okłamała matkę, ile nie powiedziała całej prawdy. Faktycznie chciała się przejść, ale podczas tej przechadzki miała zamiar spotkać się z Emilią. Mama jej nie lubiła, bo uważała, że ma zły wpływ na córkę, co akurat nie było prawdą. Nie dlatego, że Emilia nie próbowała mniej lub bardziej świadomie sprowadzić ją na złą drogę, po prostu Ola była bardzo mądrą i rozsądną dziewczyną. Miała swoje marzenie: chciała zostać weterynarką. Wiedziała, że musi się bardzo dużo uczyć, i jak dotąd dostawała całkiem przyzwoite oceny. Liczyła, że dobrze zda maturę, a potem dostanie się na studia. Nie zamierzała zmarnować tej szansy, robiąc głupoty. Ale oprócz Emilii w Wilkach nie było żadnej innej dziewczyny w jej wieku, a Ola czasami potrzebowała odpocząć od książek.

Spotkały się niedaleko domu Emilii. Dziewczyna miała ze sobą plecak z rzeczami na następny dzień do szkoły i ubraniami, co oznaczało, że okłamała tatę, mówiąc o nocowaniu u mamy. Było to w miarę bezpieczne kłamstwo, bo Paweł Kotwica prawie nie rozmawiał z panią Joasią. Kiedy gdzieś się spotykali, niezręcznie kiwali do siebie głowami i ostrożnie się mijali. Zamieniali ze sobą kilka słów wyłącznie wtedy, kiedy nie mieli innego wyjścia. Olę dziwiło tylko jedno – Paweł Kotwica, policjant i kierownik posterunku, nie zorientował się, że jego własna córka od kilku miesięcy robi go bezczelnie w jajo. Jeśli był równie łatwowierny w stosunku do prawdziwych przestępców, to cud, że kogokolwiek złapał.

Ola oczywiście wiedziała, co jeszcze oznacza plecak zwisający z ramienia koleżanki, ale i tak zapytała:

– To co chcesz robić?

– No ja bym poszła na drugi brzeg jeziora.

Na drugi brzeg jeziora. Na kemping, który wynajęli Holendrzy.

– Do Jaydena – domyśliła się Ola.

– Tak. Idziesz ze mną. No chodź, fajnie będzie!

Ola nie rozumiała, co Emilia widzi w Jaydenie. Jasne, był nawet przystojny i czasami miło się z nim rozmawiało, ale miał w sobie coś niepokojącego. Jakby nieustannie nosił maskę, a pod nią ukrywał drugie, nieprzyjemne oblicze. Kiedyś opowiedziała o swoich obawach Emilii i strasznie się wtedy pokłóciły. Koleżanka zapewniała, że to nieprawda, że Ola mówi głupoty, a poza tym Jayden jest fajnym, miłym, wrażliwym facetem. Oli zabrakło kontraargumentów, ale i tak była pewna, że ma rację, że kiedyś Jayden zrobi coś złego, jednak od tamtej kłótni nie poruszała już tego tematu.

Emilia nie spała jeszcze z Jaydenem. To był zresztą jej najmocniejszy argument podczas tamtej kłótni – że on chciał, ale ona nie, więc dotąd tego nie zrobili. Powiedział, że zrobią to, kiedy będzie gotowa. Ola zapytała, czy robili w takim razie inne rzeczy, i Emilia potwierdziła. Nie powiedziała jakie, a Ola nie chciała wiedzieć. Wystarczyło, że się domyślała.

Przede wszystkim jednak Jayden był stary! Nie wiedziała, ile dokładnie ma lat, ale podejrzewała, że jest bliżej trzydziestki niż dwudziestki. I taki facet spotykał się z nastolatką! Tyle że Ola nie chciała stracić jedynej koleżanki z jego powodu. Poza tym, jak uznała, prędzej czy później Holendrzy przecież stąd wyjadą.

Wizyta u nich nie wzbudzała w niej wielkiego entuzjazmu, Ola nie miała jednak nic innego do zaproponowania. Przynajmniej palili dobrą trawę, a dziewczyna pomyślała, że nie zaszkodzi, jak się trochę odpręży.

Poszły ścieżką wzdłuż jeziora. Po drodze rozmawiały głównie o szkole i o tym, co widziały na Netflixie, narzekając na internet w wiosce. Korzystały z transmisji komórkowej, a ten jeden maszt sprawiał, że jakość była słaba, zaś prędkość przesyłu danych żałosna. W pewien sposób obie czuły się, jakby zostały karnie zesłane do dwudziestego stulecia.

Na miejscu entuzjastycznie powitała ich Femke, jedyna kobieta wśród Holendrów. Ola podejrzewała, że to dziewczyna któregoś z nich, zapewne Larsa, chyba przywódcy całej grupy, chociaż on niemal nie zwracał na Femke uwagi. Jak zawsze kobieta zapytała, co u nich słychać i czy dobrze się bawią, oraz zaproponowała coś do picia i jedzenia. I znowu, tak jak zawsze, mniej więcej w tym momencie skończyły im się tematy do rozmowy.

Ola u Holendrów czuła się równocześnie niepewnie i bezpiecznie. Niepewnie, bo rozumiała, że jest tutaj ciałem obcym o niejasnym statusie. Emilia była dziewczyną Jaydena, chociaż i ją traktowali z pewnym dystansem, ona natomiast zaledwie jej

koleżanką, kimś, kto od czasu do czasu pojawia się na kempingu i trzeba uprzejmie znosić jego obecność. Nigdy nie stała się ich koleżanką. Była tylko kimś, kogo znali, a jednak czuła się bezpiecznie wśród tej grupy wielkich, łysych, groźnie wyglądających mężczyzn. Tylko raz Tim próbował ją poderwać, co było obrzydliwe. Ale pojawił się Lars, wziął tamtego na stronę, a kilka minut potem ujrzała Tima, który chyłkiem przemykał do kampera, trzymając się za rozbity nos. Od tego czasu nikt nie próbował jej zaczepiać. Z Janem natomiast jednego razu przetańczyła przy ognisku pół nocy i świetnie się bawiła. Nie był natarczywy, nie próbował jej obmacywać, jak koledzy ze szkoły na imprezach, po prostu tańczyli. Od tego czasu zawsze witała się z nim, machając radośnie, a on odpowiadał tym samym gestem. Zawsze też miał przygotowany dla niej jakiś dowcip. Ze wszystkich Holendrów to właśnie Jana lubiła najbardziej. No i był jeszcze ten śniady chłopak, bardziej w ich wieku. Ola czasami go widywała, ale on nigdy nie podchodził. Miała wrażenie, że patrzy na nich ze strachem.

Zapytała o niego kiedyś Emilkę.

– To Karim – wyjaśniła. – Nie zna angielskiego i podobno jest nieśmiały.

Ola podejrzewała, że to ściema, ale co mogła zrobić. Przecież nie trzymali chłopaka na łańcuchu, poruszał się po obozowisku w miarę swobodnie i nie wyglądało na to, żeby ktokolwiek go bił. A jednak nie mogła przestać o nim myśleć. Ilekroć przychodziła do Holendrów, rozglądała się za Karimem, mając nadzieję, że uda im się zamienić choć parę słów.

Tak było i tej nocy. Kiedy przywitała się ze wszystkimi, Jan wziął ją na bok i zapytał, czy chce usłyszeć kawał.

– Jasne – powiedziała.

– Pewnego razu Amerykanin przyjechał do Holandii. Tam poszedł do baru, spotkał Holendra i ten zapytał go, czy wie, co to jest logika. Amerykanin odpowiedział, że nie, nie wie. W takim razie Holender postanowił mu wyjaśnić. I pyta, czy Amerykanin ma akwarium. Amerykanin potwierdza. Dobra, mówi Holender, to oznacza, że pewnie masz rybki, prawda? Amerykanin potwierdza. A skoro masz rybki, to pewnie masz też inne zwierzęta? No tak, mówi Amerykanin. A skoro masz inne zwierzęta, to zapewne masz też dzieci. Tak, Amerykanin jest pod wielkim wrażeniem. No to skoro masz dzieci, to jesteś żonaty. Zgadza się, potwierdza Amerykanin. No to skoro jesteś żonaty, to jesteś też heteroseksualny. I to, kończy Holender, jest właśnie logika. Po tygodniu

Amerykanin wraca do Ameryki, spotyka sąsiada i pyta go, czy wie, co to jest logika. Sąsiad nie ma pojęcia. No to Amerykanin mówi, że mu wyjaśni, i pyta: Czy masz akwarium? No nie, odpowiada sąsiad. Na to Amerykanin: W takim razie jesteś pedałem!

Jan wybuchnął śmiechem. Ola mu zawtórowała, chociaż nie była pewna, czy dobrze zrozumiała dowcip. Poza tym nie do końca jej się spodobał, ale naprawdę lubiła Jana i chciała mu sprawić przyjemność. Zapytał, czy chce zapalić, ona się zgodziła i poszli do ogniska, gdzie dostała skręta. W tym czasie Emilia spotkała Jaydena i zaczęli się całować.

Ola szybko zorientowała się, że tej nocy nie są w obozowisku jedynymi Polakami. Był też chłopak. Znała go z widzenia. Jego ojciec kupił jakiś czas temu ziemię w Wilkach i miał tam letni dom. Nazywali go Profesorem. Syn, starszy od niej o kilka lat, student, wyglądał całkiem fajnie, ale ona wolała teraz koncentrować się na nauce niż na chłopakach. W sumie te sprawy niespecjalnie ją interesowały. Nie żeby w ogóle, po prostu poświęcała im dużo mniej czasu niż koleżanki. Kiedyś zastanawiała się, czy powinno ją to martwić, uznała jednak, że skoro jej z tym dobrze, to nie będzie się przejmować.

Wypaliła skręta. Potem drugiego. Wypiła też piwo, od którego zakręciło jej się w głowie, więc postanowiła wracać do domu. Wcześniej jednak chciała trochę wytrzeźwieć, dlatego przeszła się na plażę, usiadła na mokrym piasku i wystawiła twarz do zimnych podmuchów znad jeziora.

– Pst... – Usłyszała niemal nad uchem.

Odwróciła się powoli, pewna, że to Jan chce jej zrobić jakiś kawał, ale ledwie kilka kroków od siebie ujrzała przykucniętego Karima. Chłopak był schowany w cieniu pobliskiego drzewa, a białka jego oczu błyszczały niespokojnie, kiedy rozglądał się dookoła.

– *I need help* – powiedział.

Potrzebował pomocy.

Zanim jednak zdołała zadać mu jakiegokolwiek pytanie, usłyszeli ruch od strony obozu. Karim poderwał się i spłoszony pobiegł w zarośla. Narobił przy tym sporo hałasu. A na plażę przyszedł Ruben.

– Co to, kurwa, było? – zapytał, wskazując w stronę, w którą uciekł chłopak.

– Nie wiem – odpowiedziała Ola. – Może jakiś ptak.

Powoli, starając się ukryć drżenie dłoni, wstała z ziemi.

– Ja już idę do domu – rzuciła i ruszyła przed siebie.

Czuła, jak wzrok Rubena wbija jej się w plecy.

Przeszła obok ogniska. Z nikim się nie żegnała. Szukała tylko Emilki, ale jej nie znalazła. Pewnie się migdaliła z Jaydenem albo robiła mu dobrze ręką. Normalnie Oli by to nie obeszło, przyzwyczała się do tego, że koleżanka znika gdzieś ze swoim chłopakiem. Nie miała też nic przeciwko samotnemu wracaniu do domu. Lubiła nawet te spacer, bo miała czas pobyć sama ze sobą, a z jej głowy powoli ulatywało THC i ułamki promili. Teraz jednak nie potrafiła zapomnieć ukrytego w ciemności przerażonego Karima. I jego słów. *I need help*. Nie był nieśmiały, znał też angielski, przynajmniej kilka zwrotów, i potrzebował pomocy. Kiedy Ola się odwróciła, zorientowała się, że Ruben ciągle za nią idzie.

Wtedy ujrzała tego chłopaka. Syna Profesora. Niósł torbę przewieszoną przez ramię. Domyśliła się, że przyszedł do Holendrów, żeby kupić trawę, a teraz kierował się w stronę wyjścia z kempingu. Dogoniła go szybko.

– Cześć – rzuciła.

– Cześć – odpowiedział po kilku sekundach. Zaskoczony, jakby nigdy nikt się z nim nie witał.

– Idziesz do Wilków? – zapytała.

– Tak.

– To pójdę z tobą. Ola.

– Mati.

Podąła mu dłoń – miał miękki, niepewny uścisk.

Ola ruszyła przodem, nadając tempo. Po chwili zaczęli rozmawiać, chociaż właściwie głównie on mówił. Ona odpowiadała półsłówkami, co pewien czas przystawała i odwracała się, żeby sprawdzić, czy ktoś za nimi idzie. W ciemnym lesie nie dostrzegała co prawda żadnego światła latarki ani sylwetki, ale to wcale nie znaczyło, że Rubena tam nie ma.

Mati cały czas mówił. Coś o swoim ojcu, studiach, domu, który tutaj mieli. Czasami zadawał jej pytania, a ona odpowiadała mechanicznie. Tak naprawdę jednak głównie myślała o Karimie. Prosił ją o pomoc. Co powinna teraz zrobić? Najlepiej byłoby od razu pójść do Pawła Kotwicy i o wszystkim mu opowiedzieć. Ale wtedy musiałyby wyznać, że była u Holendrów. Mama co prawda zakazała jej

tam chodzić, ale jak mogłaby ją ukarać? Aresztem domowym? Wielkie rzeczy. Gorzej, że wtedy Ola wsypałaby też Emilkę, a to dla koleżanki bardzo źle by się skończyło.

Może zatem anonimowy telefon. Tylko jak miałyby go wykonać? Przecież nie było już żadnych budek telefonicznych ani niczego takiego. W takim razie mejl z nowego konta. Ale wtedy pewnie i tak by ją namierzyli. No i przede wszystkim skąd miałyby pewność, że go odczytają?

Intensywnie próbowała rozwiązać ten problem. Mati wciąż coś mówił. Dochodzili do pomostu niedaleko domu tego dziwaka Traszki, kiedy nagle z ciemności wyłoniły się trzy sylwetki. Oli serce podeszło do gardła. Ruben pewnie wziął łódkę i przypłynął tutaj, a teraz oboje wpadli w jego pułapkę.

– Jesteś wreszcie, Mati!

Mówili po polsku i mieli inne głosy. Uczucie ulgi było tak wielkie, że prawie zakręciło jej się w głowie. To nie Ruben, tylko kumple tego chłopaka.

– Co wy tu robicie, Klaser? Mieliście czekać w domu.

Klaser. Co za durna ksywka.

– No i czekaliśmy, ale ciebie ciągle nie było, więc wyszliśmy naprzeciw. Nieważne, mordo. Załatwiłeś to? Kupiłeś od nich ten pistolet?

– Pistolet? – odezwała się, wyrwana brutalnie ze swoich myśli.

Usłyszała, jak jeden z nich z wrazenia wciąga powietrze. Nie widzieli jej do tej pory. Stała trochę z boku ścieżki, po lewej stronie Matiego. Któryś z tych chłopaków zapalił latarkę i Olę oślepiło światło. Zasłoniła się przedramieniem. A potem, zanim zdążyła nad tym pomyśleć, zapytała:

– Po co kupujecie od Holendrów pistolet?

Nie wiedziała, że w ten sposób wydała na siebie wyrok śmierci.

Mati poderwał się z łóżka. Był cały spocony, oddychał spazmatycznie, a w jego żołądku kotłowało się stado węży. Na wpół nieprzytomny, zsunął się na podłogę, po czym zgięty wpół, pobiegł do łazienki. Trzasnął drzwiami tak głośno, że pewnie obudził wszystkich w domu, dopadł do toalety i natychmiast zaczął gwałtownie wymiotować. Bolał go od tego nie tylko brzuch, ale też pachwiny, płuca i kręgosłup. Nawet nie wiedział, że to możliwe.

Kiedy skończył, przytulił policzek do zimnej porcelany sedesu i próbował złapać oddech. Przypomnił sobie, co mu się śniło.

To była tamta noc. Tamta, kiedy zabili dziewczynę.

W pewien sposób zdołał o niej zapomnieć. To znaczy wiedział, że się zdarzyła, ale udało mu się zbudować w swojej głowie mur oddzielający go od tego, co się stało. Jakby to nie dotyczyło jego, ale kogoś zupełnie innego. Nawet kiedy przychodził na tamten pomost i kładł białą lilię, po prostu upamiętniał coś, co miało miejsce w równoległej rzeczywistości.

Zapytała, dlaczego kupują pistolet od Holendrów. Spanikowali. Bo skoro się o tym dowiedziała, mogła komuś powiedzieć, a wtedy cały ich plan spaliłby na panewce i wylądowałiby w więzieniu.

A przecież mieli stać się kimś. Mieli zaznaczyć swój ślad. Mieli pokazać każdej różowej i każdemu chadowi, że z ich grupą świat powinien się liczyć. Że trzeba inaczej urządzić rzeczywistość, bo nie może być dalej tak, jak jest. Oni byli już świadomi, teraz chcieli zaaplikować czarną pigułkę całemu krajowi. Brutalnie i bezlitośnie, ale tak przecież traktowano ich.

Ona mogła to wszystko zepsuć.

Mati nie wiedział, który z nich uderzył pierwszy. On sam stał z boku. Nie bił, tylko patrzył. Ale też nie zrobił nic, żeby ich powstrzymać.

Te pierwsze ciosy były nieśmiałe. Tak, że nie umiał powiedzieć, kto jest nimi bardziej zaskoczony – ta dziewczyna czy oni. Ale potem zaczęli się zachowywać jak zwierzęta.

- Głupia dziwka.
- Pewnie lubisz dawać dupy chadom.
- Lubisz, gdy traktują cię jak szmatę. To teraz jesteś naszą szmatą.

A kiedy było już po wszystkim, kiedy patrzyli na zmasakrowane ciało, spanikowali po raz kolejny. Mati zadzwonił wtedy do wujka. Opowiedział mu, co się stało, a ten przez telefon zaczął wydawać im instrukcje. To on wpadł na pomysł, żeby ciało włożyć do łodzi i ją podpalić. Nie wyszło tak, jak zakładali, bo łódź nie zatonała, a ciało szybko znaleziono. Przez moment Mati był przekonany, że to już, że zaraz ich aresztują. Wtedy jednak policja zatrzymała jednego faceta, Bogu ducha winnego, bo tamtej nocy spał smacznie w swoim łóżku. Robbie zakradł się do jego domu i podrzucił do piwnicy ubranie, które wzięli jako łup wojenny (bo to jest wojna, powtarzali sobie wiele razy), a teraz facet siedział w więzieniu i czekał na proces. Matiemu było go żal. Był takim samym przegrywem jak oni, więc zbierał niezasłużone cięgi z każdej możliwej strony.

Tylko raz o tym rozmawiali. Dzień po. Nawzajem się nakręcali, upewniali, że postąpili słusznie.

- Mogła nam zagrozić.
- Poza tym była w obozie Holendrów. Na pewno dawała im dupy. Każdemu jednemu.
- Jak woli obcych od swoich, to teraz ma za swoje.
- Dzwinka, która puszczała się za euro i trawę.
- I tak by skończyła w rowie z poderżniętym gardłem. Po prostu przyspieszyliśmy to, co i tak było nieuniknione.

Zdołał się odciąć od tamtej chwili, a teraz to wszystko wróciło. Kiedy wujek strzelił do Holendra. Kiedy ciało uderzyło o ziemię. Kiedy obciążyli kieszenie kamieniami, zaciągnęli go w głąb, w szuwary i pozwolili, żeby zatonał. Kiedy wracali, podnieceni i szczęśliwi, bo w końcu pokazali, na co ich stać, a przecież pokażą jeszcze więcej. Kiedy udowodnili, że te setki, może tysiące godzin spędzonych na internetowych forach na wysyłaniu coraz bardziej agresywnych wiadomości to nie były tylko słowa.

Wtedy wszystko wróciło.

Mati szedł z tyłu. Ledwo potrafił postawić kolejny krok. Był przerażony. Tym, co już zrobili, i tym, co dopiero miało się wydarzyć.

A teraz siedział na podłodze w łazience i po raz kolejny wymiotował. Brzuch go bolał jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Pomyślał, że zaraz umrze. I to wcale nie byłaby taka zła wiadomość.

– Wszystko w porządku? – Usłyszał nad sobą głos ojca.

Chwilę potem mężczyzna klęknął obok i pogładził go po głowie.

– Za dużo wypięś? – zapytał.

Mati chciał zaprzeczyć, ale zamiast tego pokiwał głową.

– Spokojnie, to się zdarza. Chcesz jeszcze wymiotować?

– Nie wiem – wyszeptał.

Ojciec ciągle gładził go po głowie.

– Słuchaj, Mati – odezwał się po chwili. – Wiem, że to nie jest dobry moment, ale mam wrażenie, że coś cię gryzie. Że coś jest nie tak. Chcesz o tym pogadać?

Gdyby chłopak nie był taki słaby, pewnie by się roześmiał. Pogadać? Teraz?! Teraz już było na to za późno. Mieli broń, Ruben leżał w jeziorze, machina poszła w ruch. O czym mieliby więc rozmawiać?

Ojciec trafnie odczytał jego myśli. Podniósł się.

– Gdybyś zmienił zdanie, zawsze możesz do mnie przyjść, dobrze?

Znów pogładził go po głowie.

– Przyniosę ci do pokoju szklankę wody – powiedział na pożegnanie.

Mati słyszał, jak ojciec schodzi na dół, potem wraca na górę, najpierw do pokoju syna, później do siebie. On został jeszcze w ubikacji. Już nie wymiotował. Po prostu płakał.

Obudziłem się wcześniej rano jako pierwszy, przygotowałem sobie kawę i z kubkiem w ręce poszedłem na plażę. Pijąc, obserwowałem drugi brzeg jeziora. Miałem stąd dobry widok na kemping Holendrów. Żałowałem, że nie wziąłem lornetki. Z tej odległości wszystko wyglądało mniej więcej normalnie. Kilka przemieszczających się sylwetek, jakiś duży ptak wylegujący się na plaży, chyba łabędź. Na pewno nie było tam żadnej policji, która by robiła najazd na obozowisko. Być może Kotwica jeszcze nie zebrał swoich ludzi i planował akcję na późniejszy termin albo wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Stawiałem na to drugie.

Kawa przyjemnie rozgrzewała od środka, co w połączeniu z porannym chłodem skutecznie mnie rozbudziło. Ściągnąłem buty, podwinąłem nogawki i wszedłem do połowy łydek do jeziora. Stopy od razu zatopiły się w miękki piasek, a fale łagodnie obmywały moje nogi. Przymknąłem na chwilę powieki i pozwoliłem swoim myślom odpłynąć, a głowie całkowicie się zresetować. Zapomniałem o Wilkach, Holendrach, Traszce, zamordowanej dziewczynie i dziwnej prośbie Czarnego.

Odpoczywałem.

Po jakichś dziesięciu minutach, kiedy moje palce u stóp zrobiły się sine i zacząłem lekko szcząkać zębami, wyszedłem z wody. Czekaając, aż obeschną mi nogi, po raz ostatni spojrzałem na drugi brzeg. Ciągle nie działo się tam nic niezwykłego. Nawet łabędź nie zmienił swojej pozycji. Wróciłem do środka. Joanna i Emilia już wstały. Przygotowywały śniadanie. Niemal się do siebie nie odzywały. Kiedy się pojawiłem, dziewczyna rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Najwyraźniej ciągle nie wierzyła moim zapewnieniom, że to nie ja zdradziłem jej sekret.

Zanim zdążyliśmy zasiąść do stołu, usłyszeliśmy ryk silnika i wkrótce na teren kempingu wjechało subaru Kotwicy. Gdy policjant wysiadł z wozu i ruszył w naszym kierunku, Emilia nałożyła sobie kanapki na talerz i wzięła filiżankę z herbatą.

– Zjem na pomoście – powiedziała, odchodząc.

Minęła się z ojcem, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Kotwica przystanął. Wyglądało na to, że chce coś powiedzieć, ale nie potrafił się zdecydować co. Kiedy córka zniknęła za jednym z domków, ze złością kopnął leżącą przed nim szyszkę. A potem wszedł do domu.

– Musimy porozmawiać – rzucił w ramach powitania.

– Teraz? – zapytała Joanna. – Dzisiaj mają przyjechać ci studenci z Warszawy.

– Teraz – potwierdził. – O Emilii. Im szybciej, tym lepiej.

– Może w takim razie was zostawię – zaproponowałem.

Kotwica powstrzymał mnie, kładąc mi dłoń na piersi.

– Do ciebie też mam sprawę. A co do tego – wskazał na Joannę i siebie – pewnie prędzej czy później i tak się dowiesz.

Wzruszyłem ramionami. Wziąłem ze stołu kanapkę z szynką i ugryzłem.

– Holendrów musimy załatwić sami – powiedział.

– Przez Emilkę? – domyśliła się Joanna.

– Tak – przyznał. – I twoją matkę.

– Co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

– To ona mi powiedziała, że Emilia była u nich w nocy, kiedy zamordowano Olę.

– Spojrzał pytająco na Joannę. – Wiedziałaś o tym?

– Od wczoraj.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, rozmyślając zapewne o rodzicielskich błędach, jakie popełnili. Ona gryzła paznokcie lewej dłoni, on po prostu wpatrywał się tępo w przestrzeń przed sobą.

– Twoja matka zagroziła mi, że jeśli uderzę w Holendrów, to wszystkim opowie o Emilce.

– Mama? Mama tak powiedziała?! – Głos Joanny aż drżał z niedowierzania. – Emilce by coś wtedy groziło?

– To zależy od prokuratora – odpowiedział po zastanowieniu. – Zatajała ważne informacje. W najgorszym przypadku można by ją oskarżyć o utrudnianie śledztwa. Na pewno miałyby poważne kłopoty.

– I moja mama byłaby gotowa to zrobić?

– Twoja matka ma na sumieniu gorsze rzeczy.

– Ale Emilka to jej wnuczka!

– Najwyraźniej niewiele ją to obchodzi.

– Dziwka – wysyczała przez zaciśnięte zęby Joanna i poczerwieniała na twarzy. Nie ze wstydu, tylko z gniewu. – I co teraz?

– I teraz przechodzimy do naszego tajemniczego przyjaciela – powiedział Kotwica, odwracając się w moją stronę. – Ponieważ sprawy z Holendrami nie mogę załatwić oficjalnie, trzeba to zrobić w inny sposób. Bardziej bezpośredni, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Jestem dość domyślny – oznajmiłem.

– Pytanie, czy się na to piszesz.

– No cóż... Jest ich siedmiu, w tym jeden w kiepskim stanie po tym, jak wypadł z okna. Pozostaje więc sześciu. Mają broń. Na pewno jedną sztukę, może więcej. Nas jest natomiast tylko dwóch. I ja nie jestem uzbrojony.

– I dzięki Bogu. Nie zamierzam jechać tam, żeby się z nimi strzelać.

– A jaki jest plan?

– Dam im do wyboru: albo sami się wyniosą, albo zamienię ich pobyt tutaj w piekło.

– Błef?

Uśmiechnął się krzywo.

– Teraz to ty mnie nie doceniasz – powiedział. – Jeśli będzie trzeba, to spalę ten pierdolony kemping.

Znam się na ludziach i potrafię ocenić, kiedy ktoś tylko udaje twardziela, a kiedy mówi serio i jest gotów spełnić swoją groźbę. Kotwica to ten drugi przypadek. Był tutaj kimś, szefem posterunku, władzą, cholernym panem, którego każdy znał i każdy szanował. A teraz nagle zorientował się, że zupełnie stracił kontrolę nad sytuacją i nie wie, co się dzieje na jego własnym terenie. Był zdeterminowany, żeby to naprawić, a ja potrafiłem to zrozumieć.

– Do czego jestem ci potrzebny? – zapytałem.

– Dwóch na sześciu wygląda lepiej niż jeden na sześciu – odpowiedział. – Poza tym z tobą też mają kosę. Może pomyślą, że współdziałaliśmy, i zamieszamy im trochę w głowach.

– Będę potrzebować broni.

– W żadnym wypadku.

– Oni mają.

– Ale jej nie użyją.

– Do mnie strzelali.

– Ale do mnie nie będą. Jestem cholernym policjantem. Zdają sobie sprawę, że jeśli cokolwiek mi zrobią, zwali im się na łeb nie tylko polska, ale też holenderska policja. Nie są debilami.

– Nie byłbym tego taki pewien.

– Jedziesz ze mną czy nie?

Był gotów zrobić to sam. Przekalkulowałem szybko ryzyko i uznałem, że faktycznie będzie niewielkie, jeśli pojawimy się tam we dwóch. Policjant to policjant. Dwa razy się zastanowią, zanim go zaatakują, dla własnego dobra. Mogli jednak wyciąć jakiś głupi numer, zwłaszcza gdyby Kotwica pojechał tam sam. Nie miałby nikogo, kto chroniłby jego plecy. Poza tym decyzję o ataku łatwiej podjąć, jeśli trzeba się zająć tylko jedną osobą, a nie dwiema. No i nasza wizyta na pewno by ich zaskoczyła. Wady? Nie miałem broni, nie mieliśmy konkretnego planu. Pozostawała tylko improwizacja.

– I jak? – dopytywał.

Cóż, improwizacja to mój żywioł.

– Jadę – powiedziałem i w kilku kęsach dojadłem kanapkę.

Pożegnaliśmy się z Joanną. Kotwica powiedział, żeby dla własnego dobra ani ona, ani Emilka nie opuszczały kempingu.

– Ta – mruknęła kobieta. – Jakby dało się ją upilnować.

– Po prostu się postaraj.

Otworzył drzwi samochodu i sięgnął do schowka w oparciu przedniego siedzenia. Wyciągnął stamtąd kaburę z policyjnym P99. Mało regulaminowa metoda przechowywania broni, ale w Wilkach podchodziło się do tego najwyraźniej z większym luzem. Przypiął kaburę do pasa i podciągnął trochę polar, żeby lepiej było ją widać. Była to czytelna wiadomość, którą planował wysłać Holendrom, kiedy tylko ją zobaczą.

Wsiadliśmy do subaru. Ku mojemu zaskoczeniu w środku panował porządek. Żadnych pustych puszek po napojach energetycznych, papierków po batonach, porozrzucanych ubrań czy śmieci. Pomyślałem, że dobrze to świadczy o Kotwicy. Bałagan w aucie zawsze informuje o lenistwie i pewnym braku dyscypliny. Tutaj jedynie z lusterka zwisał odświeżacz powietrza i medalik ze Świętym Krzysztofem.

Ruszyliśmy, zanim zdążyłem zapiąć pasy bezpieczeństwa.

Jutro będzie lepiej.

Tak zawsze powtarzał ojciec Larsa, kiedy wracał z pracy w porcie, siadał na fotelu i włączał telewizor. Już jako dzieciak Lars wiedział, że to ściema. Bo niby dlaczego miałyby być lepiej? Pracy było mniej przez coraz to bardziej funkcjonalne maszyny oraz imigrantów gotowych wykonywać tę samą robotę za ułamek pensji. Do tego ojciec pił coraz więcej.

Jutro będzie lepiej.

Powtarzał to nawet wtedy, kiedy go zwolnili. Oglądał całymi dniami telewizję i pił piwo, ale wypowiadał tę swoją głupią mantrę, jakby naprawdę wierzył, że w ich domu rozdzwoni się telefon i jakiś magiczny głos po drugiej stronie powie: panie brygadzisto, tak świetnie dawał pan sobie radę w porcie w Rotterdamie, że chcemy pana zatrudnić.

Jutro będzie lepiej.

Powiedział to też tego wieczoru, kiedy wypił ostatnie piwo, poszedł po skrzynkę z narzędziami i powiesił się na haku od lampy. Nawet nie wyłączył telewizora. Tak właśnie znalazł go Lars – zwisał spod sufitu, a w tle grał program poranny. Właściwie znalazł go Jayden, ale on nikogo nie zawiadomił. Po prostu zajął miejsce ojca w fotelu i oglądał spokojnie kreskówki, kiedy tatuś kołysał się ledwie półtora metra po prawej. Psychiatrzy twierdzili potem, że to z powodu szoku, że chłopak nie rozumiał, co się właściwie wydarzyło. Lars znał jednak prawdę – Jayden po prostu taki był: przerażająco obojętny, kiedy innym działo się coś złego. Ale wciąż był jego bratem, a krew jest krew. I tyle.

Jutro będzie lepiej.

To była bzdura, ojciec jednak powtarzał te słowa tak często, że wbił mu je mimowolnie do głowy. I Lars sam je wymawiał, kiedy poprzedniego dnia zdenerwowany i wyczerpany kładł się spać. A kiedy się obudził, nawet nie musiał wstawać z łóżka, by wiedzieć, że znowu czeka go rozczarowanie. Świadczyło o tym natarczywe pukanie w drzwi kampera.

Na zewnątrz czekał na niego Tim. Czuł się już najwyraźniej lepiej. Nie krzywił się przynajmniej z bólu przy każdym kroku, ale był za to przestraszony i przejęty.

– Co jest? – warknął Lars.

– Ruben gdzieś zniknął – powiedział Tim, lekko się jękając.

Nie tylko nie jest lepiej, pomyślał Lars, jest gorzej.

– Jak to, kurwa, zniknął?!

– Normalnie. Nie ma go – odezwał się stojący z boku Jayden.

– Przecież jest jego samochód! – krzyknął Lars i wskazał na stojącego na parkingu granatowego vana volkswagena, którym Ruben przewoził trawę do Holandii.

– Auto jest – powiedział spokojniej Jayden. – Ale samego Rubena ani widu, ani słychu.

– Dzwonił ktoś do niego?

– Wiesz przecież, jak tu jest z zasięgiem.

Wiedział. Było fatalnie. Dziwił się, że Polacy nie potrafili tego ogarnąć. Co to za problem postawić gdzieś tutaj jeszcze jeden maszt!

– Ale dzwonił?!

– My dzwoniliśmy – odparł Tim. – Nie odbiera.

Lars poczuł, że nie może się teraz tym zajmować. Za dużo myśli naraz, a najważniejsza była ta jedna, która nie dawała mu spokoju.

– Czekać chwilę! – warknął.

Odszedł w bok, między drzewa. Stał pod wysoką sosną, zsunął bokserki, zupełnie nie przejmując się, że wszyscy widzą jego gołe pośladki, i zaczął sikać. Od razu poczuł się lepiej. Kiedy skończył, strzepnął ostatnie krople i wrócił do Jaydena i Tima.

– Dobra – powiedział. – Jeszcze raz. Od początku. Kiedy go widzieliście po raz ostatni?

Spojrzeli po sobie.

– Jakoś wczoraj w nocy – oznajmił Tim. – Ale nie wiem o której. W pewnym momencie zniknął mi z radaru. Byłem pewien, że po prostu położył się spać.

– A rano ktoś go widział?

– Nikt. Facet zniknął. Jayden nawet wziął samochód i przejechał się do sklepu, ale też nic. Ruben wyparował.

– Ale zostawił vana?

– Tak. I wszystkie swoje rzeczy.

Dziwnie to wyglądało. Ruben nigdy nie urządziłby sobie kilkugodzinnego spaceru po okolicy, a nawet jeśli, to wzięłby ze sobą telefon. Nie zniknąłby ot tak sobie.

– Wiesz, co tu się dzieje? – odezwał się Jayden.

– Niby co?

– Wzięli się za nas.

– Kto?

– Ten facet z wczoraj. Może ma tu jakichś kumpli. Postanowił nas dopaść, jednego po drugim.

– I dopadł Rubena? Niby jak? Przecież był wczoraj w obozie!

– Może wtedy, kiedy Ruben poszedł się odpryskać w las, tak jak ty przed chwilą.

– I nawet nie zdążył pisnąć?

– Widziałeś, co się wczoraj stało. Facet dołożył Timowi i wypchnął z okna Jana. Pokonał dwóch naszych i nawet się przy tym nie spocił. Myślisz, że samemu Rubenowi nie dałby rady? Szczególnie jeśli wzięłby go z zaskoczenia. Pewnie jak zaczniemy szukać, to znajdziemy jego zwłoki gdzieś w lesie z przetrąconym karkiem.

Tim, który tego wszystkiego słuchał, pod koniec aż się wzdrygnął. Lars sam mimowolnie zaczął się rozglądać na boki, bo wyobraźnia podsunęła mu obrazek faceta, który z karabinem snajperskim ukrywa się wśród drzew. Miałby ich teraz jak na widelcu. Trzy strzały i byłoby po nich. Pewnie nawet nie zdołaliby się schować, a Lars to już na pewno. Był tu przecież szefem. Facet odstrzeliłby go jako pierwszego.

– Może go wcześniej torturował – ciągnął swoją opowieść Jayden.

– Po co? – zapytał słabo Tim.

– Żeby dowiedzieć się, ilu nas jest, jaką broń mamy i jak wyglądają nasze operacje. Ja bym tak w każdym razie zrobił. Facet pewnie już wie o nas wszystko

i teraz szykuje się do kolejnego uderzenia. Mówię wam, planuje nas załatwić jednego po drugim.

– Nie uda mu się – powiedział Lars, ale w jego głosie dało się słyszeć podenerwowanie. Żeby się uspokoić, sięgnął do kieszeni po zmiętą paczkę papierosów. Wsadził sobie jednego w usta i zapalił. Myślał o tym, co usłyszał od brata. Ta teoria wydawała mu się mało prawdopodobna, ale nie potrafił znaleźć innego wytłumaczenia zniknięcia Rubena. Znał faceta od lat. Był dobrym kumplem, ale łasym na kasę. Lars podejrzewał, że sprzedawał trochę towaru na lewo, nie robił jednak z tego afery. Przyjechał do Polski także po to, żeby uciec od tych wszystkich gangsterskich dram, kto kogo na ile orznął i co mu trzeba za to zrobić. Tak długo, jak interes się kręcił, a kasa spływała szerokim strumieniem, nie zamierzał się kłócić o drobniaki. Tyle że takie zniknięcie po prostu nie pasowało do charakteru Rubena. Nawet jeśli uznaliby, że zrobiło się zbyt gorąco, i zdecydowałby się uciec, to wziąłby swój samochód. A wcześniej zapakowałby do niego tyle trawy, ile tylko by się zmieściło na pace.

– Z Rubenem dał radę – zauważył Jayden.

– Ale z nami nie da! – zaprotestował Lars, choć bez przekonania. – A co?! Ten facet to jakiś pieprzony komandos?

– Poruszał się, jakby nim był – potwierdził brat.

Mówił to śmiertelnie poważnym tonem, ale w kącikach jego ust to pojawiał się, to znikał delikatny uśmiezek. Jakby nie potrafił nad nim zapanować. I Lars zdał sobie sprawę, że Jayden już nie może się doczekać spotkania z tajemniczym nieznajomym. Kimkolwiek facet był, następnym razem, kiedy się spotkają, poleje się krew. Tym razem jednak wiedzieli, czego można się po nim spodziewać. Nie uda mu się po raz drugi ich zaskoczyć.

– Mamo...

Joanna skończyła myć kubek i odstawiła go na suszarkę. Emilka stała kilka kroków od niej z rękami założonymi na piersi. Kobieta zaczęła się zastanawiać, co dziewczyna zrobiła z naczyniami po śniadaniu, bo nie przyniosła ich ze sobą. Czyżby zostawiła je na pomoście?

– Tak, kochanie?

Zawsze, kiedy w ten sposób zwracała się do córki, słowo „kochanie” puchło jej w ustach i z trudem wydostawało się na zewnątrz. Zmuszała się do tego, by je wypowiadać, w nadziei, że kiedyś zabrzmie właściwie. Może wtedy poczuje, że naprawiła to, co zepsuła, uciekając przed laty do Anglii.

– Taty teraz nie ma w domu. Podwieziesz mnie tam?

– Po co?

– Chciałabym zabrać kilka moich rzeczy. Komputer, ładowarkę, takie tam...

Co oznaczało, że pomimo wczorajszej kłótni chciała z nią zostać. Joanna nie wiedziała, czy to dobrze. Dzisiaj mieli przyjechać warszawiacy. Będzie tu wielka studencka impreza i jak zawsze na takiej imprezie będzie dużo alkoholu, jakaś trawka i inne narkotyki, a w środku nocy napalone pary będą się dymać po krzakach. To nie było dobre miejsce dla nastolatki, ale Joanna nie mogła po raz kolejny odtrącić córki.

– Oczywiście, kochanie.

I znów ta klucha w ustach.

– To jedziemy?

Wzięła kluczyki i poszły do samochodu. Przez całą drogę, zresztą krótką, nie zamieniły ani słowa.

Joanna zatrzymała się przed domem Pawła. Wysiadła razem z Emilią i rzuciła jej kluczyki.

– Zapakuj do bagażnika wszystko, co chcesz zabrać, a potem poczekaj na mnie w samochodzie.

– A jeśli tato się pojawi?

– No to będziesz musiała z nim porozmawiać. Zamierzasz go unikać przez całe życie?

– Nie wiem. Może po prostu ucieknę do Anglii.

Jakby jej wbiła nóż prosto w serce i przekręciła kilka razy.

Najgorsze, że Joanna na to zasługiwała. Wyjazd do Wielkiej Brytanii, ucieczka – jak dobrze określiła to Emilia – była drugą najgorszą decyzją w jej życiu. Śmieszne, że ta pierwsza też wynikała z tchórzostwa.

– Po prostu zostań w samochodzie.

– A ty dokąd idziesz?

– Do babci. Zaraz wrócę.

Emilka wzruszyła ramionami, chociaż na jej twarzy było widać pewne rozczarowanie. Chyba naprawdę obawiała się spotkania z ojcem i liczyła na to, że matka jakby co jej pomoże. Joanna czuła jednak, że tę sprawę powinni załatwić między sobą. Ona nie miała prawa się w to mieszać. Nie po tym, co zrobiła. Nie po tym, jak Paweł przez lata zajmował się ich córką. A poza tym miała sprawy do załatwienia.

Szybkim marszem pokonała te kilkaset metrów do domu matki. Weszła na teren gospodarstwa i od razu w jej stronę podreptał Szarik, ale kiedy tylko zorientował się, z kim ma do czynienia, przestał machać ogonem i zaczął warczeć. Zdumiewające, bo dla wszystkich zawsze był przyjazny, tylko na nią tak reagował. Nie rozumiała dlaczego. Nigdy nie zrobiła mu nic złego.

Minęła psa i weszła do domu. Dziwnie się przy tym czuła. Niby tutaj się wychowała, niby znała każdy kąt, ale jakaś jej częśćka podpowiadała, że powinna zapukać. Jakby jednak była kimś obcym.

Mamę znalazła w kuchni – mieszała właśnie w garnku, z którego wydobywał się zapach gotującego się kompotu. Od razu sobie przypomniała tamten dzień, gdy stchórzyła po raz pierwszy. Też rozmawiały w kuchni i matka też gotowała kompot, a potem wydarła się na nią i uderzyła w głowę gorącą jeszcze chochlą. A ojciec? Był w domu czy w robocie? Dziwne, ale nie pamiętała.

– O! Joasia – odezwała się matka, kiedy ją zauważyła. – Tak właśnie myślałam, że kogoś usłyszałam. Czego ci, dziecko, potrzeba?

Słowa były serdeczne, ale ton, jakim je wypowiedziała, co najmniej oschły.

– Jak śmiesz! – zaatakowała od razu Joanna.

– Co takiego?

– Jak śmiesz grozić Emilce?! Grozić, że wpakujesz ją w kłopoty, jeśli Paweł nie zostawi Holendrów w spokoju! To jest przecież twoja wnuczka!

– O! A skąd u ciebie taki nagły przyptyw matczynej troski? – zadrwiła sołtysowa. – Szkoda, że ten instynkt macierzyński nie obudził się w tobie, zanim wyjechałaś do Anglii.

– Nie zmieniaj tematu – warknęła Joanna. – Grozisz Emilce?

Malina znów zamieszała w garnku chochlą, a Joannie przez chwilę się zdawało, że i teraz spróbuje ją uderzyć. Tylko że ona już na to nie pozwoli. Była starsza, mądrzejsza i odważniejsza. Matka jednak wyjęła chochlę, stuknęła nią kilka razy o emaliowany garnek i odłożyła do zlewu.

– Nie groziłam twojej córce i mojej wnuczce – powiedziała powoli. – Uświadomiłam tylko Pawłowi, co się stanie, jeśli faktycznie rzuci się na Holendrów. Przecież oni doskonale wiedzą, kto był w ich obozie tamtej nocy. Myślisz, że nie opowiedzą o tym przesłuchującemu ich oficerowi? Powiem ci więcej, córcia, to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobią.

– Zrobią, bo pewnie sama im to zasugerowałaś!

– To łebskie chłopaki. Jestem pewna, że sami na to wpadli.

– Jak możesz mówić o nich z takim spokojem?! Wiesz, kim oni są? Hodują u nas marihuanę!

– I co z tego? – zapytała Malina, wzruszając ramionami. – Nie myśl sobie, sama tego używam, ale głupia nie jestem. Trochę o tym poczytałam. Krzywdy nikomu nie robią.

– To gangsterzy.

– Może. Ale u nas jest spokój.

– Wczoraj strzelali do niewinnego człowieka.

– Taki on niewinny, że tylko kłopoty wszystkim robi.

Joanna zrozumiała, że nie przegada matki. Na każdy argument córki sołtyska miała już przygotowaną ripostę. Jej spokój i opanowanie doprowadzało Joannę do szału. Szkoda tylko, że nie zawsze taka była. Gdyby wtedy matka zachowała zimną krew, to wiele złych rzeczy by się nie wydarzyło.

– Słuchaj, córcia – odezwała się Malina. – Wiem, co tutaj robią Holendrzy. Może nie jestem tym zachwycona, ale oni są w porządku. Nie robią nam kłopotów i dają ludziom zarobić. Po co w tym grzebać?

– O to ci tylko chodzi? O pieniądze? Dają zarobić? Ludziom?! Chyba tobie.

– Nie tylko mnie.

– No to jeszcze Koniowi.

– I tobie...

Zmroziło ją, a matka uśmiechnęła się wyrozumiale.

– A myślisz, że skąd miałam pieniądze, które pożyczyłam ci na zakup tego ośrodka? Z gospodarstwa i pensji sołtysa? Przecież to grosze są, córcia. Wszystkim opowiadasz, że za swoje kupiłaś, za zaoszczędzone. Wstydzisz się, że musiałaś od matki brać. Trochę mi z tego powodu przykro, ale co tam. – Machnęła ręką. – Dorosła jesteś, zrobisz, jak uważasz. Ale fakt jest taki, że pieniądze wzięłaś ode mnie, a ja je zarobiłam dzięki Holendrom.

Joanna przetrawiała powoli jej słowa. Poczowała się zmanipulowana. Jakby znowu była małą bezbronną dziewczynką. Matka zawsze musiała nad wszystkim panować, każdego kontrolować. Ojciec szybko się temu poddał, o ile kiedykolwiek w ogóle próbował z tym walczyć. Śmieli się z niego, nazywając go pantoflarzem, ale Joanna wiedziała, że jemu jest z tym dobrze. Mama nie dość, że zajmowała się sprawami finansowymi, to jeszcze się nim opiekowała. On miał tylko wykonywać jej polecenia i o niczym nie myśleć. Joanna natomiast się buntowała i skończyło się tak, jak się skończyło. Ale tylko dlatego, że wtedy była młoda i przede wszystkim głupia. Teraz już taka nie jest.

– Odwiedził mnie Profesor – odezwała się.

Matkę zdziwiła ta zmiana tematu. Spojrzała pytająco na córkę.

– Uważa, że kiepsko się sprawdzasz na swoim stanowisku.

Malina zaśmiała się – krótko, chrapliwie i nieprzyjemnie.

– Ha! Jak potrafi lepiej, to niech sam spróbuje.

– Nie spróbuje.

– Tak właśnie myślałam. Ci z Warszawy to tylko gadać potrafią, a do prawdziwej roboty to...

– Namawia mnie, żebym startowała – przerwała Joanna. – I tak zrobię.

Sołtyska zamarła i po raz pierwszy od bardzo dawna nie wiedziała, co powiedzieć.

– I myślisz, że ludzie cię wybiorą? – odezwała się po długim milczeniu.

– Myślę, że ludzie mają dość.

– Pamiętają, co zrobiłaś.

Joanna przez chwilę zastanawiała się, czy matce chodzi o ucieczkę do Anglii czy o tamto. Ostatecznie uznała, że nie ma to jednak żadnego znaczenia. Jeśli matka wyciągała tak ciężkie działa na tak wczesnym etapie, to znaczyło, że się przestraszyła. Przez lata wygrywała tylko dlatego, że nie było innej kandydatury. Niektórzy się jej bali, większość miała to po prostu w nosie.

– Pamiętają też, co ty zrobiłaś – odparowała błyskawicznie.

Matka aż się wzdrygnęła. Joanna poczuła, że wygrała tę partię. Skinęła jej głową na pożegnanie i pospiesznie opuściła rodzinny dom. Na zewnątrz wyjęła komórkę i wybrała numer Profesora.

– Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby wziąć udział... Co mam zrobić, żeby wygrać te wybory na sołtysa? – zapytała, kiedy tylko odebrał. Głośno. Tak, żeby usłyszała ją obserwująca przez okno matka.

Podobało mi się, że Kotwica jedzie spokojnie. Jakby nigdzie się nie spieszył. Włączył nawet radio, ale od razu je przyciszył, tak że ledwo było słyszeć prognozę pogody. Zapowiadało się kilka ciepłych i słonecznych dni. Spiker wspominał coś o złotej polskiej jesieni.

Dotarliśmy do kempingu po drugiej stronie jeziora. Kiedy wjechaliśmy przez otwartą bramę, trzech Holendrów natychmiast pojawiło się przed kamperem. Byli wśród nich ci dwaj, których spotkałem wczoraj w swoim pokoju. Jeden z nich miał rękę na temblaku i wyglądał na otumanionego. Najprawdopodobniej znajdował się pod wpływem silnych środków przeciwbólowych. Obok niego stała kobieta. Z kampera wychodził właśnie blondyn, zapewne ich szef. Nigdzie nie dostrzegłem Jaydena. Brakowało też młodego chłopaka i jeszcze jednego Holendra, tego, którego spotkałem w sklepie.

Kotwica delikatnie nadepnął pedał gazu i przyspieszyliśmy, a potem bardzo spokojnie, wręcz delikatnie, subaru uderzyło w tył stojącego opła astry. Ot, niewielki pokaz dominacji na początek spotkania.

Coś jednak poszło nie tak.

Opel stał na luzie, bez zaciągniętego ręcznego. Pchnięty, potoczył się więc do przodu. Najpierw powoli, ale gdy trafił na niewielki spadek, zaczął nabierać prędkości. Jeden z Holendrów, ten, który dostał wczoraj ode mnie w nerki, popędził do astry. I prawie mu się udało. Chwycił za klamkę od strony pasażera, otworzył drzwi, jednak nie zdążył już dostać się do środka, bo astra podskoczyła na jakimś wertepie i w rezultacie wyrwała mu klamkę z ręki. Potknął się, stracił równowagę, upadł na kolana i mógł tylko patrzeć, jak samochód wtacza się do jeziora. Zatrzymał się już po kilku metrach, ale ponieważ drzwi były otwarte, woda zaczęła wlewać się do jego wnętrza.

- Zaplanowałeś to? – zapytałem Kotwicę.
- Niby jak? – odpowiedział. – Ale wyszło dobrze.
- Powiedziałbym, że nawet bardzo – zgodziłem się.

Wysiedliśmy z subaru. Holender od astry podniósł się już z ziemi. Przez chwilę przyglądał się z niedowierzaniem samochodowi, a potem odwrócił się na pięcie i pobiegł w naszą stronę.

– Ty cholerny skurwielu! – krzyczał po angielsku, ale kiedy zobaczył mnie, a potem Kotwicę, najpierw zamilkł, później zwolnił, a wreszcie stanął.

Szef zrobił krok do przodu. Miał zaciśnięte usta, lekko pochyloną głowę i sylwetkę faceta, który szykuje się do wyjścia na ring. Splunął i poruszył szczęką na boki, jednak kabura przy pasie Kotwicy sprawiła, że jego entuzjazm do bijatyki mocno się zmniejszył. Gorączkowo oceniał sytuację i starał się wybrać najbardziej korzystny dla siebie scenariusz.

– Czego, kurwa, chcecie? – rzucił wreszcie.

– Będziesz tłumaczył – powiedział Kotwica.

A więc po to byłem mu tak naprawdę potrzebny. Nie chciał pomocnika, a tłumacza, tylko się do tego nie przyznał. Założył, że znam angielski. Szczęśliwie tak było.

– Powiedział... – zacząłem, ale mi przerwał.

– Wiem, co powiedział. Potrafię słuchać, kiepsko mi idzie mówienie.

– To co mam przetłumaczyć? – zapytałem.

– Że powinien zwracać się do mnie z większym szacunkiem.

– Bo jesteś policjantem?

– Dokładnie tak.

Poszukałem w pamięci angielskich słówek i zacząłem mówić do Holendra:

– Powinieneś uważać na to, co mówisz, i przede wszystkim jak mówisz. Ten facet jest policjantem i nie chcesz go wkurzyć.

Mężczyzna zerknął na swoich ludzi. Wyglądali, jakby stracili całą pewność siebie, a ja pomyślałem, że chyba ich przeceniłem. To nie byli żadni groźni gangsterzy, nawet emerytowani. Raczej amatorzy z kontaktami, którzy wymyślili sobie sprytny sposób na zarobek. Oprócz ich szefa. A Jayden? Rozglądałem się dyskretnie dookoła, ale nie potrafiłem nigdzie go dostrzec.

– Wiem, kim on jest – odpowiedział szef. – Nie wiem, kim ty jesteś.

– I dobrze.

– Czego chcecie?

- Żeby stąd spierdalali – odezwał się Kotwica.
- Macie się stąd wynieść. I to szybko.
- Bo?
- A jak myślisz? – zapytałem i wskazałem nieco teatralnym gestem na policjanta.
- Wsadzi was do więzienia.
- Byłem w więzieniu.
- Polskie więzienia nie przypominają tych holenderskich. Nie ma w nich telewizorów, konsoli wideo, wygodnych łóżek i zajęć z garncarstwa. My mamy przepełnione cele, kiepskie żarcie i mnóstwo sfrustrowanych osiłków, którzy tylko szukają pretekstu, żeby komuś przypierdolić. Inna narodowość chyba się nada.
- Chcesz nas nastraszyć?
- Nawet nie zamierzam. Po prostu mówię, co się stanie. To albo jeszcze coś gorszego.
- Coś gorszego? Jak to, co zrobiliście z Rubenem?
- Z kim?

Nie poznałem jednak odpowiedzi na moje pytanie, bo nagle pojawił się Jayden. Wyłonił się zza kampera, od bliższej nam strony. Musiał się tam ukrywać przez cały ten czas, podsłuchiwać i czekać na odpowiednią okazję, żeby włączyć się do akcji. Nie zauważyłem go wcześniej, bo koncentrowałem się na rozmowie z szefem. Błąd. Młody Holender szedł z wycelowaną w nas bronią. Kotwica natychmiast sięgnął do kabury. Kolejny błąd. Nie miał najmniejszych szans. Jayden nacisnął spust. Rozległ się huk. Kotwica krzyknął z zaskoczenia i bólu. Dostał w okolice obojczyka. Obróciło go, upadł na jedno kolano. Próbował się podnieść, ale tylko się zachwiał.

– Jayden, co jest, kurwa?! – wrzasnął szef Holendrów.

Ale ten go zignorował. Szedł dalej w naszą stronę.

– Ręce w górę!

Szybka decyzja. Co mogłem zrobić? Rozwiązanie pierwsze – rzucić się na Jaydena i liczyć na to, że dopadnę go, zanim zdąży mnie zastrzelić. Rozwiązanie drugie – spróbować zabrać pistolet Kotwicy i zacząć wymianę ognia. Rozwiązanie trzecie – rzucić się do ucieczki między drzewa. Wszystkie miały jedną zasadniczą wadę – Jayden już mierzył we mnie z gotowej do strzału broni. Zanim bym do

niego dobiegł albo zabrał Kotwicy pistolet, dostałbym kulkę. Być może udałoby mi się uciec.

Być może.

Pozostało mi ostatnie wyjście. Podniosłem rękę.

– Ty też! – wrzasnął do Kotwicy.

Celował teraz prosto w jego pierś. Policjant uniósł lewe ramię. Prawe zwisało mu bezwładnie. Na koszuli pojawiła się lepka plama krwi.

– Drugie też!

– Nie mogę – wyszeptał policjant.

– Drugie też! – powtórzył Jayden. Już szykował się do oddania strzału.

– On nie może! – krzyknąłem. – Nie może! Dostał w bark! Nie podniesie drugiej ręki!

Holender zmrużył powieki, przez ułamek sekundy zastanawiał się nad tym, co usłyszał, a potem ledwie dostrzegalnie skinął głową.

– Femke! – zwrócił się do kobiety. – Zabierz mu broń!

Kobieta początkowo się nie ruszyła, jakby go nawet nie słyszała. Dopiero kiedy rzucił jej wściekle spojrzenie, podeszła pospiesznie do Kotwicy.

– Ty – wskazał na mnie lufą – na ziemię! Ręce na kark!

Wykonałem posłusznie polecenie. Zerknąłem w bok. Kobieta ostrożnie podeszła do policjanta, jakby był dzikim, groźnym zwierzęciem. Bardzo powoli zabrała mu broń z kabury, a potem, stawiając drobne kroczyki i trzymając pistolet pomiędzy palcami, jakby to było coś obrzydliwego, szybko wróciła do swoich.

Jayden zbliżył się do nas, celując to w jednego, to w drugiego.

– A teraz, panowie – wysyczał – opowiecie nam, co zrobiliście z Rubenem.

Emilia skończyła pakować swoje rzeczy do samochodu. Nie było tego wiele – trochę ubrań, kosmetyki, komputer, to, co potrzebne do szkoły. Zamknęła bagażnik i czekała przy wozie, mama jednak się nie pojawiała. Zadzwoiła do niej, ale numer był cały czas zajęty. Nie chciała tutaj stać za długo, wolała uniknąć spotkania z tatą. Co prawda teraz powinien być w pracy, na posterunku, ale ostatnio wydarzyło się tyle dziwnych rzeczy, że mogła się spodziewać właściwie wszystkiego.

Po kolejnych pięciu minutach, kiedy znowu zadzwoniła do mamy i ta znowu nie odebrała, zdecydowała, że już dość. Wsadziła kluczyki do stacyjki i poszła w stronę kempingu. Nie bała się, że ktoś ukradnie samochód. To w końcu były Wilki, tu każdy znał każdego. Ludzie robili sobie może małe świństwa, ktoś czasami dał komuś w mordę, ale samochodu przecież nie ruszą. Szczególnie że stał pod domem miejscowego policjanta.

Mama trochę ją wkurzyła. Zostawiła córkę i zaczęła zajmować się swoimi rzeczami, zupełnie się nią nie przejmując. Nie żeby zrobiła to pierwszy raz. Wcześniej przecież uciekła do Anglii. I nikt nigdy nie wyjaśnił, o co chodziło. Emilia rozumiała, że nie układało im się z tatą, nie wzięli nawet ślubu. Swego czasu podejrzewała, że się kłócili, że ojciec uderzył matkę albo coś takiego, ale szybko wyrzuciła z głowy te głupie podejrzenia. Paweł Kotwica potrafił się wydrzeć i robić córce awantury za byle co, nigdy jednak nie podniósłby na nią ręki. Nawet zwykłego klapsa nie dostała, kiedy była mała. Pieniądze też chyba nie stanowiły problemu. Babcia Malina zawsze je miała, a ojciec zarabiał. Nie żeby im się przelewało, ale biedy przecież nie klepali. Dlaczego więc Joanna porzuciła córkę? Emilia nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, jak się z tego powodu czuła – cholernie zraniona i gorsza. Bo to z nią musiało być coś nie tak, skoro mama ją zostawiła. Miała jakiś feler. Tego głęboko zakorzenionego w niej przekonania nie potrafiła zmienić nawet bezwarunkowa miłość babci Kotwicy. Dawali jej wszystko, poświęcali każdą wolną chwilę i zawsze mogła na nich liczyć. Była im za to bezgranicznie wdzięczna, ale nawet najlepsi dziadkowie nie mogą zastąpić mamy.

Przynajmniej nie w jej przypadku. Powrót Joanny i próby zbliżenia się do córki też nic nie naprawiły. Emilia po prostu nie potrafiła uwierzyć w jej dobre intencje. Nie potrafiła też wybaczyć, zwłaszcza że matka nigdy nie próbowała nawet wytłumaczyć, dlaczego wyjechała. Może gdyby dziewczyna poznała prawdę, coś by to zmieniło.

A może nie.

Miewała problemy. Był czas, kiedy obsesyjnie się odchudzała i prawie wpadła w anoreksję. Trochę uratowała ją wtedy Ola, trochę babcia w tajemnicy przed tatą (kolejny powód, żeby być jej wdzięczną), a trochę ona sama, bo znalazła w sobie dość siły, żeby zatrzymać się w odpowiednim momencie. Teraz pomagał jej Jayden, chociaż o tym nie wiedział. Świadomość, że ktoś taki jak on, dorosły, przystojny facet, mądry i zabawny, zwrócił uwagę na kogoś takiego jak ona, dawała jej siłę, by przetrwać kolejny dzień. I kiedy patrzyła w lustro, nie widziała już kogoś wybrakowanego, brzydkiego i zepsutego.

Kiedy doszła na pętlę, akurat przyjechał autobus i wysypała się z niego grupa młodych ludzi tak liczna, że chyba cudem się w nim zmieścili. Część z nich musiała pewnie stać przez całą drogę.

Młodzi zakładali plecaki, zarzucali torby na ramię i rozglądali się bezradnie dookoła. W końcu jeden z nich, chłopak z dreadami i gitarą na plecach, zauważył znak wskazujący drogę na kemping Joanny.

– To chyba tam! – krzyknął i zaczął iść, a cała reszta, zgodnie z pierwotnym stadnym instynktem, ruszyła za nim.

Została tylko trójka. Muskularny chłopak miał tatuaże – na jednej ręce znak Polski Walczącej, a na drugim żyletkę w zielono-biało-czerwonych barwach z napisem „1916”. Dziewczyna o pofarbowanych na biało włosach i w okularach w grubych oprawkach, była ubrana na czarno i nosiła koszulkę z twarzą jakiegoś starszego faceta oraz napisem „Pużak”. Emilia nie rozumiała, o co chodziło. Podobały jej się tylko tenisówki, wysokie conversy, które kosztowały pewnie dwie, trzy stówki. Druga dziewczyna miała ładne, brązowe, opadające na ramiona włosy, srebrne kolczyki i delikatny makijaż.

– Myślałem, że zdechnę w tym autobusie. Ja pierdolę, co za ciasnota. A teraz to wypizdowo – powiedział chłopak, rozglądając się dookoła. – Tutaj nawet psy nie szczekają dupami, ale, kurwa, nie wiem... siusiakami.

Ubrana na czarno dziewczyna zachichotała. Oboje spojrzeli na nią zaskoczeni. Wiedzieli, że jego dowcip nie był aż tak śmieszny.

– Co jest? – zapytał chłopak.

– Jacuś, Jacuś – odpowiedziała, kiedy skończyła się śmiać – tyle opowiadasz o tym, jak my, lewicowcy, odrzucamy prawdziwy prekariat, kiedy nie pasuje do naszego wyobrażenia, a teraz popatrz na siebie. Tak wygląda prawdziwa Polska poza twoją wielkowiejską, kibicowską, uprzywilejowaną bańką. Witaj na pustyni realnego, w kraju wykluczenia komunikacyjnego. O czym byś wiedział, gdybyś przeczytał chociażby Trammera.

– Daj mu spokój, Foka – powiedziała ta druga i cmoknęła go czule w policzek.

– Tylko się z nim drocę, Mal.

– Wiem, jak wygląda Polska poza Warszawą – odezwał się Jacek. – Ale wiem też, że to jest absolutne wypizdowo. Wypizdowska esencja. Crème de la crème wypizdowa. Co nie?

To ostatnie pytanie skierował do Emilii, która akurat znalazła się tuż przy nich. Dziewczynie z wrażenia aż opadła szczęka. Zdała sobie sprawę, że głupio tak wygląda, więc zaraz zamknęła usta.

– To znaczy... – zaczęła powoli, bo chłopak ciągle się w nią wpatrywał, oczekując odpowiedzi. – Wilki to żadna metropolia, ale wcale nie jest tutaj tak źle. A i do miasta nie aż tak daleko. I to komunikacyjne wykluczenie... Ja wiem, że chodzi o autobusy, ale mamy samochody tutaj, nie?

Nie miała pojęcia, dlaczego broni Wilków. Sama wielokrotnie przeklinała, że urodziła się i mieszka w tej zagubionej w środku głuszy wiosce, gdzie jest nawet problem z zasięgiem. Wypizdowo czy nie, było to jednak jej wypizdowo.

Ledwo skończyła mówić, Foka parsknęła śmiechem tak głośnym i tak gwałtownym, że aż zgięło ją wpół, Mal z wyrazem oburzenia na twarzy płaśnęła Jacka otwartą dłonią w tył głowy, a chłopak gwałtownie poczerwieniał.

– Ty idioto! Ona jest stąd.

Jacek doskoczył do Emilii, wyciągając w jej stronę ręce w geście obronno-przepraszającym.

– O szlag! Sorry! Naprawdę sorry! Ja nie wiedziałem! W tym autobusie było tylu ludzi! Nie wszystkich znam! Myślałem, że przyjechałaś z nami!

– Nie no... Spoko... Nie ma problemu – powiedziała. – Wy pewnie przyjechaliście na imprezę, nie?

– No – odezwała się dziewczyna ubrana na czarno i wyciągnęła dłoń w jej stronę. – Foka!

Emilia podała jej rękę. Potem przedstawił się chłopak i również uścisnęła mu dłoń. Po raz kolejny ją przeprosił, a druga dziewczyna rzuciła swoje imię i po prostu ją przytuliła, jakby od lat były dobrymi przyjaciółkami. Zniknęło to początkowe skrępowanie, które wynikało z wtopy Jacka, i Emilia uświadomiła sobie, że polubiła całą trójkę. Byli całkiem różni. Nie miała pojęcia, dlaczego trzymają się razem, jednak wyglądało na to, że dobrze czują się w swoim towarzystwie. I najwyraźniej cieszyli się, że ją spotkali.

Poprowadziła ich na kemping. Wyjaśniła, że jest córką właścicielki i że mamy teraz nie ma, ale sama pomoże im się zakwaterować. Oni powiedzieli, że są studentami i przyjechali tutaj uczcić ostatni weekend wakacji oraz zdany egzamin poprawkowy Jacka. I że jeśli Emilia chce, to niech też przyjdzie na imprezę. Na pewno będzie fajnie. Chociaż tego ostatniego nie byli już tacy pewni, kiedy zobaczyli kemping. Tym razem jednak, nauczeni doświadczeniem, zostawili swoje uwagi dla siebie, chociaż Emilia nie miałaby nic przeciwko temu, żeby je usłyszeć. Wiedziała, że ośrodek nie jest w pełni gotowy, ale to przecież nie była jej wina. To nawet nie była wina mamy. To była wina tego ich kumpla, który organizował imprezę. Przemilczała to jednak, bo nie chciała zepsuć nowej znajomości.

Pomogła im zająć miejsca w jednym domku, a oni podziękowali za pomoc. Już miała iść do siebie, kiedy Jacek ją zatrzymał.

– Emilia – zaczął niezręcznie – może to głupie pytanie i nie chcę, żebyś się obraziła, ale znasz tutaj kogoś, kto sprzedaje trawę?

– Jacek! – krzyknęła Mal.

– No przecież tylko pytam!

Emilia uśmiechnęła się szeroko. Dosłownie od ucha do ucha.

– Słuchajcie – zaczęła – może i Wilki to wypizdów, ale trawę mamy najlepszą na świecie. W Warszawie takiej nie dostaniecie. Będziecie państwo zadowoleni!

Przyjechali. Poinformował ich o tym Robbie, który zgodnie z planem jako pierwszy poszedł na kemping, żeby wy badać teren. Powiedział, że zwaliło się trochę ponad dwadzieścia osób. Nie tyle, na ile liczyli. Wysłali przecież znacznie więcej zaproszeń i dostali za ledwie kilka odpowiedzi odmownych. Większość została więc po prostu zignorowana. Nic dziwnego, takich jak oni po prostu się olewa. Wiedzieli o tym, ale i tak liczyli, że przynęta w postaci dwudniowej imprezy z darmowym żarciem i alkoholem skusi więcej osób. Chociaż były też takie momenty, kiedy martwili się, że nikt nie przyjedzie – wtedy cały ich plan spaliłby na panewce, a ciężka praca poszłaby na marne.

Mati żałował, że tak się nie stało.

Ojciec był w domu, zamknął się w gabinecie i rozmawiał z kimś długo przez telefon, więc wujek zwołał zebranie w ogrodzie. Usiedli na ławeczkach przy miejscu na ognisko. Zostały niedawno zbite przez miejscową złotą rączkę, który zrobił to jednak naprędce i niechlujnie, bo gdzieś tam ich powierzchnia lepiła się jeszcze od żywicy.

Klaser otworzył puszkę z piwem.

– Odłóż to – rozkazał wujek. – Dzisiaj tego nie potrzebujesz. Dzisiaj nie pijemy.

– Chciałem świętować.

– Świętować będziemy już po wszystkim.

Klaser przejechał językiem po suchych wargach i przechyliwszy puszkę, wylał jej zawartość na ziemię, po czym zgniótł ją, podszedł do płotu i wyrzucił. Wujek popatrzył na niego z aprobatą. Dał mu znak, żeby zajął miejsce, a gdy chłopak to uczynił, milczał jeszcze przez kilkanaście sekund. Zwiesił głowę, jakby się modlił. Napięcie w powietrzu było tak wielkie, że z trudem dało się oddychać. Jak podczas tych kilku chwil tuż przed burzą, kiedy niewidzialny ciężar przygniata cię do ziemi, plecy spływają ci potem, a na skórze czujesz mrowienie wyładowań elektrycznych.

– To dzisiaj – odezwał się wujek i dopiero wtedy podniósł wzrok. – To dzisiaj pokażemy, pokażecie, panowie, kim naprawdę jesteście. Zemścicie się za lata upokorzeń. Za każdą dziewczynę, która was zignorowała. Za każdą, która was

odrzucała. Za wszystkie docinki i żarty. Za chadów bijących was na boisku, wyrzucających wasze tornistry przez okno i robiących wam nurka w szkolnym kiblu. To jest wasz dzień. Wasza zemsta. Wasz krzyk, który usłyszy cały świat. Czarna pigułka.

Mati liczył, że ktoś zaprotestuje. Poldek, Klaser, może nawet Gruby. Wstanie i powie, że fajnie było, ale to jest jednak przesada i powinni wszystko odwołać. Tymczasem oni kiwali głowami, myśląc o upokorzeniach, które przypomniał im wujek Matiego. Byli wściekli, zdesperowani, odurzeni wizją odwetu. Na ich policzkach pojawiły się rumieńce ekscytacji i Mati zrozumiał, że to, co miało się dopiero stać, tak naprawdę już się wydarzyło. Bo żadna siła ich już nie powstrzyma.

Poldek zaklaskał. Dołączył do niego Klaser, potem Gruby. Wreszcie i Mati, bo dziwnie by wyglądało, gdyby tego nie zrobił. Wujek dał znak, żeby przestali, ale był wyraźnie polechtany. Od razu się wyprostował i wypiął pierś.

– Ale to dopiero w nocy – kontynuował. – Kiedy zrobi się ciemno i nikt nie będzie spodziewać się naszego uderzenia. Wtedy będziemy w pełni panować nad sytuacją. Do tego czasu mamy jeszcze kilka godzin. Dość, żeby się przygotować do akcji. Omówmy to sobie teraz. Przede wszystkim nasi drodzy goście.

– Są już na miejscu – odezwał się Klaser. – Ponad dwadzieścia osób. Szkoda, że nie więcej.

– Daj spokój. Dwadzieścia wystarczy – powiedział wujek z uśmiechem. – Liczy się jakość, nie ilość.

Poldek wyszczerzył zęby.

– Właśnie się rozbijają na kempingu – ciągnął Klaser. – To znaczy część z nich ma namioty, część chce mieszkać w domkach. Robbie jakoś to ogarnia z właścicielką, ale podobno ludzie się denerwują. Mówią, że obiecano im co innego.

Wujek zmarszczył brwi.

– Nie chcemy, żeby się denerwowali.

– Tam są takie sobie warunki. I faktycznie, w mejlach trochę inaczej to przedstawialiśmy, nie?

– Chadowie mają w dupie, jakie są warunki – powiedział wujek. – Potrzebują tylko żarcia, alkoholu i cipek, a cipki potrzebują chadów. Będą dla nich gryzły

ziemię, jeśli tylko im każą. Dlatego musimy zadbać o chadów. Mati?

Chłopak nie zareagował. Wujek wychylił się w jego stronę i pstryknął mu palcami przed nosem. To zadziało. Mati lekko podskoczył, odchylił się za mocno do tyłu i prawie spadł z ławki. W ostatniej chwili chwycił się krawędzi i poczuł na palcach lepką żywicę.

– Mati!

– Co?!

– Żarcie? Piwo? Wódka?

Poprawił się na ławce i przełknął ślinę. Serce waliło mu szybko i boleśnie, jakby zaraz miało rozlecieć się na kawałki.

– Zamówiliśmy wszystko w sklepie – odpowiedział cicho. – Trzeba tylko odebrać.

– Zajmiesz się tym z Klaserem i Poldkiem – rozkazał wujek. – Najszybciej jak to możliwe. Kiedy chadowie dostaną alkohol i żarcie, przestaną narzekać. To proste istoty, mówię wam. Żarcie, alkohol i cipki. Tyle im wystarczy. Trzeba też zabrać sprzęt grający i rozkręcić imprezę. Musimy ich wszystkich zebrać w jednym miejscu. Nie mogą nam się porozłązić po całych Wilkach. Rozumiecie?

Przytaknęli.

– Ale niby jak mamy rozkręcić tę imprezę? Bo ja nie wiem – zauważył przytomnie Poldek.

Mati też nie wiedział. Wyprawiał kilka razy urodziny, ale nigdy nie odniósł na tym polu wielkiego sukcesu. Na ostatnie, wiele, wiele lat temu, kiedy był jeszcze w podstawówce, przyszły tylko dwie osoby – synowie ludzi, z którymi ojciec robił interesy. Przez cały czas grali na jego komputerze i prawie się do niego nie odzywali. Od tego czasu nie robił więcej imprez, a był zaledwie na kilku i zawsze czuł się mocno nie na miejscu. Raz zrobił z siebie idiotę, bo wypił za dużo i za szybko i obrzygał siebie, koleżankę z klasy oraz drogi dywan.

– Po prostu dajcie im narzędzia – wyjaśnił cierpliwie wujek. – Podłączcie wszystko, co trzeba. Zaraz się znajdzie jakiś chad, który będzie chciał popisać się przed cipkami i odwali całą robotę za was. Klaser?

– Tak?

– Jak z kamerą?

– Naładowana i gotowa do akcji.

Klaser miał nakręcić wszystko, co planowali zrobić.

– Świetnie.

– Możemy to od razu wrzucać na żywo do internetu – zasugerował Poldek.

– Nie – powiedział wujek. – Trzymamy się planu. Jak wrzucimy na żywo, pewnie zobaczy to policja i nie wiadomo, co się stanie. Chcemy uniknąć niespodzianek. Robimy swoje, wrzucamy po wszystkim. Wasze manifesty?

Wujkowi chodziło o krótkie, kilkuminutowe filmiki, w których każdy z nich miał wytłumaczyć, dlaczego to zaplanowali. Potem wrzucą je do sieci razem z nagraniem z akcji. Oczywiście wszystkie serwisy streamingowe natychmiast to zdejmą, ale co trafia do internetu, już tam zostaje. Ich nagranie miało stać się legendą, którą będą wymieniali się podobni im mężczyźni na całym świecie, od Japonii, przez Indie, Rosję, Niemcy, aż po Stany Zjednoczone i Kanadę. Ich głos zostanie usłyszany przez tysiące, a może nawet miliony.

– Gotowe i zmontowane. Przywieźliśmy ze sobą.

– Świetnie. Macie jakieś pytania?

Pokręcili głowami.

– W takim razie bierzcie się do roboty. Pamiętajcie, priorytetem jest to, żeby zatrzymać ich na kempingu.

Rozumieli to doskonale. Kiedy przyjdzie czas na samą akcję, nie będą przecież biegali po całej wsi w poszukiwaniu chadów i ich kobietek. Potrzebowali ich w jednym miejscu. Najlepiej pijanych i bezbronnych.

– Znakomicie. Ja w takim razie biorę Grubego i idziemy zająć się masztem. Prawda, Gruby?

– Tak jest.

Wujek uśmiechnął się serdecznie. Wstał, podszedł do każdego z chłopaków i uścisnął im dłonie. Na dłużej zatrzymał się przy Matim. Położył mu rękę na ramieniu, przyciągnął do siebie i dotknął jego czoła swoim.

– Wreszcie – wyszeptał. – Wreszcie wydarzy się to, o czym tak długo marzyliśmy.

Matiemu zabrakło odwagi, by zaprzeczyć. Z trudem przełknął ślinę, a potem na wpół przytomny poszedł realizować plan. Mieli zacząć od dostarczenia na kemping

kilku zgrzewek piwa.

Zaprowadzili nas do blaszanej szopy, związali i posadzili na podłodze. Zabrali nam komórki, opróżnili kieszenie, a potem zostawili. Przez chwilę siłowałem się z więzami, próbując je rozluźnić, ale krępował nas ten, który dostał ode mnie w nerki. Facet znał się na wiązaniu lin, w przeciwieństwie do bicia. Na odchodnym spróbował mnie kopnąć. Pewnie chciał się odwdzięczyć za wczorajsze lanie. Skuliłem się nieco i napiąłem mięśnie brzucha, a on nie trafił tam, gdzie powinien. W rezultacie ledwo poczułem kopnięcie, ale krzyknąłem tak, jakby nie wiadomo jak bolało.

Kotwica siedział tuż obok mnie. Na jego czole perliły się krople potu. Nieustannie syczał przez zaciśnięte zęby, a z rany sączyła mu się krew. Nie wyglądało jednak na to, żeby miał zaraz stracić przytomność albo żeby rana zagrażała życiu.

Pomyślałem, że Jayden nieźle to rozegrał. Upewnił się, po co przyjechaliśmy, poczekał na odpowiedni moment i od razu zaatakował Kotwicę, bo wiedział, że tamten ma broń. Nie zastrzelił go jednak. Pociągnął za spust tylko raz. Szczęśliwy traf czy facet faktycznie był aż tak dobry? Stawiałem raczej na to pierwsze. Nie odmawiałem Holendrowi tego, że potrafi posługiwać się bronią, ale wczoraj, kiedy strzelał do mnie z okna, nie trafił. Nie był nawet blisko. No cóż, każdy czasami ma farta. Dzisiaj trafiło na Jaydena. Nasz pech. Pytanie, co dalej.

Zacząłem się rozglądać, szukając czegokolwiek, co mógłbym wykorzystać do przecięcia wiążącej nas liny. W szopie znajdowało się kilka starych mebli, jakieś pordzewiałe pręty i puszki ze starymi farbami. Była to typowa graciarnia, gdzie wrzucano wszystko, co mogło się jeszcze przydać.

– Kiedy zaczną cię szukać? – zapytałem Kotwicy.

– Kto?

– Twoi koledzy z posterunku.

Zamyślił się chwilę.

– Nie wiem. Pewnie niedługo zaczną do mnie wydzwaniać, bo będą jakieś sprawy do załatwienia, ale skoro nie będę odbierać, to raczej pomyślą, że wziąłem

sobie niezapowiedziane wolne.

– Robiłeś tak wcześniej?

– Nie.

– Może jest w takim razie szansa, że któryś z nich wykaże się inicjatywą.

– Może.

– Ale nie liczysz na to specjalnie?

Westchnął.

– To w miarę spokojna okolica. Nikomu nie wpadnie do głowy, że porwali mnie holenderscy gangsterzy.

– A ty nikomu z posterunku nie powiedziałaś, że tu jedziemy.

Potwierdził. Czyli pozostawała Joanna. Tylko ona wiedziała, że tutaj jesteśmy. Pytanie, czy zareaguje, kiedy nie pojawimy się z powrotem za kilka godzin. Nie byłem tego pewien, więc uznałem, że w tej sytuacji możemy liczyć wyłącznie na siebie. Na początek dobrze byłoby się dowiedzieć, czego właściwie od nas chcą i o co chodzi z tym całym Rubenem. Z zewnątrz dochodziły mnie odgłosy kłótni. Niestety, blacha wytłumiała dźwięki, a poza tym rozmawiali po holendersku. Nie rozumiałem ani słowa.

Wkrótce wrócił Lars, wepchnął do środka chłopaka o ciemniejszym kolorze skóry, tego, który wraz z nim i Koniem pojechał na obchód leśnych plantacji, a potem zamknął za nim drzwi. Chłopak miał ze sobą apteczkę. Wyjął z niej nożyczki, podszedł do Kotwicy i naciął mu koszulę w okolicy barku. Zaczął oglądać ranę, kilkakrotnie delikatnie dotykając jej okolic. Policjant za każdym razem jęczał z bólu.

– Hej – odezwałem się po angielsku. – Jak się nazywasz?

Chłopak nie odpowiedział. Wyciągnął gazę, bandaż, wodę utlenioną i zaczął opatrywać Kotwicę.

– Ten facet, którym się zajmujesz – spróbowałem w inny sposób – to policjant. Twoi kumple właśnie postrzelili policjanta, rozumiesz?

Chłopak zamarł na ułamek sekundy. Potem zerknął w moją stronę. Widziałem, że zdobyłem jego uwagę.

– To policjant? – zapytał, wskazując na Kotwicę.

– Tak.

– Niemożliwe. Oni są dogadani z policją.

– No jak widzisz, chyba niespecjalnie – stwierdziłem. – Postrzelili go. Jak masz na imię?

– Karim.

– Słuchaj, Karim. Twoi kumple będą mieć wielkie, wielkie kłopoty za to, co zrobili.

– To nie są moi kumple! – zaprotestował. – Zmuszają mnie, żebym dla nich pracował. Jestem więźniem, tak jak wy.

– Wybacz, Karim, ale trochę cię tutaj obserwowałem. Nie wyglądasz na więźnia. Możesz chodzić swobodnie po całym obozowisku, nie nosisz kajdanek, nikt cię nie pilnuje.

– Bo nie muszą! – wysyczał Karim. – Patrz na mój kolor skóry. Tutaj przecież nienawidzą Arabów! Tylko stąd wyjdę, pojawię się gdzieś bez obstawy i Polacy natychmiast mnie zabiją.

– Twoi kumple ci tak powiedzieli? – zapytałem.

– Tak.

– Nie powinieneś wierzyć w każde ich słowo.

– Powiedz to tym Romom, którzy tutaj mieszkali.

– Jakim Romom?

– Kilkanaście lat temu mieszkała tu romska rodzina. Jeden z Romów zgwałcił miejscową dziewczynę i wiesz, co oni zrobili? Nie poszli na policję. Nikogo nie aresztowali. Nie! Spalili żywcem całą rodzinę! Tego, który zgwałcił! Jego matkę! Ojca! Braci i siostry! Widziałem ten spalony dom!

Ja również. Przypomniałem sobie ruiny niedaleko domu Traszki.

– Paweł? – rzuciłem.

Kotwica podniósł głowę i odetchnął głęboko.

– To jakieś bzdury – powiedział. – Mieszkali tu kiedyś Romowie. Niespecjalnie ich lubiliśmy, przyznaję. Ale wyjechali. Ich dom spłonął kilka lat później. To i tak zresztą była rudera.

Przetłumaczyłem to wszystko Karimowi. Nie wyglądał jednak na przekonanego.

– A dziewczyna? – zapytał.

– Jaka dziewczyna?

– Była tutaj dziewczyna, kilka miesięcy temu. Miejscowa. Poprosiłem ją o pomoc, a oni ją zamordowali. I co? I nic. Zabili jedną ze swoich tylko dlatego, że chciała mi pomóc!

Mówił o Aleksandrze. Była tutaj w noc swojej śmierci, to już wiedziałem wcześniej. Zginęła podczas powrotu do domu. Najwyraźniej rozmawiała z Karimem. Poprosił ją o pomoc. Czyżby to był motyw? Holendrzy postanowili ją zabić z powodu tej jednej rozmowy?

– Opowiedz mi o tym ze szczegółami.

Karim skończył zakładać opatrunek. Zerknął na drzwi.

– Nie – odparł. – Nie ma czasu. Oni zaraz przyjdą.

– Musisz nas uwolnić – powiedziałem. – Pomożemy ci stąd wyjechać. Pomożemy ci wrócić do domu, tylko nas uwolnij.

Zawahał się. Rozważał swoje możliwości, a potem pokręcił głową. Pozbierał rzeczy i wstał.

– Nie – oznajmił. – On jest ranny, a ty dałeś się złapać. Nie dacie rady mi pomóc.

– Karim! Jestem twoją jedyną szansą!

Podszedł do drzwi i uderzył w nie kilka razy pięścią. Otworzyły się, Lars wypuścił chłopaka, po czym sam wszedł do środka. Kucnął przy nas, sprawdził więzy i obejrzał sobie Kotwicę oraz jego opatrunek. Wreszcie wyszedł, zostawiając nas samych.

Wrócił po kilku minutach razem z Jaydenem. Przynieśli dwa turystyczne krzesła. Rozłożyli je i usiedli naprzeciwko nas.

– Macie dwa wyjścia. Albo opowiecie nam o wszystkim po dobroci, albo was do tego zmusimy. Gdzie jest Ruben?

Obaj z Kotwicą milczeliśmy. Także dlatego, że nie byliśmy w stanie wymyślić żadnego wiarygodnego kłamstwa. Lars wstał z krzesła. Zacisnął pięści.

– Cóż – stwierdził. – Wasz wybór.

Kostek czekał na dole i co pewien czas rozglądał się, sprawdzając, czy nikt do nich nie idzie. Wcześniej pomógł Grubemu pokonać ogrodzenie, ale teraz chłopak sam wspinał się na maszt. Zajmowało mu to zdecydowanie za dużo czasu. Co kilkanaście sekund przystawał, oddychał ciężko i przytulał się do drabinki.

Co za ofiara, pomyślał Kostek. Żałował, że nie wziął kogoś innego, Robbiego albo Klasera. Nawet Matiego. Wszyscy już dawno weszliby na górę i zrobili to, co trzeba. No ale żaden z nich nie był Grubym, a tylko Gruby jako student politechniki ogarniał te sprawy. Kostek patrzył więc na niego z dołu i trzymał kciuki, żeby chłopak nie spadł. A przynajmniej żeby nie zrobił tego przed wykonaniem zadania.

Na razie szło nieźle. Maszt znajdował się z dala od wszelkich zabudowań i nikt nie kręcił się w pobliżu.

Kostek był zadowolony z siebie. Z tego, jak to zaplanował, pokierował tą grupą dzieciaków i dokąd ich doprowadził. Oczami wyobraźni już widział nagłówki jutrzejszych portali informacyjnych, program w telewizji, dziennikarzy zjeżdżających się do Wilków, żeby nadawać transmisję na żywo. Wszyscy będą wymieniać jego imię i nazwisko, a ci, którzy do tej pory się z niego śmiali, którzy nazywali go przegrywem, poczują zimny uścisk strachu na swoim karku. I zrozumieją, że żyją tylko dzięki jego łaskawości i łutowi szczęścia.

Lubił sobie wyobrażać, że przez najbliższe kilka tygodni stanie się głównym tematem rozmów przy rodzinnych obiadach. Że ludzie będą się o niego kłócić. Większość będzie go oczywiście potępiać, ale miał to gdzieś, bo większość to zawsze głupie owce, a te idą tam, gdzie je prowadzą wilki. Będą jednak też inni, a ci powiedzą, że może i zrobił coś złego, ale miał trochę racji. I to było to ziarno, które zasiał. Bo ci ludzie będą potem czytać jego manifest, będą analizować jego słowa i dzięki temu zrozumieją. Kostek stanie się ich przewodnikiem. Świeckim świętym. Otworzy oczy tak wielu, że zacznie się wielka przemiana.

Uśmiechnął się szeroko, a po jego ciele rozlało się przyjemne ciepło.

Przez lata żył w cieniu swojego brata. Wszyscy go do niego porównywali i nie wychodził na tym korzystnie. Miał z tego powodu kompleksy, czuł się przygnieciony i brakowało mu energii, a kiedy brat odebrał mu dziewczynę, nie zastanawiając się nad uczuciami Kostka, nie próbując z nim choćby porozmawiać, rozważał nawet samobójstwo. Nie odważył się jednak tego zrobić. Pewnie dlatego, że jego złość była silniejsza niż strach. Bo na jakimś poziomie wiedział, przeczuwał raczej, że to wszystko, co go spotyka, te przegrane i klęski, nie jest jego winą. Tyle że nie potrafił tego nazwać, ubrać w słowa ani ułożyć w spójną historię.

Gruby wreszcie dotarł na szczyt masztu. Pomachał stamtąd do Kostka. Tamten mu odmachnął i pokazał wyciągnięty w górę kciuk. Był w pewien sposób dumny z tego chłopaka. Poznał go jako zwykłą strachliwą fleję, chowającą się po kątach i zbyt przestraszoną, by odezwać się nawet w towarzystwie kolegów, ale nadał mu cel i ukształtował go. I proszę, teraz grubasek wszedł na kilkunastometrowy maszt z własnoręcznie skonstruowanym zagłuszaczem sygnału, który właśnie wyjmował z plecaka.

Kostek długi czas uważał, że miał po prostu w życiu pecha i urodził się zbyt późno. Jego starszy brat w pełni wykorzystał to okienko w dziejach Polski, kiedy dało się zrobić zawrotną karierę, jeśli tylko umiało się powiedzieć kilka słów po angielsku, wszystko było nowe, a o szanse na zrobienie wielkich pieniędzy człowiek dosłownie się potykał podczas spacerów warszawskimi ulicami. On wchodził w dorosłość, kiedy system już się zatkał. Każdy bronił swojego, układ trzymał się mocno i nie było siły, która dałaby radę go skruszyć.

Dopiero później, gdy podczas wędrówek po internecie po raz pierwszy trafił na wzmiankę o „czarnej pigułce”, chociaż wtedy jeszcze tak się nie nazywała, zrozumiał, że jest o wiele gorzej. Jego los zdeterminowała genetyka – był niski, zbyt niski dla większości kobiet. Ile by nad sobą nie pracował, ile nie ćwiczył, nie przypominał w niczym przystojniaka z telewizyjnych reklam. Wygląd blokował też jego szanse na zrobienie kariery, bo Kostek nie pasował do klubu pięknych i bogatych. Nic nie mógł z tym zrobić, nic nie mógł naprawić. Został skazany na życie w najlepszym razie przeciętne. Może innych to zadowalało. Jego nie.

Znalazł swój cel w tych chłopakach, w poprowadzeniu ich. W uświadomieniu im, jak naprawdę wygląda świat. Czasami, późno w nocy, kiedy trochę wypił i był szczerzy wobec samego siebie, przyznawał, że nie do końca wierzy w te opowieści o czarnej pigułce. Za proste to wszystko było, za łatwe. Ale co z tego, skoro ci

chłopcy wierzyli w każde jego słowo? Dzięki nim on dostąpi wielkości. Nawet jeśli miałyby się opierać na fałszywych teoriach. Bo tylko to się liczyło – jego słowa, zdjęcia w gazetach i reportaże w telewizji.

– I co?! – krzyknął w górę.

Grubasek podszedł do barierki i spojrzał na niego pytająco.

– I co?! – krzyknął raz jeszcze Kostek.

Chłopak pokazał wyciągnięty w górę kciuk i zaczął schodzić. Wędrówka w dół szła mu znacznie szybciej niż ta w górę.

Kostek wyjął z kieszeni komórkę. Trochę się jej naszukał, bo w bojówkach nosił wszystko, co mogłoby mu się przydać: multitool, portfel, nóż sprężynowy, taśmę Scotch, a nawet kajdanki. Tak na wszelki wypadek. Wreszcie jednak ją znalazł i spojrzał na ekran. Miał dwie kreski zasięgu. Nie tak dużo, zważywszy na to, że stał pod samym masztem, ale jednak więcej, niż być powinno. Począł, aż Gruby zejdzie na sam dół, podszedł do płotu, chwycił siatkę i oparł się o nią barkiem, żeby ją usztywnić. Dzięki temu chłopak szybciej pokonał ogrodzenie. Po wszystkim Gruby padł na ziemię i ciężko dyszał. Uśmiechał się jednak szeroko, zadowolony i dumny z siebie.

– To twoje urządzenie już działa? – zapytał Kostek.

– No.

– To chyba słabo.

Grubas spojrzał na niego ze strachem w oczach i wstrzymał oddech.

– Dlaczego? – wyjąkał.

– Bo mam zasięg.

Chłopak wypuścił z ulgą powietrze.

– Łapiesz go z innych masztów, nie? Ale Wilki są tylko w zasięgu tego jednego. I tam już przez telefon nie pogadasz.

– Czyli ten twój zagłuszacz działa?

– Tak – potwierdził Gruby. – Od tej chwili nikt w Wilkach nie pogada przez telefon. Nie ma też netu ani nic takiego. No i jak przyjdzie co do czego, to nie będą mieli jak zadzwonić po psy.

Wyłączenie telefonii komórkowej było ważną częścią ich planu. Nie decydującą, bo gdyby nie udało się jej wykonać i tak zdecydowaliby się na realizację głównego

punktu, ale jednak istotną. Świadomość, że nikt nie sprowadzi pomocy, że będą mieli czas, by zrobić to, co trzeba, dawała im trochę spokoju.

– Kiedy to naprawią?

– No w Wilkach są przyzwyczajeni, że sieć działa tak sobie. Pewnie ludzie będą się wkurzać, i tyle. Operatorzy mają swoje systemy i zaraz dostrzegą, że coś jest nie tak, ale to tylko jeden maszt, i to w takiej dziurze. Chyba nie będą się spieszyć z wysłaniem ekipy naprawczej. Nie w piątek, tuż przed weekendem.

– Czyli jutro?

– Chyba jutro – potwierdził chłopak.

Kostek poklepał go po ramieniu.

– Dobra robota – pochwalił.

Chłopak zarumienił się, jakby właśnie usłyszał komplement od pięknej dziewczyny.

– Nie, no spoko. To nie było aż takie trudne.

Kostek nie miał pewności, czy Gruby jest po prostu skromny, czy też domaga się w ten sposób kolejnych pochwał. Na wszelki wypadek jeszcze raz serdecznie klepnął go w ramię.

– Wracajmy – powiedział. – Chłopaki na nas czekają. Przekonajmy się, jak rozwija się sytuacja.

Lars po raz pierwszy od bardzo dawna zatęsknił za Holandią. Może i polityczna poprawność rozwalala im kraj, ale przynajmniej panował w nim porządek. Człowiek wiedział, czego ma się spodziewać, a w Polsce panował burdel nie do ogarnięcia. Tak jak teraz.

Przesłuchali obu więźniów, tego dziwnego faceta i miejscowego policjanta. Jayden spuścił im solidny łomot, a i tak nic im nie powiedzieli. Cały czas powtarzali, że nie wiedzą, gdzie podział się Ruben. Jayden chciał kontynuować przesłuchanie i użyć jeszcze mocniejszych metod, jednak Lars mu zabronił. Był jaki był, wiele miał sobie do zarzucenia, ale nie zmienił się jeszcze w zwierzę. Kilka strzałów w pysk i kopniaków w żebra to jedno, jednak tortury to zupełnie inna sprawa. Do pewnych rzeczy nie zamierzał się zniżać. Jayden był niezadowolony, ale trudno. Przynależność do cywilizacji zachodniej niosła ze sobą zarówno przywileje, jak i obowiązki.

Próbował to wszystko ułożyć sobie w głowie. Ruben zniknął wczoraj i ciągle nie wracał. Nie odzywał się, nie dzwonił. Zresztą nikt nie mógł się do nich teraz dodzwonić. Kilka minut wcześniej komórki przestały działać. Cholerne Wilki, cholerna Polska. Nie potrafili nawet porządnej sieci postawić. Dobrze, że wcześniej udało mu się zadzwonić do sołtyski. Kazał jej tu przyjechać, miał z nią do porozmawiania.

No dobra, wrócił do swoich rozmyślań. Nie mieli pojęcia, co stało się z Rubenem. W zamian porwali policjanta i tego drugiego. Lars się skrzywił. Czuł się wmanewrowany w tę sytuację przez brata. Kotwica przyjechał tylko ich postraszyć i pewnie, gdyby Jayden do niego nie strzelił, na tym by się skończyło. A teraz mieli kłopot.

– Wiesz, co musimy z nimi zrobić – odezwał się Jayden, kiedy wychodzili z szopy po zakończonym przesłuchaniu.

Wiedział, ale nie powiedział tego głośno.

– Nie możemy ich wypuścić – kontynuował brat. – Facet natychmiast poleci na ten swój śmieszny posterunek i zanim się obejrzyysz, będziemy mieli tu koleśi

w czarnych kominiarkach.

– Moglibyśmy ich po prostu tutaj zostawić i spadać do domu.

– I wiesz, co się stanie później? Skończysz z europejskim nakazem aresztowania na karku. Nie, dzięki.

– Czyli mamy ich, kurwa, zabić i co? Udawać, że nic się nie wydarzyło? – zapytał wściekły Lars.

– Nie. Zabijamy ich, zakopujemy w lesie, kończymy zbiory, pakujemy towar do bagażnika i sprzedajemy w domu. A później znajdziemy sobie inny ładny środkowoeuropejski kraj i będziemy liczyć, że gówno nie wypłynie. Czechy? Może Słowacja? W Rumunii podobno można robić niezłe biznesy.

Lars chciał się kłócić z Jaydenem, ale wiedział, że brat ma rację. To było jedyne rozsądne wyjście z sytuacji. Szansa na uniknięcie totalnej katastrofy. Chociaż zabicie policjanta, nawet polskiego, nawet w tak nędznej dziurze jak Wilki, to był gruby numer.

– Przyjechała. – Głos Jaydena wyrwał go z rozmyślań.

Lars skinął głową i wyszedł z kampera. Sołtyska czekała już na niego na zewnątrz.

– Co to za pilna sprawa, o której koniecznie musimy porozmawiać? – zapytała po niemiecku, kiedy tylko dotknął stopami ziemi.

– Spierdoliłaś – odpowiedział.

Zmarszczyła brwi.

– Przepraszam, ale chyba nie znam tego słowa.

No jasne. Uczyła się pewnie jakiejś grzecznej szkolnej niemczyzny.

– Zepsułaś.

– Co zepsułam?

Miał dość. Chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą. Przez chwilę się opierała, próbowała bronić, ale wtedy szarpnął nią gwałtownie i wzniósł rękę jak do ciosu. Zasłoniła się instynktownie.

– Idziesz ze mną, bo inaczej stracisz zęby – warknął.

Już nie stawiała oporu, ruszyła za nim. Z tyłu kroczył Jayden. Pod nosem błąkał mu się uśmieszek. Gdy dotarli do szopy, Lars wyjął pręt ze skobla, otworzył drzwi i pozwolił jej zajrzeć do środka. Pobladała natychmiast. Zamknął z powrotem.

– Miałaś go przypilnować – powiedział. – Zapewnić nam spokój. Miał nie interesować się tym, co tutaj robimy. Tymczasem dzisiaj przyjechał i zaczął nam wygrażać.

– Nie wiem, o co chodzi. Rozmawiałam z nim. Upewniłam się, że nie zrobi niczego głupiego.

– No tak się upewniłaś, że spierdoliłaś – powiedział i potem przypomniał sobie, że ona przecież nie zna tego słowa. – Zepsułaś – dodał od razu.

Kobieta cofnęła się o kilka kroków, a potem przykucnęła, jakby zrobiło jej się słabo.

– Co wy zrobiliście? – wyszeptała.

– To, co trzeba było zrobić – odpowiedział twardo.

– Chyba go nie...

Podszedł do niej i klęknął naprzeciwko, tak że ich twarze znajdowały się teraz na tej samej wysokości. Z wściekłości paliło go w żołądku. Miał ochotę jej przyłożyć. Bo to przecież była jej wina. Gdyby naprawdę dotrzymała swojej części umowy, nic złego by się nie stało.

– Zabijemy go – powiedział.

– Po co jej to mówisz? – włączył się Jayden.

– Bo jest nam potrzebna – odpowiedział bratu i zwrócił się znów do sołtyski: – My zajmiemy się tymi dwoma. Ich ciała znikną. Nie martw się, nie wypłyną. Nikt ich nie znajdzie. Ale ty zadbasz o to, żeby nikt nas z tym nie powiązał.

– Niby jak? – zapytała cicho.

– Kiedy ktoś zacznie się nimi interesować, powiesz, że z nim rozmawiałaś. Że pojechał do Niemiec, żeby... – zawahał się – ...kupić tam używany samochód. Albo co innego, ale samochód jest dobry, wiarygodny. Niech go szukają w Niemczech, a my zadbamy, żeby jakieś ślady faktycznie tam prowadziły.

Sołtyska zakołysała się na piętach. Przez moment wydawało się, że upadnie, jednak ona podniosła się gwałtownie. Wypięła pierś, a w jej oczach pojawiły się wściekłe ognie.

– Nie pozwolę wam na to! Marihuana to jedno, ale zabijanie ludzi?! Na to się nie zgadzam!

Lars miał ochotę się roześmiać. Ta stara kobieta naprawdę myślała, że jest w stanie ich powstrzymać! Rozwahał, czy uderzyć ją pięścią w twarz i w ten sposób przypomnieć, kto ma tu lepsze karty w ręce, ale wtedy do rozmowy włączył się Jayden.

– Jak tam Emilka? – zapytał słodkim, fałszywym tonem.

Sołtyśka podniosła dłoń do ust. Wiedziała, że jej wnuczka ich odwiedza i że lubi Jaydena, i kiedyś nawet przyjechała, żeby o tym porozmawiać. Dała im wyraźnie do zrozumienia, że interesy to interesy, ale od jej wnuczki niech trzymają się z daleka. Jayden solennie zapewnił ją wtedy, że tylko czasami rozmawiają, bo on nie jest zainteresowany tak młodą dziewczyną. Poza tym za bardzo szanował sołtyśkę. Okłamał kobietę w żywe oczy, a ona mu uwierzyła. Może po prostu tak jej było wygodniej.

– Widzi pani – kontynuował Jayden – rozmawiałem z nią godzinę temu. Powiedziała mi, że na tym drugim kempingu jest impreza i że bardzo potrzebują tam dobrej trawy. A tej, jak pani wie, mamy tutaj w nadmiarze. Pojadę teraz do Emilki, sprzedam trochę towaru, bo zarobić parę euro to zawsze miło, ale przede wszystkim będę z Emilką. Nie spuszczę z niej oka. Nie tylko dzisiaj. Tak w ogóle, dopóki my tutaj – wskazał na ich trójkę – nie rozwiążemy naszego małego kłopotu. A pani dla dobra wnuczki robi to, co każemy. Żadnych więcej niespodzianek. Żadnych głupich ruchów. Proszę pamiętać o Emilce. Szkoda byłoby tak ładnej główki.

Zakończył, podnosząc koszulkę, żeby sołtyśka mogła dostrzec wsadzony za pasek pistolet, i podszedł do brata.

– Potrzyj ją tu jeszcze chwilę – powiedział cicho po holendersku – a ja jadę do tej małolaty. Tych dwóch zabij. Im szybciej, tym lepiej. Dasz radę?

Lars skinął głową.

Żadne z nich nie zauważyło schowanego za szopą Karima.

Profesor obiecał Mateuszowi, że będzie się trzymać z daleka od imprezy, ale naprawdę był ciekaw, jak to wszystko wygląda. Wziął więc samochód, pojechał do sklepu, gdzie kupił zgrzewkę piwa i trochę chipsów – jakby co, będzie udawał, że dowiózł zapasy – a potem udał się na kemping.

Na miejscu uznał, że jest całkiem nieźle. Mateusz z chłopakami się postarali. Co prawda mogłoby być więcej ludzi. Kiedy on na studiach organizował takie spędy, potrafiło się zjechać po kilkaset osób. Ale wtedy były inne czasy. Młodzi byli spragnieni kontaktów międzyludzkich i nie podchodzili do wszystkiego tak poważnie. Znajomi zapraszali znajomych, a tamci przywozili ze sobą kolejnych. Zawsze ktoś przy okazji wybił komuś zęby i zakosił parę portfeli – ot, straty wliczone w koszty. A teraz? Wszystko bułkę przez bibułkę, ą i ę, na luzie, na spokojnie, bezpieczeństwo przede wszystkim. Ale przynajmniej ktoś się pojawił, ze dwadzieścia osób na pierwszy rzut oka. Bał się, chociaż nie powiedział tego głośno, że na zaproszenie Mateusza nikt nie odpowie.

Był więc pozytywnie zaskoczony.

Atmosfera na razie była taka sobie. Młodzi stali w grupkach, pili piwo, coś tam jedli. Dwie osoby rozstawiały namiot, chociaż trzecia mówiła, żeby dały spokój, bo się zmieszczą w domkach. Grała muzyka z głośników, ale nikt nie tańczył. Jakaś dziewczyna narzekała, że nie ma zasięgu i nie może wrzucić zdjęcia na insta. Było tak spokojnie, jakby młodzi mieli po osiemdziesiąt kilka, a nie po dwadzieścia lat. Niektórzy emeryci mieli więcej wigoru od nich! Profesor uznał jednak, że to dopiero początek imprezy i nie ma co się martwić. Wkrótce zrobi się ciemno, alkohol i miękkie narkotyki (to studenci, na pewno jakieś ze sobą przywieźli) zrobią swoje i zacznie się prawdziwa zabawa. Trzeba tylko dać im czas.

Odstawił zgrzewkę piwa obok pozostałych. Jedna była już pusta.

– Foka, idziemy z Jackiem na pomost!

Odwrócił się w stronę, skąd dobiegł go głos. Ujrzał muskularnego chłopaka obejmującego ramieniem ładną dziewczynę w okularach przeciwsłonecznych. I drugą, ubraną na czarno, która właśnie walczyła z butelką piwa.

– Jasne! Zaraz do was dołączę! Tylko otworzę to gównno!

Siłowała się z kapslem, próbując podważyć go kluczem. W pewnym momencie klucz się ześlizgnął, skoczył w bok i skaleczył ją w palec drugiej dłoni. Syknęła, podniosła ją do ust i zaczęła ssać ranę.

– Nie ma pani otwieracza, co? – powiedział, uśmiechając się lekko.

Popatrzyła na niego zaskoczona i skinęła głową.

– Mogę? – zapytał i wskazał na butelkę.

Podowała mu ją bez słowa. Z kieszeni wyjął swój pęk kluczy. Miał przy nim mały otwieracz do piwa. Gadżet z jednej z kampanii reklamowych, którą prowadził tak dawno temu, że logo zupełnie się już zatarło. Profesor nie pamiętał też, co to takiego było. Pewnie jakiś browar albo napój butelkowany. A może opony? Teraz firmy produkujące akcesoria samochodowe nie chcą w żaden sposób być kojarzone z alkoholem, ale przecież kiedyś bywało inaczej. Zresztą, pomyślał, to nieistotne. Otworzył butelkę i podał ją dziewczynie. Gdy kapsel spadł na ziemię, nie schylił się po niego. Zrobiła to ona – podniosła i włożyła go do kieszeni.

– Ano tak – zachnął się. – Nie wolno śmieć. Przepraszam.

– Nie ma problemu – mruknęła. – Dzięki za pomoc.

– Pani Foka?

– Po prostu Foka – odpowiedziała. – My się znamy?

Więc to była dziewczyna, która podobała się Mateuszowi i którą miał nadzieję poderwać dzisiejszej nocy. Całkiem ładna, uznał Profesor, chociaż nie do końca w jego typie. Zawsze wolał wyższe, z pełniejszymi biodrami i hm... bardziej kobiece. Ta się nawet nie umalowała. Na koszulce miała portret Pużaka. Czyli jakaś lewaczka i walcząca feministka. No nic, stwierdził, taka moda. Poza tym kto w młodości nie był socjalistą, ten na starość... i tak dalej. Minie kilka lat, dorośnie, zobaczy, jak naprawdę wygląda świat, to jej przejdzie.

– Nie. Przepraszam. – Wyciągnął do niej rękę. – Jestem ojcem Mateusza. Matiego. Tego, który organizuje tę imprezę. Wy chyba jesteście na jednym roku.

– No tak – powiedziała i uścisnęła jego dłoń.

Czuła się niezręcznie. Nie dziwił się jej. Przyjechała tutaj bawić się ze swoimi rówieśnikami, a teraz zaczepia ją jakiś starszy facet. Nie zamierzał jednak przeciągać tej rozmowy. Chciał wiedzieć, kim jest tajemnicza Foka, i zaspokoił już swoją ciekawość.

- Widziałaś gdzieś Mateusza? – zapytał. – Mam do niego taką szybką sprawę.
- Eee... – Zaczęła się rozglądać. – No gdzieś tutaj był.
- To ja go pójdę poszukać – powiedział. – Trzymaj się. Dobrej zabawy.
- Do widzenia.

Zostawił dziewczynę i poszedł w kierunku grającej muzyki. Po drodze zauważył panią Joannę. Ich spojrzenia na moment się spotkały. Ona skinęła mu głową, on odpowiedział tym samym gestem. Potem każde z nich poszło w swoją stronę. Rozbawiło go to. Dwójka wiejskich spiskowców, którzy szykują się do obalenia władzy sołtyski tyranki.

Poszwendał się jeszcze trochę po kempingu i wreszcie dostrzegł Mateusza. Chłopak siedział w kucki pod ścianą jednego z domków. Miał bladą twarz, szkliste oczy i wyglądał na chorego. Zaniepokojony Profesor podszedł do syna.

- Mateusz, wszystko w porządku?

Chłopak podniósł głowę. Spojrzał na ojca tak, jakby go w pierwszej chwili nie rozpoznał.

- W porządku – odpowiedział wreszcie.

Profesor położył mu dłoń na czole. Chłopak nie miał gorączki.

- Kiepsko wyglądasz.
- Chcę jechać do domu. Podwieziesz mnie?
- Jasne.

Pomógł mu wstać. W pierwszej chwili miał wrażenie, że syn przeleje mu się przez ręce. Jego ramiona były miękkie, słabe, jakby z gumy. Dopiero po chwili chłopak je usztywnił.

– Na pewno nie chcesz zostać na imprezie? – zapytał Profesor. – Może zaraz zrobi ci się lepiej?

- Nie. Mam się spotkać z chłopakami.

Wszyscy kumple Mateusza siedzieli już u nich w domu. Profesor tego nie rozumiał. Zorganizowali imprezę, ściągnęli ludzi, ale poszli na kemping tylko po to, żeby przynieść piwo i jedzenie, podłączyć sprzęt, a potem natychmiast się z niego wynieśli. Jakby w ogóle nie chcieli uczestniczyć w zabawie. Całe to towarzystwo było dziwne, takie nieżyciowe. Martwiło go to. Uważał, że Mateusz

powinien mieć innych kolegów, bardziej... normalnych. Ale też nie chciał być tym rodzicem, który wybiera dziecku przyjaciół. Chociaż może powinien.

Doszli do samochodu. Profesor włączył silnik, uruchomił klimatyzację i upewnił się, że strumień zimnego powietrza pada na twarz syna. Miał nadzieję, że trochę go to otrzeźwi. Potem ruszyli. Mateusz oparł głowę o szybę i obserwował bawiących się na kempingu kolegów. W jego oczach pojawiły się łzy.

– Tato – odezwał się, kiedy dojeżdżali już do pętli autobusowej. – Chyba muszę ci o czymś powiedzieć...

Rodzice Karima pochodzili z Maroka. Uciekli stamtąd, bo ojciec wpakował się w jakąś niebezpieczną polityczną awanturę. Do dzisiaj nie wyjaśnił, o co chodziło, ale do kraju nigdy nie wrócił, nawet żeby odwiedzić umierającą matkę. Od tego czasu trzymał się zresztą od polityki z daleka – do tego stopnia, że przestał głosować w wyborach lokalnych.

W związku z tym urodzony już Europie Karim czuł się Holendrem. Jeśli chodzi o Maroko, to lubił tamtejszy rap i kibicował na mistrzostwach tamtej reprezentacji, ale nic więcej. Do meczetu chodził tylko po to, żeby sprawić przyjemność matce. Sam uważał się za ateistę, choć nikomu się do tego nie przyznał. Studiował pielęgniarstwo, bo nie dostał się na medycynę. Cieszył się jednak z tego, co udało mu się osiągnąć. Lubiał też pracę z pacjentami.

Dlatego tak bardzo przeżywał to, co mu się przydarzyło. Karim miał dwie młodsze siostry i dwóch młodszych braci. Matka nie pracowała, zresztą bardzo słabo mówiła po holendersku, a ojciec zarabiał marnie, Karim więc od dziecka pomagał rodzicom i przynosił pieniądze do domu. Oni nie pytali, skąd je ma, on im nie mówił, bo zarabiał tak, jak pozwalała mu na to jego szemrana okolica. Nigdy nie był żadnym wielkim gangsterem, nie rozrabiał, nie pił alkoholu. Czasami popalał trawę, ale ani razu nie został aresztowany. Nawet go nie spisano. Robił po prostu różne rzeczy dla różnych ludzi. W szkolnym plecaku zaniósł paczkę z jednego miejsca do drugiego, komuś dał telefon komórkowy, raz stał na rogu ulicy i miał gwizdać, gdyby pojawił się radiowóz. Nie pojawił się. Kiedy podrósł i już tak sobie nadawał się na kuriera, bo wiadomo, mało kto zainteresuje się dzieciakiem z wielkim tornistrem na plecach, podczas gdy nastolatek o marokańskich korzeniach znajdzie się na radarze każdego holenderskiego policjanta, okazało się, że ma rękę do roślin. Najpierw pomagał przy krzakach kumpłowi, potem kumpłowi kumpla i tak się jakoś rozniosło, że jeśli chcesz, by marihuana dobrze ci rosła, to leć do Karima. I tak Karim stał się cenionym w okolicy konsultantem od trawki sp. z o.o. Podobało mu się to. Co prawda w Holandii można było posiadać do pięciu gramów na własny użytek, trawę

sprzedawano też w coffee shopach, ale hodowla wciąż pozostała nielegalna, szczególnie w takiej skali, na jaką działali znajomi Karima. Tak więc ryzyko po jego stronie było niewielkie, ale i zarabiał niewiele. Dlatego kiedy kolejny kolega kolegi zadzwonił do niego i zaproponował spotkanie w sprawie „wakacyjnej pracy” – wyjazd za granicę, dwa miesiące, doglądanie plantacji, przekazanie know how i powrót do Holandii z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi – nie zastanawiał się za długo. Tak poznał Larsa i trafił do Polski. Pracował już tutaj dwa lata. Żadnych pieniędzy oczywiście nie zobaczył.

Na miejscu bardzo szybko wyjaśnili mu, jak będzie wyglądać ich „współpraca” – w ruch poszły pięści, kije i ciężkie buty. Kiedy już jako tako doszedł do siebie, powiedzieli, że nawet nie ma co myśleć o ucieczce. Pokazali mu na mapie, dokąd przyjechali. Znajdowali się pod samą granicą rosyjską, w środku wielkiej puszczy, w której podobno roiło się od atakujących ludzi wilków. Ale to nie one miały być jego największym problemem. Gorszi byli ludzie. Polacy – mówili – nienawidzą Arabów. Jeśli tylko złapią go gdzieś samego, rozniosą na widłach. A potem opowiedzieli mu o losie romskiej rodziny.

Początkowo bardzo go pilnowali, nieustannie ktoś za nim chodził, z czasem jednak dostał więcej luzu. Wiedział, w jakiej znalazł się sytuacji, i nawet nie próbował uciekać. Bał się wilków w lesie, Polaków w okolicznych wioskach i tego, co zrobi mu Lars, jeśli go złapie. Tylko raz poprosił kogoś o pomoc, ale tę dziewczynę bestialsko potem zamordowano. Był prawie pewien, że to przez niego.

Stracił już nadzieję, że kiedykolwiek wróci do domu.

Teraz jednak bił się z myślami. Wiedział, co Lars planuje zrobić z tymi dwoma w szopie. Jeden z nich był policjantem, a Lars bardzo wyraźnie wyjaśnił mu, że oni współpracują z miejscową policją i dają im duże łapówki. No ale z tym najwyraźniej się o coś pokłócił. A skoro tak, to Karim, pomagając funkcjonariuszowi, mógłby potem liczyć na jego pomoc. Tyle że jeśli Lars albo, co gorsza, Jayden go złapią, to w najlepszym razie skończy z połamanymi nogami.

Ale Jaydena tutaj nie było, a Lars siedział przed kamperem z ponurą miną i pił piwo za piwem. Karim obserwował go z bezpiecznej odległości. Starał się nie rzucać w oczy. Miał w tym wprawę. Z biegiem czasu w pewien sposób stał się niewidzialny. Nie traktowali go już jak człowieka, tylko raczej jak przedmiot. Narzędzie pracy, takie jak młotek czy motyka. Nie boisz się, że młotek cię obserwuje, nie gryziesz się w język przy motyce. Karim wiele rzeczy widział,

jeszcze więcej słyszał, a kiedy Lars zgniótł puszkę, zaklął głośno i poszedł do kampera, wiedział, co to znaczy. Zaraz wyjdzie z wozu z bronią w ręce i zabije tamtych dwóch mężczyzn. Mężczyzn, którzy byli jego jedyną szansą na to, że kiedykolwiek wróci do domu.

Nagle podjął decyzję. Popędził do szopy z nadzieją, że pijany Lars zmarnotrawi trochę czasu. Drżącymi rękami wyjął blokadę ze skobla i wpadł do środka. Obaj mężczyźni wyglądali okropnie. Brudni, spoceni, z poobijanymi twarzami. Policjant leżał na boku, oddychał ciężko, a niedaleko niego znajdowała się kałuża wymiocin. Ten drugi był w lepszym stanie, ale miał rozbitą wargę, a lewa strona twarzy zaczęła przybierać fioletowy kolor. Karim postanowił pomóc najpierw jemu.

Mężczyzna od razu zrozumiał, co się dzieje, i odwrócił się tak, żeby chłopak miał łatwiejszy dostęp do więzów. Wyglądało na to, że facet sam próbował się uwolnić. Tarł liną o jeden z zostawionych tutaj prętów, ale miał pecha – była gruba, wytrzymała i z dobrego materiału. Potrzebowałby jeszcze całej nocy, żeby osiągnąć swój cel.

Karim zdjął mu więzy z rąk. Mężczyzna już sam zajął się nogami i wstał błyskawicznie z ziemi. Zaczął masować sobie nadgarstki i podskakiwać w miejscu.

– Szybko – rzucił Karim. – Oni już tu idą.

Mężczyzna rozejrzał się, sięgnął do kupy leżących nieopodal gratów i wyciągnął stamtąd duży młotek o pordzewiałej główce.

– Chcą was zabić! – krzyknął chłopak, bo miał wrażenie, że niedawny więzień nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Jego zęby były czerwone od krwi z rozbitej wargi.

– No to znakomicie się składa – powiedział i machnął dwa razy młotkiem w powietrzu. – Bo ja też nie mam wobec nich dobrych zamiarów.

Siedzieli wszyscy przy stole w kuchni, Kostek i ci chłopcy. Przygotował im kanapki oraz herbatę. Sam popijał gorzką czarną kawę. To był ich odpowiednik ostatniej wieczerzy. Wydarzenie o prawie religijnym charakterze. Zastanawiał się, czy nie powinien teraz czegoś powiedzieć. Wygłosić jakiejś mowy, która dodałaby im odwagi. Ale patrzył na ich twarze i nie dostrzegał na nich nawet śladu zwątpienia. Byli niewiarygodnie zmotywowani. Rozkoszowali się tym, co miało nastąpić.

Wspaniali chłopcy, wspaniała chwila. Chciał ją sobie dobrze zapamiętać. Te ostatnie momenty spokoju. Od jutra świat będzie zupełnie innym miejscem. Miejscem, powtarzał sobie w myślach, gdzie najpierw w Polsce, a potem na całym świecie każdy będzie znał jego imię.

Nie zaniepokoił się, kiedy usłyszał, jak otwierają się drzwi. To brat skądś wracał. Miało go co prawda nie być, jednak niewiele to już zmieniało. Ale te kroki... Takie pospieszne. I ten jego wściekły oddech.

Kostek poczuł nagle ukłucie strachu. Coś się stało. Coś poszło nie tak.

– Co, kurwa, zamierzasz tutaj zrobić?! – Brat wpadł do kuchni cały czerwony na twarzy. – Ty pierdolona szujo! Ty jebany impotencie! Nieudaczniku ty, kurwa, jeden! Ty myślisz, debil, że ci na to pozwolę?!

Za ojcem wszedł, a właściwie wślizgnął się Mateusz. Wzrok miał wbity w podłogę, jakby bał im się spojrzeć w oczy. Kostek od razu zrozumiał, co się stało. Mati o wszystkim opowiedział. Pytanie, czy tylko ojcu czy komuś jeszcze. Ale skoro przyjechali tu sami, bez policji, to najwyraźniej tylko ojcu. A jego brat, głupi jak zwykle, postanowił zachować się jak bohater i sam wszystko załatwić.

Mati, Mati, Mati... Rozczarowanie było tak wielkie, że aż fala bólu przepłynęła przez całe ciało Kostka. Od czubka głowy aż po palce u stóp. Przecież Mati miał być z nich wszystkich najsilniejszy. To nad nim najwięcej pracował, to jego najdłużej znał. Dlaczego nie dostrzegł w nim zwątpienia? Dlaczego nie zorientował się, że chłopak zamierza ich zdradzić? Być może miłość do bratanka po prostu go oślepiła.

– Wy wszyscy – wrzeszczał brat i wskazywał po kolei na każdego z chłopaków – macie tu siedzieć na dupie! Jak się dowiem, że któryś z was wyściubił chociaż nos za próg, to was zamięję! Przyjedzie po was policja i wszystko im opowiecie! A ty, debilu – teraz zwrócił się do Kostka – jedziesz ze mną! Już, kurwa! Wstawaj! Natychmiast!

Kostek odstawił kubek z kawą na stół. Potem powoli wstał i założył ręce na piersi.

– Nigdzie z tobą nie jadę – powiedział spokojnie.

Lewy prosty brata był tak szybki, że ledwo go zauważył. Dostał prosto w twarz. Zadzwonilo mu w uszach. Nie miał szans wykonać żadnego uniku ani jakiegokolwiek z tych sprytnych przechwytoów, które widział w internecie. Ale za to jego lewa ręka sama powędrowała do leżącego na stole kuchennego noża. Dłoń zacisnęła się na rączce i wystrzeliła w górę. A jego brat... Cóż... Może kiedyś trenował boks, może nawet coś pamiętał, jednak nie był już tak szybki. I dlatego ostrze bez problemu zatopiło się w jego szyi.

Krew trysnęła fontanną i spadła prosto na siedzącego obok Robbiego. Przerażony brat wziął wdech. Kostek wyciągnął nóż i zadał kolejny cios, tym razem prosto w brzuch. To było trudniejsze. Potrzebował więcej siły, żeby przebić się przez warstwę ubrania. Ostrze poszło trochę w bok, ale udało mu się. Poczul, jak wchodzi w miękkie ciało. Mężczyzna zrobił krok w jego stronę i poleciał na niego, ale Kostek po prostu go odepchnął. Ciało brata przewróciło się do tyłu i z hukiem spadło na kuchenną podłogę.

Wszędzie dookoła było pełno krwi.

Jeszcze tylko dwa wdechy i cisza.

Umarł.

Kostek stanął nad nim i patrzył na szarzejącą z każdą sekundą twarz. Pomyślał, że to było strasznie proste. I że powinien to zrobić już dawno temu.

Uśmiechnął się, a zaraz potem posmutniał. Nie ze względu na brata. Tego śmiecia w ogóle nie żałował. Spojrzał na Matiego.

Chłopak cały czas stał bez ruchu. Jego dolna szczęka drżała tylko, jakby była elementem jakiejś nakręcanej zabawki.

– Traktowałem cię jak własnego syna – powiedział Kostek. – Oni – wskazał na siedzących przy stole chłopaków – byli twoimi przyjaciółmi. Miałeś szansę zrobić

coś wielkiego. Ale pomimo tego postanowiłeś nas zdradzić!

Mati jakby zmienił się w słup soli. Kostek się trochę rozczarował. Liczył na to, że bratanek padnie na kolana i zacznie błagać o wybaczenie. Mógłby się nawet rozpłakać, patrząc na trupa ojca. Nic z tego się jednak nie wydarzyło. No trudno, pomyślał. I tak niewiele się zmieniło. To wciąż był jego dzień, jego chwila chwały.

– Przebierzcie się, chłopaki – odezwał się. – Nie możecie przecież pójść na kemping w ubraniach poplamionych krwią. Przygotujcie też cały sprzęt, którego będziemy potrzebować.

– Mamy tu posprzątać? – zapytał Klaser.

Kostek pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby. Nie wrócimy już tutaj. No, do roboty. Robbie, przynieś broń.

Chwycił Matiego za ramię, obrócił go i wypchnął z kuchni. Chłopak dał się prowadzić jak dziecko. Zero oporu, całkowita bierność. Poszli na piętro. Kostek pomyślał, że może nawet dobrze się stało, bo kto wie, jak zachowałby się Mati na samej akcji. Jeśli coś miało pójść nie tak, to najlepiej właśnie teraz. Kiedy jeszcze wszystko można naprawić.

Wprowadził go do jego pokoju, kazał mu klęknąć i z kieszeni bojówek wyciągnął kajdanki. Chwycił Matiego za przegub. Jedną obręcz zapiął mu na rękę, drugą na ramię łóżka. Cofnął się i ocenił swoje dzieło. Łóżko było drewniane, masywne. Mati nie da rady go rozwalić, żeby się wyswobodzić, ani tym bardziej z nim wyjść. Szczególnie w tym stanie, kiedy jest zupełnie bezwolny. Ale czy Kostek powinien ryzykować? Już raz dał się zaskoczyć. Nie mógł sobie pozwolić na kolejny błąd.

Tylko że kochał tego chłopaka.

W tym momencie pojawił się lekko zdyszany Robbie.

– Przyniosłeś broń, jak ci kazałem? – zapytał Kostek.

– Tak.

Naprawdę go kochał.

– To dobrze. Zabijesz teraz Matiego. Rozumiesz?

Usłyszał, jak Robbie przełyka ślinę.

– Tak.

Zerknął na bratanka. Znowu żadnej reakcji. Czyżby ich nie usłyszał? Może już zupełnie odleciał i nie wiedział, co się wokół niego dzieje. Tak bardzo mu było żal tego chłopaka. Tak mocno liczył, że to, co się wydarzy, ta wielka chwila będzie ich wspólnym przeżyciem.

Nie, pokręcił głową, nie mógł się teraz rozkleić. Chłopak zdradził. Zasługiwał na śmierć. Sam podpisał na siebie wyrok.

Odwrócił się. Uścisnął Robbiego, żeby mu dodać otuchy. Ten skinął głową na znak, że jest dobrze, i poprawił uchwyt na rękojeści pistoletu. Kostek wyszedł z pokoju, a chłopak zamknął za nim drzwi.

Kiedy mężczyzna schodził na dół, usłyszał strzał. Zatrzymał się na chwilę, przymknął oczy i odetchnął głęboko. Szkoda, pomyślał, ale mimo wszystko to i tak będzie piękna noc.

Naprawdę się cieszyłem, że przychodzą nas zabić. Nie lubię krzywdzić ludzi, nie lubię sprawiać im niepotrzebnego bólu. Zawsze staram się używać jak najmniej siły niezbędnej do osiągnięcia celu, ale tutaj miałem czystą sytuację. Albo oni, albo my. Zero kalkulacji. Mogłem pójść na całość.

Byłem poobijany, głodny, zmęczony i spragniony. Przede wszystkim jednak byłem wściekły.

Ledwo wziąłem młotek w dłonie, usłyszałem z zewnątrz głosy Holendrów. Zbliżali się. Ktoś z nich zauważył otwarte drzwi. Lars krzyknął. Zaczął biec.

Co za idiota.

Wybrał najgorsze możliwe rozwiązanie. My byliśmy w środku, zamknięci w szopie z jednym tylko wyjściem. On był na zewnątrz i miał broń palną. Powinien tam zostać i pilnować drzwi, a w międzyczasie wymyślić jakiś sposób, żeby zmusić nas do wyjścia. Chociażby wrzucając do szopy koktajl Mołotowa. Nic trudnego ani skomplikowanego. Musielibyśmy ją opuścić, on miałby nas jak na widelcu i mógłby zrobić wszystko. Wbiegając do środka, stracił całą swoją przewagę.

Znalazłem się tuż przy nim. Wykonałem zamach od dołu, od lewej strony, i młotek trafił go prosto w szczękę. Jego głowa poleciała do tyłu, nogi do przodu. Wyglądało to trochę jak w kreskówce, ale cel osiągnąłem – stracił przytomność. Na pewno miał złamaną szczękę i wstrząśnienie mózgu, prawdopodobnie stracił też kilka zębów, a uderzając głową o podłogę, pewnie rozbił sobie czaszkę.

Wspaniale.

Wyskoczyłem na zewnątrz. Szybko oceniłem sytuację. Trójka Holendrów. Ten ze złamaną ręką, ten z obitymi nerkami i kobieta. Nigdzie nie widziałem Jaydena.

Rzuciłem młotkiem. Pierwszy dostał nim prosto w twarz i chwycił się za złamany nos. Już byłem przy nim. Chwyciłem go za głowę i wyskoczyłem w górę z wystawionym kolanem. Rozległo się głucho łupnięcie i facet zwałił się na ziemię.

Zostało jeszcze dwoje, kobieta i mężczyzna. Facet ruszył na mnie z pięściami. Odważny był, to muszę mu przyznać. Zszedłem z linii pierwszego ciosu,

równocześnie skręcając w prawo ciało i lekko uginając się na nogach, a potem sprzedałem mu prawy sierpowy w brzuch. Facet jęknął, wypuszczając z płuc powietrze, i zgięło go wpół. Miałem już dokończyć kolejny prawym sierpowym w głowę, ale kobieta zaszła mnie od tyłu, chwyciła za ramię i wskoczyła na plecy. A potem ugryzła w kark.

Wrzasnąłem z bólu i zaskoczenia.

Zacząłem się cofać, właściwie biec do tyłu, i uderzyłem plecami o pobliskie drzewo, po czym pochyliłem głowę i wyprostowałem ją gwałtownie. Usłyszałem trzask łamanego nosa tej kobiety, a dosłownie sekundę później poczułem, jak nieprzytomna zsuwa się ze mnie na ziemię.

Ostatni Holender wykorzystał tę chwilę przerwy, żeby ocenić swoje szanse. Przyszli tu w czwórkę, troje zostało już wyeliminowanych. Został sam. Wyciągnął właściwe wnioski i rzucił się do ucieczki. Popędziłem za nim.

Byłem szybszy.

Dopadłem go po mniej więcej trzydziestu metrach i podciąłem mu nogi w biegu. Wyłożył się jak długi. Spadłem na niego i nie bawiłem się już w żadne techniki bokserskie, po prostu uderzałem z góry raz za razem.

Kiedy skończyłem, facet był prawie nieprzytomny. Wstałem i na wszelki wypadek kopnąłem go jeszcze w żołądek.

Kotwica wychodził właśnie z szopy, podtrzymywany przez Karima. W dłoni trzymał pistolet, który odebrał Larsowi. Mrużył powieki, bo raziło go słońce. Rozejrzał się dookoła.

Podniosłem leżącego obok mnie Holendra i ciągnąc go za sobą, zaprowadziłem do szopy. Chwiał się i potykał, jakby był pijany. Zresztą naprawdę śmierdziało od niego piwem. Najwyraźniej postanowili dodać sobie odwagi alkoholem, zanim zabrali się za wykonanie zadania. Idioci.

– Pomóż mi, Karim – rzuciłem do chłopaka.

Zamknęliśmy wszystkich w szopie. Wykorzystałem liny, z których wyswobodził nas Karim, żeby związać Holendrów. Potem zaryglowaliśmy drzwi. Ryzyko, że w tym stanie sami się uwolnią, uznałem za niewielkie, a nawet jeśli, to nas już tu dawno nie będzie. Bardziej martwiło mnie to, że nigdzie nie widziałem Jaydena.

– To mój pistolet – odezwał się Kotwica, pokazując mi broń, z którą przyszedł Lars. – Dupek chciał mnie zabić z mojego własnego pistoletu.

Powtórzyłem to Karimowi.

– Oni mają chyba tylko jedną broń. I zwykle nosi ją Jayden. Czasami Lars.

Czyli Jayden był uzbrojony. Cenna informacja na wypadek naszego przyszłego spotkania. Już nie mogłem się go doczekać.

– Opowiedz mi o tej dziewczynie, którą poprosiłeś o pomoc. To oni ją zabili?

Zawahał się.

– Chyba tak – powiedział z ociąganiem.

– Chyba?

– Nigdy się do tego nie przyznali, a ja nie widziałem. Ale kto inny miałby to zrobić?

To prawda, Holendrzy byli najbardziej oczywistymi podejrzanymi, jednak coś w tej wersji ciągle mi nie pasowało. Czy jedna dziewczyna była dla nich aż takim zagrożeniem, i to tylko dlatego, że zamieniła kilka słów z Karimem? Zabijając ją, podejmowali spore ryzyko. Poza tym zareagowali bardzo szybko. Zerknąłem w stronę szopy. Zacząłem żałować, że tak mocno im przyłożyłem. Byli w takim stanie, że rozmowa z nimi nie miała sensu.

– To co widziałeś? – zwróciłem się do Karima. – Opowiedz wszystko na spokojnie. Same fakty. Żadnych domysłów.

– Nooo... poprosiłem ją o pomoc. W nocy, na plaży. Akurat była sama i pomyślałem, że spróbuję. Ale nakrył nas Ruben i ona wtedy uciekła z obozu. To znaczy wyszła z takim chłopakiem.

– Z chłopakiem? Jakim chłopakiem?

– Chyba miejscowym, bo on tu rzadko bywał. Robił interesy z Rubenem. Kupował od niego broń. – Karim pospiesznie wyrzucał z siebie informacje, jakby się bał, że zaraz wszystko zapomni.

– Jakiś chłopak z Wilków kupował niby od was broń?! – krzyknął Kotwica po polsku. – Który? Niech powie który to!

Zadałem to pytanie Karimowi. Nie wiedział, jak chłopak się nazywa, ale zaczął go opisywać, a potem dodał, że nie odwiedzał ich tak regularnie jak Emilia z Olą. Pojawiał się co kilka tygodni.

– Znam go – warknął policjant. – To Mateusz. Syn Profesora z Warszawy.

Ja też go kojarzyłem. Spotkałem go w sklepie pierwszego dnia pobytu w Wilkach. Był tam też wtedy Ruben. Tych dwóch bardzo starało się udawać, że się nie znają. Teraz już wiedziałem dlaczego. Holender sprzedawał dzieciakowi broń. Pewnie robił to za plecami Larsa i całej reszty. Tylko po co Mateuszowi pistolety? I co Aleksandra miała z tym wspólnego?

– Zabieramy cię do szpitala, a potem pojedę pogadać z tym dzieciakiem – zdecydowałem.

– Nie ma mowy – odpowiedział Kotwica. – Jedziemy do niego razem.

– Jesteś ranny.

– Przecież, kurwa, wiem. Ale dam radę. Ten dzieciak jako ostatni widział Olę żywą. Chcę się dowiedzieć, co naprawdę się wtedy wydarzyło.

Skinąłem głową, bo szkoda mi było czasu na kłótnie z policjantem. Kluczyki od samochodu i resztę naszych rzeczy znaleźliśmy w kamperze. Wzięliśmy ze sobą Karima i pojechaliśmy do Wilków. Nadszedł czas, żeby wreszcie poznać kilka odpowiedzi.

Sołtyska była przerażona. Po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Bo zawsze w swoim życiu wiedziała, co robić, zawsze była gotowa stawić czoła wszystkim przeciwnościom. Kiedy okazało się, że jest w ciąży, złapała swojego chłopca już na peronie kolejowym w Poznaniu, bo miał jechać do roboty na jakąś budowę na Śląsku. Była pewna, że gdyby wyjechał, to tyle by go widziała. Złapała go więc za kurtkę, ściągnęła z tego peronu i wytłumaczyła, że wracają do Wilków i biorą ślub, bo dziecko ma mieć ojca. A on się zgodził, bo chyba rozumiał, że inaczej by go pod ten pociąg wepchnęła.

Zadowolona potem była z tego swojego wilkowego życia. Przysięgała sobie jednak, że zrobi wszystko, by jej córkę podobny los nie spotkał. Wyszło inaczej, ale trudno. Zdarza się. Porażki też przecież miała na swoim koncie. Jak ten kemping, który kupiła lata temu i cienko prządł. Nie potrafiła jednak znaleźć nikogo, komu mogłaby go sprzedać.

Holendrzy spadli więc jej jak z nieba. Przyjechali we dwóch z agentem nieruchomości. On został w samochodzie, gdy oprowadzała po terenie Larsa i Jaydena. Rozmawiali po holendersku, nie zdając sobie chyba sprawy, jak bardzo ten język podobny jest do niemieckiego. Zrozumiała, po co im ten ośrodek, i wyczuła szansę. Nie chodziło tylko o nią, chociaż lubiła pieniądze i nie wstydziła się do tego przyznać. Chciała też zostawić coś wnuczce. Coś więcej niż starą chałupę w wiosce na końcu świata i kiepsko działający kemping.

A teraz okazało się, że sprowadziła do Wilków stado dzikich zwierząt, i nie wiedziała, co ma zrobić. Każde wyjście, które przychodziło jej do głowy, było złe. Każde wiązało się ze strasznymi konsekwencjami. W rezultacie przez długi czas nie zrobiła nic.

Wyszła z domu tylko dlatego, że nie umiała już dłużej siedzieć na tyłku i bezradnie czekać na to, co się wydarzy.

Wielu możliwości nie miała. Samodzielne ratowanie Kotwicy nie wchodziło w grę. Na policję również nie chciała jechać – za dużo tłumaczenia, poza tym nie była pewna, czy to dobre wyjście. Pozostawało więc jedno rozwiązanie – poszła do

córki. U niej na kempingu przebywała przecież Emilka, a ona teraz była najważniejsza.

U Joasi w ośrodku grała muzyka, jakaś nowoczesna. Malina ani jej nie rozumiała, ani nie lubiła. I sporo młodych ludzi. Przypomniała sobie, że to ci z Warszawy, którzy mieli przyjechać na imprezę. Nie było ich aż tak dużo, jak się obawiała. Nigdy nie przepadała za tłumem obcych ludzi. Może dlatego prowadzenie kempingu jej nie wyszło, pomyślała i mimowolnie się uśmiechnęła. Chyba niezbyt się do tego nadawała.

Szła, trzymając się z boku i chowając za drzewami. Wolała nie rzucać się w oczy. Na dworze zrobiło się już ciemno, pozostawała więc poza kręgami światła tworzonymi przez lampy i ognisko. Pozwalała, żeby cienie skrywały jej twarz. Jak się wkrótce okazało, dobrze robiła. Dostrzegła Jaydena. Rozmawiał z jakimś chłopakiem przy ognisku. Pomagali sobie gestami, bo chłopak chyba nie do końca mówił po angielsku. Holender znowu przybrał ten swój wesoły, budzący sympatię i zaufanie wyraz twarzy, chociaż blask ognia wydobywał z niej diaboliczne rysy. Aż dziwne, że Malina dopiero teraz je dostrzegła. Negocjacje, przerywane raz po raz wybuchami śmiechu, trwały przez blisko minutę. Wreszcie pokleпали się nawzajem po plecach, Jayden sięgnął do kieszeni i podał coś chłopakowi, a w drugą stronę powędrowały zwitki banknotów. Transakcja została zawarta. Najgorsze jednak było to, że u boku Jaydena stała Emilia. Z zachwytem przyglądała się Holendrowi. Nie zdawała sobie sprawy, co on tak naprawdę robi na tej imprezie.

Malina pamiętała, jak ona sama zachowywała się, gdy się zadurzyła. I jak to się skończyło na dworcu w Poznaniu. Pamiętała również, jak zachowywała się Joasia, kiedy przyszedł jej czas, i jak to się skończyło – pojawieniem się Emilki, a potem ucieczką do Anglii. Rozumiała więc, że jakakolwiek interwencja w stosunku do wnuczki przyniesie skutek odwrotny do zamierzonego. Takie już najwyraźniej były kobiety z ich rodziny. Przekorne i głupie. Szczególnie wtedy, kiedy się zakochiwały. Same musiały się sparzyć, żeby czegokolwiek się nauczyć. Ona mogła tylko zadbać o to, żeby Emilki za bardzo nie bolało, i to właśnie starała się zrobić.

Szukała wzrokiem innych Holendrów, ale żadnego nie dostrzegła. Najwyraźniej wszyscy zostali pilnować Kotwicy po drugiej stronie jeziora. To była dobra

wiadomość. Z jednym Jaydenem wspólnie z Joasią sobie poradzą. Tylko najpierw musiała odnaleźć córkę.

Znalazła ją u niej w domu. Weszła tam bez pukania. Joanna siedziała przy stole, czytała książkę. Na twarzy miała zieloną maseczkę kosmetyczną.

– Co ty tu robisz? – zapytała na widok matki, podnosząc się od stołu.

Sołtyska dopadła do niej, posadziła z powrotem na krześle, po czym doskoczyła do okien i zasunęła zasłony.

– Odbiło ci już zupełnie, mamó?!

– Ciszej – syknęła Malina. – Posłuchaj. Jest źle. Holendrzy złapali Kotwicę i tego drugiego. Chcą ich zabić.

– Co takiego?!

– Mówiłam, ciszej! – powtórzyła, zerkając szybko w stronę drzwi.

– Dzwonię na policję. Powiem im, co tu się dzieje.

Joanna wyjęła komórkę z kieszeni. Sołtyska próbowała ją powstrzymać. Przez chwilę się szamotały, ale córka wygrała, odpychając matkę. Ta się zatoczyła do tyłu, potknęła i wylądowała pośladkami na podłodze.

– Kurwa – jęknęła Joanna, zupełnie nie zwracając uwagi na matkę. – Nie ma zasięgu.

Malina, pomagając sobie rękami, podniosła się z ziemi.

– I dobrze. Bo nie możesz zadzwonić na policję. Oni mają Emilkę.

Joanna natychmiast pobladła.

– Co to znaczy, że mają Emilkę?! Widziałam ją tu przed chwilą! Włóczy się z jakimś studentem i...

– To nie jest student – przerwała jej matka. – To Jayden.

Joanna zrozumiała.– Pilnują jej – stwierdziła po krótkim namyśle.

– Powiedzieli, że jeśli czegokolwiek spróbujemy, jeśli zawiadomimy policję, to skrzywdzą Emilkę.

Joanna pokręciła z dezaprobatą głową.

– Co ty zrobiłaś, mamó? – zapytała głosem ociekającym pogardą.

Sołtyska już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, ale poczuła, że nie potrafi znaleźć właściwych słów. Zresztą nie przyszła tutaj tłumaczyć się przed córką. Na

to będzie czas później. Teraz chodziło tylko o dziewczynę. A później o Pawła.

– Musimy uratować Emilkę – powiedziała cicho.

– Żebyś wiedziała, że uratuję moją córkę – warknęła Joanna.

Minęła bez słowa matkę i zniknęła w drugim pokoju. Zaczęła grzebać w szafach i szafkach. Malina słyszała trzask otwieranych drzwi i huk, kiedy jakieś ciężkie przedmioty spadały na podłogę. Chwilę później jej córka wyłoniła się z pomieszczenia. Kończyła właśnie ładować naboje do strzelby i zamknęła lufę.

– Pokaż mi teraz, który to ten Jayden – rozkazała.

Prowadziłem, bo Kotwica z rannym ramieniem nie był do tego zdolny. Pokazywał mi drogę. Rozwaliłem bramę, wjeżdżając na podwórko. Uznałem, że nie ma teraz czasu na subtelności. Liczyłem się z tym, że gospodarz nie będzie z tego powodu zadowolony, ale o dziwo nic się nie stało. Nikt do nas nie wyszedł, nikt nie krzychał. Rozszczękał się tylko pies na sąsiedniej posesji.

- Daj mi broń – powiedziałem do Kotwicy.
- Nie ma mowy.
- Jesteś ranny. Nie dasz rady strzelać.
- Mam jeszcze drugą rękę.
- Lewą. Jesteś leworęczny?
- Jeśli potrafię sobie nią zwalić, to dam radę też strzelać.
- A potrafisz?
- Chcesz, żebym ci pokazał?

Siedzenie w samochodzie i kłócenie się z nim było najgorszym możliwym wyjściem. Chłopak, do którego przyjechaliśmy, kupował od Holendrów broń, a teraz stanowiliśmy doskonały cel. Wskoczyłem więc z subaru i ruszyłem w stronę domu. Rozglądałem się za czymkolwiek, co mogłoby mi posłużyć za broń, ale jak na złość niczego nie dostrzegłem. Na innych podwórkach panował typowy wiejski bałagan – pełno narzędzi, kijków, nawet ułożonych w stosy polan drewna. Tutaj panował idealny porządek. Jak w typowym wakacyjnym domu, do którego przyjeżdża się odpoczywać, a nie pracować.

Podszedłem do wejścia. Ponieważ narobiłem huku przy taranowaniu bramy, nie było sensu ukrywać naszej obecności. Nacisnąłem klamkę, licząc się z tym, że będę musiał wyważyć drzwi, ale ustąpiły bez trudu. Otworzyłem je szeroko i przez chwilę stałem w progu, wsłuchując się w ciszę dochodzącą ze środka. Dopiero potem wszedłem. Powoli, na lekko ugiętych nogach, gotowy w każdej chwili uskoczyć w bok lub rzucić się do ucieczki. Chwilę później za mną pojawili się Kotwica z Karimem.

I wtedy go dostrzegłem. Przystanąłem, trąciłem Kotwicę ręką i wskazałem mu kuchnię. Tam, w kałuży krwi, z nożem rzuconym niedbale tuż obok głowy, leżał mężczyzna. Miał posiwiałą brodę. Wyglądał na około sześćdziesiąt lat. Nie musiałem nawet przykładać palców do jego szyi, żeby wiedzieć, że jest martwy. Nikt, kto straci tyle krwi, nie ma prawa żyć.

– To Profesor – odezwał się za mną policjant.

– Ojciec Mateusza.

– Tak.

Sprawdziłem cały parter. Łazienka, salon, gabinet. Ładny dom. Większość wyposażenia sprawiała wrażenie nowej, mogła mieć góra rok. Właściciel nie oszczędził środków na wykończenie wnętrza. No i było tu bardzo dużo książek. Jednak nikt się tam nie ukrywał. Nie znalazłem też niczego interesującego z wyjątkiem stojącego przy kominku pogrzebacza. Wziąłem go ze sobą. Porządny, ciężki, żeliwny. Lepsza taka broń niż żadna.

Weszliśmy na górę. Kolejna łazienka. W środku dwie szczoteczki do zębów, dwie golarki, dwa komplety kosmetyków. Ojciec i syn. Kolejne drzwi. Wszystkie prowadziły zapewne do sypialni. Otworzyłem pierwsze z nich.

Był tam. Leżał, a właściwie pólśedział z przegubem przykutym kajdankami do łóżka. W pierwszej chwili myślałem, że on również nie żyje. Dopiero potem zauważyłem, że pierś chłopaka jednak się unosi, a chwilę później spojrzał na nas. Twarz miał całą czerwoną, pokrytą śladami łez, głowę spoconą, jakby cierpiał z powodu wysokiej gorączki. Wokół unosił się nieprzyjemny kwaśny odór.

– Przeszedłeś mnie zabić – odezwał się.

– Co takiego?

– Wujek kazał ci mnie zabić.

Kotwica stanął za moimi plecami. Wstrzymał oddech. Delikatnie dotknąłem jego piersi, dając mu znak, żeby trzymał się z tyłu. Pod stopami zobaczyłem pistoletową łuskę. W ścianie naprzeciwko dziurę po kuli.

– Ktoś do ciebie strzelał – powiedziałem.

– Robbie – wymamrotał. – Wujek mu kazał. Ale Robbie tego nie zrobił. Powiedział, że zblądziłem, ale jestem jednym z nich. Zasluguję na to, żeby zobaczyć to, co zrobią.

Klęknąłem obok chłopaka. Otarłem mu pot z czoła.

– Karim, idź do łazienki. Przynieś mu wody – rzuciłem do Holendra z tyłu, a potem wróciłem do Mateusza. – Gdzie są wszyscy? Gdzie są twoi koledzy?

– Na imprezie – wyszeptał słabo chłopak.

– Co zamierzają tam zrobić? – rzucił zza moich pleców Kotwica.

Ale ja już wiedziałem. Trup na dole – nawet nie kłopotali się ukryciem go. To oznaczało, że nie dbali o to, czy ktoś go znajdzie czy nie. Nie miało to dla nich znaczenia. Impreza na odludziu, na cyplu z dala od wsi, na którym łatwo odciąć ludziom drogę ucieczki. I wreszcie broń od Holendrów. Wystarczyło dodać dwa do dwóch. Szkoda tylko, że zrobiłem to tak późno.

– Zabić – powiedział chłopak. – Zamierzają zabić ich wszystkich.

Poderwałem się na równe nogi. Karim pojawił się ze szklanką wody. Pokazałem mu, żeby napił chłopaka, i podszedłem do Kotwicy.

– Daj mi pistolet – rozkazałem.

– Po co?

– Pójdę tam i ich powstrzymam.

– Nie ma mowy. Tam jest Emilia. Idę z tobą.

– Jesteś ranny w ramię.

– Mam jeszcze lewą rękę!

Znowu ta sama rozmowa co w samochodzie, równie idiotyczna. Ależ ten facet był uparty. Wiedziałem, że nie uda mi się go przekonać, dlatego uderzyłem Kotwicę w grdykę. Szybki, relatywnie lekki cios, bo jednak chciałem go tylko unieszkodliwić, a nie zabić. Instynktownie chwycił się rękami za gardło. Jego oczy zrobiły się wielkie, kiedy próbował nabrać powietrza. Cofnąłem się o krok, ale tylko po to, żeby wziąć rozpęd. I zaraz wpadłem w niego ramieniem. Lekko pochylony, tak żeby wbić swój bark w jego brzuch. Chwyciłem go za kostki i pociągnąłem w górę. Moje uderzenie wytrąciło policjanta z równowagi, więc ostatnia faza rzutu była już tylko formalnością. Poleciał na plecy, uderzając głową o ścianę po drugiej stronie korytarza. Co go dodatkowo zamroczyło.

– Może potrafisz sobie nią zwalić, ale nie potrafisz się nią obronić – powiedziałem.

A potem uderzyłem z góry pięścią w opatrunek na prawym ramieniu. Pomimo zamroczenia, pomimo tego, że ledwo oddychał, ryknął tak, że było go zapewne

słysząc po drugiej stronie lasu.

– A skoro tak – ciągnąłem – to nie będziesz potrafił strzelać.

Przygniotłem go kolanem. Lewą ręką wyciągnąłem pistolet z kabury i natychmiast wstałem. Na wszelki wypadek wycelowałem w Kotwicę. On jednak leżał na ziemi, bezradny, wściekły i upokorzony. Trzymał się za ranne ramię i nie był w stanie wstać.

– Karim – rzuciłem, nie spuszczać oka z policjanta.

– Tak, proszę pana.

– Macie zawiadomić policję. Im szybciej, tym lepiej. Rozumiesz?

– Tak, proszę pana.

Zniknął na chwilę w pokoju, potem wrócił z telefonem w dłoni.

– Nie ma zasięgu, proszę pana.

Kolejna awaria? Akurat w takiej chwili.

– Wyłączyliśmy... – usłyszałem Mateusza. – Wyłączyliśmy maszt.

– Cholera... Dobra, Karim, pojedziecie na posterunek. Kotwica, nie bądź głupi, poprowadzisz go na miejsce! Sam tam nie trafi! Sprowadzicie posiłki! Tak najlepiej pomożesz Emilii!

Nie odpowiedział. Patrzył na mnie tak, że gdyby mógł, natychmiast by mnie zabił.

– Pan ma kluczyki – przypomniał mi Karim.

Racja! Sięgnąłem do kieszeni, żeby mu je rzucić, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Ile zajmie im sprowadzenie pomocy? Pół godziny? Czterdzieści minut? W tej sytuacji pięć minut opóźnienia nie miało wielkiego znaczenia, a ci chłopcy mogli zacząć realizować swój obłąkany plan w każdej sekundzie. Musiałem dotrzeć na kemping najszybciej jak to możliwe.

– Weźcie od sąsiada. Jeśli pójdziesz tam z Kotwicą, to na pewno wam pożyczę.

– A co z tym chłopakiem? – zapytał Karim.

Rzuciłem na niego okiem. Mateusz był wycieńczony, totalnie się załamał, ale nic mu nie groziło. Nie było sensu się nim przejmować.

– Zostawcie go! – poleciłem. – Pamiętaj, Karim! Do sąsiada, wóz i na posterunek! Szybko!

Nie zwlekając już dłużej, obróciłem się na pięcie i popędziłem schodami w dół. Wypadłem na dwór i wsiadłem do subaru. Wykręciłem, nacisnąłem pedał gazu i pojechałem z wyciem silnika prosto na kemping Joanny.

Miałem nadzieję, że zdążę, zanim ktokolwiek zginie.

Kostek przechadzał się po terenie ośrodka. Patrzył na tych wszystkich bawiących się młodych ludzi i myślał, że nie wiedzą jeszcze, co ich czeka. Dzieciaki nie zdawały sobie sprawy, że to ostatnie chwile ich życia. Staną się niczym więcej niż kawałkiem martwej materii, która posłuży mu do wybudowania własnego pomnika. Czuł się trochę jak Bóg. On już wiedział, znał ich los, poznał tajemnicę ich śmierci. Oni żyli w błogiej nieświadomości.

Szkoda, że Mati tego nie widzi. Szkoda, że nie mógł dzielić z nim tej chwili. Na pewno by to docenił i zrozumiał.

Żałował też trochę, że zabił brata. Rodzice już nie żyli, nie było więc nikogo z najbliższej rodziny, kto mógłby przekonać się, do czego Kostek jest zdolny, i jak bardzo mylili się, nazywając go nieudacznikiem, kiedy sądzili, że tego nie słyszy. Albo kiedy kręcili z rozczarowaniem głowami, gdy rozmowy schodziły na temat Kostka. To jego imię i nazwisko, jego zdjęcie będzie na czołówkach wszystkich portali, na pierwszych stronach gazet. A o jego niby tak zdolnym bracie, który zrobił karierę, zdobył majątek i tak dalej, już za rok nikt nie będzie pamiętać.

Jeśli ich nazwisko przetrwa przez nadchodzące dziesięciolecia czy nawet stulecia, to tylko dzięki Kostkowi.

Chłopaki rozeszły się po całym kempingu, tak jak im kazał. Robbie miał najbardziej odpowiedzialne zadanie, ale Kostek czuł, że może mu zaufać po tym, jak chłopak odebrał życie Matiemu. To była jego próba i zdał ją śpiewająco. Teraz miał pilnować, żeby nikt nie uciekł z cypla. Pozostali zajęli pozycje w różnych jego punktach. Kiedy nadejdzie czas, zaczną strzelać do każdego, kogo zobaczą, idąc w kierunku centrum ośrodka. Dzięki temu zabiją maksymalną liczbę osób. Oczywiście zawsze było ryzyko, że ktoś spróbuje uciec, wskoczy do wody i popłynie na drugi brzeg, albo przeoczą kogoś chowającego się w krzakach, ale nie wszystko da się przewidzieć. Przecież nawet Breivik nie zamordował wszystkich, którzy bawili się tamtej nocy na wyspie Utoya. Ale swój cel osiągnął. Ofiar było wystarczająco wiele.

Nie wiedział tylko co dalej. Kusilo go, żeby namowić chłopaków do samobójstwa. Nie mógłby sobie wyobrazić piękniejszego i bardziej malowniczego zakończenia tej nocy – oto ostatni dowód na to, jak wielką siłę miała jego wola, jak doskonale ich kontrolował. Ale nie był pewien, czy ufają mu aż na tyle, a nie chciałby wprowadzać w tym momencie jakiejś fałszywej nuty w całą tę makabryczną symfonię. Nie przejmował się tym jednak, bo i tak każde zakończenie tej sprawy było happy endem, chociaż perspektywa więzienia podobała mu się najmniej. W Polsce co prawda nie mógł liczyć na takie warunki, jakie miał Breivik w Norwegii, ale swoim czynem na pewno wzbudzi szacunek współwięźniów. Skoro potrafił zmienić tych dzieciaków w bandę zdeterminowanych morderców, to co będzie w stanie zrobić, jeśli do dyspozycji będzie mieć prawdziwych kryminalistów? Kto wie, może uda mu się wywinąć w życiu nie jeden, ale dwa numery, o których będą opowiadać latami? No i dziennikarze. Będą ustawiali się do niego w kolejkach z prośbami o wywiad, a on będzie im godzinami opowiadać, dlaczego zrobił to, co zrobił, i jak to wszystko zorganizował. Stanie się kustoszem własnego dziedzictwa.

Pozostawała jeszcze jedna możliwość – śmierć w starciu z policją. Bo przecież prędzej czy później ktoś tutaj przyjedzie. Mogliby wtedy stoczyć ostatnią bitwę i zginąć w sposób godny legendy. Tak jak Bonnie i Clyde. Albo jeszcze lepiej, bo przecież nie było z nimi żadnej Bonnie, jak Butch Cassidy i Sundance Kid w tej legendarnej scenie, w której Robert Redford i Paul Newman biegną naprzeciw karabinom boliwijskiej armii. Przez chwilę zastanawiał się, kto mógłby zagrać go w filmie. Bo przecież na pewno zrobią film. Pomyślał, że nadawaliby się Leonardo di Caprio i Tom Cruise. Obaj podobno byli niscy, tak jak on.

Zwracał na siebie uwagę – starszy facet krążący wśród rozbawionych studentów. Jeden z nich, chłopak z dreadami, przypatrywał mu się odrobinę zbyt długo. Kostek liczył, że będzie miał okazję go zabić. Ale nie teraz, jeszcze było za wcześnie. Uśmiechnął się więc.

– Wszystko okej?! – zawołał.

– Okej – odpowiedział niepewnie ten z dreadami.

– To świetnie! – odkrzyknął Kostek. – Jestem wujkiem Matiego. Mateusza. Przyjechałem się tylko upewnić, że macie dość browarów.

– Chyba mamy.

– To ja jeszcze sprawdzę.

– Jasne, jasne – odpowiedział uspokojony już chłopak i wrócił do palenia swojego skręta oraz bajerowania jakiejś dziewczyny.

Kostek poczekał, aż oboje przestaną na niego patrzeć, a potem wyciągnął dłoń i udał, że do nich strzela. Zachichotał ubawiony jak dziecko.

Rozejrzał się. Było już zupełnie ciemno, chociaż niby jeszcze wcześniej. Początkowo planował, że poczekają do drugiej, trzeciej w nocy, aż wszyscy się upiją i nie będą stawiać oporu. Ale czy wtedy będą wiedzieli, co się z nimi dzieje? Kostek chciał, żeby ten z dredami wiedział. Chciał zobaczyć strach, a nie alkoholowo-narkotyczne otępienie w jego oczach. Chciał, żeby tamten umierał z twarzą wykrzywioną przerażeniem, a nie z uśmiechem po wypaleniu tony zioła.

Nie było już na co czekać.

Sięgnął do paska i zdjął z niego krótkofalówkę. Proste urządzenie, które kupili w jednym ze sklepów sportowych. Miało zasięg zaledwie kilku kilometrów, w zalesionym terenie, takim jak tu, jeszcze mniejszy, ale w zupełności im to wystarczało. Sprawdzili to podczas jednej z wycieczek do Puszczy Kampinoskiej, kiedy planowali całą akcję.

Włączył urządzenie, ustawił odpowiedni kanał i nacisnął przycisk.

– Tutaj Kostek. Czy wszyscy mnie słyszą? Odbiór – rzucił do mikrofonu.

Poczekał, aż się zgłoszą.

– Tutaj Poldek, odbiór.

– Robbie, odbiór.

– Klaser, odbiór.

– Gruby na pozycji, odbiór.

Zero zawahania. Bardzo dobrze, pomyślał.

– Zmiana planów. Zaczynamy teraz. Powtarzam. Zaczynamy teraz.

Przypiął z powrotem krótkofalówkę do paska. Z głośnika dochodziły do niego głosy poszczególnych chłopaków, którzy meldowali przyjęcie polecenia. Wyjął broń.

Kilka sekund później rozległy się pierwsze strzały.

Jayden był zadowolony, więc Emilka również. Co prawda początkowo czuła się niepewnie, krążąc wśród imprezowiczów i sprzedając im trawkę. Bała się, że zaraz złapie ją mama i będzie awantura. Ale nic takiego się nie stało. Poza tym wypaliła na spółkę z Jaydenem skręta i się rozluźniła.

W sumie było tu fajnie. Dużo ludzi, dobra muzyka. Podśluchiwała parę rozmów o studiach w Warszawie i pomyślała, że wyjazd do stolicy może być lepszym pomysłem niż Zielona Góra albo nawet Poznań. Jak mierzyć, to wysoko.

– Widzisz, ile mi płacą? – zapytał Jayden po kolejnej transakcji i pomachał jej przed nosem plikiem banknotów. – Nie wiem, po co wozimy to zioło do Holandii. Trzeba je sprzedawać w Warszawie. Oni są z Warszawy?

– Tak.

– Frajerzy.

Uśmiechał się szeroko, a ona poczuła dumę. Bo to wszystko dzięki niej. Ona poznała się ze studentami z Warszawy, ona dowiedziała się, że potrzebują trawy, ona w końcu zadzwoniła do Jaydena. Uczyniła swojego mężczyznę szczęśliwym. Mój mężczyzna, powtórzyła w myślach i zachichotała, a później przytuliła się mocno do jego ramienia. Jayden nachylił się do niej, pocałował w czubek głowy i wciągnął głęboko powietrze.

– Twoje włosy ładnie pachną – mruknął.

– Dziękuję. To miłe.

– Wiesz, chyba sprzedałem zioło już każdemu na tej imprezie. I minie kilka minut, zanim przyjdą po więcej.

– Tak? – powiedziała, przeciągając samogłoskę.

– Chcesz się zabawić?

Miała nadzieję, że pójda potańczyć. Chciała tego. Od tak dawna się nie bawiła. Pragnęła się ruszać, wyginać, kręcić głową w rytm muzyki. Poczuć silne ręce Jaydena na swoich biodrach, zarzucić mu ramiona na szyję i patrzeć głęboko w oczy podczas wolnego kawałka. Ale on miał inne plany. Pociągnął ją

w ciemność, za jeden z niedokończonych jeszcze letniskowych domków. Tam przygniótł do ściany i zaczął całować. Gwałtownie i łapczywie. Tak jak jeszcze nigdy, bo zawsze był delikatny i spokojny. Dawał jej czas i przestrzeń. Pozwalał, żeby robiła tylko to, na co ona ma ochotę.

Najpierw jej się to podobało. Jego wargi przysysające się do jej skóry, ręce wędrujące po jej ciele, świadomość, że jej pragnie i nie jest już w stanie nad sobą zapanować. Ale potem jego dłonie wsunęły się pod jej bluzkę. Już to robił, już dotykał jej piersi, nigdy jednak tak szybko. Nie zaprotestowała. Szarpnął w dół biustonosz, tak żeby dostać się pod spód, a następnie chwycił jej sutki pomiędzy palce. To powinno być przyjemne, ale zimny dreszcz przeszedł po plecach Emilii. A potem ścisnął mocno i przekręcił.

– Au! – krzyknęła. – To boli!

Odepchnęła go od siebie. Chociaż twarz Jaydena tonęła w mroku, widziała jego oczy. Nie te, które pamiętała, tylko zimne i wrogie. Jakby należały do innego człowieka.

– Czasami musi boleć – odpowiedział.

Chwycił ją za ramiona, obrócił, jakby była zabawką, i wgniótł w ścianę domku. Tak mocno, że poczuła, jak deski uginają się pod jej ciężarem. Nie pozwalał jej się ruszyć. Jedną ręką szarpał za spodnie dziewczyny, próbując je ściągnąć. Dyszał ciężko tuż nad jej uchem jak wściekłe zwierzę.

Wyczuła moment, kiedy trochę zwolnił uścisk. Wygięła się, próbując się spod niego wyslizgnąć. Jej łokieć powędrował w górę i uderzył go w policzek. Jayden jęknął. Z zaskoczenia i bólu. Przytrzymał ją.

– Ty dziwko – powiedział i uderzył ją w twarz.

Cios był tak silny, że aż ją zamroczyło. Poleciała w bok. To dobrze. Była teraz dalej od niego. Rzuciła się do ucieczki. Zdążyła jednak przebiec tylko kilka metrów, kiedy w coś uderzyła. A raczej w kogoś. Znowu upadła. Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą otyłego chłopaka.

– Co tu się dzieje? – zapytał piskliwym tonem.

– Proszę, pomóż mi – powiedziała.

– Spierdalaj stąd, grubasie – rzucił po angielsku Jayden. – To nie twoja sprawa.

– On chciał mnie zgwałcić.

– Zgwałcić? – powtórzył za nią chłopak.

Zobaczyła, że cały zadrżał. Nie była pewna, czy z powodu nocnego zimna, czy ze strachu. I przez chwilę przeraziła się, że on odejdzie, odwróci wzrok. Bo takich rzeczy lepiej nie widzieć.

– Tutaj Kostek. Czy wszyscy mnie słyszą? Odbiór. – Usłyszała głos dochodzący z wysokości paska otyłego chłopaka.

– Gruby na pozycji, odbiór – powiedział, naciskając przycisk na krótkofalówce.

– Spierdalaj stąd, gnojku! Słyszałeś?! Bo cię potnę jak świnie! – krzyknął Jayden.

– Zmiana planów. Zaczynamy teraz. Powtarzam. Zaczynamy teraz – powiedział głos z nadajnika.

– Sam tego chciałeś, grubasie!

Jayden rzucił się w stronę chłopaka, ale ten nagle zrobił dwa kroki do tyłu, sięgnął za siebie z zaskakującą szybkością i wyciągnął jakiś przedmiot. Rozległ się przeraźliwy huk. Holender zrobił wielkie oczy. Przystanął. Podniósł dłoń do swojej piersi. Dotknął jej, a potem potarł palec o palec.

– Jak...? – wyszeptał i zwałił się na ziemię.

Emilia z niedowierzaniem patrzyła na bezwładne ciało leżące ledwo metr od niej. I nie wiedziała, czy powinna się cieszyć czy bać. Podniosła wzrok na chłopaka, który wciąż trzymał pistolet w wyciągniętej dłoni.

– Dziękuję – powiedziała niepewnie.

Chłopak potrząsnął głową. Przesunął lufę w jej stronę.

– Dajesz dupy obcemu – rzucił. – Taki jest z wami, kurwa, problem. Tyłu jest fajnych chłopaków w Polsce, którzy nigdy nie uprawiali seksu, ale wy wolicie dać dupy obcemu.

Nie rozumiała, co się dzieje. Przed chwilą ją uratował, a teraz w nią celował i opowiadał jakieś bzdury. Rozumiała jednak, że jeśli czegoś nie zrobi, te bzdury będą ostatnią rzeczą, jaką usłyszy przed śmiercią.

Poderwała się w górę i skoczyła w bok. Grubas nacisnął spust. Kula wbiła się w leśną ściółkę, dokładnie tam, gdzie jeszcze przed chwilą leżała Emilia. Pobieгла przed siebie, kuląc się instynktownie, pewna, że zaraz dostanie w plecy. Kolejny huk. Pocisk przeleciał tuż koło jej ucha i uderzył w drzewo. Skręciła gwałtownie i wpadła do pobliskiego domku. Zamknęła za sobą drzwi, przesunęła stół, żeby zatarasować przejście, i wsunęła się pod łóżko.

A potem zaczęła płakać, pewna, że ten otyły chłopak zaraz tutaj przyjdzie, żeby ją zabić.

– Mamo... Mamo... Mamo... – powtarzała raz za razem, wiedząc jednak, że mama jej nie słyszy.

Nikt jej nie pomoże. Mogła tylko czekać i wsłuchiwać się w strzały.

Foka była głodna. Mateusz zadbał o wyżerkę i postawił grilla, ale przywiózł żarcie tylko dla mięsożerców. Teraz wokół latali ludzie z kiełbasami i karkówkami, a ją od tego zapachu smażonego mięsa najpierw mdliło, ale potem zaczęła jej lecieć ślinka. Był taki moment, kiedy prawie się złamała. Myślała, że jedna kiełbaska to przecież nie jest tragedia. To nie tak, że z powodu tego małego odstępstwa świat się zawali, ślad węglowy wystrzeli w kosmos, stada niewinnych świń pójdą pod rzeźnicki nóż, a w Amazonii jakaś bezwzględna rolnicza korporacja wytnie kolejne hektary puszczy, żeby posadzić tam soję na paszę dla zwierząt. Jej indywidualne wybory w tym ogólnym stanie rzeczy nie miały przecież żadnego znaczenia. Były jedynie pewną deklaracją etyczną i moralną.

I dlatego, pomimo ssania w żołądku, udało jej się powstrzymać.

– Kolejnego browarka dla mojej ulubionej lewaczki? – zapytał Jacek, zbliżając się z butelkami piwa w dłoni. Szczerzył zęby, jakby właśnie Legia zdobyła mistrzostwo. Było to zasługą nie tylko alkoholu, ale też zioła, które załatwiła im Emilia.

– Weź spierdalaj – odwarknęła.

– Ej! – zachnął się. – Co jest? Humor popsuty? Okres?

– Bo jak kobieta ma zły humor, to zawsze musi mieć miesiączkę, tak?!

– No nie... – odpowiedział. – Ale tyle opowiadasz o ubóstwie menstruacyjnym, że samo mi się nasunęło, nie?

– Próbujesz być zabawny, Jacuś? No to ci, kurwa, nie wychodzi.

Chłopak zerknął na Mal, a ta pokiwała głową, potwierdzając słowa koleżanki. Spuścił zawstydzony głowę i kopnął leżącą nieopodal szyszkę.

– To o co chodzi? – zapytał.

Przewróciła oczami, bo nagle zrobiło jej się bardzo głupio. Faktycznie mocno na niego naskoczyła, chociaż to nie był przecież pierwszy raz, kiedy nazwał ją ulubioną lewaczką. Czasami traktowała to nawet jako pewien rodzaj komplementu. Wszystko z powodu żarcia.

– Głodna jestem – powiedziała.

– Przecież jest ta kiełbasa i... – zaczął mówić Jacek, ale zaraz przerwał i sam uderzył się otwartą dłonią w głowę. – Ty tego nie jesz, jasne... Zaraz coś ci znajdę.

Zaczął się rozglądać na wszystkie strony, jakby naprawdę spodziewał się, że wypatrzy gdzieś tackę z marchewkami, grillowaną cukinią albo tofuburdera.

– Cholera... – mruknął. – To może skoczmy szybko do sklepu?

– Sklepu?

– No tego we wsi. To przecież niedaleko. Skoczmy w kwadrans, zaraz będziemy z powrotem. Kupimy ci tam jakiś serek wiejski.

– Jestem weganką.

– Czyli serek też nie?

– Nie.

– To bułkę i nie wiem... Masło orzechowe? Chrupki kukurydziane? Albo parówki!

– Nie jem mięsa!

– Ale przecież w parówkach nie ma żadnego mięsa.

Kolejny kiepski żart, jednak doceniła, że naprawdę stara się jej pomóc.

– Jest już późno, a to nie Warszawa, nie znajdziemy żadnej Żabki czynnej do dwudziestej trzeciej. Na pewno mają zamknięte.

– Foka! To mała wieś na końcu świata! Wystarczy, że zapukamy tam raz czy drugi, a na pewno ktoś nam otworzy. I jeszcze nam będą dziękować, że przyszliśmy zakupy zrobić. No chyba że chcesz mi teraz opowiadać o tym, że ludzie pracy mają prawo do odpoczynku.

– Przypominam ci, że to twoja opcja wprowadziła wolne niedziele.

– Po pierwsze, PiS to nie jest do końca moja opcja.

– Tylko?

– Mniejsze zło. A po drugie, to akurat uważam za błąd. Wolny rynek sam powinien regulować takie rzeczy. Kto chce pracować w niedzielę, ten pracuje, kto nie chce, nie pracuje.

Foka już miała mu powiedzieć, że samotna matka trójki dzieci nie za bardzo ma pozycję, żeby negocjować z szefostwem supermarketu albo nawet właścicielem osiedlowego sklepiku, ale wtedy do rozmowy włączyła się Mał.

– Słuchajcie, uwielbiam wasze polityczne dyskusje... Powiedziałam „uwielbiam”? Nie, nudzą mnie straszliwie. Zawsze chcę wtedy strzelić sobie w łeb. To idziemy, kurwa, do tego sklepu czy nie?

Foca jak na wezwanie zaburczało w brzuchu.

– Idziemy – powiedziała.

Ruszyli w kierunku wsi. Jacek dał im po browarze i otworzył. Foka pomyślała, że wypicie kolejnego piwa na pusty żołądek nie jest dobrym pomysłem, ale i tak upiła dwa duże łyki, żeby poprawić sobie humor.

Kiedy tylko opuścili teren kempingu, na drodze przed nimi stanął jakiś chłopak. Natychmiast go poznała. Kumpel Matiego, Robbie. Studiował na innym kierunku.

– Cześć – rzucił z głową zwróconą w bok, jakby wstydział się na nich spojrzeć. – Dokąd idziecie?

– Do sklepu – odpowiedział Jacek. – Kupić ci coś?

– Do sklepu – powtórzył głucho tamten. – Po co?

– Po żarcie.

– Przecież jest jedzenie. Kupiliśmy wam dużo żarcia.

– No tak, ale koleżanka jest weganką.

– Jest chleb.

– Ale chciałabym zjeść coś poza suchą kromką, nie? – powiedziała Foka, znowu zezłoszczona. Nie wiedziała, po co się tłumaczył temu chłopakowi. – Idziemy.

Robbie jednak zastąpił im drogę.

– Co jest? – zapytał zdziwiony Jacek.

– Powinniście wracać na imprezę.

– Ale chyba możemy iść, gdzie nam się podoba, nie? – warknął Jacek.

Pomimo swojej postury, tatuaży i groźnego wyglądu był strasznie łagodnym typem. Foka nigdy nie widziała, żeby stracił nad sobą panowanie. Nigdy nie zachowywał się agresywnie, nawet wtedy, kiedy jakiś facet w knajpie oblał go piwem, a potem zwyzywał. Jacek zaczął mu coś łagodnie tłumaczyć i pięć minut później siedzieli już przy jednym stoliku, gadając jak najlepsi przyjaciele. Tyle że ten Robbie o tym nie wiedział. Był ze dwa razy mniejszy od Jacka, a zachowywał się tak, jakby naprawdę nie zamierzał ich wypuścić.

– Możecie, ale powinniście wracać na imprezę. Przyniosę jakieś żarcie dla twojej koleżanki.

– Sami pójdziemy do sklepu. Nie wiesz, co lubię – powiedziała Foka.

Zrobiła krok do przodu. Wtedy odezwał się głos z krótkofalówki, którą chłopak miał zawieszoną przy pasku, a którą dopiero teraz dostrzegli.

– Tutaj Kostek. Czy wszyscy mnie słyszą? Odbiór.

Robbie podniósł urządzenie do ust.

– Robbie, odbiór.

– Bawicie się walkie-talkie?! – zaśmiał się Jacek, zagłuszając na chwilę pozostałe głosy z krótkofalówki.

– Zmiana planów. Zaczynamy teraz. Powtarzam. Zaczynamy teraz.

– Co zaczynacie? – zapytała Mal.

Robbie schował krótkofalówkę i wyciągnął zza pleców pistolet. Wszystko to działo się niewiarygodnie wolno. Jakby trwało tysiąc lat. Jednak żadne z nich nie było w stanie nawet się poruszyć.

– Pierdolony chad – powiedział chłopak. – Nie wystarczy ci jedna kobieta, więc musisz wziąć dwie. Niektórzy z nas nie mają żadnej, ale ty się nie podzielisz, co? Chcesz dwie, to weźmiesz dla siebie dwie. Będziesz chciał pięć, weźmiesz pięć.

– Co ty pierdolisz? – zapytała Foka.

Robbie strzelił. Trafił Jacka w brzuch. Chłopak zgiął się wpół i padł na ziemię. Robbie chciał go dobić, ale wtedy Foka zareagowała. Rzuciła się na niego, chwyciła go za rękę i odgięła ją w bok. Robbie nacisnął spust, pocisk jednak wystrzelił gdzieś wysoko w niebo, łamiąc po drodze gałęzie. Mal chwyciła chłopaka z drugiej strony. Przez chwilę szamotali się tak w trójkę, ale on był od nich silniejszy albo bardziej zdesperowany. Nie potrafiły go powalić ani odebrać mu broni, a Jacek rzeźił kilka metrów od nich.

Nagle snop światła. Ostry dźwięk klaksonu.

Foka zdołała tylko zerknąć przez ramię i zobaczyła pędzący w ich stronę samochód. Odskoczyła w bok. Mal zrobiła to samo. Srebrne subaru uderzyło w Robbiego i wbiło go w najbliższe drzewo. W huku, z jakim metal uderzył o drewno, chrzęst miażdżonych kości i masakrowanych mięśni był prawie niesłyszalny. Prawie.

Robbie opadł na maskę. Z ust wypłynęła mu krew.

Z samochodu wyskoczył jakiś mężczyzna z pistoletem w dłoni. Foka zamarła, szykowała się do kolejnego skoku, kolejnej walki, ale on tylko prześlizgnął się po niej i Mal wzrokiem. Na dłużej zatrzymał się na Robbiem. Zabrał mu broń, którą chłopak ciągle trzymał w ręce. Potem zauważył Jacka.

– On jest z wami? – zapytał.

– Tak.

Mężczyzna rzucił Focę kluczyki.

– Bierzcie samochód i uciekajcie stąd. Któraś z was potrafi się tym posługiwać? – zapytał, potrząsając pistoletem Robbiego.

– Ja – odezwała się Mal.

– Na pewno?

– Ojciec jest wojskowym. Ganiał mnie w liceum na strzelnicę.

Mężczyzna wręczył jej pistolet.

– Tylko się nie wahaj – powiedział. – Zabij każdego, kto stanie wam na drodze.

Przejęta Mal skinęła głową.

– A teraz spieprzajcie.

– A Robbie? – zapytała Foka.

– Wasz kolega – wskazał na Jacka – dostał w brzuch. Umrze, jeśli nie trafi do szpitala. Naprawdę chcecie marnować swój czas na pomoc komuś, kto próbował was zabić?

Nie chciały, ale jego to nie obchodziło. Nie czekał na ich odpowiedź, tylko z bronią w ręku popędził w stronę kempingu, gdzie trwała już strzelanina.

Joanna wyszła z domku. Po kilku krokach przystanąła. Rozglądała się za Emilką, zastanawiając się, co właściwie teraz próbuje zrobić. Znajdzie Emilkę, znajdzie Jaydena i co? To był jakiś cholerny gangster, a ona z tej strzelby strzelała może raz w życiu. Będzie miała odwagę, żeby w niego wycelować? Będzie w stanie pociągnąć za spust, jeśli będzie potrzeba? Nie wiedziała. Ale przecież coś musiała zrobić. Chodziło o jej córkę!

– Emilia! – krzyknęła w akcie desperacji i bezradności.

Wtedy rozległ się strzał. Początkowo ledwo zwróciła na niego uwagę. Huknęło, jakby pękł balon albo coś spadło z dużej wysokości. A potem znowu, i jeszcze raz. Rozpoznała ten dźwięk. Broń palna.

Od razu pomyślała o Emilii. Że Jayden ją dorwał. Że Holendrzy najpierw zabili Kotwicę, a teraz pozbywają się reszty świadków. Ta myśl była absurdalna, bo przecież po co mieliby zabijać dziewczynę? Ale pojawiła się sama, nieproszona i Joanna nie potrafiła się jej pozbyć.

Ludzie na kempingu zaczęli krzyczeć i biegać we wszystkie strony. Jakaś dziewczyna dosłownie wbiła się w drzewo, a potem upadła na ziemię. Podniosła się z trudem, z jej rozbitego nosa leciała krew. Chłopak z dreadami ledwo włókł się w ich stronę. Trzymał się za brzuch, spomiędzy jego palców wypływała krew, ale wciąż nie wypuszczał z dłoni gitary.

– Córcia! – krzyknęła stojąca za nią matka i szarpnęła ją za ramię.

Joanna odwróciła się we wskazanym kierunku i dostrzegła zmierzającego do nich chłopaka z pistoletem. Zadziałała instynktownie. Podniosła strzelbę do ramienia i wystrzeliła. Chłopak skoczył za drzewo. Kolba niemal wybiła jej bark, ale kobieta prawie tego nie poczuła.

– Do domu! – wrzasnęła. – Wszyscy do domu!

Chwyła przebiegającą obok dziewczynę i wepchnęła ją do budynku. Matka zaczęła robić to samo. Biegała dookoła, krzycząc i zaganiając wszystkich, którzy wpadli jej pod rękę, nie zważając na latające wokół kule.

Joanna wystrzeliła jeszcze raz w stronę ukrytego za drzewem chłopaka. Krzyknął. Miała nadzieję, że go trafiła. Złamała strzelbę, pozwoliła, żeby łuski wypadły na ziemię, i potem zaraz za matką wpadła do domu, gdzie było już kilkunastu studentów. Chłopcy i dziewczyny kulili się po kątach, chowali za meblami.

– Mamo! Naboje! W kuchni!

Zamknęła drzwi na zamek. Zdawała sobie sprawę, że niewiele to da, ale działała odruchowo. Pocisk wpadł do środka, rozbijając szybę. Jedna z dziewczyn zapiszczała jak nastolatka na koncercie ukochanego boysbandu.

Skuliła się. Gdy matka pojawiła się przy niej z garścią naboji w dłoni, wzięła dwa. Załadowała, wystawiła lufę przez okno i strzeliła raz i drugi w ciemność. Nie celowała, nie widziała napastników. Bała się wystawić głowę, żeby zerknąć na to, co się dzieje.

Złamała strzelbę. Załadowała po raz kolejny.

– Zadzwońcie po policję! – wrzasnęła.

– Nie ma zasięgu – odpowiedział ktoś spod ściany.

Wystawiła lufę. Znowu strzeliła. Nasłuchiwała uważnie w nadziei, że usłyszy krzyk rannego napastnika. Kim w ogóle byli ci ludzie? Skąd się wzięli? Czy to Holendrzy?

Zanim zdążyła się zastanowić nad odpowiedziami na te pytania, ktoś wbił się barkiem w drzwi. Futryna pękła z hukiem. Mężczyzna, ciemna krępa sylwetka, wpadł do środka. Joanna obróciła się w jego stronę. Wycelowała i nacisnęła spust.

Nic się nie stało. Nie przeładowała po ostatniej desperackiej salwie.

Mężczyzna wyciągnął przed siebie broń. Lufa wędrowała po ukrywających się w domu młodych ludziach.

– Wychodźcie! – warknął.

– Nie! – krzyknęła sołtyska.

Rzuciła w niego trzymanymi w dłoni nabojami i ruszyła w jego stronę. Joanna jak w zwolnionym tempie widziała, że napastnik celuje, naciska spust. Raz. Potem drugi.

– Mamo! – krzyknęła i to było wszystko, co mogła zrobić.

Maliną najpierw szarpnęło w bok, potem zgięło. Nogi jej się poplątały, a gdy upadła, pod ciałem zaczęła się kształtować ciemna kałuża krwi. Sołtysowa miała otwarte usta, jeszcze oddychała. Za każdym razem coraz słabiej. W budynku panowała taka cisza, że Joanna wyraźnie słyszała świst powietrza i cichutkie stuknięcia, kiedy palce matki w przedśmiertnych drgawkach uderzały o podłogę.

Aż nagle przestały.

– Wychodźcie! – powtórzył mężczyzna. – Teraz!

Ktoś się podniósł, ruszył w stronę drzwi. Potem kolejna osoba. I jeszcze jedna. Joanna chciała krzyknąć, żeby tego nie robili. Żeby nie pomagali temu człowiekowi, kimkolwiek on był. Że powinni walczyć, bo ich jest kilkunastu, a on jeden. I że komuś na pewno uda mu się wyrwać ten pistolet z dłoni. Ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu.

– Rzuć to – powiedział do niej. Lufą wskazał na strzelbę.

Wykonała jego polecenie, chociaż nie chciała. Jakby jej ciało zupełnie odłączyło się od jej świadomości i robiło rzeczy, na które nie miała wpływu. Strzelba upadła tuż pod stopami.

– Wychodź – rozkazał.

Myślała, że nie będzie w stanie się poruszyć, ale ciało znowu ją zaskoczyło. Najpierw jeden krok, później drugi. Przeszła nad ciałem swojej matki, nawet na nią nie spoglądając, i pomyślała, że to niestosowne. I że potem będzie musiała ją przeprosić za ten brak szacunku. Jeśli będzie jakieś potem.

Na zewnątrz zorientowała się, że napastników jest więcej niż tylko ten mężczyzna. Trzech chłopaków. Każdy z pistoletem w dłoni. Jeden miał na głowie przenośną kamerkę sportową. Zaganiali uczestników imprezy w jedno miejsce i kazali im siadać na ziemi. Byli spięci i gotowi do strzału, gdyby ktokolwiek im się sprzeciwił.

– Chyba słyszałem jakiś huk, stamtąd – powiedział jeden chłopak i wskazał kierunek.

– To pewnie Robbie – odparł mężczyzna.

– Jakaś dziewczyna – odezwał się kolejny, otyły dzieciak o piskliwym głosie – dawała dupy jakiemuś angolowi. Uciekła.

Dziewczyna, angol. Tutaj nie było żadnych Anglików. Czyli Holender. A dziewczyna, która uciekła, to musiała być Emilka. Joannę zalała tak wielka fala

ulgi, że zaczęła szlochać.

– Trudno.

– Ale zajebałem angola.

– Brawo, Gruby.

Mężczyzna poczekał, aż wszyscy usiądą. Potem stanął naprzeciwko nich na szeroko rozstawionych nogach. Wypinał pierś, nie zdając sobie sprawy, że z powodu jego mikrej postury wygląda to komicznie. Jakby próbował nagle urosnąć o pięć centymetrów.

– Pewnie zastanawiacie się, co się tutaj dzieje – powiedział. – Wytłumaczę wam. To jest wasza kara. Kara dla chadów, którzy nami pogardzali przez lata. Którzy zabierali wszystkie kobiety, nie zastanawiając się nad tym, że inni też ich potrzebują. To kara dla was, dziewczyny. Wolałyście dawać przystojniakom, którzy wami gardzili. Byłyście gotowe zrobić dla nich wszystko, upokarzać się każdego dnia, byleby tylko zaszczylili was kroplą swojej spermy! My dla was byliśmy niewidoczni! Miałyście dla nas co najwyżej pogardę i szyderstwo! To jest wasza kara! Kara dla świata, który nas nie zauważa! Dla którego nie istniejemy! Ale nie narzekamy! Wiemy, jak jest! Łyknęliśmy czarną pigułkę i poznaliśmy jej gorzki smak! A teraz chcemy, żebyście i wy jej posmakowali! Panowie, oto chwila, na którą czekaliście!

Cała trójka jak na komendę wyciągnęła przed siebie pistolety i wycelowała w siedzących ludzi.

Informacje! Potrzebowałem informacji! Biegając w stronę kempingu, próbowałem ułożyć sobie to wszystko w głowie. Po pierwsze, ilu ich było? Przypomniałem sobie tamtych chłopaków w autobusie. Siedzieli z tyłu. Rozmawiali o jakiejś dziewczynie, którą wystawili w okrutny sposób, a potem wysyłali jej obraźliwe wiadomości. Było ich czterech. Jednego już załatwiłem. Zostało trzech.

Nie!

Był jeszcze z nimi ten niski mężczyzna. Ten, który siedział o jedno miejsce dalej i przez całą drogę się nie odzywał. Czyli czterech. Zostało czterech.

Co dalej? Kupowali broń od Holendrów. Ale jaką?! Do cholery, jaką! Nie wiedziałem. Trudno. Ja miałem ze sobą policyjnego P99. Niezła broń. Szesnaście nabojów w magazynku. Miałem nadzieję, że wszystkie są na swoim miejscu.

Docierając na miejsce, zwolniłem. Strzelanina ucichła. Czyżbym się spóźnił? Trudno. Na pewno są jacyś ranni. Nie tak łatwo zabić człowieka. Jeszcze mogę komuś pomóc. Jeszcze uda mi się kogoś uratować.

Poruszałem się od drzewa do drzewa, aż wreszcie zobaczyłem, co się dzieje na kempingu. Wyglądało na to, że większość imprezowiczów ciągle żyje. Zebrali ich w jednym miejscu, kazali usiąść na ziemi. Sami zebrali się w półokręgu. Trzech młodych chłopaków i mężczyzna oświetleni przez zawieszoną nad nimi lampę. Chcieli wszystko dobrze widzieć. Chcieli napawać się widokiem tego, co się wydarzy. Przerażeniem na twarzach ofiar, bólem, dziurami po pociskach w ich zmasakrowanych ciałach.

Mężczyzna właśnie przemawiał. Był najwyraźniej ich przywódcą, guru jakiejś dziwacznej sekty. Mówił coś o jakichś chadach, karze, seksie, czarnej pigułce. Oblęd. Nawet nie zamierzałem wnikać, o co w tym wszystkim może chodzić. Ważne było tylko to – czterech napastników z bronią. Oni stali, ofiary siedziały. Istniało minimalne ryzyko, że postrzelę kogoś niewinnego. Doskonała sytuacja. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszej.

Trzeba było zacząć działać. Wszedłem zza drzewa, chwyciłem P99 w obie dłonie. Ten pistolet nie ma bezpiecznika, tylko mechanizm podwójnego spustu, co

oznaczało, że trzeba go mocno naciskać, by oddać strzał. Źle. To będzie mnie spowalniało. Ułamki sekund, które mogły decydować o życiu lub śmierci. Moim lub kogoś z zakładników.

Nie mogłem nic na to poradzić.

Nie lubię robić ludziom krzywdy, chociaż potrafię. Jestem w tym całkiem niezły, ale rzadko się do tego posuwam. Uważam to za ostateczność. Środek, po który sięgam, kiedy wszystkie inne zawodzą.

Jeszcze gorzej się czuję, kiedy muszę kogoś zabić.

Problem polegał na tym, że właśnie w tym celu stworzono broń palną. Nie po to, żeby kogoś zranić, uszkodzić, obezwładnić czy pozbawić przytomności. Do tego służą inne narzędzia – paralizatory, tasery, gaz pieprzowy. Broń palna powstała po to, żeby zabić. Używanie jej w innym celu to głupota.

Oczywiście można próbować kogoś jedynie postrzelić, zranić tak, żeby nie był w stanie wykonać już żadnego ruchu. Czasami nawet to się udaje, tak jak wtedy, kiedy Jayden strzelił do Kotwicy. Ale to bardzo ryzykowne zagranie. Badania pokazują, że nawet wielokrotnie raniony napastnik wciąż stanowi zagrożenie. Wciąż może się ruszać. Wciąż, jeśli dysponuje bronią palną, może odpowiedzieć ogniem.

A oni mieli pistolety.

Być może gdybym był sam... Słyszałem tę obłąkańczą przemowę. Miałem przed sobą tylko troje głupich dzieciaków, którym odbiło pod wpływem szaleńca. Nie chciałem ich zabijać. Czułem, że nie zasługują na śmierć. Więzienie w zupełności by wystarczyło. Tak, gdybym był sam, spróbowałbym to załatwić inaczej. Biegając wśród drzew, obezwładniłbym jednego po drugim. Ryzykowne, ale ryzykowałbym tylko ja. Tutaj jednak byli też inni ludzie. Na ziemi siedziało około dwudziestu niewinnych dzieciaków. Studentów, którzy przyjechali napić się piwa, pobawić się, wypalić trochę trawy, całować się w ciemności z ukochaną czy ukochanym, wykąpać się w jeziorze po raz ostatni tego lata. Nikomu nie chcieli zrobić krzywdy. Niczemu nie byli winni.

Nie miałem prawa stawiać ich życia na szali.

Broń służy do zabijania.

Jest taka technika strzelecka opracowana przez żołnierza piechoty morskiej. Jej celem jest powstrzymanie nacierającego napastnika. Upewnienie się, że nie żyje.

Nazywa się Mozambique Drill. Polega na oddaniu trzech strzałów. Dwa w korpus. To największy element ciała każdego człowieka. Oczywisty cel strzelecki, najmniej ryzykowny. Teoretycznie te dwa strzały powinny wystarczyć, chyba że napastnik nosi kamizelkę kuloodporną albo jest tak naćpany, że nie zdołał nawet zauważyć, że już nie żyje. Tak, takie rzeczy się zdarzają. Widziałem na własne oczy. Dlatego do tych dwóch dochodzi jeszcze trzeci strzał – w głowę.

Czterech napastników, trzy strzały, łącznie dwanaście naboí. Szesnaście w magazynku. Powinno starczyć.

Nie zauważyli mnie. Byli zbyt skupieni na tym, co zamierzali zrobić. I zbyt wsłuchani w słowa tego szaleńca. Głupie dzieciaki, które nawet nie potrafiły zabezpieczyć swojego perymetru.

Nie zasługiwali na śmierć.

Wyłoniłem się z ciemności i ruszyłem ku nim.

Raz, dwa, trzy.

Mozambik.

Ten otyły. Najbliżej mnie. Największy cel, najłatwiejszy. Pierwszy strzał w brzuch, drugi w pierś, trzeci w głowę. Kątem oka zauważyłem, że upada. Celowałem już w kolejnego. Ten miał lufę skierowaną w siedzących przed nim zakładników. Próbował się obrócić w moją stronę. Nie zatrzymywałem się, chciałem zmniejszyć dzielący nas dystans.

Raz, dwa, trzy.

Mozambik.

Jak na szkoleniu.

Lampa nie tylko ich oświetlała, ale też oślepiała, a ja wciąż byłem skryty w cieniu. Wiedzieli, że ktoś do nich strzela, tylko nie wiedzieli skąd.

Ten trzeci. Widziałem wahanie na jego twarzy, przerażenie w oczach. Zrozumiał już, co się dzieje, widział umierających kolegów. Zrobił ruch. Być może chciał wyrzucić broń i podnieść rękę. Być może chciał zacząć strzelać do siedzących zakładników. Jedno albo drugie. Albo się podda, albo zacznie zabijać.

Nie mogłem ryzykować.

Raz, dwa, trzy.

Mozambik.

Gdzie był ten czwarty? Ten, który przemawiał? Gdzie ich przywódca?

Zniknął. Zaraz po pierwszych strzałach skoczył gdzieś do tyłu. Schował się w ciemności. Uciekał.

Potem się nim zajmę. Najpierw zakładnicy.

Dostrzegłem właścicielkę kempingu. Żyła, była cała, tylko twarz miała czymś pomazaną. Pierwsze skojarzenie: krew. Ale krew nie jest zielona. Nieważne.

– Joanna! – krzyknąłem.

Reagowała. Miała przytomne spojrzenie.

– Wszyscy do domu! – wrzasnąłem. – Już, już, już! Chowajcie się! Teraz, kurwa!

Poderwali się z ziemi. Jeden ze studentów ciągnął za sobą zapłakaną dziewczynę, która była w takim szoku, że nie mogła chodzić. Pomógł mu drugi. Dobre chłopaki. Podniosłem z ziemi pistolet tego grubego. Heckler & Koch P30. Dobra broń. Musieli na nią wydać małą fortunę. Cholerni Holendrzy. Gdyby im jej nie sprzedali, do niczego by nie doszło.

Wsadziłem Joannie pistolet do ręki.

– Idź do domu. Strzelaj do każdego, kto przekroczy próg. Do każdego! Rozumiesz?

– Tak.

– Idź!

– Kotwica?

– Żyje!

Strzał. Tuż obok nas. Skuliłem się. Popchnąłem ją w stronę domku i niemal wrzuciłem do środka.

– Tam jest Emilka! – krzyknęła jeszcze.

– Znajdę ją! – powiedziałem.

Schowałem się za ścianą i zerknąłem w stronę miejsca, gdzie jeszcze niedawno siedzieli zakładnicy. Cztery trupy: trzech napastników i chłopak z dreadami oraz

gitarą w dłoni. Niewinna ofiara.

– Idę po ciebie, dupku – mruknąłem pod nosem.

Ruszyłem po zewnętrznej. Lekko skulony. Broń trzymałem przed sobą. Szesnaście naboji w magazynku. Oddałem dziewięć strzałów. Zostało siedem. Ile miał tamten? P30 mieścił piętnaście pocisków. Czy strzelano już z niego tej nocy? Czy miał dodatkowy magazynek? Nie wiedziałem, dlatego dla własnego bezpieczeństwa musiałem założyć, że na pierwsze pytanie odpowiedź brzmi: tylko raz, przed chwilą, a na drugie: tak.

Przykucnąłem i zacząłem nasłuchiwać.

Co on planował? Gdyby chodziło o normalną sytuację, założyłbym, że facet ucieka. Próbował zrealizować plan, nie wyszło mu, stracił swoich ludzi, więc pozostawał tylko odwrót. Poszukiwaniem tego człowieka zajęłaby się już policja, a zakładnicy byliby bezpieczni. Nikt więcej nie straciłby życia dzisiejszej nocy.

Tylko że to nie była normalna sytuacja. Facet próbował urządzić masowe zabójstwo, a takie historie kończą się najczęściej na dwa sposoby: napastnik popełnia samobójstwo lub ginie zastrzelony przez policję. Musiałem założyć najgorszy scenariusz – facet spróbuje jeszcze raz. Już wie, że przegrał, ale będzie chciał zabić jak najwięcej osób przed śmiercią. Dlatego wróci do domu, w którym się schowali.

Joanna pilnuje wejścia od przodu. Zresztą żeby tak zaatakować, musiałby przejść przez oświetlony obszar, a już wie, że to nie jest dobry pomysł. Dlatego spróbuje od innej strony. Od tyłu. Tam, gdzie byłem ja. Jeśli miałem rację, wystarczyło tylko czekać.

Najpierw go usłyszałem. Zbliżał się powoli. Często przystawał. Zachowywał ostrożność. Spodziewał się zasadzki. Potem go zobaczyłem. Ciemna skulona sylwetka wśród drzew. Zbliżał się do domu.

Czekałem cierpliwie. Chciałem, żeby się zbliżył. Chciałem mieć absolutną pewność, że go trafię.

Był tuż-tuż. Jeszcze tylko dwa, trzy metry i to zakończę.

Podmuch wiatru.

Spadająca szyszka.

Pech.

Usłyszał ją, kiedy upadła na ziemię tuż obok mnie. Strzelił. Schowałem się za sosną. Kula wbiła się w pień. Odpowiedziałem dwoma strzałami na oślep. Rzucił się do ucieczki. Wskoczyłem z za drzewa i zobaczyłem, jak pędzi w stronę niewyremontowanych jeszcze domków. To był ten moment, moja szansa. Nie taka, jakiej chciałem, ale zamierzałem ją wykorzystać. Miałem jeszcze pięć naboju w magazynku.

Pobiegłem za nim. Usłyszał mnie. Odwrócił się w biegu i strzelił jeszcze trzy razy. Nie miał szansy trafić – nie z takiej odległości, nie w ruchu, nie, kiedy broń podskakiwała mu przy każdym naciśnięciu spustu. Nawet nie próbowałem się schować. Facet wyczerpał już swój limit szczęścia na dzisiaj.

Dopał do jednego z domków. Próbował otworzyć drzwi, ale coś je blokowało. Przystanąłem, wycelowałem, strzeliłem. W tym momencie jednak drzwi ustąpiły, a on wpadł do środka, przewracając się przy tym. Pocisk przeleciał kilka centymetrów nad jego głową.

– Cholera – warknąłem.

Teraz on był w domku, miał więcej amunicji i mógł się skutecznie bronić. Znalazłem się w kiepskiej pozycji, jeśli chodzi o sytuację taktyczną. Schowałem się za jedną z pobliskich sosen i obserwowałem drzwi.

Wtedy usłyszałem ze środka dziewczęcy krzyk, potem odgłosy szamotaniny i zanim zdążyłem zareagować, rozległ się głos mężczyzny.

– Nie strzelaj! Nie strzelaj, bo ją zabiję!

Wyłonił się z domku. Trzymał przed sobą zapłakaną i przerażoną Emilię. Przykładał jej pistolet do głowy.

Wyszedłem z za drzew, celując do niego z P99. Błąd. Facet był bardzo niski. Ledwo go widziałem z za Emilii. Nie miałem szans na oddanie bezpiecznego strzału.

– Myślałeś, że już mnie dorwałeś, co? Ale nie! Wiesz dlaczego? Bo jestem, kurwa, od ciebie sprytniejszy!

Nie odpowiedziałem. Nie było po co. Skupiałem się na tym, żeby znaleźć sposób na ocalenie Emilii. Nie miałem wątpliwości, co się wydarzy. Najpierw strzeli do mnie, potem do niej.

– Połóż broń na ziemi! Połóż ją!

Nie zamierzałem tego robić. Tak długo, jak trzymałem pistolet, nie odważy się zastrzelić dziewczyny. Wiedział, że to oznaczałoby jego natychmiastową śmierć, trwaliśmy więc w pacie. Ale od tego pata zależało życie Emilii.

Tylko że facet wreszcie pęknie. Nie miał żadnego planu, żadnego dobrego rozwiązania tej sytuacji. Pęknie i strzeli. Najpierw do mnie, chowając się za dziewczyną, potem do niej. Istniała duża szansa, że we mnie nie trafi, a jeśli trafi, to nie zabije. Wtedy ja będę miał swój ruch. Oceniałem, że z dużym prawdopodobieństwem wyjdę z tego. W jakim stanie, to inna sprawa, ale przeżyję. W przeciwieństwie do niej. W jej przypadku musiałby stać się cud.

Potrzebowałem jakiegoś pomysłu, sposobu, żeby ją ocalić.

Gdyby najpierw strzelił do mnie, mogłaby go uderzyć, kopnąć i się wyswobodzić – bardzo małe okienko czasowe na to, by zrobić cokolwiek. Ale miałem przed sobą tylko przerażoną nastolatkę, która nigdy wcześniej nie znalazła się w takiej sytuacji. Nie mogłem więc na nią liczyć. I to nie była jej wina. To ona była tutaj ofiarą. Ja miałem ją uratować.

Zacząłem iść w lewo, w stronę jeziora. Miałem nadzieję, że facet nie będzie za mną nadążał. Że na sekundę, nawet jej ułamek, będę o krok przed nim i wtedy się odsłoni. Dostanę swoją szansę. Jedno uderzenie serca. Tego potrzebowałem.

– Rzuć broń, bo ją zabiję!

Jego palec na spuście zadrżał.

Facet przyjechał tu umrzeć. Nie zacznie więc ode mnie – najpierw zastrzeli ją. Co dla niego oznaczało pewną śmierć, bo nie zamierzałem pozwolić mu nawet w siebie wycelować.

Ale dla tego mężczyzny nie miało to już żadnego znaczenia.

– Rzuć broń!

Zrobiłem to. P99 wylądował w leśnej ściółce. Podniosłem ręce i wciąż szedłem w lewo, a on poruszał się zgodnie z moim ruchem, ciągle trzymając przed sobą Emilię. Teraz ja za plecami miałem jezioro, a on kemping.

Zaśmiał się obłąkańczo.

– Niech ci się przyjrzę – odezwał się.

– Puść dziewczynę.

– Tak myślałem – powiedział, zupełnie nie zwracając uwagi na moje słowa. – Jesteś kolejnym pierdolonym chadem. Uważasz, że świat powinien paść ci do stóp i dać wszystko, czego tylko sobie zażyczysz. Pieniądze, pracę, cipki. Ale wiesz co, chadzie? Umrzesz.

– Ty też – odparłem.

– Ja też? – powtórzył zaskoczony, a potem zachichotał. – Tak. Wszyscy kiedyś umrzemy.

Wycelował prosto w moją pierś.

– Nie – powiedziałem spokojnie. – Nie kiedyś. Teraz!

Ostatnie słowo krzyknąłem i rzuciłem się do przodu. W tej samej chwili rozległ się strzał. Mężczyzna jęknął, kiedy kula trafiła go w plecy. Dopadłem go i chwyciłem za rękę, w której trzymał broń. Odgiąłem w bok, więc kiedy nacisnął spust, pocisk poleciał w stronę pustego już domku. Łokciem uderzyłem go w twarz. Puścił dziewczynę i poleciał na ziemię. Wyrwałem mu P30 z dłoni.

– O Boże, o Boże – wyjęczał.

Strzeliłem mu w głowę, tak na wszelki wypadek. Emilia podskoczyła na odgłos wybuchu. Wtedy zobaczyła stojącego za nami mężczyznę.

– Tatusiu! – krzyknęła i popędziła do Kotwicy.

Policjant miał pistolet. Trzymał go w lewej ręce. Najwyraźniej naprawdę potrafił nią strzelać. Zauważyłem go kilkanaście sekund wcześniej i zacząłem iść w bok po to, żeby tamten go nie dostrzegł. I żeby Kotwica miał czysty strzał. Nie chciałem, żeby się zastanawiał, czy trafi napastnika czy córkę. Dlatego też zacząłem gadać z mężczyzną. Chciałem skupić na sobie całą jego uwagę.

Dziewczyna dobiegła do ojca i wtuliła się w niego. Objął ją lewą ręką. Prawa ciągle zwisała bezwładnie wzdłuż ciała.

– Wszyscy? – zapytał.

– Wszyscy – potwierdziłem. – Kazałem ci jechać po pomoc.

– Nie zdążyliby.

– Skąd masz broń?

– Ten gówniarz miał ją w swoim pokoju. Pokazał mi gdzie. Powiedział też, że to oni zabili Aleksandrę. Bo odkryła ich plan.

Tak, teraz wszystko układało mi się w sensowną całość. Emilia zaciąga koleżankę do obozu Holendrów. Tam Karim zaczepia Aleksandrę. Prosi o pomoc. Widzą to Holendrzy. Przestraszona dziewczyna opuszcza ich obóz w towarzystwie Mateusza. Myśli, że będzie z nim bezpieczna, bo tamci nie zaatakują jej przy świadku. I wtedy, w jakiś sposób, dowiaduje się, że chłopak kupuje w obozie broń. On i jego koledzy nie mogą pozwolić jej odejść. Jeśli komuś o tym powie, zniweczy cały plan. Ginie, bo wie za dużo. Staje się ich pierwszą ofiarą.

– Czyli Traszka jest niewinny? – zapytałem.

– Traszka jest niewinny – potwierdził.

– Emilia!

W naszą stronę biegła Joanna. Doskoczyła do dziewczyny i Kotwicy. Zaczęła całować córkę w głowę i ramiona. Śmiała się i płakała równocześnie. Kazałem jej co prawda pilnować wejścia do domu, ale darowałem sobie jakiegokolwiek uwagi. Po pierwsze, nie miało to już żadnego znaczenia. Po drugie, wątpiłem, żeby cokolwiek teraz do niej dotarło.

Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem w stronę wyjścia z kempingu.

– Gdzie się wybierasz? – krzyknął za mną Kotwica.

– Zrobiłem swoje – oznajmiłem. – Wyjeżdżam.

Policjant puścił córkę i podszedł do mnie.

– Jak to wyjeżdżasz? A ten syf?!

– To twój syf.

– Potrzebuję twoich zeznań!

– Wcale nie.

– Zabiłeś pozostałych napastników.

– Nie. Ty to zrobiłeś – powiedziałem. – Tam leży twoja policyjna broń. Z niej strzelałem. Wolisz zostać bohaterem, który ocalił życie kilkunastu osobom, czy frajerem, który pozwolił nieznajomemu odebrać sobie służbową broń?

Zmarszczył brwi, myśląc nad tym, co właśnie usłyszał.

– To się nie uda. Za dużo osób cię tu widziało.

– Nikt mnie nie widział. Było ciemno, a ci ludzie byli przerażeni. Uwierzą we wszystko, co im powiesz.

– To się nie uda. Ktoś, coś...

– To się tym zajmij – przerwałem mu. – Ja wyjeżdżam z Wilków. I nie próbuj mnie powstrzymywać.

Nie próbowałem.

Po drodze zatrzymałem się przy jednym z napastników. Miał na głowie niewielką kamerę. Ciągłe nagrywała. Ściągnąłem mu ją z czoła i schowałem do kieszeni z myślą, że zniszczę ją później. Policja i tak dostanie dość dowodów. Wątpiłem, żeby chłopak zdołał mnie nagrać w tych warunkach, ale wolałem nie ryzykować. Poza tym takie filmy często wyciekają z policyjnych magazynów. Nie było żadnego powodu, żeby ktokolwiek miał to oglądać.

Pobiegłem do agroturystyki, spakowałem swoje rzeczy, zarzuciłem torbę na ramię i wyszedłem na dwór. Zostawiłem dwieście złotych na stoliku. Pobyt nie był specjalnie przyjemny, ale nie chciałem wyjeżdżać bez płacenia.

Wciąż biegnąc, dotarłem do głównej drogi. Postanowiłem iść nią. Miałem nadzieję, że zobaczę z daleka jadące radiowozy oraz karetki, i wtedy schowam się w lesie. Naprawdę nie zamierzałem być częścią tego zamieszania. Nie chciałem nikomu tłumaczyć, kim jestem, skąd się tu wziąłem i co zrobiłem.

Przeszedłem tylko kilka metrów, kiedy usłyszałem nadjeżdżający z tyłu terenowy samochód. Zatrzymał się tuż przy mnie. Joanna otworzyła mi drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj. Podwiozę cię.
- Jesteś potrzebna na kempingu.
- Jest tam jakiś Arab, to chyba lekarz. Opatruje rannych.

Karim musiał przyjść razem z Kotwicą. Dziwne, że go nie zauważyłem. Pewnie gdzieś się schował i wyszedł, dopiero kiedy policjant dał mu znak, że jest już bezpiecznie.

- Pomimo wszystko...
- Wciąż nie mamy zasięgu. Jadę właśnie gdzieś, skąd będę mogła zadzwonić – przerwała mi. – Podwiozę cię. Nie traćmy czasu.

Wsiadłem do wozu. Ruszyła tak gwałtownie, że prawie poleciałem twarzą na przednią szybę. Pospiesznie zapiąłem pasy bezpieczeństwa. Po tym wszystkim głupio byłoby zginąć w wypadku samochodowym.

Przez długą chwilę jechaliśmy w milczeniu. Samochodowe lampy oświetlały drogę przez las. Na poboczu dostrzegłem samotną sarnę. Jej oczy błyszczały niepokojąco. Obserwowała nas przez moment, po czym wróciła do skubania liści z drzewka.

Wyjechaliśmy z lasu i zbliżaliśmy się do kolejnej miejscowości. Joanna sięgnęła po komórkę.

– Jedna kreska – oznajmiła.

Wtedy zobaczyliśmy błysk błękitnych lamp, a potem nocną ciszę przeszył przeraźliwy dźwięk syren. Wkrótce minęły nas dwa radiowozy, zaraz za nimi karetka. Jechali do Wilków.

– Skąd wiedzieli? – zapytała Joanna.

Ta trójka, której dałem samochód Kotwicy, dwie dziewczyny i ranny w brzuch chłopak. Najwyraźniej dotarli w bezpieczne miejsce i zadzwonili po pomoc. Miałem nadzieję, że student przeżyje. Należało mu się. Dobrze się spisali.

– Zjedź na bok – powiedziałem.

Joanna zrobiła to, o co ją poprosiłem. Stała niedaleko przystanku autobusowego i włączyła światła awaryjne. Otworzyłem drzwi, zawahałem się i ponownie je zamknąłem. Kobieta spojrzała na mnie pytająco.

– Karim opowiedział mi, że Holendrzy go zastraszyli. Powiedzieli, że w okolicy nie lubi się osób o innym kolorze skóry. Że zabijecie go, jeśli tylko zobaczycie.

– Bzdura – prychnęła.

– Ale Holendrzy opowiedzieli mu też, że w okolicy mieszkała romska rodzina. I że miejscowi ją spalili. A ja widziałem ruiny domu. Pogorzelnisko właściwie. Stare, sprzed dwudziestu lat, może jeszcze starsze. Mieszkańcy Wilków zrobili to, bo jeden z Romów zgwałcił miejscową dziewczynę.

Pobladła.

– Ty zaś wyznałaś mi, że uciekłaś do Anglii, bo kiedy patrzyłaś na Emilkę, przypominałaś sobie o tym, co się wydarzyło. Czyli... to ty byłaś tą zgwałconą dziewczyną, prawda?

Nie odpowiedziała. Czekwała na ciąg dalszy. Który musiał nastąpić. Oboje o tym wiedzieliśmy.

– Tylko że Emilia nie wygląda jak Romka. Patrząc na nią, nie muszę robić żadnego badania DNA, żeby mieć pewność, że jest córką Kotwicy. Tak bardzo są do siebie podobni. A jednak ją zostawiłaś. Bo kiedy na nią patrzyłaś, przypominałaś sobie o tym, co się zdarzyło. O spalonej żywcem romskiej rodzinie.

Zamknęła oczy na długie sekundy. Oddychała płytko. Mogła kazać mi wysiąść z samochodu, a ja bym to zrobił. Wiedziałem już, co się zdarzyło. Chciałem jednak dać jej szansę, żeby sama to opowiedziała, w końcu wyznała komuś prawdę.

– Byłam przerażona, kiedy zaszłam w ciążę z Pawłem. Nie zgwałcił mnie ani nic. Ja tego chciałam, on chciał, ale byłam przerażona. Mama kazała mi się przeciw trzymać od niego z daleka, a ja nie posłuchałam. I kiedy to się stało, kiedy wyznałam jej, że jestem w ciąży... zaczęła krzyczeć. Uderzyła mnie. Chciała wiedzieć, co się stało. A ja... skłamałam. Powiedziałam, że zostałam zgwałcona. A wtedy ona zapytała, kto to zrobił.

Przerwała na moment. Wzięła głębszy oddech.

– Ta romska rodzina... Mieszkali z boku, niedaleko Traszki. Wszyscy mówili, że kradną. Może to robili, ale nie u nas. Wyjeżdżali do Niemiec. Tam pracowali czy cokolwiek... Jako pierwsi mieli satelitę we wsi.

– Powiedziałaś, że to jeden z nich.

– Taki chłopak w moim wieku. Myślałam, że on był wtedy w Niemczech, więc zwałam na niego. Chciałam, żeby mama się uspokoiła, żeby minęło kilka dni. Potem powiedziałabym jej prawdę. Chciałam tylko, żeby przestała na mnie krzyczeć.

– Ale ona poszła do Kotwicy?

Przytaknęła.

– Zebrał całą naszą bandę. Wszyscy tam byli: Kotwica, Koniu, Marek Wiśniewski, Michał... Michowski, znaczy się ojciec Aleksandry, Żuraw i Silny. A także moja mama... Podobno chcieli zająć się tylko tym chłopakiem. Pobić go i potem zawieźć na policję, a resztę nastraszyć, ale...

– Coś poszło nie tak – dokończyłem za nią.

– Coś poszło nie tak – potwierdziła. – Nie wiem co. Nie było mnie tam. Podpalili dom. Pobili tego chłopaka, kiedy z niego wybiegł. Skatowali go niemal na śmierć. Jego ojciec poszedł mu pomóc i jemu zrobili to samo. Tam zostały małe dzieci... Zginęły w płomieniach. Przestraszyli się. Mama powiedziała, że muszą też zabić

resztę. Więc to zrobili. Innym powiedzieli, że Romowie wyjechali. Skłamali, ale wszyscy wiedzieli przecież, co się wydarzyło. Całe Wilki. Wszyscy wiedzieli i nikt nic nie powiedział. Nikt nie zgłosił tego na policję. Wszyscy woleli udawać, że nam wierzą.

Zaciskała dłonie na kierownicy tak mocno, jakby próbowała ją zmiażdżyć.

– Zabili całą rodzinę? – zapytałem.

– Tak. Chyba.

– Chyba?

– Był jeszcze taki mały chłopak. Jego ciała nie znaleźli. Pewnie cały się spalił. Nie została po nim nawet kosteczka.

Sięgnąłem do tyłu po swoją torbę, wysiadłem z samochodu i zarzuciłem ją na ramię.

– I tak byś nam pomógł? – zapytała. – Gdybyś wiedział, co wtedy zrobiliśmy. Pomógłbyś nam?

– Nie przyjechałem tu, żeby pomóc wam, ale Traszce – odpowiedziałem. – I to właśnie zrobiłem. Podziękujcie mu, kiedy wyjdzie z więzienia. Gdyby nie on, wszyscy byście zginęli. Ty, Emilia, Kotwica pewnie też. Moim zdaniem macie wobec niego dług do spłacenia.

Zamknąłem za sobą drzwi i uderzyłem otwartą dłonią o dach samochodu, dając jej znak, że może jechać. Wykręciła na pustej drodze i ruszyła do Wilków. Ja zaś poszedłem w przeciwną stronę. Byle dalej od tamtej wsi i dręczących ją demonów.

– I po co go sprowadziłeś?

– Bo inaczej by go zabili, matka! Jak wszystkich innych! Tego byś chciała, matka?! Zostawić go miałem?!

Chłopak słuchał tych głosów zza ściany. Kłócili się od dłuższego czasu, chociaż cały czas tak naprawdę używali tych samych argumentów. Jakby kręcili się na karuzeli.

Ale nagle o dziwo przestali. Po chwili starsza kobieta pojawiła się w kuchni, gdzie na taborecie siedział chłopiec. Stała w progu, popatrzyła na niego, westchnęła ciężko i podeszła. Pogładziła go po włosach i twarzy. Miała szorstkie, twarde dłonie kogoś, kto całe życie pracuje fizycznie.

– Zjesz ziemniaki? – zapytała.

Był przerażony i smutny. Nie wiedział, co się wokół niego dzieje, i nieustannie chciało mu się płakać. Ale był także strasznie, ale to strasznie głodny. Pokiwał więc głową.

Kobieta otworzyła małą lodówkę, wyjęła z niej garnek, a z niego nałożyła na talerz gotowanych kartofli.

– Śmietany do tego chcesz?

Chciał. Podała mu solidną porcję i widelec. Potem wyszła.

Wiedział, dokąd trafił. Znajdował się w domu Trasków, ich sąsiadów. Mieszkali po drugiej stronie drogi, ale i tak bliżej było do nich niż do Wilków. Chłopiec często zakradał się z rodzeństwem do ich gospodarstwa, kradli owoce, a potem jedli je nad jeziorem, albo kartofle, które później piekli w ognisku. Traszka kiedyś ich przyuważył. Gonił za nimi z pasem w dłoni i prawie dopadł. Zdążyli jednak do domu, a wtedy wyszedł ich ojciec, sprzął go na kwaśne jabłko, krzycząc, że swoich dzieci tykać nie pozwala. Tak przyłożył Traszce, że ten aż się zataczał jak pijany. Potem wszyscy dostali pasem po tyłku, ale gdy chłopiec przypomniał sobie zaskoczony wyraz twarzy mężczyzny, od razu zrobiło mu się lepiej.

A teraz ten sam Traszka, który ich gonił, groził, że zabije albo nogi z dupy powyrywa, znalazł go w lesie, kiedy tamci ludzie spalili jego dom, i przyprowadził do siebie. Kazał siedzieć cicho i nigdzie się nie ruszać. I chłopiec posłuchał go. Bo wiedział, że stało się coś bardzo, bardzo złego.

– I co my teraz z nim zrobimy? – odezwała się kobieta, kiedy wróciła do syna. Już nie krzyczeli. Mówili ciszej. Musiał się skupić, żeby ich zrozumieć.

– Nie wiem.

– Szukać go będą.

– To co mam zrobić? Do lasu go wyrzucić?

– No nie. Ale ukryć go trzeba.

– No trzeba – zgodził się syn. – Coś wymyślę.

I faktycznie wymyślił. Sprowadził chłopaka na dół, do piwnicy. W hałdzie węgla kupionego już na zimę wykopał jamę i wsadził go tam, a potem przykrył jutowym workiem po ziemniakach, który kłuł w skórę, i na powrót przysypał węglem. Kazał chłopcu tak leżeć. Obiecał, że co pewien czas będzie do niego schodził i sprawdzał, czy wszystko w porządku. Chłopiec na początku się bał. Był pewien, że się udusi, że węgiel go przysypie. Było mu też strasznie niewygodnie, ale po jakimś czasie, wbrew sobie, zasnął.

Obudził się, kiedy przyszli tamci. Słyszał ich głosy i głosy Traszeków.

– Ale co mi tu do domu wchodzicie?! – wrzeszczała kobieta.

– Tłumaczę, chłopaka szukamy! Czy go w domu nie macie?!

– No nie mamy, nie mamy!

– To wejść, sprawdzę i wyjdę!

– Ale go tu nie ma! Co ty myślisz, że ja nie wiem, kto u mnie w domu siedzi?

– To małe bydlę jest! Mogło się gdzieś schować.

– Wynocha z mojego domu! – zawołał Traszka.

– A wpierdol chcesz?!

– Spokojnie, chłopie – odezwał się kolejny głos.

– Ale widzisz, jak on do mnie. Ja kultura, a on...

– Mówię, że spokojnie. Słuchaj, Traszka, tamci wyjechali, a jednego zapomnieli albo specjalnie uciekł. Nie wiem, ja się na tych Cyganach nie znam. Ten mały

został. Włóczy się tutaj. Ze złości im dom podпалиł. No chciałbyś, żeby i tobie się dom spalił? Chciałbyś?

Nawet zakopany pod węglem chłopiec słyszał groźbę zawartą w tych słowach.

– No tak myślałem. Wchodzimy, sprawdzamy i tyle nas widzieliście.

Chłopiec słyszał, jak tamci dwaj chodzą na górze. Mieli ciężkie buciory, którymi walili po podłodze, jakby chcieli zostawić w niej dziury.

– Tutaj nie ma.

– To sprawdź piwnicę.

Serce chłopca zabiło szybciej. Przyłożył sobie dłonie do ust, żeby nie krzyczeć. Starał się oddychać cicho, cichutko jak mała myszka. Usłyszał, jak ktoś schodzi na dół i pstryka w elektryczny włącznik. Kroki w piwnicy. W jedną i w drugą stronę. Ciężkie.

Ktoś zbliżył się do hałdy węgla, wziął stojącą nieopodal łopatę i wbił ją w jedno miejsce. Wyjął. Wbił w drugie. Wyjął. W trzecie, ledwo pół metra od chłopca. Przerzucił już szufłę węgla, potem kolejną i kolejną. Z każdą następną zbliżał się do ukrytego dziecka. Jeszcze trochę i trafi na jutowy worek.

– Ale potem mi ten węgiel nazad przerzucisz. – Chłopiec usłyszał głos starszej kobiety.

Mężczyzna zaklął z irytacją, nie wbił jednak po raz kolejny łopaty. Rzucił ją na węgiel i poszedł po schodach na górę.

– Nie ma go tutaj.

– To idziemy.

Chłopiec odetchnął z ulgą i przestraszył się, że tamci go usłyszeli i wrócą. Ale zamiast nich po kilku minutach pojawił się Traszka. Odkopał go, podał mu metalowy kubek z wodą i usiadł obok, zupełnie nie przejmując się, że węgiel brudzi mu ubranie.

– I co ja mam z tobą zrobić? – zapytał. – Przecież ja nawet nie wiem, jak się nazywasz.

Chłopiec akurat pił, więc nie mógł odpowiedzieć.

– Zresztą nieważne. Będiesz Czarny. Nie od skóry. Od węgla jesteś cały ujebany.

Chłopiec przełknął wodę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak sucho miał w gardle. Czarny. Podobało mu się. Bardziej niż jego prawdziwe imię.

– Tutaj to zostać nie możesz. Wrócą po ciebie. Prędzej czy później. Masz jakąś rodzinę, do której mógłbym cię zawieźć, Czarny?

Chłopiec zastanowił się przez chwilę, zmarszczył brwi, a potem skinął głową.

Kilka dni później znalazł się w Warszawie i bardzo się starał, żeby już nigdy nie myśleć o mamie, tacie, rodzeństwie, o tym wszystkim, co wydarzyło się w Wilkach. Aż pewnego dnia dowiedział się przez przypadek, że Bogdan T. został zatrzymany za zamordowanie nastolatki w małej wiosce w województwie lubuskim. Zobaczył jego zdjęcie i pomimo czarnego paska na wysokości oczu natychmiast rozpoznał. Pomyślał, że nadszedł wreszcie czas, żeby spłacić dawny dług.

To był nowy dom. Data wymalowana pod dachem oznajmiała, że skończono go ledwo trzy lata wcześniej. Wyszła stamtąd kobieta w ciężkim wełnianym płaszczu. Miała czapkę naciągniętą na uszy, szalik tuż pod nosem i mocno się umalowała, ale i tak nie dała rady ukryć tego siniaka pod okiem, który dostrzegłem, kiedy koło nas przechodziła.

Skierowała się na przystanek autobusowy. Dzień był nieprzyjemny. Szybko zaczęła dygotać od zimnych podmuchów wiatru, a padający drobny deszcz pewnie niebawem przemoczy jej płaszcz. Nie miała gdzie się schować, więc chodziła to w jedną, to w drugą stronę, tupiąc energicznie, żeby choć trochę się rozgrzać.

– Kutas ma w garażu mercedesa – powiedziałem.

– Naprawdę? – zdziwił się Czarny.

– Sam jeździ audi, ale ma jeszcze mercedesa. Mógłby go jej dać, żeby nie musiała stać na tym zimnie.

– Mógłby też ją zawieźć.

– To prawda – zgodziłem się.

– Pokaż lekarzu, co masz w garażu, co?

– Ano.

Po dziesięciu minutach podjechał autobus. Niemal widziałem ulgę malującą się na twarzy kobiety. Poczekaliśmy, aż odjedzie, i wysiedliśmy z bmw Czarnego. Podeszliśmy do drzwi domu. Zapukałem mocno i stanowczo. Przez moment nic się nie działo. Uderzyłem więc po raz kolejny. Czarny nacisnął dzwonek.

– Już idę! Idę! – Usłyszeliśmy męski głos.

Potem drzwi się otworzyły i stanął przed nami przystojny czterdziestoletni mężczyzna o krótkich blond włosach i zadbanej kocznej brodzie. Na nosie miał okulary w cienkiej oprawie. Właśnie kończył zapinać mankiety błękitnej koszuli.

– Doktor Bartosiak? – zapytałem.

– Tak.

Uderzyłem go lewym prostym w twarz, potem prawym hakiem w brzuch. Kiedy zgięło go w pół, poprawiłem kolaniem w głowę. Zamroczonego chwyciłem za kołnierz i poprowadziłem w głąb domu. Szarpnąłem nim mocno, a gdy poleciał w lewo, podciąłem go. Runął na puchaty kolorowy dywan. Pewnie trochę zamortyzował w ten sposób swój upadek. To dobrze. Chciałem, żeby był przytomny. Odwróciłem go i unieruchomiłem.

– Jeśli chcecie pieniędzy... – zdołał wykrztusić.

Uderzyłem go w twarz.

– Nie chcemy – zapewniłem.

Rom wszedł za mną, zamknął drzwi i podszedł do lekarza. Nachylił się nad nim. Rozpiął mu pasek spodni. Facet zaczął się szarpać, więc znowu musiałem mu przyłożyć. Uspokoił się na tyle, że Czarny zdołał zdjąć mu spodnie i bieliznę, a potem wyciągnął nóż sprężynowy. Otworzył go na oczach przerażonego mężczyzny, po czym przyłożył zimną stal do jego jąder.

– Chcę, żebyś zrozumiał, co się tutaj dzieje – powiedziałem. – To nie jest żadna interwencja. To nie jest prośba. To jest układ. Który ja zawieram. Nie, nie z tobą. Zawarłem go z samym sobą. To jest obietnica, którą sobie złożyłem. A ja zawsze dotrzymuję słowa, prawda?

– Prawda – potwierdził Czarny.

– Widzisz, wiem, co robisz swojej żonie. Że ją bijesz. I daję ci szansę. Masz dwadzieścia minut, żeby się spakować, wyjechać i nigdy, ale to nigdy tutaj nie wrócić. Wyślesz też żonie papiery rozwodowe, w których zrzekniesz się praw do opieki nad dziećmi, zostawisz jej dom i oszczędności. Aha, i mercedesa. Audi możesz sobie wziąć.

– Audi jeżdżą frajerzy – dorzucił Czarny, który wciąż bawił się nożem w okolicach przyrodzenia mężczyzny. – Cztery zera, piąte za kółkiem.

– Jeśli tego nie zrobisz... – kontynuowałem – cóż, kiedyś tu wrócę. Może jutro, może za tydzień, miesiąc, rok albo za dziesięć lat. Tego nie wiesz. Ale jednego możesz być pewien: wrócę. I jeśli cię tutaj zobaczę, to nie będzie żadnej drugiej szansy. – Zbliżyłem się do niego tak, żeby słyszał mnie głośno i wyraźnie. – Po prostu cię zabiję. Zrozumiałeś?

Pokiwał głową. Poklepałem go dłonią po policzku i dałem znać Czarnemu, żeby zabrał nóż. Opuściliśmy dom lekarza, wsiedliśmy do bmw i czekaliśmy.

- Mógł zadzwonić po policję – powiedział Rom.
- Mógł – zgodziłem się. – Ale nie zadzwoni.
- Skąd wiesz?
- Znam się na ludziach. To nie jest typ, który by podejmował takie ryzyko.
- No to zaraz sami się przekonamy. Po co w ogóle cała ta akcja?
- Usłyszałem o tym, co facet robi żonie, i nie dawało mi to spokoju.

Czarny sięgnął do kubka z zimną już kawą i wypił ostatni łyk. Potem go zmiął, opuścił szybę, wpuszczając do środka podmuch zimnego powietrza i wyrzucił na ulicę.

Po niecałych dwudziestu minutach zobaczyliśmy, jak lekarz wybiega z domu z dwiema wielkimi torbami. Wrzucił je do bagażnika stojącego nieopodal audi i odjechał z piskiem opon.

- Miałeś rację – powiedział Czarny. – Gratuluję. Jedziemy?
- Do Wilków? – zapytałem. – To niedaleko.
- Po co mielibyśmy jechać do Wilków? – zdziwił się.
- Myślałem, że może chcesz się zobaczyć z Trąszką.

Śledziłem trochę doniesienia medialne. Mężczyznę wypuszczono z aresztu kilka dni po masakrze na kempingu. Prokurator odstąpił od stawiania mu zarzutów. Podobno pojawił się jakiś adwokat i namawiał Trąszkę, by ten pozwał skarb państwa o odszkodowanie. Nie wiem, czy się zdecydował.

Masakra nad jeziorem, jak ochrzcili sprawę media, to było trochę zbyt szumne określenie. Oprócz napastników zginęły tylko cztery osoby: sołtyśka, Jayden, chłopak z dredami i jedna z dziewczyn, która dostała postrzał w plecy, odczołgała się do samego jeziora i tam wykrwawiła. Znaleziono ją dopiero nad ranem. To by oznaczało, że ten chłopak z kulą w brzuchu przeżył, co mnie ucieszyło. Mateusz opowiedział wszystko prokuratorowi. Groziło mu dożywocie. Dobra kara. Holendrzy zwinęli się z kempingu i wyjechali za granicę. Wydaje mi się, że pomógł im w tym Kotwica. Może uznał, że to dobry pomysł. Wystawiono za nimi europejski nakaz aresztowania. Pewnie prędzej czy później ktoś ich złapie. Ciało Rubena wkrótce odnaleziono. Ukryli je w tataraku prawie przy samym brzegu. Nie wiedziałem, co dalej z Koniem, ale też niespecjalnie mnie to interesowało.

- Po co? Facet wyszedł, ty się spisałeś, sprawa zamknięta.

– Wiem, co się wtedy wydarzyło w Wilkach – oznajmiłem. – Wiem, czemu chciałeś mi pomóc. Ale przede wszystkim wiem, co się stało z twoją rodziną. I kto ich zabił.

Podniósł rękę, jakby chciał się podrapać po nosie, ale zamarł w połowie ruchu. Oczy na moment mu się zamgliły, a potem, co mnie zdziwiło, kącik jego ust uniósł się, jakby Czarny przypomniawszy sobie coś przyjemnego.

– Wiesz, że kiedyś okradłem Żyda? – rzucił niespodziewanie. – To znaczy próbowałem go okraść.

– Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Lata temu, jeszcze dzieciakiem byłem, świeżo w Warszawie. Przyjechał z tą sentymentalną wycieczką, jak to oni jeżdżą. Jestem na Muranowie, na terenie dawnego getta, patrzę, idzie Żyd. Rozgląda się dookoła. Dziwi się, bo to przecież wszystko inaczej wygląda niż w czasie wojny. Patrzy po tych domach, a kieszeń ma wypchaną portfelem. No to podchodzę. Skradam się, chwytam za portfel, a ten cyk, łapie mnie za rękę. Błyskawicznie. Nawet się nie zorientowałem. A uścisk miał tak mocny, że myślałem, że mi nadgarstek złamie.

– I co było dalej?

– Ja w płacz. Bo wtedy potrafiłem na zawołanie, jak prawdziwy aktor. On na mnie taką śmieszoną polszczyzną, że bym się nie wygłupiał, bo on zna takich jak ja. To przestaję płakać, bo widzę, że ściemy z nim nie będzie. On wtedy w śmiech. Koniec końców zabrał mnie na obiad do restauracji. Bo wydawało mu się, że jestem głodny.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Dziwnie wyglądaliśmy. Mały cygański dzieciak i stary Żyd. Ludzie tak na nas patrzyli. Pewnie myśleli, że to jakiś pedał, który bierze mnie na obiad, a potem planuje wyruchać w hotelu.

– Ale nie próbował tego zrobić?

Czarny zarechotał i pogroził mi palcem.

– Nie. Potrzebował się przed kimś wygadać. Opowiadał mi, że urodził się w Polsce. Był dzieckiem, jak wybuchła wojna. Udało im się uciec z Warszawy. Schowali się gdzieś na wsi. Złotem zapłacili gospodarzowi, żeby ich ukrywał. No i chowali się tak przez kilka lat. Ale pewnego dnia u gospodarza zjawili się miejscowi. Powiedzieli mu, że wiedzą o Żydach i albo on coś z nimi robi, albo oni

się tym zajmą. Przyszedł ten gospodarz do ojca, wyjaśnił, jak jest, a ojciec zrozumiał. Powiedział, że się wyniosą. No i w noc, jak mieli uciekać, pokazali się miejscowi. Gospodarz ich sprowadził, bo uznał, że z Żydów już nie będzie mieć pożytku, a za ciała to Niemcy wódką i cukrem płacili. No i wszystkich zamordowali. Ojca tego Żyda, matkę, małą siostrzyczkę i braciszka, co miał ledwo trzy lata. Tylko ten mój Żyd uciekł. Podobno miał dobry wygląd, aryjski. W czasie wojny, kiedy był mały, to może rzeczywiście, bo kiedy ja go spotkałem, nos miał jak się patrzy. Nic tylko namalować i na ścianie wieszać na szczęście.

– Do czego zmierza ta historia? – zapytałem Czarnego.

– Cierpliwości. No więc ten mój Żyd miał podobno dobry wygląd. Schował się w lesie, odnalazł partyzantów i przyłączył się do oddziału. Jakoś przetrwał wojnę, a jak tylko trafiła się okazja, to wyjechał do Izraela. Opowiadał mi, że w każdej wojnie z arabusami walczył. Był snajperem, wiesz? Pokazał mi swoją dłoń. Stary facet, a łapa jak skała. Potem siły specjalne i Mossad. Trochę historii z tamtych czasów opowiadał.

– Ale nie będziesz ich teraz powtarzać?

– Nie. Powiedział jeszcze, że zbliża się koniec jego życia. I że znalazł tę wioskę, co jej mieszkańcy zabili mu rodziców, siostrzyczkę i braciszka. Chce ją odwiedzić. I że jak tam przyjedzie, to jeszcze nie wie, co robi. Albo im wybaczy, albo wszystkich zabije. I wiem, jak to brzmi: śmiesznie. Stary Żyd miałby całą wioskę wyrznąć. Ale kiedy to mówił, kiedy patrzyłem w jego oczy, czułem, że jest to gotów zrobić. I że nic go nie powstrzyma.

Czarny skończył swoją historię. Oparł się na fotelu. Przymknął na chwilę powieki. Potem otworzył oczy i uruchomił silnik.

– I co zrobił ten Żyd? – zapytałem, zanim ruszyliśmy.

– A słyszałeś o jakiejś wiosce wyrżniętej przez starego Żyda z Mossadu?

– Nie.

– To znaczy, że chyba im wybaczył – odpowiedział i uśmiechnął się smutno. – Rzecz w tym, że jeśli naprawdę wiesz, kto ich zabił, nie mów mi tego. Bo jeśli powiesz, będę musiał tam pojechać. A ja nie będę potrafił im wybaczyć.

Zrozumiałem. To nas z Czarnym łączyło. Obaj wiedzieliśmy, że długi trzeba spłacać, a niezłatwione sprawy zamykać. Nawet te najstraszniejsze.

Przypomniałem sobie o tej, która mi najbardziej ciążyła. I pomyślałem, że prędzej czy później będę musiał się nią zająć.

Ale może jeszcze nie teraz.